



Uwaga! To może
Mhairi McFarlane być miłość



Pascal

Uwaga! To może być miłość

Mhairi McFarlane

Tłumaczenie: Arkadiusz Belczyk

Pascal

dla Helen

przyjaciółki ze szkoły,
która jest dla mnie kimś więcej niż siostrą

Prolog

**Liceum ogólnokształcące Rise Park,
wschodni Londyn, 1997 rok.**

Ostatni dzień w szkole

– Przed państwem Elton John!

Gavin Jukes, w ogromnych drucianych okularach i kostiumie kaczkę, wyszedł na scenę witany ogłuszającą wrzawą. „Wyszedł” o tyle, o ile można wyjść w kanarkowo żółtych piankowych płetwach – było to raczej dziarskie człapanie. Usiadł przy pianinie – co ze względu na pękaty kuper z ogonem okazało się dość trudne – i zaczął bezgłośnie uderzać w klawisze, śpiewając jednocześnie *Are You Ready for Love*.

Stojąca za kulisami Aureliana poprawiała szarfę swej brzoskwińowej sukni ciężowej z lat siedemdziesiątych, poliestrowej, o gęsto plisowanej spódnicy, i dotknęła dłonią utapirowanych włosów. Zrobiła głęboki, drżący wdech, wciągając w płuca zapach szkolnej sali gimnastycznej: gumowych podeszew tenisówek, dezodorantu i silnych hormonów dojrzewających nastolatków.

Formuła koncertu „Twoje przeboje”, imprezy organizowanej na pożegnanie rocznika

opuszczającego szkolne mury, była prosta i niezwykle nośna: należy się przebrać za gwiazdę muzyki pop, w im bardziej absurdalny strój, tym lepiej, i sparodiować wykonanie jakiegoś starego hitu.

A publiczność, Bogu dzięki, była zachwycona Gavinem.

Jak głośiły te wszystkie głupie graffiti na temat Gavina Jukesa, uważano go za „totalną ciotę”. A mimo to odważył się udawać ekstrawaganckiego homoseksualistę, wprawiając zgromadzonych w euforię. Może więc i Aureliana Alessi, to dziwadło, które jada na lunch śmierdzące la-sagne zamiast kanapek z pełnoziarnistego pieczywa, wzbudzi raczej śmiech aprobaty niż szyderstwa.

Miała wrażenie, jakby szkoła była jedną wielką pantomimą, w której wszyscy tylko odgrywali różne role i na koniec zeszli się teraz, ci dobrzy i ci źli, by wspólnie ukłonić się widzom.

Dziś nawet Lindsay i Cara, najbardziej zajadłe prześladowczynie Aureliany, ubrane w mi-niówki i buty na koturnach à la Agnetha i Anni-Frid z ABB-y, zostawiły ją w spokoju. Obie czarownice żłopały

wódkę Minkoff przeschmuglowaną w butelkach coli i przyglądały się Aurelianie mocno umalowanymi oczami, ale nie zbliżały się do niej. Ona sama też nie miała nic przeciwko łykowi czegoś mocniejszego.

Magia „Twoich przebojów” mogła wynikać z tego, że dla młodszych uczniów ich popularni starsi koledzy i koleżanki już i tak byli kimś w rodzaju gwiazd rocka. Wyjąwszy Jamesa Frasera. On był gwiazdorem dla wszystkich. Aureliana zerknęła na niego i po raz kolejny powtó-

rzyła sobie, że jej występ będzie super, bo znajdzie się na scenie razem z Jamesem Fraserem.

„James Fraser”. Na sam dźwięk tego imienia robiło jej się ciepło w brzuchu.

Tydzień temu podszedł do niej, gdy związała z WF-u i schowała się w bibliotece, by znów zagłębić się w lekturze *Sweet Valley High* 1).

1) *Sweet Valley High* – cykl popularnych romansów dla nastolatków wydawanych od lat 80. XX w. pod nazwiskiem Francine Pascal (jeśli nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od tłumacza).

– Cześć, Aureliana. Nie powinnaś być teraz na WF-ie? To było coś niesamowitego.

1) James Fraser, bożyszczce Rise Park, po raz pierwszy do niej przemówił. Do niej.

2) Wiedział, jak ma na imię. Nie nazwał jej „włoskim galeonem” ani „Pavarottim”.

3) Znał jej plan lekcji.

Uśmiechnął się leniwie. Aureliana jeszcze nigdy nie widziała go z tak bliska.

To było jak spotkanie z idolem – po tych wszystkich godzinach spędzonych na analizowaniu każdego detalu jego wyglądu nagle stajesz przed nim żywym, najprawdziwszym, z krwi i kości.

A jaka to była krew i kości, co za ciało... Ta nieprawdopodobnie biała skóra, jakby roz-

świecła od wewnątrz, niby płomieniem kościelnej świecy, palącym się powoli i prześwitującym przez wosk. Do tego lśniące czarne

włosy, kolorem przypominające rozlaną ropę, i niebieskofio-letowe oczy.

Kiedyś próbowała go narysować flamastrami w swoim pamiętniku *Przyjaciele na zawsze*.

Nie wyszedł jej – wyglądał bardziej jak Shakin' Stevens. Powróciła więc do zwykłych serduszek, esów-floresów i wpisów typu „AA DLA JF NA ZAWSZE”.

– Nie dziwię ci się. WF jest do dupy.

Aureliana wydała z siebie pełen niedowierzania dźwięk, coś jakby krzyk dzikiej gęsi, i przytaknęła energicznie. Wysportowany James w głębi ducha też nie znosił WF-u?! Oto dowód.

Byli sobie przeznaczeni.

– Zastanawiałem się nad „Twoimi przebojami”. Przyszło mi do głowy, że może fajnie byłoby odegrać Freddiego Mercury'ego z tą śpiewaczką operową. Ja i ty w duecie. Masz ochotę?

Aureliana skinęła głową. Użył sformułowania „ja i ty”. Fantazje przeobraziły się w rzeczywistość. W tamtej chwili równie dobrze mógłby powiedzieć: „Może byśmy wyskoczyli razem przez to okno? Chyba nie jest bardzo wysoko. Ja i ty, masz ochotę?”, a też by się zgodziła.

Dopiero później zaczęła się wahać, czy to rozsądne, by jedna z najgrubszych, najbardziej nielubianych i prześladowanych dziewczyn w Rise Park pojawiła się na scenie obok szkolnego boga seksu. A jeśli te wszystkie najgorsze jędze ukrzyżują ją za to? Doszła jednak do wniosku, że po dzisiejszym dniu już nigdy więcej żadnej z nich nie zobaczy, a nie odważą się zepsuć wielkiej chwili Jamesowi Fraserowi.

Zastanawiała się, czy James nie chciałby przeciwiczyć ich wspólnego występu, ale on sam nigdy tego nie zaproponował, ona zaś nie chciała wyjść na natrętą. Wiedział, co robi, zawsze tak było.

Choć może przydałoby się uzgodnić kwestię garderoby. Aureliana uznała, że zgodnie

z umową idą na całość. Zaczesała włosy do tyłu w coś zbliżonego do fryzury sopranistki i nało-

żyła na twarz grubą warstwę pudru. James, z tego, co widziała,

ograniczył się do namalowania sobie kredką niedużego wąsika. Ale w gruncie rzeczy sama nie wiedziała, czego od niego oczekuje – wątpliwe przecież, by włożył trykot z wyciętym przodem i założył sztuczne owłosienie na klatę.

Gavin właśnie kłaniał się publiczności. O Boże. Teraz my. To już. James podszedł do niej i nagle poczuła się ważna i wyjątkowa jak nigdy dotąd.

Prowadzący „Twoje przeboje” pan Towers dał znak, by puszczone muzykę. Z cichym sy-kiem zaczął się wylewać suchy lód i rozległy się pierwsze takty *Barcelony*.

Wyszli na scenę witani ogłuszającymi krzykami i oklaskami. Aureliana gapiała się w urze-czeniu na galerię przepelnionych entuzjazmem twarzy, czując, jak to jest być Jamesem Fraserem.

Budzić w innych tak wielką euforię i sympatię samym swym widokiem. Odwróciła się do niego, by wymienić nerwowy uśmiech solidarności, nim zaczyna śpiewać, ale James rzucił jej tylko rozbawiony uśmieszek i wycofał się za kulisy.

Pierwsza nadleciała zielona trójkątna czekoladka, która trafiła ją w policzek i spadła na

deski sceny. Chwilę później Aureliana poczuła ból w brzuchu, jakby ktoś strzelił w niego nacią-

gniętą gumką – to następny pocisk uderzył w cel. Obok głowy przemknął jej fioletowy cukierek z orzechem laskowym. Uchyliła się przed nim, ale w tym samym momencie na brodzie wylądował jej drops o smaku toffi.

A potem rozpętał się huragan. W powietrzu zrobiło się gęsto od błyszczących słodczy w kolorowych papierkach. Pan Towers wyłączył muzykę i zaczął krzyczeć, usiłując przywrócić porządek, ale wszystko na próżno.

Zrozpaczona Aureliana poszukała wzrokiem Jamesa. Ten pokładał się ze śmiechu. Jego kumpel Laurence jedną ręką obejmował go za szyję, a drugą uniósł wysoko w triumfalnym ge-

ście. Lindsay i Cara wspierały się jedna na drugiej, a po grubej warstwie makijażu spływały im

ły radości.

Dopiero teraz Aureliana zrozumiała, co się dzieje. To wszystko od początku było ukarto-wane. Ktoś zadał sobie trud, by kupić dziesiątki wielkich puszek słodczy i rozdać je publiczno-

ści. Ktoś dał sygnał, kiedy należy zacząć nimi rzucać, i podczas wielkiego finału wszyscy urzą-dzili sobie dodatkową zabawę.

Powoli dotarło do niej, że być może jej zauroczenie Jamesem wcale nie jest tajemnicą.

Odebrała to jako jeszcze większe upokorzenie niż obrzucenie jej cukierkami.

Dostrzegła, jak Gavin spod swego kaczego kapelusza próbuje protestować. James Fraser

bił brawo, a kiedy ich spojrzenia się spotkały, wypowiedział jedno trzysylabowe słowo, które zrozumiała bez trudu. „Słonina”.

Aureliana już dawno nauczyła się nie płakać pod presją. Nie tylko dlatego, by nie dawać satysfakcji swym prześladowcom, ale także z tego względu, że – jak odkryła – im mniej reagowała na ich zaczepki, tym szybciej tracili zainteresowanie. Nie widziała powodu, by teraz złamać tę zasadę i rozplakać się przed wrogim tłumem.

Niestety, dokładnie w chwili, gdy podjęła tę pełną godności decyzję, w lewe oko trafiło ją kokosowe ciastko i łzy popłynęły same.

Rozdział 1

Anna zostawiła za sobą przejmujący jesienny chłód i wcisnęła się w parne ciepło restauracji. Wnętrze rozbrzmiewało gwarem rozmów i głośną muzyką, wyraźnie świadczących o tym, że rozpoczął się weekend.

– Proszę stolik dla dwóch osób! – zawołała Anna, czując, jak ogarnia ją zdenerwowanie

i oczekiwanie podszyte odrobiną sceptycyzmu. W dziedzinie nieudanych randek osiągnęła wysoki poziom zaawansowania.

Z doświadczenia wiedziała, że aby opanować nerwy, najlepiej wybrać jakąś zatłoczoną i nie nazbyt romantyczną knajpkę. Plusem w tym wypadku były też wspólne talerze pojawiające się na stole w różnych momentach. Przy tradycyjnych trzech daniach nie było nic

gorszego niż nieudana randka, niemożność wyrwania się z odrętwiającego koszmaru tych niekończących się „Naprawdę?” i „Skąd jesteś?”, nim wreszcie nadejdzie pora na „Ja poproszę tylko espresso”.

Oczywiście, można się wybrać po prostu na drinka i w ogóle zrezygnować z jedzenia.

Anna wyleczyła się jednak z alkoholu na pusty żołądek, odkąd pewnego razu obudziła się na

końcu linii metra Central z nader mglistymi wspomnieniami tego, jak się tam znalazła, trzymając plastikowy kubek na lód w kształcie ananasa i komórkę z jedenastoma esemesami o treści coraz bardziej nieskładnej i pornograficznej.

Onieśmielająco młoda i atrakcyjna kelnerka zanotowała jej nazwisko i poprowadziła ją do

ciemnej piwnicy. Anna stanęła w tłumie ludzi w garniturach i garsonkach, którzy ewidentnie przyszli tu prosto z pracy i teraz trzema rozgadanymi rzędami otaczali bar. Zastanawiała się, czy ten wieczór będzie mogła zaliczyć do udanych.

Przez „udany wieczór” rozumiała taki, o którym w jej fantazjach pewnego dnia wspomni drużba wygłaszający uroczystą mowę we wspaniałej sali weselnej, stojąc w promieniach słońca wpadających do środka przez wielodzielne okna.

„Jeśli ktoś z was jeszcze tego nie wie, to Neil poznał Annę i umówił się z nią na pierwszą randkę przez internet. Jak słyszałem, spodobało mu się jej błyskotliwe poczucie humoru oraz to, że sama bez proszenia postawiła mu drinka”. (Pauza na szmer rozbawienia).

W końcu, częściowo krzycząc, częściowo wymachując rękami, zdołała zamówić coś dla siebie i faceta, z którym się umówiła, a potem poszukała wolnego kawałka sali.

No dobra, napomniała się w duchu, internetowa randka zasadniczo stanowi rozmowę kwalifikacyjną przed ewentualnym bzykaniem. Czy samo w sobie nie jest to wystarczająco stre-sujące, by jeszcze się przejmować wyimaginowanym ślubem? Anna bynajmniej nie myślała ob-sesyjnie o małżeństwie dla samego małżeństwa – chciała tylko znaleźć kogoś, kto byłby dla niej ważny. Miała trzydzieści dwa lata, a temu sukinsynowi wcale się nie spieszyło. Tak bardzo się ociągał, że

podejrzewała, iż zablądził gdzieś po drodze i przez przypadek ożenił się z kimś innym.

Rozglądała się w tłumie za twarzą, która by choćby mgliście przypominała tę ze zdjęć, jakie oglądała. W piwnicy było ciemno, w dodatku Anna przyzwyczała się już, że fotografie zamieszczane w internetowych profilach mają się nijak do rzeczywistości. Sama do swojego wybrała kilka, na których wyglądała dobrze, ale w miarę prawdziwie, by uniknąć przerażającej perspektywy tego, że kiedy się zjawi na randce, facetowi zrzednie mina na jej widok. Mężczyźni, jak przypuszczała, myślą bardziej pragmatycznie: jeśli już się znajdą razem z tobą w jednym pokoju, ich charyzma może wziąć górę.

– Cześć, to ty jesteś Anna?

Udało jej się obrócić o dziewięćdziesiąt stopni i dojrzeć wesołego, na oko nieszkodliwego mężczyznę o lekko przerzedzonych brązowych włosach, który z zachwytem uśmiechał się do niej w mroku. Miał na sobie kurtkę Berghaus. Ubranie turysty łążącego po górach, mimo że w tym momencie bynajmniej nie zajmował się turystyką. Hmmm.

„W pierwszej chwili Anna nie bardzo wiedziała, co sądzić o stylu ubierania się Neila.

Miło mi oznajmić, że na dzisiejszy dzień to ona wybrała mu strój, bo inaczej pewnie by się zjawił

na własnym ślubie w goreteksie...”

Tak czy owak, wyglądał na człowieka przystępnego i budzącego zaufanie, a kiedy się uśmiechał, widać mu było szczelinę między zębami. To akurat nie stanowiło dla niej problemu – jeśli chodzi o męską urodę, Anna nie była ani trochę wybredna. Prawdę mówiąc, do wyjątkowo urodziwych mężczyzn podchodziła wręcz z podejrzliwością.

– Jestem Neil – przedstawił się, podając jej dłoń i przelotnie całując Annę w policzek.

Zaproponowała mu trzymane w ręce negroni.

– Co to jest? – spytał.

– Gin z campari. Popularny drink z mojej ojczyzny.

– Obawiam się, że wolę piwo.

– O. – Anna cofnęła dłoń i poczuła się głupio.

„Na litość boską, nie mógłbyś się napić z grzeczności? – pomyślała. A potem: – Może kiedyś oboje będziemy się z tego śmiać”.

„Zdaje się, że dla Anny wielkim szokiem było odkrycie, iż Neil nie pija koktajli. Zrobił

też na niej wrażenie tym, że zaraz zniknął w poszukiwaniu piwa. Tak to sobie zawczasu zaplanowałaś, Neil?”. (Pauza, by goście znów mogli dać wyraz swemu rozbawieniu).

Anna wychyliła swoje negroni i szybko zabrała się do drugiego drinka. W tej chwili, z dudniącą jej w uszach Madonną z lat osiemdziesiątych, czuła się londyńską singielką w stanie czystym. Było to dla niej uczucie aż nazbyt znajome – doznanie intensywnej samotności w sali tak zatłoczonej, że jeszcze trochę i zostaną w niej złamane przepisy przeciwpożarowe, wrażenie, jakby życie toczyło się gdzie indziej. Dokładnie wtedy, gdy powinna się znajdować w pulsującym centrum wszystkiego.

Nie! Myśl pozytywnie. Anna powtarzała mantrę, którą ćwiczyła już z tysiąc razy: ileż to

szczęśliwych par zabawia towarzystwo przy stole opowieścią o tym, jak na pierwszy rzut oka nie wydali się sobie szczególnie interesujący? Czy wręcz się sobie nie spodobali?

Nie chciała się stać jedną z tych kobiet, które wypisują w punktach na kartce swoje oczekiwania, a potem u każdego faceta znajdują taki czy inny mankament. To tak, jakby ktoś mierzył

miejsce na nową lodówkę i narzekał, że zamrażalnik ma nieodpowiednią wielkość.

Poza tym nie potrzebowała wielu internetowych randek, by zdać sobie sprawę, że zauroczenie kimś od pierwszego wejrzenia, czego tak bardzo pragnęła, po prostu nie istnieje. Jak zawsze powtarzała jej mama, aby rozpaść ogień, trzeba pocierać patyki.

– Przepraszam, ale po paru takich drinkach zważyłbym się pod stół. Koktajle tak na mnie działają – powiedział Neil, kiedy wrócił ze szklanką birra moretti. Każdą cząstką swej jaźni Anna pragnęła, by okazał się sympatyczny i żeby razem miło spędzili czas.

– No tak, jutro pewnie będę żałowała, że nie poszłam za twoim przykładem – zawołała Anna, przekrzykując muzykę, a Neil uśmiechnął

się w odpowiedzi. Poczuli, że samą siłą woli zdoła sprawić, by ta randka należała do udanych.

Neil pisał artykuły do czasopisma o tematyce biznesowo-technicznej i – sądząc po tym, czego Anna zdążyła się o nim dowiedzieć korespondencyjnie – sprawiał wrażenie faceta przy-zwoitego, miłego w obyciu i solidnego, kogoś, po kim właściwie można by się spodziewać, że ma żonę, dzieci i chatę.

Rozmawiali ze sobą przez internet bardzo krótko. Anna zraziła się do zbyt długich wirtualnych flirtów od czasu niezwykle bolesnego rozczarowania, jakim okazał się dla niej pewien szkocki pisarz imieniem Tom. Pisywali do siebie miesiącami, zauroczył ją dowcipem, urokiem osobistym i literackimi aluzjami. Złapała się na tym, że nie może się doczekać sygnału powiado-mienia o nadejściu kolejnej wiadomości od niego. Była w nim już na wpół zakochana, kiedy w końcu postanowili się spotkać i dopiero wtedy, gorąco ją przepaszając, wyjawiał, że: a) ma za sobą pobyt w zamkniętym szpitalu psychiatrycznym Rampton dla osób szczególnie niebezpiecz-nych; b) ma również „jakby żonę”. Po tym wszystkim Anna zmieniła swój jakby adres na Gma-ilu.

Kiedy alkohol zaczął działać, odkryła, że bawią ją opowieści Neila o odczytach, prelek-cjach i szemranych guru uczących o tym, jak zostać milionerem. Gdy wreszcie dostali stolik i zamówili solidny podkład pod alkohol, to znaczy klopsiki, kałamarnice i pizzę, Anna przekonywała już samą siebie, że może Neil jest dokładnie takim budzącym zaufanie kandydatem, jakiego szuka.

– Anna to chyba nie jest typowo włoskie imię? – spytał Neil, kiedy oboje zajadali się krążkami smażonych kałamarnic, maczając je w miseczce z sosem czosnkowym.

– To skrócona forma od Aureliany. Zmieniłam je sobie po szkole. Wydawało mi się zbyt... bo ja wiem... kwieciste – wyjaśniła, podkładając pod widelec dłoń, ponieważ kawałek ka-

łamarnicy w ostatniej chwili najwyraźniej usiłował powrócić do morza. – A w gruncie rzeczy nie ma we mnie nic szczególnie kwiecistego.

– No fakt. Widzę – stwierdził Neil, co zabrzmiało odrobinę zarozumiale.

Wolną ręką mimowolnie dotknęła włosów, jak zwykle niedbale związanych. Może powinna była coś więcej z nimi zrobić. I nie ograniczać się z makijażem do czerwonego balsamu do

ust, nałożonego pośpiesznie w trakcie jazdy metrem. Zawsze jednak uważała, że powinna od razu zaprezentować się taką, jaką zamierza być. Nie ma sensu robić z siebie wielkiej laski tylko po to, żeby później rozczarować faceta.

– Nawiasem mówiąc, te wieprzowe klopsiki z włoskim koprem są najlepsze – zmieniła temat. – Próbowałam już wszystkich i mogę polecić.

– Często tu bywasz? – spytał łagodnie Neil, a Anna poruszyła się niespokojnie.

– Dosyć. Ze znajomymi i na randkach.

– W porządku. Oboje jesteście już po trzydziestce. Nie musisz przede mną udawać rumieniącego się niewiniątka – powiedział i to zwrócenie uwagi na skrępowanie Anny niezbyt jej się spodobało. A może tylko nieudolnie próbował sprawić, by poczuła się swobodniej?

Rozmowa urwała się w trakcie hałaśliwego kawałka Prince'a, jednego z tych, w których piskliwym i rozgorączkowanym głosem śpiewał, że pragnie robić z kobietą jakieś sprośności.

– Prawdę mówiąc, jestem poli – wyznał Neil.

„Ze co? Jaki znów poli?!”

– Kim? – Anna z uniesionym widelcem pochyliła się gwałtownie w jego stronę, by lepiej słyszeć w hałasie.

– Poligamistą. Wielu partnerów, którzy wszystko o sobie nawzajem wiedzą – wyjaśnił.

– Aha. Rozumiem!

– To dla ciebie problem?

– Jasne, że nie! – zapewniła go chyba aż nazbyt entuzjastycznie.

Grzebiąc w resztkach na

talerzu, równocześnie pomyślała: „No nie wiem”.

– Nie wierzę, że monogamia to nasz naturalny stan, choć zdaję sobie sprawę, że mnóstwo ludzi właśnie tego szuka. Ale z kimś odpowiednim jestem gotów spróbować – uśmiechnął się.

– To dobrze o tobie świadczy.

– I może powinienem też wyznać, że lubię sado-maso w łagodnej formie. Zdecydowanie hetero, ale z pieprzykiem.

Anna posłała mu krzywy uśmiech, zastanawiając się, czy powiedzieć: „Przepraszam, ale nie znam się na tych wszystkich perwersjach”. Co niby ma zrobić z tymi informacjami? Nie ulegało wątpliwości, że na randkach w ciemno do spraw intymnych przechodzi się bardzo szybko.

– Chodzi mi o to, że nie jestem jakoś wyjątkowo zaawansowany w te klocki – ciągnął

Neil. – Próbowałem już figgingu. Ale golenia goryla jeszcze nie zaliczyłem, cha, cha, cha.

Mówił o seksie z goleniem i zwierzętami. I o figach, jeśli dobrze interpretowała ten „figging”. Anna nie była już rozczarowana.

Rozczarowanie zostawiła za sobą na poprzednim skrzy-

żowaniu. Teraz mijala właśnie potężne oszołomienie i zanosilo się na to, że pędząc dalej z tą prędkością, na najbliższym zjeździe skręci z autostrady, by zatrzymać się na postój.

– A ty? – spytał Neil.

– Co?

– Co ciebie kręci?

Anna otworzyła usta, by odpowiedzieć, i zawahała się.

W normalnych okolicznościach rzuciłaby: „to nie twój interes”. Ale przecież spotkali się na randce i poniekąd to był jego interes. – Hm... Zwyczajny seks.

„Zwyczajny seks”. O Boże. Była nieprzygotowana i zbyt rozluźniona. Przypomniało jej to tę sezonową pracę w kinie któregoś lata, kiedy podczas żartobliwej rozmowy kwalifikacyjnej zapytano ją: „Gdyby pani osobowość była czymś, co się je w kanapce, to co by to było?”. Pocz-

ła kompletną pustkę w głowie i odparła: „Ser”. „Po prostu ser?”. „Po prostu ser”. „Ponieważ...?”.

„Jest normalny”. Normalny ser i zwyczajny seks. Nie powinna była nawet zaglądać do internetu.

Neil przyglądał jej się znad krawędzi szklanki z wodą.

– W porządku. Z twojego profilu wywnioskowałem, że jesteś

heteronormatywna, ale z jakiegoś powodu mogą być ci nieobce pewne elementy transgenderyzmu.

Anna nie chciała się przyznać, że nie rozumie, co znaczą kluczowe pojęcia przywołane w tym zdaniu.

– Przepraszam, jeśli wydaje ci się to trochę napastliwe – ciągnął Neil. – Zdecydowanie opowiadam się za uczciwością. Moim zdaniem większość związków nie udaje się z powodu kłamstw, hipokryzji i pozowania na kogoś innego, niż się jest w rzeczywistości. Znacznie lepiej od razu się określić, „Oto, kim jestem”, i stworzyć się całkowicie, niż potem na czwartej randce wyskoczyć z pytaniem w rodzaju... – Neil uniósł ręce i z pokrępiąco promiennym uśmiechem dokończył: – Czy lubisz zabawy z sikaniem?

„Tak więc, panie i panowie, kielichy w dłoń i wznieśmy toast za szczęśliwą parę, Neila i Annę. Wypijmy do dna za spłonioną pannę młodą. Pełny pęcherz przyda jej się na później”.

(Oklaski).

Rozdział 2

– Dobra, poszukam w Google’u, o co chodzi z tym pieprzeniem o goleniu goryla. – Michelle zmrużyła oczy nad ekranem swojego iPhone’a. W drugiej ręce trzymała zapalonego marl-boro light, z którego w pustej jadalni unosiła się smużka dymu.

Gdyby nie to, że na koniec wieczoru w razie czego mogła uciec do przyjaciół, Anna nie poradziłaby sobie z tyloma nieudanymi randkami. Na szczęście pracowali w takich godzinach, że znacznie łatwiej było się z nimi spotkać na drinka przed snem, niż wybrać się gdzieś na wspól-ną kolację.

Michelle prowadziła restaurację Pantry przy Upper Street w Islington, w której serwowano „tradycyjne brytyjskie dania w oryginalnym ujęciu”. Był to zabytkowy lokal z wiekowymi ży-randolami, palmami w donicach i drewnianą boazerią kremowego koloru. Miejsce tego rodzaju, w jakich bohaterki w serialach BBC przeżywają wojenne romanse z mężczyznami imieniem Freddy i gdzie rozmawia się o „transakcjach, które nie wypaliły”.

Pracujący tam Daniel, od lat zaprzyjaźniony z Michelle, należał do tych na wpół słynnych *maître d’hôtel*, o których w „Time Out” piszą,

że mają „osobowość”. Słowo to bywa eufemi-stycznym synonimem „irydującego pacana”, ale Daniel naprawdę wyróżniał się urokiem osobistym i autentyczną ekscentrycznością.

Po części świadczył o niej jego wygląd: bujna czupryna w kolorze piasku, krzaczasta broda i silnie powiększające okulary, które sprawiały, że oczy miał wielkie jak u bohaterów kresków-

wek. Przypominał lwa ze *Zwariowanych melodii* skrzyżowanego z profesorem uniwersytetu otwartego. Ubierał się niczym pan Ropuch z *O czym szumią wierzby*, w staromodne tweedowe garnitury, mówił zaś w stylu podniosłym, niedzisiejszym, jak jakiś młody Alan Bennett²).

2) Alan Bennett – brytyjski dramaturg, scenarzysta, pisarz i aktor urodzony w 1934 r.

Kiedy Michelle kończyła pracę, spotykali się często we troje na drinka. Rozsiadali się na

kanapach dla czekających gości, podczas gdy na stołach dopalały się pękate świece. W białym kitlu szefa kuchni i kuchennych chodakach Michelle wyglądała bardzo profesjonalnie. Lśniące włosy nosiła krótko ścięte, na pazia, zaczesane za uszy i ufarbowane w dokładnie tym samym odcieniu czerwieni, jaki można zobaczyć w hinduskich restauracjach na kurczaku *tandoori*. Miała olbrzymie oczy koloru orzechów laskowych, wydatne malarskie usta, posągową figurę i okazałe piersi. Supermodelka, aczkolwiek nie z tej epoki. Trafiła na czasy, w których ludzie nazywali ją pięknnością, ale „trochę przykości”.

– Może to nic zboczonego – odezwał się Daniel, zamiatając podłogę w drugim końcu sali. – Może wszyscy prócz nas golą goryle, tańczą kaczuśki i... duszą zajaca?

– Miałam już w menu potrawkę z zajaca i zapewniam was, że nie nadaje się na seksualny eufemizm, biorąc pod uwagę, ile się przy tym trzeba babrać we krwi – odparła Michelle, wciąż wpatrzona w telefon.

Daniel odstawił miotłę i dołączył do nich.

– Ktoś mi dziś zadał pytanie, dlaczego nie noszę siatki na włosy – rzucił bez związku, na-lewając porto z butelek stojących na niskim stoliku.

– Co takiego? Kto? Spytałeś go, czy mu się wydaje, że przyszedł

do zakładów mię-

snych? – zainteresowała się Michelle.

– Chodziło o włosy na głowie czy o brodę? – spytała Anna.

– O brodę też. Uważał, że to niehigieniczne.

– Siatka na brodę? Bo przecież nic tak nie podnosi na duchu jak kelner serwujący ci jedzenie w maseczce chirurgicznej – stwierdziła Michelle. – Czekał, kto cię o to pytał? Przypadkiem nie ten gość przy piątce? Ten weganin uczulony na pszenicę, który zażyczył sobie, żeby w sałatce ze stiltona i orzechów zamiast sera dać mu więcej sałatki?

– Zgadza się.

– Skąd wiedziałam? Banda upierdliwców.

– Nie chciał sera? – zdziwiła się Anna. Była już tak pijana, że z trudem zbierała myśli.

– To wkurzająca moda z Ameryki. Zachowują się jak w barze kanapkowym. „Musztardy nie trzeba, proszę dołożyć więcej pikli” – wyjaśniła Michelle.

– Obawiam się, że na dobre wkroczyliśmy w epokę rozkapryszonych sukinsynów i nic na

to nie poradzimy – podsumował Daniel.

Z powodu sepleniącego akcentu z Yorkshire zabrzmiało to tak niewyraźnie, że spokojnie mogliby puścić jego wypowiedź w publicznym radiu. Na tym, pomyślała Anna, polega sekret Daniela, który potrafi załagodzić każdy konflikt. Jakichkolwiek słów używał, ton jego głosu zawsze pozostawał bardzo uprzejmy.

Michelle przesunęła palcem wskazującym po ekranie telefonu.

– Znalazłam! Golenie goryla... No nie... – jęknęła w trakcie czytania. – Mam wątpliwo-

ści, czy nasi dziadkowie za to oddawali życie.

– Mówił, że to akurat go nie kręci? – zapytał Daniel.

– Nie połapałeś się, Dan? Klasyczna technika obłaskawiania.

Najpierw wspomnij o czymś niby w żartach. – Michelle pokręciła głową.

– Przygotuj się, to coś obrzydliwego związanego ze

sperma. – Obróciła ekran telefonu w stronę Anny, która zmrużyła oczy, przeczytała tekst i skrzywiła się.

– Mam sprawdzić figging? – spytała Michelle.

– Nie! Nie zamierzam nigdy próbować żadnego figgingu! Chcę poznać miłego faceta,

który miałby ochotę uprawiać zwykły seks tylko ze mną. Czy to się stało aż tak bardzo niemodne?

– Jeśli coś nigdy nie było modne, to i nigdy nie może się stać niemodne – zauważył Daniel i poprawił klapy marynarki, bo Anna posłała mu kuksańca.

Rozdział 3

– No ale gdzie w tym jest romans i tajemnica? – ciągnęła Anna, podnosząc kieliszek, by

jej dolano. – Pan Darcy mówił: „Niech mi będzie wolno wyznać, jak bardzo cię podziwiam i kocham”. A nie, że chciałby wyznać, jak bardzo go kręca zabawy z pryskaniem spermą.

– Nie żyjemy w epoce odpowiedniej dla Anny – przyznała Michelle. – Nie ma tu za wiele miejsca na formalizm i zaloty. No ale wiesz, gdybyś żyła w czasach Jane Austen, miałabyś krzywe zęby i siedmioro dzieci urodzonych bez znieczulenia. Coś za coś. Co ci się spodobało w profilu tego Neila, że się z nim spotkałaś?

– Hm. Sprawiał wrażenie rozsądnego i całkiem sympatycznego. – Anna wzruszyła ramionami.

Michelle strzepnęła peta do filiżanki po kawie Illy, pełniącej rolę popielniczki. Bezustannie rzucała palenie i wracała do nałogu.

Anna i Michelle poznały się jako dwudziestoparolatki na spotkaniach osób walczących z nadwagą. Anna zdała ten test śpiewająco; Michelle oblała. Pewnego dnia zwawa liderka ich grupy zaczęła pokrzykiwać: „Sprawny umysł potrzebuje zdrowego ciała!”, co Michelle skomentowała na cały głos, z tym swoim zaśpiewem z zachodniej Anglii: „Jak usłyszał Stephen Hawking od Jet z *Gladiatorów* 3)”, a kiedy wszyscy zamilkli z wrażenia, dodała: „Pieprzyć to, idę na

kurczaka do KFC”. W tamtym tygodniu Anna opuściła wspólne ważenie i zdobyła najlepszą przyjaciółkę.

3) W rolę Jet w brytyjskim serialu *Gladiators* z lat 90. XX w. wcieliła się wysportowana Diane Youdale.

– „Rozsądny i całkiem sympatyczny” to chyba trochę mało, nie

sądzisz? Zatrudniałam pracowników, którzy mieli nieco więcej do zaoferowania.

– Sama nie wiem. Dopiero co spędziłam wieczór z facetem, który opowiadał o sikaniu na ludzi jako formie rozrywki i dopytywał się, co lubię robić w łóżku. Więc w tych okolicznościach wystarczy mi ktoś rozsądny i sympatyczny. Spróbuj poznać kogoś przez internet, to też zredukujesz swoje oczekiwania.

Michelle nie zamierzała niczego redukować. Jej serce złamał kiedyś żonaty mężczyzna i odtąd twierdziła, że nie ma ochoty znowu się rozczarować.

– Ale wyszło na to, że mam rację, kochana. Wybrałaś kogoś „bezpiecznego”, może więc zaryzykujesz i dla odmiany poszukasz Pana Ekscytującego?

– Nawet gdyby się zgodził ze mną umówić, nie chcę, żeby przeżył rozczarowanie, kiedy się zjawi i mnie zobaczy.

Rozmowa na chwilę się urwała, gdy z posklejanego taśmą izolacyjną radia ustawionego pod kasą zabrzmiał potężny głos Franka Sinatry śpiewającego *Strangers in the Night*.

– Powiem jej to? – Michelle spojrzała pytająco na Daniela. – Pieprzę, powiem. Anno, można być skromnym i to jest cudowna cecha. Ale można też zaniżać własną wartość tak bardzo, że aż się krzywdzi samego siebie. Do cholery, jesteś wspaniałą kobietą. O czym ty gadasz? Jakie rozczarowanie?

Anna westchnęła i odchyliła się do tyłu na oparcie kanapy.

– Jasne. Ale chyba jednak nie. Bo gdyby tak było, już dawno bym sobie kogoś znalazła.

Brytyjska babcia Anny, Maude, miała takie okropne powiedzonko o samotnych kobietach oderwanych od rzeczywistości i żyjących romantycznymi wyobrażeniami: „Przechodnia nie chciała, a przejeżdżający się nie zatrzymywali”.

Kiedy jedenastoletnia Anna usłyszała te słowa, przebiegł ją dreszcz.

– Co to znaczy? – spytała.

– Niektóre kobiety uważają, że są za dobre dla tych, którzy by je

chcieli, ale kiedy się okazuje, że nie są wystarczająco dobre dla mężczyzn, których same pragną, nie znajdują sobie nikogo.

Maude nigdy nic się nie podobało i wiecznie gderała. Ale nawet ktoś taki może mieć rację, i to kilka razy dziennie.

– Kiedy ci przyszło do głowy, że nie jesteś wystarczająco dobra? – spytała Michelle.

– W szkole.

Zamilkli. Michelle i Daniel oczywiście znali całą tę historię, łącznie z „Twoimi przebojami”. Wiedzieli również, co się stało potem. Zapadła napięta cisza, o ile można mówić o napięciu, gdy wszyscy leżą na wznak, złożeni alkoholem o pierwszej nad ranem.

Michelle taktownie zmieniła nieco temat.

– Nie wiem, czy zadawanie się z nami na pewno ci służy. Nie możemy ci pomóc. Ja jestem permanentną singielką, a Dan... ustatkował się.

Znów zamilkli, bo Michelle wypowiedziała to „ustatkował się” z jakąś sceptyczną po-wściągliwością.

Niemal rok temu Daniel związał się z permanentnie zwieszoną Penny. Była wokalistką w zespole folkowym o nazwie The Unsaid Things i cierpiała na chroniczne zmęczenie. Michelle podchodziła do tej diagnozy z dużym sceptycyzmem. Jej zdaniem Penny po prostu użalała się nad sobą. Daniel poznał ją, kiedy pracowała w Pantry jako kelnerka i została zwolniona, ponieważ kompletnie sobie nie radziła. Z tego względu Michelle uważała, że ma prawo mieć wyrobione zdanie na jej temat. Zdecydowanie nieepochlebne.

– Pomagacie mi. Choćby teraz – odparła Anna.

– Póki pamiętam... – Michelle machnęła ręką w kierunku stojącej na stole miski. – Słyszeliście o omlecie à la Arnold Bennett. A to są szkockie jajka⁴⁾ mojej roboty z bufetu Arnolda.

Spróbujcie.

4) Jajka na twardo zawinięte w mielone mięso, panierowane i smażone na głębokim tłuszczu.

Mimo całej swej obcesowości Michelle była zarazem życzliwa i szczodra aż do przesady, a tego dnia przygotowała poczęstunek na stypę po dawnym kliencie.

– Od godziny zerkam na nie jak wilk, ale nie mam sumienia sięgać po jajka zmarłego –
oznajmił Daniel.

– Zostały ze stypy – uspokoiła go Michelle. – Nikt nie przychodzi na własną stypę. Ergo: nie należą do Arnolda.

– No tak – przyznał Daniel. – To mnie usprawiedliwia. – Sięgnął po jajko i zaczął je ob-gryzać jak jabłko.

– Przyniósł je brat Arnolda. Przekazał mi, jakie były jego ostatnie słowa. A właściwie przedostatnie. Bo bezpośrednio przed śmiercią powiedział, że nie chce lemoniady, co trudno uznać za szczególnie głębokie. Jesteście gotowi? Można się zdziwić.

Anna spojrzała na nią szklanym wzrokiem i skinęła głową.

Michelle strzepnęła papierosa.

– Powiedział: „Szkoda, że tyle czasu zmarnowałem na strach”.

– Przed czym? – spytała Anna.

Michelle wzruszyła ramionami.

– Tego nie wyjaśnił. Pewnie chodziło mu o to, co budzi lęk w codziennym życiu. Wszyscy się przecież boimy najróżniejszych rzeczy, które nas nie zabijają. Przez całe życie staramy się ich unikać. A na końcu uświadamiamy sobie, że należało się bać tego, że zmarnujemy sobie życie właśnie na ich unikaniu.

– Strach przed samym strachem – skwitował Daniel, strzepując sobie okruszki z brody.

Anna zastanowiła się nad tym. Czego ona się bała? Samotności? Nie bardzo. Był to dla niej stan naturalny, zważywszy że przez niemal całe dorosłe życie nikogo nie miała. Przemknęło jej przez głowę, że boi się, iż nigdy nie zazna miłości. Chwila. To właściwie nie był strach. Bardziej rozczarowanie albo żal. Więc czego naprawdę się bała? Ha! Przecież znała odpowiedź.

Bała się, że znów stanie się tamtą dziewczyną.

Pomyślała o mejlu, który tydzień temu znalazła w skrzynce i na widok którego spocila się w jednej chwili.

– Czasem strach bywa uzasadniony – stwierdziła. – Na przykład mój lęk wysokości.

– Albo mój strach przed wyleniałymi kotami – rzucił Daniel.

- A gdzie tu widzisz coś racjonalnego? – spytała Michelle.
- Koty skrywają wszystkie swoje tajemnice w futrze. Nie można ufać takiemu, który nie ma nic do stracenia.
- Albo mój strach przed wybraniem się w następny czwartek na zjazd absolwentów – powiedziała Anna.
- Co? – zdziwiła się Michelle. – To się nie liczy. Musisz tam iść!
- Niby czemu?
- Żeby im wszystkim powiedzieć: „Możecie mi skoczyć, zobaczcie, jak teraz wyglądam. Nie złamaliście mnie”. W ten sposób zabijesz na zawsze tego demona i poczujesz się lepiej.
- Wisi mi, co teraz o mnie myślą – odparła Anna z przekonaniem w głosie.
- I udowodnisz to, jeśli tam pójdziesz.
- Bynajmniej. Pokażę tylko, że mam wszystko w dupie.
- Nieprawda. A poza tym, jeśli on tam będzie...
- Nie będzie – ucięła Anna, czując, jak na samą myśl dostaje duszności. – Nie ma mowy, żeby się zjawił. On jest o milion mil ponad to.
- Więc tym bardziej nie masz powodu, żeby nie iść. Chcesz być jak Arnold? Chcesz zastanawiać się, jak by wyglądało twoje życie, gdybyś nie zmarnowała czasu na strach? To szkolne przedstawienie, ten występ, kiedy tak wrednie cię potraktowali... Od tamtej pory nigdy ich nie widziałas, prawda?
- Nie.
- Więc to jest niezłatwiona sprawa. Coś, czemu dotąd nie stawiałaś czoła. Dlatego wciąż ma nad tobą władzę.
- Boże drogi! – zawołał Daniel, siadając prosto i patrząc w kierunku panoramicznych okien restauracji.
- Anna i Michelle odwróciły się na swoich miejscach i zobaczyły tuż za szybą mocno rozbawionego mężczyznę w wieku trzydziestu kilku lat. Spodnie i majtki opuścił do połowy masztu i spoglądał przez ramię w kierunku grupki ludzi.
- Rozebrał się przed nami! – zdumiała się Anna.
- Król wacús i jego dworzanie – skomentował Daniel.

Przyjrzeni się uważniej widowisku i dostrzegli, jak w zgromadzonym kawałek dalej tłumie zapalają się i gasną, niczym robaczki świętojańskie, lampy błyskowe aparatów w telefonach.

– Zdaje się, że chciał się wypiąć na kumpli, a nam się trafił mało atrakcyjny efekt uboczny – zauważyła Michelle.

Mężczyzna stracił równowagę i poleciał do przodu, lądując z cichym, ale wyraźnym uderzeniem na szybie.

– Hej! Co to ma być!?! – Michelle zerwała się na nogi, skoczyła w jego stronę i zastukała o szklaną tafelę. – Te okna kosztują pięć kawałków, koleś! Pięć kawałków!

Dalej wydarzenia potoczyły się jak w slapstickowej komedii. Wstawiony mężczyzna z in-tereselem na wierzchu zorientował się, że po drugiej stronie okna stoi kobieta. Wrzasnął i rzucił się do ucieczki, usiłując w biegu wciągnąć z powrotem dzinsy.

Anna i Daniel, osłabieni alkoholem, zwijali się ze śmiechu.

Michelle wróciła do nich, opadła na kanapę, pstryknęła zapalniczką i zapaliła następnego papierosa.

– Powiedz tym gnojom, co o nich myślisz, Anno. Serio. Pokaż im, że się nie boisz i że im

nie uległaś. No bo co? Unikając ich, tylko marnujesz czas na jałowy strach. Nie pozwól, żeby lęk zwyciężył.

– Chyba nie dam rady – odparła Anna, opanowując w końcu śmiech. – Naprawdę nie sądzę, że będę w stanie.

– I właśnie dlatego musisz to zrobić.

Rozdział 4

W litościwej ciszy pustego biura nozdrza Jamesa zaatakował lepki, moczowy odór rozlanego piwa. Unosił się znad smętnych pozostałości po wczorajszym piwnym ping-pongu. Milczą-

ca sprzątaczką, która podjęła walkę z bałaganem wyprodukowanym przez wyluzowanych hipsterów z agencji reklamowej, jasno dała do zrozumienia, co wchodzi w zakres jej obowiązków służ-

bowych. Sprzątanie po alkoholowych zabawach spopularyzowanych przez północnoamerykań-

skich studentów ewidentnie do nich nie należało.

W pierwszej chwili Jamesa rozdrażniła jej pryncypialność, ale irytacja szybko ustąpiła miejsca poczuciu winy. Harris, kierownik biura, wdawał się w kłótnie ze sprzątaczką zawsze, kiedy się na nią natknął, a Jamesowi takie zachowanie nie mieściło się w głowie. Kobieta jest w wieku twojej mamy, chodzi w rozciągniętych legginsach i odkurza ci biurko, żeby zarobić na

życie. Mruknij jej za to „dziękuję”, a na święta zostaw czekoladowego renifera i dwadzieścia funtów, jeśli nie chcesz wyjść na ostatniego sukinsyna. No ale Harris, jak wszystko na to wskazywało, był ostatnim sukinsynem.

Od pół roku James wprost marzył o tym, żeby ktoś przyszedł i nawrzeszczał na jego kolegów z Parlez. Oczywiście nie on sam. Ktoś inny.

Kiedy tu zaczął pracować – w wielokanałowej cyfrowej agencji reklamowej zajmującej się tworzeniem dynamicznych strategii ożywienia marki skrojonych pod konkretnego klienta – myślał, że trafił do raju w centrum Londynu. To było miejsce, o jakim doradcy zawodowi mówią szesnastolatkom, że coś takiego w przyrodzie nie istnieje.

Ponad zgłębieniem rozmów niosła się głośna muzyka, pojawiali się i znikali jacyś super-modnie ubrani znajomi, kolegom z biura nagle przychodziło do głowy, że muszą skosztować gimleta z ginem Navy Strength, wyskakiwali więc do pobliskich sklepów. Pracą zajmowano się jakby mimochodem, w przerwach między oglądaniem na YouTube filmików z kotkami w musz-ce jeżdżącymi na deskorolkach, graniem w Subbuteo i dyskusjami o nowym amerykańskim dramacie kryminalnym w konwencji science fiction, przez wszystkich ściągany nielegalnie z internetu.

Aż nagle, jak za naciśnięciem przełącznika, ten ożywczy chaos stał się dla Jamesa słodką torturą. Rozmowy wydały mu się płytkie, muzyka go rozpraszała, a ciągle wizyty lansujących się koleśki zaczęły go drażnić. W końcu też zaakceptował jako niepodważalny fakt, że picie w porze lunchu oznacza ból głowy na podwieczorek. Czasem z najwyższym trudem powstrzymywał się, by nie wstać i ryknąć: „Nie możecie się

wszyscy czymś zająć albo pójść do domu? Przecież TUTAJ SIĘ PRACUJE!”.

Czuł się jak nastolatek, którego rodzice zostawili w domu, by się nim opiekował, i który już się nie może doczekać, kiedy wrócą z wakacji, przegonią natrętów i przygotowują obiad. Zdawało mu się, że maskuje te odczucia, ale ostatnio Harris – najbardziej imprezowy gość ze wszystkich w biurze – zaczął się go czepiać, zupełnie jak szkolny prowodyr, który wyczuł nielojalność w grupie. Kiedy Ramona, punkowa Szkotka z różowymi włosami i kolczykiem w pępku, która przez cały rok na okrągło nosiła przykuse topy, ścisnęła Harrisowi ramiona, żeby wrzasnął, ten zauważył grymas na twarzy Jamesa.

– Przestań, przestań! Przez ciebie James nas nie lubi! – zawołał. – Ty nas nie znosisz, prawda? No przyznaj. Nie-na-widzisz nas.

James nie chciał wyjść na homofoba, ale pracując z Harrisem, zaczął dochodzić do

wniosku, że stereotyp jędzowatego zniewieściałego pedzia być może nie wziął się znikąd.

Do tego dochodziły jeszcze rozmaite irytujące drobiazgi związane z codziennym życiem biurowym, bez względu na to, czy akurat toczyło się ono w piwnicy z piłkarzykami w Shore-ditch, czy nie. Drzwi lodówki były upstrzone magnesami przytrzymującymi karteczki z oschłymi apelami: „BARDZO proszę, żeby...”. Na plastikowych butelkach z mlekiem widniały wypisane markerem nazwiska właścicieli. Ludzie autentycznie się wpieprzali, kiedy ktoś inny skorzystał

z „ich” kubka. James miał ochotę wywiesić własny komunikat: „Jeśli masz specjalny kubek, sprawdź swój wiek. Możliwe, że podpasz pod zakaz zatrudniania dzieci”.

Próbował się cieszyć rzadkimi chwilami spokoju, zanim wszyscy pojawili się w biurze, ale mijały one, ledwo zdążył odpalić laptopa. Zdawał sobie sprawę, że ustawienie zdjęć własnej pięknej żony jako tapety wygląda dość okropnie. Co prawda, wrzucił też do albumu fotkę kota, ale przecież nikogo w ten sposób nie oszuka. Było oczywiste, że się lansuje.

A kiedy owa żona go nagle zostawiła, pycha, szyderstwo i ból sprawiły, że James nie zmienił tapety. Nikomu się nie przyznał, że są

w separacji, a nie chciał budzić podejrzeń. Odwracał się, żeby z kimś pogadać, a kiedy znów skupiał się na pracy, na ekranie przed sobą widział

kolejną idealną chwilę z Evą Kodak. Białe okulary słoneczne i dziecięcy kucyk w Glastonbury, na tle kampera. Platynowe loki i odrobina cynobrowej szminki, białe zęby wgryzające się w ogon homara podczas urodzinowej randki w wytwornej restauracji J Sheekey. Zmierzwione włosy prosto po wyjściu z łóżka, na parapecie w tokijskim Park Hyatt o wschodzie słońca, w koszulce i spodniach American Apparel i w pozie jak z *Między słowami*. To była cała Eva – skończona próżność upozowana na świadomy żart.

No i oczywiście zdjęcie z Jamesem – „Właśnie zaręczeni”. Upalny dzień w Hyde Parku, piknik nad wodą, kosz z jedzeniem od Fortnuma i schowany w nim pierścionek-cukierek z ser-duszką i napisem „Bądź moja”, zamknięty w niebieskim pudełeczku od Tiffany’ego (prawdziwy pierścionek wybrała sobie później). Na głowie miała upięte w wianek warkocze i ledwo się oboje zmieścili w kadrze, zarumienieni od szampana i poczucia triumfu. Spoglądając na swą ro-ześmianą twarz obok niej, James pomyślał, że wygląda na strasznego głupka, przepełnionego nadzieją idiotę.

Znów poczuł, jakby nagle stwardniały mu wszystkie miękkie tkanki w piersi i gardle –

identycznie jak wtedy, gdy kazała mu usiąść i oznajmiła, że „nie tak się to potoczyło, jak się spodziewała”, że „potrzebuje trochę przestrzeni” i że być może „za bardzo się pospieszyli”.

Westchnął i sprawdził, czy ma przy sobie wszystkie tablety Apple najróżniejszej wielko-

ści. Gdyby go ktoś napadł, zdobyłby łup wart jakieś trzy i pół tysiąca.

Zadzwoił jego telefon. Laurence.

– Jimmy! Co z tobą?

Hmmm. „Jimmy” nie zwiastowało niczego dobrego. Było żartobliwym alter ego, po które Loz sięgał wyłącznie, kiedy czegoś chciał.

– Chodzi mi o to szkolne spotkanie dziś wieczorem.

– Tak?

– Idziesz?

– A niby czemu miałbym iść?

– Temu, że twój najlepszy kumpel prosił, żebyś wpadł, i obiecał ci przez cały wieczór stawiać piwo, i jeszcze powiedział, że się urwiemy o dziewiątej.

– Przepraszam, ale się nie wybieram. Na samą myśl wzdryga mi się dusza.

– Zabrzmiało bardzo pompatycznie.

– Zdajesz sobie sprawę, że w naszym wieku wszyscy będą się tylko przechwalać swoimi dziećmi? Jedno wielkie pozerstwo. Masakra.

– Chyba już nie pamiętasz naszej budy. Raczej będą rozmawiać o tym, że Tyson Szycha wyszedł na zwolnienie warunkowe.

– Dlaczego chcesz tam pójść? – zainteresował się James.

– Z czystej ciekawości.

– Chcesz sprawdzić, czy jeszcze miałbyś ochotę zobaczyć którąś nago.

– A ciebie nie ciekawi, czy z Lindsay Bright jest dalej taka superdupa? – spytał Laurence.

– E tam. Na pewno się z niej zrobił stary babsztyl.

– Stary, ale jary. Daj spokój, masz coś lepszego do roboty w czwartek wieczór, sam w domu? Będziesz siedział w gaciach przed telewizorem i oglądał teleturnieje?

James skrzywił się. Kubeł na śmieci miał zapchany opakowaniami po gotowych daniach dla singli.

– A co mają gacie do telewizji? – odparował bez przekonania.

– Nie pieprz.

Telefon Jamesa zapiszczał, informując o oczekującym połączeniu.

Eva.

– Loz, muszę odebrać. Wrócimy do omawiania mojej postawy za minutę.

Przełączył się na drugiego rozmówcę.

– Cześć. Jak leci? – powitała go.

– A jak sądzisz? – odparł z sarkazmem, naśladowując jej pełen werwy głos.

Westchnienie.

– Mam kropelki do uszu dla Luthera. Muszę ci je podrzucić i pokazać, jak się je podaje.

– Pewnie się je wkrapia do ucha? – James niekoniecznie uważał, że uporczywe trwanie w rozgoryczeniu stanowi najlepszą taktykę, ale słowa same mu wylatywały z ust, zanim zdążył je przepuścić przez kontrolę bezpieczeństwa.

– Mogę wpaść wieczorem?

– Dzisiaj nie. Jestem zajęty.

– Czym?

– Przepraszam, ale co cię to obchodzi?

– Rozmawiasz ze mną takim tonem, że dochodzę do wniosku, że być może celowo utrudniasz mi życie.

– Mamy zjazd absolwentów.

– Zjazd absolwentów? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Nie spodziewałabym się, że interesują cię tego typu imprezy.

– Jestem pełen niespodzianek. Musimy więc znaleźć dla Luthera inny wieczór.

Po rozmowie James pozwolił sobie na gorzką satysfakcję z wygrania małej bitwy w tej wojnie. Poczucie zadowolenia trwało całe trzy sekundy, nim sobie uświadomił, że teraz będzie się musiał wybrać na zjazd.

Mógłby skłamać... Chociaż nie. O czymś takim należałoby wspomnieć na swoim profilu i dołączyć niby przypadkowy dowód – potwierdzenie obecności, zdjęcie, jakichś nowych znajomych na Facebooku z adnotacją „Ciebie też fajnie było zobaczyć” – żeby Eva się przekonała, że wcale go tak dobrze nie zna, jak jej się wydaje.

– Cześć! – Ramona zdjęła z głowy nauszники z owieczkami. – Kurde, po co ja piłam w środę? Teraz umieram.

– Ha – rzucił James, co miało znaczyć: „Nawet mi nie mów”.

Oczywiście musiał o tym słuchać przez następny kwadrans, a potem Ramona powtarzała wszystko każdemu, kto się pojawił w biurze. Kto by pomyślał, że winem serwowanym w plastikowych kubkach można się upić.

Rozdział 5

Anna wpisała na Facebooku „Gavin Jukes” w nadziei, że posiadaczka tak stosunkowo rzadkiego nazwiska znajdzie bez trudu. Nie była do końca pewna, dlaczego właściwie go szuka.

Może chciała móc się bezpiecznie przywitać przynajmniej z jedną osobą, gdyby się pojawił na spotkaniu.

I rzeczywiście, zaraz na drugim miejscu zobaczyła jego profil – rozpoznała ten długi nos i podbródek. Weszła na jego stronę ze zdjęciem całej rodziny. Żona, trójka dzieci. Okazało się, że jednak nie gustuje w przedstawicielach własnej płci. Miejsce zamieszkania: Perth, Australia.

Brawo, Gavin. Dostrzegająca atrakcyjność wyjazdu tak daleko, że gdyby pojechać jeszcze

dalej, człowiek znów zacząłby się zbliżać do Rise Park.

Zadzwoił telefon na biurku.

– Paczka do ciebie! – usłyszała wesoły głos Jeffa z portierni.

Anna odłożyła słuchawkę i popędziła w dół po schodach. Jeff położył przesyłkę na kontuarze – duże, ale niewysokie czarne pudło z wytłoczonymi lśniąco literami, przewiązane szeroką satynową wstążką. Subtelnie, acz jednoznacznie oznajmiało światu: „Wydałam więcej pieniędzy-

dzy, niż to konieczne”.

– Coś ładnego? – spytał Jeff, a potem mruknął: – Oczywiście to nie moja sprawa – i zarumienił się lekko. Najwyraźniej pomyślał, że sprawiła sobie erotyczną bieliznę, jakieś fikuśne fa-tałaszkę z obszytymi koronką dziurkami i dyndającymi u dołu paseczkami z zapięciami.

Choć nie była to prawda, Anna też poczuła ciepło na twarzy, zdając sobie sprawę, że jeśli zacznie cokolwiek wyjaśniać, tylko utwierdzi portiera w jego podejrzeniach. To tak, jakby skorzystała ze śmierdzącej ubikacji i wychodząc, próbowała ostrzec następną osobę, która i tak uzna-

łaby, że w sprytny sposób usiłuje zważyć winę na kogoś innego.

– Sukienka – odparła pośpiesznie. – Na... imprezę.

– Aha – mruknął Jeff, unikając jej spojrzenia. – Fajnie. –

W wyobraźni widział ją już oczywiście w *Oczach szeroko zamkniętych*,

z twarzą ukrytą pod operową maską ze spiczastym nosem, jak uczestniczy w orgii przy dźwiękach *Windowlicker* Aphexa Twina.

Ruszyła z powrotem po schodach do swojego gabinetu, niosąc pudło na płasko rozłożonych dłoniach, jak pizzę. Wydział historii na University College London zajmował rząd georgiańskich kamienic o wysokich sufitach i ogromnych przesuwanych do góry oknach. Było to magiczne miejsce do pracy. W chwilach, gdy zdarzało jej się popaść w sentymentalizm, Anna miała wrażenie, że to nagroda dla jej ducha za czasy szkolne – wspaniały sen, który nastąpił po koszmarze.

Unoszący się w budynku cudowny staroświecki zapach dywanów i żółte światło wielkich okrągłych wiszących lamp zdawały się zamieniać te wnętrza w żywe, ciepłe wspomnienie.

Anna pchnęła plecami drzwi do swojego gabinetu, zadowolona, że nikt jej nie zauważył

po drodze. Czułaby się skrępowana, gdyby ktoś zaczął się domagać: „No to zobaczmy, jak w niej wyglądasz”.

Od czasów szkolnych Anna schudła i mogła teraz nosić sukienki w doskonale standardowych rozmiarach, ale nie znaczyło to, że myślała i postępowała jak osoba, jaką teraz była. W dalszym ciągu serdecznie nie znosiła sklepów z ubraniami. Możliwość robienia zakupów przez internet stała się dla niej objawieniem. Zdecydowanie bardziej od klasycznej przymierzalni wolała w tej roli swój gabinet.

Kiedy więc zdała sobie sprawę, że na zjazd absolwentów potrzebuje sukienki – nie czegoś zwyczajnego, ale naprawdę efektownego, żeby tym sposobem ostentacyjnie zademonstrować wszystkim, co o nich myśli – bez wahania weszła na stronę drogiego domu mody i wydała tam równowartość atrakcyjnej weekendowej wycieczki.

Zdjęła przykrywkę z pudełka i zaczęła rozgarniać warstwy szeleszczącej bibułki. Pod nią leżała magiczna sukienka. Niezbyt dużo materiału jak na... Nieważne, nie zamierzała rozmyślać nad ceną.

Rozłożyła ostrożnie sukienkę na krześle i sprawdziła, czy drzwi do gabinetu są zamknięte na klucz, a potem zsunęła z siebie bezkształtną

bluzę od Zary i zastąpiła ją wieczorową kreacją.

Palcami wskazującymi i kciukami bardzo ostrożnie ułożyła tkaninę na miejscu, jakby to była pa-jęczyna, po czym podciągnęła do góry pokrzepiająco solidny zamek błyskawiczny, przy czym tylko odrobinę musiała wciągnąć brzuch.

Hmmm. Obracała się przed lustrem na wszystkie strony. Niezupełnie na taką przemianę liczyła. Czarna sukienka to czarna sukienka. Uniosła i opuściła ramiona, by sprawdzić, jak przy podmuchu powietrza zachowują się delikatne szyfonowe rękawy. W głowie zabrzmiały jej *Kaczuszki*.

Na manekinie ze zdjęcia w internecie, o pustej białej twarzy robota z powieści Isaaca Asi-mova, prosta czarna sukienka od Prady prezentowała się wytwornie, jakby to była Rita Hayworth na imprezie w hotelu Waldorf Astoria. Teraz Anna sama ją założyła i zaczęła się zastanawiać, czy aby nie wygląda w niej trochę niestosownie. Jak piosenkarka na statku wycieczkowym śpiewają-

ca *Unbreak My Heart*, podczas gdy wszyscy wokół wcinają cielece kotlety z pieczonymi ziemniakami.

Kiedy tak się sobie przyglądała, jej myśli nieuchronnie powędrowały ku tamtemu dniu i tamtej sukience. I tamtej, innej dziewczynie.

W końcu sięgnęła po telefon.

– Michelle. Nie idę na to spotkanie. To czyste szaleństwo, a w tej sukni wyglądam jak profesor Snape.

– Owszem, idziesz. Bo potem będziesz się czuć niewiarygodnie lekko. Jak po płukaniu jelit. Barry! Zostaw te kałamarnice, to nie są żadne pacynki! Przepraszam, to ostatnie nie było do ciebie.

– Nie mogę, Michelle. Co będzie, jeśli mnie wszyscy wyśmieją?

– Nie wyśmieją. A nawet gdyby, to czy jakąś częścią siebie nie tęsknisz za okazją, żeby znów przeżyć tę chwilę, tyle że tym razem każesz im wszystkim iść do diabła?

Anna nie chciała przyznać, o czym myśli. A jeśli się rozsypie, rozplacze i będzie musiała zmierzyć się z tym, że wciąż jest Aurelianą? Zdała mnóstwo egzaminów, mocno schudła, ale i tak nią pozostała.

– Dobrze wyglądam w tej sukience, której nie możesz zobaczyć?
– Tej od Prady, do której mi wysłałaś link? BARRY! Zdejmij to z kiełbasy! Do jasnej cholery, czy tobie się wydaje, że kręcisz filmy z kukielkami? Nie ma mowy, żebyś nie wyglądała dobrze. Problem polega na tym, że przyćmisz wszystkich i nikt nie będzie zwracał uwagi na nikogo innego.

– Puk, puk! Proszę o zezwolenie na wejście do jaskini Batmana! – zaintonował za drzwiami Patrick.

– Michelle, muszę już iść.

– Otóż to. Musisz tam iść.

Anna ni to się roześmiała, ni to jęknęła.

– Proszę! – zawołała.

„Jaskinia” była całkiem adekwatnym określeniem jej nieprzyzwoicie zagraconego gabinetu na drugim piętrze. Jako wykładowcy, specjalistce od epoki bizantyjskiej, przysługiwało jej prawo do pewnej dozy stereotypowego akademickiego zakręcenia. Korzystała z tego przywileju w zakresie sprzątanego. Wszędzie piętrzyły się stosy książek, na nich segregatory, a na górze jeszcze więcej książek. Anna czuła się trochę winna, że tym bałaganem szpeci tak piękne pomieszczenie.

Patrick urzędował kawałek dalej przy tym samym korytarzu, prowadził zajęcia poświęcone handlowi wełną w epoce Tudorów. Oboje zaczęli pracę na uczelni mniej więcej w tym samym czasie i podchodzili do niej z podobnym zamiłowaniem. Oboje też potrafili z niej żartować i rozmawiać na zupełnie inne tematy. Rzecz nie do przecenienia w środowisku akademickim. Wielu ich kolegów traktowało swój zawód z wielką powagą. Życie przepełnione wzniosłą „mądrością”

niejednokrotnie oznaczało nieumiejętność funkcjonowania na poziomie codziennych spraw. Jak to ujął Patrick: „Mają mózgi wielkie jak planeta, a nie potrafią ugotować jajka”.

Patrick często przychodził do Anny z samego rana i przynosił jej kubek herbaty. Potem siadał na jasnoniebieskim krześle biurowym i wypijał swoją, wcześniej oczywiście musiał zrobić sobie miejsce, pozbywając się stosu segregatorów, płaszcza Anny i mnóstwa innych przedmiotów. Anna zwykle siedziała przy biurku, przeglądając mejle

i plotkując.

Patrick podał jej kubek.

– O rany, nowa sukienka? – spytał, przyglądając się Annie, gdy stawiała herbatę na blacie.

– No. – Odwróciła się i stanęła z rękami na biodrach, lekko rozsuwając nogi, niczym hydraulik szykujący się do podania ceny za naprawę szczególnie kapryśnego pieca dwufunkcyjnego.

– To na wystawę o Teodorze? Wydawało mi się, że jeszcze zostało sporo czasu.

– Niestety nie. Mam dzisiaj zjazd absolwentów. Nie wiem, czy powinnam iść. Bardzo źle wspominał liceum.

Patrick zmrużył oczy.

– Rozumiem. W takim razie czemu idziesz?

– Moja przyjaciółka przekonuje mnie, że w ten sposób rzucę wszystkim wyzwanie. Zwariowała, no nie? Chyba nie dam rady.

To dumny pomysł. Słuchaj, skoro już tam siedzisz, mam do

ciebie prośbę. Mógłbyś podlać Borysa? – Anna wskazała głową wielką, ale trochę zaniedbaną monsterę i stojącą na parapecie obrzydliwie brudną butelkę po mleku, która służyła jej do podlewania. – Boję się, że sobie pochłapię sukienkę.

Patrick usłużnie wlał do donicy z Borysem parę centymetrów burego płynu. Miał bardzo starannie przystrzyżone kasztanowe włosy i wątlą, jakby niedożywioną sylwetkę kogoś, kto nie zrodził się z kobiety, ale żył w muszli i pewnego dnia nagle ją stracił. Nosił eleganckie swetry w serek i sztruksową marynarkę w kolorze musztardy ze skórzanymi łatami na łokciach. Twierdził, iż strój ten tak bardzo kojarzy się z wykładowcami akademickimi, że aż zatracił całą swą ba-nalność i na powrót nabrał oryginalności.

Patrick spojrział na wiszący na ścianie portret.

– Zadaj sobie takie pytanie: co zrobiłaby twoja bohaterka cesarzowa Teodora?

– Kazałaby ich wszystkich zabić?

– Więc zrób coś podobnego. Niech padną trupem na twój widok – odparł Patrick.

Rozdział 6

Anna stała na schodach wyraźnie zapuszczonego pubu we wschodnim Londynie i spoglądała

na przyklejoną plasteliną kartkę, na której krojem Comic Sans wydrukowano dwie zwięzłe wskazówki:

Pożegnanie Beth à

β Spotkanie Rise Park

Cholera, szkoda, że nie zna tej Beth. Imię sugeruje kogoś w młodym wieku, kto pewnie wybiera się w podróż dookoła świata. Z sali, w której żegnano Beth, dobiegały dźwięki *Patience Take That*, którą ktoś bez powodzenia próbował zaśpiewać na karaoke.

Anna czuła, jak w środku rozgrzewa ją wypita dla kurażu wódka z sokiem pomarańczo-wym. Ruszyła powoli na górę po skrzypiących, wytartych stopniach i dalej korytarzem, w któ-

rym pachniało stęchlizną, do wskazanych drzwi. Serce łomotało jej z przerażenia, jakby za chwilę miała wejść do Pałacu Strachu w wesołym miasteczku. Cała się spięła, przygotowana na najgorsze. Choć nie było gorąco, pod mediolańskim szyfonem spociła się.

Jeszcze jeden wdech, tym razem głębszy. Przypomniała sobie, co mówiła Michelle – że to

pokaz siły. Otworzyła drzwi i wkroczyła do sali. Była niemal pusta. Kilka osób, których nie rozpoznała, zerknęło w jej stronę, by zaraz powrócić do rozmowy. Wiele, wiele razy wyobrażała sobie galerię znajomych twarzy obracających się w tym momencie w jej kierunku i towarzyszący temu dźwięk igły drapiącej płytę. Ale nie, nic takiego się nie stało.

Ci najgorsi jeszcze się nie pojawili, o ile w ogóle zamierzali przyjść. Czy poczuła ulgę, czy bardziej rozczarowanie? Dziwne, ale jedno i drugie równocześnie.

Nieco obwisły transparent nad barem informował o zjeździe absolwentów: „16 LAT OD-KĄD MIELIŚMY 16 LAT!!!!!!”. Rany, ile wykrzykników. Jakby ktoś cierpiący na zespół deficytu uwagi potrząsał wszystkim w twarz marakasami.

Anna wzięła kieliszek ciepłego białego wina Stowells of Chelsea i zajęła miejsce pod ścianą po lewej stronie sali. Doszła do wniosku, że wszyscy rozkręcą się dopiero po następnym drinku i wtedy ktoś do niej podejdzie. Do tego czasu sama także wypije swoje wino i będzie gotowa. Proszę bardzo, wsadziła głowę w paszczę lwa. Załatwione. Dodatkowe punkty za to, że poradziła sobie sama. Nie do końca wiedziała, dlaczego wydało jej się to niezbędne, ale tak właśnie uznała. Jak bohater w filmie akcji stwierdzający z determinacją w głosie: „Muszę to zrobić dla siebie”.

Nie nastąpiła żadna kulminacja, wręcz przeciwnie, ale czy nie tak miało być? Przecież

chyba nie oczekiwała, że wszyscy się ustawią w kolejce, by ją przeprosić?

Na przeciwległej ścianie wisiał kolaż ze zdjęć na dużych arkuszach kolorowego brystolu z biegnącym u góry napisem: „Rocznik ‘97”, wykonanym dziecinnymi grubymi literami. Anna wiedziała, że jej tam nie ma. Nikt by jej nie zaproponował, żeby się wcisnęła – to słowo było tu

kluczowe – wraz z innymi w kadr na tych fotkach pstrykniętych jednorazowym aparatem.

Poniżej znajdował się zimny bufet z tężejącymi przekąskami, których przezornie nikt nie tykał. Kiedy już wszyscy wystarczająco się nawalą, może ktoś sięgnie po coś martwego w cie-

ście, nie ulegało natomiast wątpliwości, że talerz z pokrojonymi w słupki warzywami stanowi wyłącznie dekorację.

W sali pojawiali się kolejni uczestnicy zjazdu. Widok niektórych budził w Annie upiorne wspomnienia – w żadnym przypadku jakoś wyjątkowo mocne, ale ta czy owa postarzała twarz kojarzyła jej się niewyraźnie ze szkolną stołówką, placem zabaw czy boiskiem. Jedną zapamięta-

ła trochę lepiej: Becky Harris, pulchna dziewczyna, która w trzeciej klasie pastwiła się nad nią ze

szczególnym okrucieństwem, by pokazać wszystkim, że nic ich nie łączy. Anna zauważyła, że nadal ma w sobie jakąś nikczemność, choć teraz jakby podszytą zmęczeniem.

Dziwne, ale ta ich zwyczajność i pospolitość osłabiły w Annie poczucie złośliwego triumfu. Więc to mają być ci ludzie, którym pozwalała się upokarzać? Banalność zła, czarnoksiężnik z Oz pedałużący za zasłoną. Sama dla odmiany czuła się jak przeciwieństwo maski na Halloween – pod całkowicie normalnym przebraniem skrywała komiczne przerażenie i udawała, że jest jedną z nich.

Zaraz, zaraz... czy to nie...? Na pewno? NIE. A jednak. To były one.

W kącie sali stały obok siebie Lindsay Bright i Cara Taylor. Co za dziwne uczucie zobaczyć je znów po latach. Rozpoznała je od razu, a mimo to wszystkie związane z nimi wspomnienia rozmyły się jak na wyblakłych fotografiach.

Lindsay skróciła o połowę swoje długie blond włosy, które miały teraz odrobinę mysi odcień, z wyraźnymi odrostami. Przytyła w talii, ale spod obcisłej sukienki wciąż wyłaniały się nieziemsko długie nogi przyciemnione samoopalaczem. Wyniosłość, z jaką w czasach liceum spoglądała na wszystkich, zastygła w jej rysach, nadając niegdyś ładnej twarzy pochmurny wyraz.

Annie wystarczyło zamknąć oczy, by znów ujrzeć dawną Lindsay w krótkiej, luźnej spódnicy, z gumą do żucia w ustach, piękną i niebezpieczną jakby od niechcienia.

Cara swe ciemne włosy ścięła krótko, a jej wyraźnie ziemista, ściągnięta cera zdradzała palacza, który zaczął wcześniej, od popalania ukradkiem za szkolną szopą na rowery, i nigdy nie zerwał z nałogiem. Kiedyś z upodobaniem biła Annę linijką po łydkach i nazywała ją lesbą.

Więc to było to objawienie, które miało sprawić, że Anna poczuje się lepiej. Już nie wyglądały jak lodowe księżniczki, budzące grozę i olśniewające. Przeobraziły się w nieco przybite kobiety wchodzące w wiek średni, których się nawet nie zauważa, kiedy mijają cię w supermarkecie, pchając wózek. Anna nie potrafiła określić, jak się czuje. Chyba miała pełne prawo napawać się swym triumfem. Ale nie chciała. Niczego to nie zmieniało.

Obie zerknęły na Annę. Serce zabiło jej szybciej. Co im powie? Dlaczego niczego sobie nie przygotowała? I co się mówi swoim dawnym oprawcom? „Myślałyście kiedykolwiek

o mnie?”, „Nie było wam nigdy głupio?”, „Jak mogliście się tak zachowywać?”.

Ale w ich oczach nie dostrzegła najmniejszego błysku rozpoznania. Lindsay i Cara przesunęły tylko po niej wzrokiem, nie przerywając rozmowy. Anna zdała sobie sprawę, że przypuszczalnie zainteresowała je przelotnie jako jedyna prócz nich kobieta, która przyszła na spotkanie w bardzo eleganckim stroju.

Czas mijał i w końcu to do niej dotarło. Nikt jej nie poznał. To dlatego z nią nie rozmawiają. Tak bardzo się zmieniła, że stała się anonimowa. Nie zbliżali się, bo musieliby przyznać w bezpośredniej rozmowie, że jej nie pamiętają.

Drzwi do sali znów się otwały i weszło dwóch mężczyzn. Obaj mieli takie miny, jakby uważali, że oto przybyła kawaleria, której niezbyt się podoba to, co zobaczyła. Kiedy zwrócili spojrzenia w stronę Anny, przeżyła jeden z tych zabawnych momentów, w których oddech nagle zamiera człowiekowi w gardle, serce usiłuje się wyrwać z piersi, a wszystkie dźwięki zamierają gdzieś w oddali.

Rozdział 7

James zadawał sobie pytanie, co się z nim stało, że jest gotowy posunąć się aż do tego, byle tylko odnieść drobne zwycięstwo nad Evą.

W sali bez okien na piętrze obskurnej pijackiej spelunki wisiały tu i ówdzie parami gruszkowate, na wpół sflaczałe balony, wyglądające jak jądra w krzykliwych kolorach. Ten wymuszony wesoły akcent jak zawsze stanowił zaprzeczenie dobrej zabawy. Ściany pokrywała tapeta o grubej fakturze, z lamperią pomalowaną na kolor wątroby, a powietrze przesycił zatechły zapach starego dymu papierosowego z czasów, kiedy w lokalach wolno jeszcze było palić. Do tego rodzaju pubów James nigdy nie zaglądał.

Pod jedną ze ścian stał stół na kozłach przykryty papierowym obrusem, na którym rozło-

żono talerze z małymi serkami i miski z chipsami lub pomarszczonymi kielbaskami koktajlowymi. Jakby dla zachowania równowagi dietetycznej, leżały tam także przywiedle słupki z ogórka, selera naciowego i marchwi, ułożone promieniście wokół plastikowych pojemników z super-marketu, w których James rozpoznał sos

guacamole, różową jak guma do żucia *taramasalatę* i dip czosnkowo-cebulowy. „Tylko socjopata mógłby sięgnąć na spotkaniu towarzyskim po dip czosnkowo-cebulowy” – pomyślał.

W pomieszczeniu nie było zbyt dużo osób, a wśród obecnych zarysował się podział na

z grubsza dwie grupy odmiennej płci, jak gdyby powrócili do okresu sprzed dojrzewania, kiedy chłopcy i dziewczynki woleli przebywać we własnym gronie. Wielu z mężczyzn rozpoznawał, choć rysy im się wygładziły i zmiękły, sylwetki zaokrągliły, a włosy wyemigrowały na południe, z czubka głowy na brodę.

James poczuł dreszcz radości z cudzego nieszczęścia, bo on sam, mimo paru dodatko-wych kilogramów, wciąż wyglądał mniej więcej tak samo jak w piątej klasie. Wszyscy obrzucili go szybkimi, twardymi, taksującymi spojrzeniami, i dobrze wiedział dlaczego. Gdyby się wyraźnie postarzał, przez cały wieczór nie rozmawiano by o niczym innym.

Ha! Kiedy przy barze próbował się przywitać z Lindsay Bright, ta udała, że go nie widzi!

Owszem, kiedyś ze sobą chodzili, ale przecież nie mogła się dąsać o coś, co się stało siedemna-

ście lat temu? Teoretycznie rzecz biorąc, ich dziecko kończyłoby teraz szkołę średnią. Odpędził tę myśl.

Wrócił Laurence z dwiema szklankami fostersa i skinął głową w stronę miejsca, gdzie stała Lindsay.

– Nie powiem, kurde, że dojrzała jak przednie wino – mruknął. – Zostały tylko usta i ty-

łek. Wygląda jak tani hamburger. Szkoda.

– Więc możemy spadać? – spytał cicho James. Cholerny Laurence i te jego cholerne pomysły na podryw. Żeby to jeszcze były jakieś zupełnie nieznanne kobiety... – Nie bardzo tu widzę kogoś dla ciebie.

– No... Chyba nie. Zaczekaj. Ja cię pieprzę... A to kto?

James podążył wzrokiem ku stojącej samotnie kobiecie, na którą gapił się Laurence.

Uświadomił sobie, że sam już wielokrotnie przesuwiał po niej spojrzeniem, ale jeśli go nie zatrzymał na dłużej, to nie dlatego, że nie zasługiwała na uwagę. Była bardzo ciemna: czarne włosy, oliwkowa skóra, czarny strój – do tego stopnia, że zlewała się z tłem jak cień.

Tajemnicza Kobieta miała na sobie wytworną kreację, trochę w stylu: „właścicielka trat-torii z *EastEnders* na własnej imprezie rozwodowej”. Wyobraził sobie, jak Eva mówi mu, że tego rodzaju subtelności męski umysł nie jest w stanie właściwie ocenić.

Biła od niej uroda aktorki grającej w ambitnych europejskich filmach albo reklamach eks-presu do kawy. Odrobinę melancholijne brązowe oczy, długie rzęsy, gęste brwi, jakby wykaligrafowane wiecznym piórem, kruczoczarne włosy upięte w duży kok na szczycie głowy. W sumie nie była za bardzo w jego typie, ale musiał przyznać, że wygląda nader atrakcyjnie. Zwłaszcza w tych nieciekawych okolicznościach.

– Trzeba by się z nią przywitać – rzekł Laurence. – Aż się boję, że przyjechała tu w ramach jakiejś wymiany i nikt jej nie zaznajomił ze zwyczajami panującymi w naszym kraju.

– Zdajesz sobie chyba sprawę, że zbliżasz się już do wieku, w którym robi się to grote-skowe?

– Kompletnie cię nie interesuje, kim ona jest?

James ponownie zerknął w tamtą stronę. Język jej ciała sugerował, że zdecydowanie nie chce, by ktokolwiek ją zaczepiał; rękę, w której trzymała kieliszek, mocno przyciskała do tułowia. Kim była i skąd się tu wzięła, pozostawało zagadką. Gdyby James był sam, może by do niej podszedł, zważywszy że tylko ona w całej sali wydawała się kimś godnym zainteresowania. Nie miał jednak ochoty oglądać, jak Laurence próbuje ją poderwać.

– Wiem, kim ona jest – rzucił szorstko. – Żoną faceta, który za kwadrans zjawi się i da ci w zęby.

– Osoba towarzysząca? – spytał Laurence.

– To chyba jasne.

James był przekonany, że ta kobieta to egzotyczny gość spoza ich grona. Na pewno nie chodzili razem do szkoły. Nie ma mowy, żeby jego

nabuzowany nastoletni radar nie zarejestrował choćby słabego sygnału. To oczywiste, że ktoś się chciał pochwalić żoną i przywłókł ją tu wbrew jej woli. Żadna z obecnych kobiet najwyraźniej też jej nie znała, co tylko potwierdzało jego teorię.

– Mężatka czy nie, ale robi wrażenie.

– Bez przesady, na kolana nie rzuca, zresztą nie jest w moim typie – stwierdził James, mając nadzieję, że zgasi zapal Laurence’a.

W chwili, gdy to mówił, Tajemnicza Kobieta zerknęła przelotnie w ich stronę. Potem dopiła drinka i założyła torebkę na ramię.

– No nie, Penélope Cruz już wychodzi? Idę do niej – oświadczył Laurence.

Rozdział 8

Kiedy Anna miała dwadzieścia kilka lat, zdarzało się jej fantazjować, że znów spotyka Jamesa Frasera i wygarnia mu, co o nim sądzi. Układała sobie w głowie litanię wyrafinowanych epitetów, jakimi by go obrzuciła w obecności żony, dzieci i kolegów z pracy. Niech wiedzą, jaki z niego wredny, nadęty sukinsyn. Na koniec tej wyimaginowanej sceny zwykle wszyscy bili jej brawo.

A teraz go zobaczyła. Stał tam. We własnej osobie.

Mogła podejść i mu powiedzieć, cokolwiek by zechciała. Ale przez głowę przemknęła jej tylko ta jedna myśl: „Tfu. Nigdy więcej nie chcę się znaleźć razem z tobą w jednym pokoju”.

Nieźle się trzymał, musiała to przyznać. Nadal miał obsydianowo czarne włosy, teraz uło-

żone w artystycznie zmierzwioną czuprynę zamiast tych okropnych luźno opadających kudłów, jakie w latach dziewięćdziesiątych nosili wszyscy chłopcy. Linie szczęki wciąż miał wyrazistą, mocno zarysowaną niczym w reklamie golarki, bez wątpienia równie twardą jak jego serce. Odznaczał się tym typem urody katalogowego modela prezentującego filtry do wody, który teraz pozostawiał ją kompletnie obojętną.

Ubrany był zgodnie z aktualną modą panującą wśród mężczyzn tuż po trzydziestce: za-pięta pod szyję koszula w kratę, szary rozpinany sweterek i buty na grubej podeszwie. Co to za

pomysł, żeby się ubierać jak dziadek na emeryturze? Anna

pracowała w nader konserwatywnym środowisku, ale nie chodziła z tego powodu w ortopedycznych sandałach.

Jego twarz przybrała wyraz permanentnego niesmaku, który zastąpił dawny młodzieńczy

uśmieszek. Dokładnie tego się spodziewała – rozglądał się po sali z miną monarchy, któremu pokazują kubły z odpadkami na tyłach ulicznego baru. Czemu w ogóle raczył się zjawić, jeśli się uważa za kogoś zdecydowanie lepszego? Może chciał się upewnić, że wciąż bije wszystkich na głowę.

O Boże, i jeszcze ten patykowaty Laurence obok niego, nadworny błazen króla Jamesa.

Lakoniczny Laurence, który kiedyś wypluwał z siebie złośliwe żarty pod jej adresem z prędko-

ścią karabinu maszynowego. Czowała, że ją zauważyli. Ale w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych utkwili w niej wzrok na dobre. A kiedy zaryzykowała szybkie spojrzenie w ich stronę, odniosła wrażenie, że o niej mówią.

Straciła pewność siebie. Poczwała na karku pręgę gorącą, jakby oblewał ją tam rumieniec zawstydzenia. Rozpoznali ją? Ta myśl wywołała potężny skurcz w żołądku, dłonie zaczęły jej drżeć. Nagle ogarnęło ją wrażenie, jakby stała naga pośrodku zatłoczonej sali i urzeczywistniły się jej wszystkie senne koszmary.

I właśnie w tym momencie wyraźnie odczytała z warg Jamesa Frasera jego słowa.

„Bez przesady, na kolana nie rzuca, zresztą nie jest w moim typie”.

Niesamowite. Pokonała tak długą drogę, a mimo to wciąż kręcił nosem na jej widok. Tyle że tym razem może sobie iść do diabła.

Dokończyła drinka i ruszyła do drzwi. Na jej drodze nagle stanął Laurence.

– Chyba nas jeszcze nie opuszczasz? – zagadnął.

– Eee... – po raz kolejny Anna poczuła, jak bardzo brakuje jej przygotowanego scenariusza. – Owszem.

– Uśmierz nasze męki i przynajmniej nam powiedz, kim jesteś. Mój współnik i ja bardzo byśmy chcieli się dowiedzieć.

Ostatnie słowa zaakcentował tak mało subtelnie, by nie miała wątpliwości, iż próbuje ją poderwać.

Zerknęła na Jamesa, który wcale nie wyglądał, jakby miał ochotę z nią rozmawiać.

– Anna – przedstawiła się niezbyt błyskotliwie, gorączkowo kombinując, jak powinna to

rozegrać. Wiedziała, co się stanie, jeśli powie mu prawdę. Zapieje ze zdumienia i protekcjonalnym tonem zacznie jej sadyć obleśne komplementy. A potem zawoła na całą salę: „Słuchajcie wszyscy, to jest Aureliana! Pamiętajcie ją?”. Już sobie wyobrażała te okrzyki: „O kurde, to niemożliwe!”. Czułaby się jak zwierzę w zoo. Zawsze przecież traktowali ją jak jakiś odrębny gatunek. Nigdy nie powinna była tu przychodzić.

– Anna? Anna...? – Laurence pokręcił głową i czekał na nazwisko. Na szczęście przed oczami pojawił jej się nagle napis wydrukowany czcionką Comic

Sans.

– Przyszłam na imprezę pożegnalną Beth w sąsiedniej sali. Nie byłam pewna, czy dobrze trafiłam. Nie znam wielu gości. Chciałam tylko dopić drinka i wymknąć się, zanim ktokolwiek zauważy.

Na twarzy Laurence’a pojawił się wilczy uśmiech. Ewidentnie był zachwycony, że udało mu się nawiązać rozmowę.

– Nie zauważyłaś tego transparentu ze zjazdu absolwentów?

– No... hm... Zwykle noszę okulary, nie widziałam wyraźnie, co tam jest napisane.

– No to właśnie pomogłaś rozstrzygnąć zakład z moim kumplem – powiedział Laurence i zawołał: – Masz rację! Ona nie jest z Rise Park. Gdyby tak było, musielibyśmy cię pamiętać.

I zanim Anna zdołała go powstrzymać, skinął na Jamesa Frasera, by do nich dołączył.

Rozdział 9

– James, to jest Anna. Anno, poznaj Jamesa.

– Cześć. – James wyciągnął rękę na powitanie. Dłoń miał chłodną i nieco wilgotną. Posła-

ła mu spojrzenie jednocześnie przenikliwe i nieodgadnione.

– Anna miała być na imprezie pożegnalnej Beth w sąsiedniej sali. Ale na nasze szczęście przez pomyłkę weszła tutaj.

Anna wyglądała na lekko speszoną i James próbował jej przekazać wzrokiem, że ani nie zachęca swojego kolegi, by ją podrywał, ani tego nie pochwała.

– Kim jest ta Beth i gdzie się wybiera? – spytał Laurence.

– Ekhm... – chrząknęła Anna. – To moja kuzynka.

– No i...? – Laurence zachęcił ją gestem, by powiedziała coś więcej.

– No i... – Błądziła wzrokiem po sali, jakby szukając drogi ucieczki. – Pracuje w salonie optycznym. Wyjeżdża do Australii. Leci do Perth.

Anna umierała z pragnienia, by wreszcie ulotnić się na imprezę obok, gdzie koleżanki Beth katowały piosenki na karaoke, a James bardzo żałował, że nie przypomniał Laurence'owi, iż zaczepiając nieznaną atrakcyjną kobietę, rzadko można cokolwiek wskórać. Choć oczywi-

ście i tak by go nie powstrzymał.

– Przyszłaś bez okularów, ale wybierałaś się na imprezę u optyków? – parsknął Laurence.

Anna odczekała, aż przestanie chichotać. James przewrócił oczami w nadziei, że zostanie to odczytane jako milczące przeprosiny.

– Ech, Australia! – powiedział Laurence. – Zawsze mnie ciągnęło na antypody. James uważa Australijczyków za chlejących piwsko nudziarzy i prostaków, ale ja się z nim nie zgadzam.

„O Boże, więc teraz bawimy się w dobrego i złego policjanta? Ty cholerny...” – James przysiągł sobie, że wygarnie Laurence'owi, co o tym myśli.

– Niezupełnie – zaprotestował.

Anna patrzyła na niego z coraz większą wrogością.

– James pracuje w agencji reklamowej, mają mnóstwo dużych i ważnych klientów. A ja się zajmuję sprzedażą. Farmaceutyki. Więc gdyby ci zabrakło anusolu, wal jak w dym.

– Loz, może byśmy pozwolili Annie przejść na właściwą imprezę? – zasugerował James, usiłując się zrehabilitować i przerwać

te dywagacje na temat czopków na hemoroidy. Skrzywiła się, jakby próbował ją splawić.

– Mam lepszy pomysł. Ponieważ na naszym spotkaniu jest strasznie drętwo, może byś nas przemyciła do Beth, a my w rewanżu postawimy ci parę drinków?

– Loz! – przerwał mu ostro James, aż skręcając się z zażenowania.

– Beth chyba by się to nie spodobało – zauważyła Anna.

– No co ty? Zdaje się, że tam mają karaoke? Umiem śpiewać z przepony *Summer of '69*.

Chodźmy, będzie wesoło.

– Nie – ucięła z uśmiechem Anna. – Do widzenia.

Wymknęła się przez drzwi, a Loz zagwizdał cicho.

– To było oparzenie drugiego czy trzeciego stopnia?

– Jeśli zaczepiasz zupełnie obcą kobietę i proponujesz jej, żeby się z tobą napiła, nie dziw się, że korzysta z wolnej woli i każe ci się odwalić. – James pokręcił głową.

Laurence gapił się na drzwi, jakby Anna miała jeszcze przez nie wrócić.

– Myślisz, że to był znak, żebyśmy za nią poszli?

– Nie. Możemy już spadać?

Laurence wzruszył ramionami, rozejrzał się po sali i wychylił resztkę piwa.

Parę minut później, gdy stali na chodniku przed pubem i zastanawiali się, czy mają ochotę na więcej piwa, czy na kebab, Laurence szturchnął Jamesa i machnął ręką, by mu coś pokazać.

Niedaleko od nich wsiadała do taksówki Tajemnicza Anna.

– Widziałeś to? Okłamała nas.

– Cha, cha! – Jamesowi się to spodobało.

– Jeśli się nie wybierała na tę imprezę pożegnalną, to czemu zjawiała się na naszej?

– Może tak bardzo ją dobiło spotkanie z tobą, że przeszła jej ochota na życie towarzyskie? – zakpił James.

– Daj spokój. To naprawdę dziwne. Może jednak chodziła z nami do szkoły, tylko się nie chciała przyznać.

Stali w przejmującym chłdzie, wciskając brody w kołnierze

kurtek, i patrzyli, jak taksówka skręca za róg i odjeżdża.

– Pamiętasz jakąś dziewczynę z liceum, która by miała taki hiszpański typ urody? – zapytał James.

– Nie. Wiesz co? Wszystko, co mówiła, to jakaś ściema. Jak można nie odczytać takiego wielkiego napisu? Musiałyby mieć wzrok jak Stevie Wonder.

– A może kogoś z naszej szkoły podejrzewają o terroryzm, a ją przysłały służby specjalne na wabia? Podejrzany zapadł się pod ziemię, brytyjski kontrwywiad liczył na to, że facet pojawi się na szkolnym spotkaniu, i próbował zastawić pułapkę. To ich najlepsza agentka, oddelegowana z Barcelony. Ale zapomnieli o najważniejszym – aby mogła udawać absolwentkę Rise Park, musiałyby mieć cerę, jakby wcinała wyłącznie hamburgery i wypalała paczkę papierosów dziennie.

James spojrzał na Laurence'a i roześmiał się.

– Co jest? – spytał Loz.

– Bawi mnie, że w ogóle się zastanawiasz, czy taka historyjka jest bardziej prawdopodobna niż to, że jakaś atrakcyjna kobieta nie chciała z tobą gadać.

Rozdział 10

– I jak się udał zjazd? – spytał Patrick, kiedy Anna postawiła przed nim na biurku kubek z herbatą.

Gabinet Patricka był tak klinicznie schludny jak jego ubranie. Inaczej niż u Anny, krzesła nie służyły tu za miejsce składowania tego, co nie mieściło się na półkach.

– Był... dziwny.

Anna rozważała, czy wspomnieć, że nikt jej nie rozpoznał, ale zdawała sobie sprawę,

że wówczas nie obeszloby się bez wywlekania zbyt wielu szczegółów z przeszłości.

– Nie spotkałaś żadnej dawnej miłości?

Patrick był „zdeklarowanym” – czytaj: pogodzonym z losem – kawalerem. Przerazało go, że Anna mogłaby zdradzić klub singli, w końcu kogoś poznając, a skali tego strachu dorównywa-

ła tylko jej pewność, że nigdy to nie nastąpi. Pociągnęła łyk herbaty ze swojego kubka i zawahała się.

– Chyba żartujesz. W Rise Park nie było żadnych miłości, prędzej uszczypliwości. – Wolałaby porozmawiać o czymś innym. – A co tam słyszeć w świecie magii?

– W porządku, dziękuję. Przez cały weekend dyscyplinowałem krnąbrnych nastoletnich duńskich magów i kombinowaliśmy, jak tu odeprzeć nadciągającą falę przeciwników.

– Zupełnie jak tutaj. Wciąż jesteś pandą?

Patrick wiedział, że z Anną zawsze może pogadać o swoim hobby bez obaw, że narazi się na drwiny. Sama, co prawda, nie grała, ale rozumiała jego fascynację.

– W Pandarii. Tylko przejściowo. Wcześniej byłem orkiem płci żeńskiej. Szamanką.

– No proszę.

Patrick pasjonował się grami w rodzaju *Warcrafta*, które, jak dowiedziała się od niego Anna, wymagają „totalnego zaangażowania”. Choć nieraz namawiał ją, by też spróbowała, nie dała się przekonać, zwłaszcza po tym, jak go zobaczyła w słuchawkach z mikrofonem na głowie.

– Ale cieszysz się, że poszłaś na to spotkanie? – spytał.

Anna zastanawiała się nad tym. Czuła się chyba przede wszystkim zakłopotana.

– Powiem tak: warto było sobie przypomnieć to wszystko i tych wszystkich, których nie muszę już widywać. To było jak terapia awersyjna w formie zastrzyku w pośladek. Zaszczepiłam się i dzięki temu doceniam teraz każdy drobiazg w pracy.

Rozpromieniła się, a Patrick odpowiedział jej identycznym radosnym uśmiechem.

– Cholera, o dziesiątej mam z pierwszym rokiem. Spróbuj dostrzec w nich coś wartościowego – jęknął Patrick. – To chyba najgorszy rocznik w dziejach.

– Mówimy tak co roku.

– No wiem... ale tak złego chyba jeszcze nigdy nie mieliśmy.

– Zrobili się z nas starzy, zrzędlivi belfrzy. Nie jesteśmy miarodajni.

– Pewnie masz rację. – Patrick pociągnął potężny łyk herbaty. –

W zeszłym tygodniu przyszedł do mnie jeden student, siadł i wydukał, że „Henryk VII był genialny, po prostu genialny”. Jakby zamiast analizy tekstów źródłowych wystarczyło pomachać pomponami i pokrzyzczeć z entuzjazmem. Pytam się go, w czym konkretnie wyraził się ów geniusz. A on siedzi z tą miną – Patrick przybrał tępy wyraz twarzy – i mi powtarza: „No po prostu genialny”. Proszę państwa, objawił nam się nowy wybitny historyk, tytan intelektu. A inny był przekonany, że inwestycja ma coś wspólnego z podatkiem od inwestycji. Powinni prowadzić własny program w telewizji: *Bill i Ted na tropach historii*.

Anna roześmiała się.

– Obawiam się, że nie mogę ci się zrewanżować podobnymi przypadkami. Moi studenci z pierwszego roku są pełni zapału. A w ogóle to już w tym tygodniu zabieramy się do wystawy o Teodorze.

– Gratuluję. Nie mogę się doczekać, żeby ją zobaczyć. To będzie wielkie osiągnięcie i an-tidotum na Zatrutą Challis.

– Mam nadzieję.

Victoria Challis była szefową ich instytutu. Nie cieszyła się opinią osoby cieplej i życzliwej. Ale to do niej należało decydujące zdanie w sprawach funduszy na badania i awansu zawodowego.

– Zobaczymy się na lunchu? – spytał Patrick.

– Jasne! Ja stawiam. Przynajmniej przestanę myśleć o tym, że wieczorem muszę iść z siostrą na ślubne zakupy. – Anna podniosła segregator z szafki na dokumenty i postukała się nim w czoło.

– Aha. Będziecie wybierać kwiaty, próbować biszkoptów o różnych smakach i tak dalej?

– Szuka sukni ślubnej... Wcale mnie do tego nie ciągnie. – Anna uniosła palec, ponieważ na twarzy Patricka pojawiła się udawana egzaltacja. – Ma to swoje uroki, ale też oznacza dla mnie zamieszanie. Jestem druhną i jeśli Aggy znajdzie wymarzoną suknię, naprawdę efektowną, będę musiała sobie sprawić coś w podobnym stylu. Z jedwabiu, w kolorze mandarynkowym albo kanarkowym, obszytego futerkiem w paski zebry, jak jakaś lala z teledysku. Moja siostra ma bardzo osobliwy gust. Ostatnio mnie zmroziło, kiedy wspomniała, że widziała na eBayu „coś jak ze

ślubu Ashleya i Cheryl Cole”. Biorąc pod uwagę, że zdążyli się już

rozwieść, to mógł być nawet autentyk.

– Nie przejmuj się. Wyglądałabyś cudownie nawet w worku na śmieci.

Nie wiadomo, który już raz Anna uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

– Dzięki. Zobaczymy się później.

Patrick rozpromienił się i pomachał jej na pożegnanie.

Kiedy wróciła do swojego gabinetu i usiadła przed komputerem, w skrzynce odbiorczej zobaczyła wiadomość od kogoś nieznanego. Dopiero po chwili zorientowała się, że to mejl od

Neila z piątku. Już w okienku podglądu zauważyła, że list zawiera więcej, niżby oczekiwała; w oczy rzuciło jej się słowo „kochanek”. I jeszcze ta buźka na końcu. Żenada.

Otworzyła i przeczytała mejla, czując, jak się w niej gotuje w trakcie lektury.

Droga Anno!

Przykro mi, że w Twoim odczuciu nie zaiskrzyło między nami na randce. Mnie bardzo się podobała. Jeśli pozwolisz, podzielę się w rewanżu paroma spostrzeżeniami. Myślę, że łatwiej od-najdziesz tę nieuchwytną „iskrę”, jeśli będziesz bardziej otwarta. Trudno mi było Cię skłonić do

naprawdę szczerej rozmowy i tylko ślizgaliśmy się po prawdziwych tematach. Prawdę mówiąc, odniosłem wrażenie, że boisz się szczerości. Od swoich kochanek oczekuję nieco więcej zaufania.

A w ogóle to mam już dość kobiet po trzydziestce, które twierdzą, że chciałyby poznać wolnego faceta, a kiedy widzą, że jest zainteresowany, zaczynają się z nim bawić w kotka i myszkę. Jako ludzie będący już w pewnym wieku nie powinniśmy sobie w ten sposób niepotrzebnie komplikować życia J

W każdym razie, jestem gotowy spróbować po raz drugi, jeśli mnie przekonasz, że warto.

Pozdrawiam

Neil

Anna walczyła z pokusą, by odpowiedzieć jakąś ciętą ripostą. Powinna się powstrzymać.

A, co mi tam. Otworzyła nowe okno i zaczęła pisać.

Drogi Neilu,

ja się w nic nie bawię, po prostu nie mam ochoty na następne spotkanie. Może by Ci się lepiej powiodło, gdybyś nie wygłaszał o kobietach, których w ogóle nie znasz, takich aroganckich i egoistycznych opinii jak ta. Ani nie czynił nietaktownych uwag na temat ich wieku. Ani po pół-godzinnej znajomości nie wypytywał ich o upodobania seksualne.

Wszystkiego najlepszego

Anna

Kliknęła „Wyślij” i poirytowana pociągnęła łyk stygnącej herbaty. Serwisy randkowe z największego romantyka potrafią zrobić podstarzałego cynika. Czy internet nie miał zwiastować nowej ery prostoty i demokracji w takich sprawach? A tymczasem jeszcze wyraźniej sprowadzał wszystko do tabel ligowych, rozgrywek, zwycięzców i przegranych.

Rzeczywistość była brutalna. Facet, któremu kilka dni temu wysłałaś wiadomość, nie odpisuje, choć już od paru godzin siedzi zalogowany. Interesujący przedsiębiorca, który twierdził, że musi lecieć do Amsterdamu i dlatego niestety nie da rady się z tobą umówić, okazuje się jak najbardziej obecny w Wielkiej Brytanii i dostępny dla innych kobiet. Wszyscy utrzymują, że szukają kogoś, z kim można by porozmawiać na ciekawe tematy, ale największą popularnością wśród

obu płci cieszą się osoby wyraźnie najatrakcyjniejsze fizycznie. W gruncie rzeczy cały portal sprowadzał się do konkursu piękności urozmaiconego bzdetami o tym, że ktoś lubi masło orzechowe, a ktoś inny kłaść głowę na chłodniejszej stronie poduszki.

No i oczywiście faceci z reguły umawiali się z kobietami o pięć lat młodszymi od siebie.

Niektórzy wyobrażali sobie, że Anna organizuje castingi dla kandydatów i sprawdza swoją wartość rynkową. Albo że szwenda się tylko i czeka, aż ów kandydat sam się pojawi, jakby życie było jakimś filmem Nory Ephron, a świat dosłownie roił się od potencjalnych amantów, na

których się wpada na ulicy, niosąc papierową torbę ze sterczącą z niej bagietką.

Nie, Anna szukała bratniej duszy, która pewnie nie istnieje, w miejscu, gdzie niemal na

prawdopodobnie jej nie było. Ktoś życzliwy powiedziałby: „Jesteś ostatnią osobą, po której można by się spodziewać, że nikogo sobie nie znajdzie! Świat oszalał!”.

Akurat z tym Anna nie mogła się zgodzić, świat zawsze taki był. Taki był.

Rozdział 11

Na opisanie tego, co się stało z Anną w kategoriach transformacji fizycznej, brakowało zwyczajowych sformułowań. Jeśli rzucała jakąś oględną uwagę w rodzaju: „Kiedyś byłam grubsza” albo „Rozkwitłam po uniwersytecie”, albo „Przypominałam trochę brzydkie kaczątko”, jej rozmówczynie kiwały głową i mówiły: „To tak jak ja. Zaczęłam jako tako wyglądać dopiero, kiedy miałam dwadzieścia kilka lat” czy coś w tym stylu.

Ale żeby przeistoczyć się w kogoś, kto wygląda zupełnie inaczej? Kogoś posiadającego jakby całkowicie inne geny? Takie przemiany zdarzają się na tyle rzadko, że można je zobaczyć jedynie w specjalnie zmontowanych scenach w ckliwych filmach. Filigranowa supermodelka sztucznie pogrubiona ogrodniczkami szykuje się, by zdjąć okulary i rozpuścić lśniące loki wielkości puszek coca-coli.

Anna nie była pospolitym dzieckiem. „Pospolity” sugeruje

nijakość, przeciętność, zlewanie się z tłem. Ona zdecydowanie zwracała na siebie uwagę. Wyróżniała się tuszą, tłustą cerą, aparatem ortodontycznym, bujną i niesforną heavymetalową burzą czarnych kręconych włosów i ponadrozmiarowymi ubraniami domowej roboty (Boże, jakże znienawidziła singera, na którym matka szyła jej to wszystko).

Przypuszczenia, że kiedyś może się przeistoczyć w piękną kobietę, należałoby uznać za

niepoprawny optymizm graniczący ze ślepotą. Anna była, o czym często przypominali jej rówieśnicy z Rise Park, gruba i brzydka.

Nadwagi pozbyła się w wieku dwudziestu dwóch lat. „Pozbycie się nadwagi” było tu

o tyle bardziej adekwatnym określeniem niż „schudnięcie”, że tusza stała się dla niej żywym, na-macalnym elementem tożsamości.

Anna funkcjonowała bowiem jako Grubaska. Fakt ten określał

ją i nie odstępował jej na krok. Jakby na plecach siedziała jej małpa, przez którą waga pokazywała dodatkowe dwadzieścia pięć kilo.

Proces zmian zapoczątkowała prosta myśl, jaka przyszła jej do głowy, gdy pewnego razu, wkrótce po rozpoczęciu przewodu doktorskiego, wróciła do domu ze łzami w oczach, ponieważ z przejeżdżającej koło niej białej furgonetki usłyszała szydercze okrzyki pod swoim adresem: „Hej, Ozzy Osbourne, zeżarłeś nam kolację!”. Była inteligentna, zdolna i w każdym innym aspekcie życia zachowywała się racjonalnie, odnosząc sukcesy. Dlaczego nie umiała sobie poradzić z kaloriami, by osiągnąć właściwy wskaźnik masy ciała?

Jak w przypadku wielu osób, które w dzieciństwie miały nadwagę, zanim w pełni dotarło do niej, że jest grubsza niż inne dziewczyny, fakt ten stał się niepodważalny.

Jej młodsza siostra Aggy była szczupłą, drobna, obdarzona dużym temperamentem, podobna do matki. Anna w powszechnej opinii wdała się w ojca. Oliviero wyglądał jak archetyp pulchnego włoskiego *pater familias* z wielkimi krzaczastymi wąsami, który uwielbiał dobrze zjeść i mógłby występować w reklamach oliwy.

Mama Anny nie żałowała mu wielkich porcji ulubionych dań rodzimej kuchni, traktując to jako formę rekompensaty za życie z dala od słonecznej ojczyzny – mimo że wyjechał z niej w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku z własnej, nieprzymuszonej woli. Nigdy też nie wyrażał chęci powrotu do Włoch, choć kochał Toskanię i często narzekał na Londyn.

Z równą wyrozumiałością matka traktowała Annę i jej siostrę, które objadały się tym, co

najbardziej tuczące w obu kuchniach. Sery, makarony, zawiesziste mięsne sosy nawiązywały do

włoskich tradycji, a smażone kurczaki i frytki z piekarnika stanowiły ukłon w stronę obyczajów panujących w podlondyńskim Barking, gdzie mieszkali. Do tego wszystkiego dochodziły jeszcze neapolitańskie lody z Somerfielda.

W wieku dziesięciu lat Anna ważyła ponad sześćdziesiąt kilogramów.

Odchudzanie się było banalnie proste jako idea i zarazem psychologicznie skomplikowane. Anna uświadomiła sobie, że zjadane za jednym posiedzeniem całe pudełko tiramisu z Marksa and Spencera nie wynagrodzi jej wyobcowania ze świata ludzi o normalnej wadze, że to dlatego stała się pariasem. Tuczące węglowodany zastąpiła więc rybami i sałatkami, wzięła się też do

biegania, uparcie przemierzając ulice w luźnych starych spodniach od dresu.

Zacząła również uczęszczać do WeightWatchers na spotkania osób walczących z nadwagą. Nie liczyła, że cokolwiek z tego wyniknie; zrobiła to, by sprawdzić hipotezę, iż o jej otyłości zadecydowały uwarunkowania genetyczne. Gdyby te wszystkie starania nie przyniosły żadnych rezultatów, z czystym sumieniem mogłaby sobie powiedzieć, że najwyraźniej szczupła sylwetka nie jest jej pisana.

Kiedy zaczęła chudnąć, powoli zrzucając kilogram za kilogramem, jej dotychczasowa tożsamość rozplynęła się i stało się coś dziwnego.

Anna odkryła, że jest ładna. Dotąd nigdy jej to

nie przyszło do głowy – jak i nikomu innemu, o tym była przekonana.

Wcześniej jej ekspresyjne ciemne oczy, zgrabny nos i rozbawiony, nieco sarkastyczny wyraz ust wygiętych w kształtny łuk zupełnie ginęły w nalanej twarzy, niczym bakalie w cieście.

Dopiero gdy uwydatniły się jej kości, okazało się, że ma nader regularne rysy i najzwyczajniej atrakcyjną twarz.

– Aureliana wygląda jak aktorka! – zaszczębiotała jej ciocia w pierwsze święta Bożego Narodzenia, kiedy Anna nie stanęła z wujkiem Tedem do rywalizacji o to, kto zje więcej pieczonych ziemniaków. Po raz pierwszy w życiu na jej obliczu pojawił się wtedy niepewny uśmiech, a potem wybiegła i rozplakała się ze szczęścia.

Następowały kolejne cuda. Anna odkryła cały sekretny świat wymownych spojrzeń

i szczególnych zachowań przedstawicieli płci przeciwnej, z którego istnienia nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy. Zupełnie jakby wstąpiła do masonerii, w której znaczące uściski dłoni zastępowało podszczypywanie w pupę.

Nawet teraz, dziesięć lat później, gdy przeglądała wypracowanie jakiegoś studenta, a ten siadał nieco zbyt blisko niej, albo kiedy po wypiciu jednej kawy na jej karcie lojalnościowej błyskawicznie pojawiały się stempelki uprawniające do następnego kubka gratis, musiała sobie przypominać: „Oni z tobą flirtują”.

Niektórzy otyli ludzie nigdy nie potrafią się przyzwyczać do tego, że schudli. W sklepie wciąż sięgają po spodnie w największych rozmiarach i dopiero w połowie drogi do kasy zdają sobie sprawę, że przecież już nie mają tyłka wielkości szafy. Na podobnej zasadzie Anna nie mogła się oswoić z myślą, że inne osoby mogą ją postrzegać jako atrakcyjną. „Piękna i niepewna siebie; marzenie każdego szowinisty” – mawiała Michelle.

Kiedy już pogodziła się z myślą, że w jej przypadku wybór zawsze będzie się ograniczał

do poważnych młodych mężczyzn w rodzaju tych, z jakimi umawiała się na randki w Cambridge, intelektualistów z mózgiem wielkości planety, posępną miną i w starannie odprasowanej koszuli, nagle odkryła, że otwarły się przed nią na oścież drzwi do magicznego królestwa.

Kogo zatem pragnęła? Okazało się, że sama nie wie.

Początkowo, z poczucia lojalności wobec własnego plemienia, a także pewnej konfuzji, spotykała się z takimi samymi spokojnymi, pochłoniętymi nauką mężczyznami jak wcześniej. Te

nieudane eksperymenty przebiegały według określonego schematu. Najpierw chłopak składał jej hołdy niczym bogini, jakby nie mógł uwierzyć we własne szczęście. W końcu dochodził do wniosku, że istotnie w nie nie wierzy, i ich związek rozpadał się, niszczone podejrzewaniem i skrajną zaborczością.

Jedynym mężczyzną, z którym Anna wiązała poważne nadzieje i chodziła przez dłuższy czas, był nieprzeciętnie inteligentny Joseph. Niestety, choć świetnie znał się na napędach odrzutowych, nie potrafił zrozumieć, jak to możliwe, by Anna chciała spędzać wieczory poza domem w innym celu niż poszukiwanie kogoś, kto miałby zająć jego miejsce.

Dla mężczyzn bardzo przystojnych, pewnych siebie, szukających odpowiednio atrakcyjnej partnerki Anna była osobą zbyt sarkastyczną, zbyt świadomą ich machinacji, by nadawać się do tej roli. Poza tym, przy najmniejszym podejrzeniu, że budzi zainteresowanie ze względu na swoją urodę, a nie intelekt, natychmiast zamykała się w sobie.

Pewne negatywne konsekwencje pojawiły się także w relacjach z kobietami. Anna bardzo późno odkryła, że atrakcyjność fizyczna wymusza określone zasady postępowania. Nie rozpoznawała oznak zazdrości, kiedy się pojawiały, i nie tłumiała ich pośpiesznie, deprecjonując własne walory. Nie przyłączała się też do innych kobiet, gdy te z zapalem analizowały mankamenty swojej urody, co niekiedy postrzegano jako zarozumiałość, przekonanie o własnej doskonałości.

Tymczasem Anna nigdy nie odczuwała potrzeby rozwodzenia się nad swoimi wadami, ponieważ zawsze robili to za nią inni.

Tak jak wcześniej, w dalszym ciągu czuła, że nie pasuje do otoczenia. Była kimś nietypowym, oryginałem, kuriozum, dlatego znalezienie kogoś, kogo mogłaby radośnie nazwać „moją drugą połową”, kogoś, z kim dobrze by się rozumiała, wydawało jej się niemożliwe.

Nie przypadkiem jej najbliższymi przyjaciółmi stali się Michelle i Daniel, dwie osoby, które nie przywiązywały większej wagi

do wyglądu. I choć bardzo nie chciała, by o jej życiu decydowały te koszmarne lata w liceum, wciąż czuła się znacznie bardziej jak ta nastolatka przeżywana kudłatym potworem niż jak kobieta, na której widok mężczyźni gwiżdżą z uznaniem.

Rozdział 12

James wiedział, że w końcu nastąpi ta chwila, w której wszystko się wyda. I tak też się stało – o jedenastej rano, gdy przebrzmiała składanka największych przebojów Spandau Ballet, poczuł całą nędzę swego istnienia.

– Hej, słuchajcie – zawołał Harris do wszystkich w biurze – chciałem tylko potwierdzić, że ta wielka impreza z okazji piątych urodzin firmy jest dalej aktualna. Wkrótce wam roześle szczegóły mejlem. – Tego dnia miał na sobie kpiarską koszulkę z napisem „BOB MARLEY”

i wizerunkiem Jimiego Hendrixa oraz tartanowe spodnie rurki. – Wszystkim pasi?

James już przemyślał wszelkie dostępne opcje. Mógł zagrać na zwłokę i po prostu powiedzieć, że owszem, pojawi się razem z Evą.

Ale kaucja wynosiła sto funtów. Musiałby wymyślić powód nagłej nieobecności swojej

żony. Jakieś dolegliwości żołądkowe albo kryzys w rodzinie. To by wymagało takiego kombinowania i kręcenia, że sam by się pogubił w detalach, potknął o własne nogi i wywalił na twarz.

Do tej pory zatajenie w pracy, że jego związek z Evą się rozpadł, było kłamstwem zaniechania, zmuszającym go do semantycznych wygibasów, kiedy ktoś pytał o plany na weekend.

W tym wypadku musiałby się posunąć do jawnych łgarstw – o wizytach u lekarza i niemożliwych do przesunięcia pilnych wyjazdach do Sztokholmu – pamiętając, kto co zrobił i komu o tym powiedział.

A kiedy prawda o ich rozstaniu wreszcie wyjdzie na jaw, przeanalizują wszystkie wydarzenia z przeszłości i go przejrzą. Już sobie wyobrażał Harrisa, jak w którejś z tych swoich kami-zelek w krzykliwe kolory unosi rękę i mówi: „Ja pierdzielę. Więc to dlatego nie przyszła na pię-

ciolecie? Czułem, że ten chory na raka siostrzeniec to jakaś

ściema”.

Litowaliby się nad Jamesem jeszcze bardziej, a do tego stałby się obiektem złośliwych żarcików. Wystarczająco fatalne było to, że musieli wiedzieć. Nie zniósłby, gdyby odkryli, jak bardzo nie chciał, żeby się dowiedzieli.

– Prawdę mówiąc, u mnie się zmieniła osoba towarzysząca. Rozstałem się z Evą.

Harris wytrzeszczył oczy. Ramonie szczeka opadła niemal po wiszący na szyi łańcuszek od Tatty Devine z plastikowym imieniem MONA. W biurze zapadła cisza, zakłócana tylko skrzy-pieniem sześciu równocześnie obracających się krzeseł. Lexie, ładna nowa copywriterka, głośno westchnęła. Charlie, jedyny inny żonaty mężczyzna w tym gronie, który wciąż się ubierał, jakby właśnie wrócił ze skateparku, wymamrotał, że mu strasznie przykro.

– Serio? – spytała Ramona, zawsze reagująca nieodpowiednim słowem.

„No skąd, żartowałem”.

– Serio.

– Dlaczego?

James sięgnął do najgłębszych rezerw nonszalancji, jakimi bynajmniej nie dysponował.

– Nie układało nam się. Ale rozstaliśmy się w przyjaźni. Nic się nie stało.

Wyczuł, że Ramona ma wielką ochotę zapytać, kto dokładnie rzucił kogo, ale nawet ona, przy całym swym nieokrzesaniu, powstrzymała się. Na razie.

– No cóż... – powiedział Harris. – W takim razie skreślę to jedno dodatkowe miejsce dla ciebie.

James został napiętnowany jako przegrany rozwodnik. Zachował ten status ledwo przez

kilka sekund.

– Właściwie to chciałbym zabrać kogoś innego.

Szczeka Ramony znów opadła z hukiem.

– Kogoś? Więc jest już ktoś nowy? Aha. To dlatego...

James czuł się absolutnie, całkowicie usprawiedliwiony, że dotąd

nie powiedział im prawdy. To była męczarnia.

– To tylko przyspieszyło decyzję – rzucił szorstkim tonem faceta, który złamał już niejedno serce.

Odwrócił się do swojego ekranu i pogratulował sobie, że zadanie wykonał, nawet jeśli nie wykonał go dobrze. Kiedy w porze lunchu wyjdzie po kanapkę, nie będzie się spieszył, żeby zdążyli wszystko przeanalizować, zanim wróci do biura.

Teraz potrzebował tylko znaleźć dziewczynę na jeden wieczór, z którą mógłby się pokazać na firmowej imprezie. W takich sprawach najlepiej się było zwrócić do Laurence’a.

Rozdział 13

– Witam w „Śpiącej Królowie”. Jestem Sue i potrafię spełnić wasze bajkowe marzenia! – świergotała właścicielka butiku. Obietnica wydała się Annie cokolwiek głupia. Czyż Śpiąca Królowa nie leżała przez sto lat w permanentnym stanie wegetatywnym?

W garsonce i perłach Sue wyglądała jak szeregową pani poseł i Anna domyślała się, że musi być nader energiczną sprzedawczynią, mimo całej zwiewności i wytworności tego, czym handluje.

Oczy Aggy i ich matki zablęskły na te słowa. Anna wiedziała, że w tym gronie prawdziwych wyznawczyń pozostaje jedynym cynikiem. Znajdowały się w magicznej grocie dla tych, które marzą, by przedefilować do ołtarza jak aktorka na czerwonym dywanie.

Brzoskwiniowe żarówki wypełniały salon miękkim światłem. Podłogę pokrywała gruba,

włochata, nieskazitelnie czysta wykładzina w kolorze kremowym, a pod ścianami oklejonymi lawendową tapetą z motywem wałki stały owalne rokokowe lustra – dokładnie takie, jakich opinii mogłyby zasięgać złe królowe.

W powietrzu unosił się ciężki zapach słodkich frezji, niczym jakiś odurzający gaz miło-

ści. Z ukrytych głośników śpiewał rzewnie Michael Bublé, bez wątpienia wykorzystując podprogowe techniki hipnozy.

„Obiecuj mi serce, ofiaruj mi rękę... a teraz, najdroższa, podaj mi numer karty... i jeszcze datę ważności”.

Na stojakach wisiały olbrzymie suknie, sztywne, ze sterczącymi rękawami, ażurowymi wstawkami, turniurami i sznurowanymi gorsetami, roztaczające wokół siebie aurę arystokratycznej dekadencji sprzed rewolucji francuskiej.

„Śpiąca Królowna” równie dobrze mogłaby się zwać „Idź na całość albo wracaj do

domu”. Wszystko tutaj, na zasadzie odruchu Pawłowa, przywoływało wspomnienia disneyowskich fantazji, tyle że w tym świecie magiczną różdżkę zastępowała karta Visa.

Przyszłe panny młode znikwały w przebieralni za zasłoną z kryształowych paciorków, by

pojawić się ponownie już w nowym wcieleniu. Anna zastanawiała się, czy dałoby się tutaj poprosić o „coś prostego”, ale nie umiała sobie tego wyobrazić.

– To na pewno pani szykuje się do ślubu. – Sue zwróciła się do Aggy. – Od razu widzę, że będzie na panią pasowało wszystko. Niektóre młode kobiety o świeżej twarzy wręcz doskonale się prezentują w roli panny młodej. No i nosi pani rozmiar dziesięć, a w tym wypadku wybór jest ogromny.

Annę korciło, by ją spytać, co opowiada starszym klientkom o niezbyt zdrowej cerze.

Czyżby nie opychała im żadnych sukni?

Słyszając to, Aggy nieomal zagulgotała. Z budowy była bardziej kanciasta i niższa od siostry, ale braki w wysokości i szerokości nadrabiała hałaśliwością.

Pracowała w agencji PR, specjalizowała się w organizacji imprez i była stworzona do tej pracy. Od dziecka uwielbiała załatwiać najróżniejsze rzeczy, a w kategorii stawiania na swoim nie miała sobie równych. Nikt by jej nie wziął za wykładowcę akademickiego: dziś miała na sobie pikowany płaszczyk i kozaki na wysokim obcasie, a na ramieniu wisiała jej torba Mulberry Alexa. Zawsze żyła intensywnie, na maksa, jakby każdy dzień zapisując wyłącznie wielkimi literami. **WYCHODZĘ ZA MAŻ, ALE JAJA!**

Była młodsza od Anny o dwa lata i pod pewnymi względami obie siostry dzieliła przepaść.

– Pani to zapewne piękna mama pięknej panny młodej. – Sue zwróciła się do ich matki, jakby jej podawała jajko na miękko w domu opieki. – A to musi być urocza siostra i przyszła drużna.

– Judy, Anna – przedstawiły się po kolei, gdy Sue, łapiąc je za ręce, przyglądała im się z miną mającą wyrażać najwyższy stopień ekstazy.

Aggy umówiła się na godzinną prywatną wizytę i teraz upajała się poświęcaną jej uwagą, którą Anna odbierałaby jako narzucanie się jej przez sprzedawczynię.

Anna zdjęła szarą budrysówkę. W przeciwieństwie do swej na wskroś dziewczęcej siostry uchodziła w rodzinie za chłopczycę, sama jednak uważała, że to uproszczenie. Przecież niektóre typowo babskie rzeczy jej się podobały. Na przykład romanse – w sztuce, jeśli nie w życiu, w każdym razie do tej pory – a także sukienki i buty, i wino musujące.

Nie odpowiadały jej tylko różne inne drobiazgi składające się na ową dziewczęcność Aggy.

Takie jak wieczory spędzane na kanapie na studiowaniu „Vogue’a”, separatory palców, lakiery od

Chanel, łyżka wciśnięta w orzechowe lody Ben & Jerry’s, przyspawany do ucha biały iPhone, przez który godzinami plotkowała. Zamiast karocą z dyni, jak u Kopciuszka, Aggy jeździła fia-tem 500 z gumowymi rżęsami na przednich reflektorach i nalepką na zderzaku obwieszającą, ku zmartwieniu saudyjskich nafciarzy, że samochód „jest napędzany magicznym pyłem”.

Na szczęście narzeczony Aggy przypadł Annie do gustu. Jej siostra była zdolna wyjść za

niejednego mężczyznę, którego Anna nie zdołałaby polubić, ale ostatecznie wybór padł na sympatycznego, chłopięcego Chrisa, malarza dekoratora z Hornsey w północnym Londynie. Szczerze kochał Aggy, a co więcej, jeśli zaczynała pieprzyć bez sensu, umiał jej to powiedzieć.

Wesele zaplanowali na Boże Narodzenie, we wspaniałych wnętrzach sali balowej hotelu Langham Hilton. Od czasu rodzinnego obiadu, na którym Aggy pochwaliła się pierścieniem za-ręczynowym z brylantem wielkości luksfera, wprawiając mamę w euforię, Anna czuła

się odrobinę zaniepokojona.

Jedyną rzeczą, z jaką Aggy nie umiała sobie poradzić, były jej własne oczekiwania. Anna potrafiła sobie z grubsza wyobrazić, jak będzie wyglądał cały ślub: Aggy wybierze dokładnie to, co jej się spodoba (zazwyczaj oznaczało to najwyższą półkę), a później znajdzie jakiś sposób, żeby za wszystko zapłacić.

Chris, za każdym razem, gdy Anna go widziała, wyglądał na coraz bardziej markotnego.

W zupełności wystarczyłby mu do szczęścia bufet z zimnymi przekąskami w Fox & Grapes, do-kaąd zawiózłby wszystkich firmową furgonetką, w futrzanej czapce na głowie, z dyndającymi po bokach nausznikami, podśpiewując głośno przeboje puszczone w Smooth Radio.

Anna obawiała się, że w tym tempie jej siostra może zweryfikować swoje priorytety zbyt późno, by zdołała uniknąć poważnego uszczerbku na zdrowiu psychicznym, w relacjach z Chrisem i dla własnej zdolności kredytowej.

– Zaczniemy od bąbelków! – zaproponowała Sue, wskazując srebrną tacę z trzema smukłymi kieliszkami i butelką na stoliku kawowym z marmurowym blatem. Obok znajdował się stos kolorowych magazynów poświęconych modzie ślubnej oraz miska, w której pływały świece w kształcie kwiatów lotosu.

Ledwo Aggy zdążyła zrobić łyk, Sue zawołała:

– Zobaczmy pierwszą suknię!

Kiedy obie zniknęły za zasłoną z paciorków, Anna i mama wymieniły uśmiechy i zaczęły niecierpliwie postukiwać stopami o podłogę.

– Myślisz, że to długo potrwa? – spytała w końcu Anna, wodząc wzrokiem po rzędach rozkloszowanych spódnic.

– Oczywiście, Aureliano! „Póki śmierć was nie rozłączy”.

– Chodzi mi o...

– Ta-dam! – zaśpiewała Sue, odgarniając na bok zasłonę, by Aggy mogła wyjść z przebieralni, trochę niepewnym krokiem w sklepowych szpilkach z kremowej satyny. Miała na sobie suknię na ramiączkach z prostą spódnicą rozszerzającą się ku dołowi i mieniającą się mnóstwem

kryształów Swarovskiego.

– Jaka piękna! – zachwyciła się Judy.

– Anna? – spytała niepewnie Aggy.

– Ładnie ci podkreśla obojczyki. Ale te świecidełka są trochę wieśniackie. Choć mogło być gorzej. Daję jej trzy zaczarowane pantofelki w skali od jednego do pięciu – oceniła Anna. – No i odsłania całkiem sporo biustu.

– Teraz są modne takie odważne kreacje – zauważyła Sue z cokolwiek wymuszonym

uśmiechem. A potem dodała uspokajająco na użytek ich mamy: – Nic tandetnego. Chodzi tylko o zasugerowanie tego, co kryje się pod spodem.

Anna przechyliła głowę.

– Hmm. Z boku to się bardzo rzuca w oczy, a jeśli się pochylisz, żeby pocałować dziewczynkę z kwiatami, będziesz wywijać cyckami na oczach wszystkich.

– Odpada. Nie chcę, żeby jakiś stary napalony pastor miał radochę. – Aggy zakręciła biodrami jak w *Rocky Horror Picture Show*.

– Agato, pastor nie będzie napalony! – oburzyła się Judy. – Co ty wygadujesz?!

– Możemy to przeszyć i podciągnąć – zasugerowała Sue, rzucając Annie spojrzenie, jakby i ją chciała czymś przeszyć.

– Ja cię trącam! – zawołała Aggy. Było to jej najnowsze powiedzonko. – Mówiłam wam już, co się przytrafiło Clare z mojej pracy? Miała suknię bez ramiączek, w drodze do ołtarza druhna nadepnęła jej na tren i wszystko ściągnęła aż dotąd. – Aggy przesunęła dłoń na wysoko-

ści pasa. – Ale Clare mówi, że się nie przejęła, bo wywaliła w Czechach pięć kawałków na im-planty. Potraktowała to – Aggy wycelowała palcami wskazującymi w swoje piersi – na zasadzie: „mamy ucztę, nasyćcie sobie oczy”.

– Dobrze dopasowana suknia chyba nie może aż tak bardzo zjechać? – spytała Judy. –

Musiało być coś nie tak z fiszbinami.

Anna i Aggy wymienili spojrzenia.

– Może, tak jak mówi Aggy, to było celowe, żeby się pochwalić. Może sama otworzyła bufet – powiedziała Anna i wykonała ręką ruch, jakby kręciła korbką, wydając jednocześnie terko-czący odgłos.

– Mogło tak być – zgodziła się jej siostra. – Po alkoholu Clare robi się dość zadziorna.

Marianne mówi, że wino działa na nią jak woda na gremlina. Dawniej pokazywała klientkom napis, jaki dała sobie wytatuować na linii bikini: „Mama na zawsze” w sanskrycie. Aż szefowa musiała jej zwrócić uwagę, bo starsze klientki nie słyszały jeszcze o czymś takim jak moda intymna i mogłyby się wkurzyć.

– Co ma znaczyć to „Mama na zawsze”? – zaciekawiała się Anna.

– Jej mama zmarła na tętniaka w Bluewater⁵). W ten sposób uczciła jej pamięć.

5) Bluewater – gigantyczne centrum handlowe pod Londynem.

– Tatuazem na pipce? – zdumiała się Anna. – Co to za pomysł? Mamo, chciałabyś, żebym tam sobie wypisała „SPOCZYWAJ W POKOJU, JUDY”?

– Nie wiem, czego bym chciała, gdybym umarła – stwierdziła mama. – Ale chyba wolałabym, żebyś na pamiątkę zasadziła figowca w St. Andrew’s.

– To jak? Tę na razie odkładamy? – przerwała im zdesperowana Sue.

Anna miała wyrzuty sumienia, że obok Judy nie siedzi ktoś, kto by się zachwycił i ekscytował na widok sukni, ale w pewnym stopniu każdy przecież odgrywa w rodzinie rolę, jaka mu

przypadła. Nie ulegało wątpliwości, że w ich rodzinie Anna wyciągnęła słomkę z napisem „Głos rozsądku”.

Słyszając, że Judy jest ich matką, ludzie często reagowali niedowierzaniem. Po pierwsze dlatego, że jak na kobietę po pięćdziesiątce wyglądała młodo i robiła sobie kosztowne blond pa-semka. Po drugie – jako że urodziła się w podlondyńskim Surbiton, urodą ani trochę nie przypominała Włoszki. Była aż przesadnie dumna z kontynentalnego pochodzenia córek i zawsze używała ich pełnych

imion. Ojciec, co zabawne, twierdził, że ani „Aureliana”, ani „Agata” nie brzmią tradycyjnie i nie był zachwycony jej wyborem.

– Wasza matka poszła i zgłosiła te głupie imiona za moimi plecami, a potem zwała wszystko na hormony! I to dwa razy! Wyobrażacie sobie?

Anna potrafiła to sobie wyobrazić. Zresztą tata z reguły pozwalał mamie, by postawiła na swoim.

– Mamo. Jak Aggy zapłaci za to wszystko? – spytała półgłosem Anna.

– Dobrze zarabia. I trochę odłożyła. Chris też ma pieniądze.

– Ale nie aż tyle. Nie wydaje ci się, że ona przestaje to wszystko kontrolować?

– To jedyna taka chwila w życiu. Wiem, że ciebie to nie interesuje, ale dla niej to wyjątkowy dzień.

Anna ugryzła się w język. Lepiej pogada o tym na spokojnie z tatą. W ich rodzinie funkcjonowały dwie frakcje. Anna i ojciec reprezentowali tę bardziej trzeźwą i powściągliwą, matka i Aggy – tę mniej rozsądną. Kiedy jej siostra znów się przebierała, Anna pomyślała z niepokojem, że „Śpiąca Królowna” może się okazać zaledwie pierwszym etapem bardzo długiej wędrówki po ekskluzywnych londyńskich sklepach z modą ślubną.

Z przebieralni dobiegł głośny pisk.

– Co się tam dzieje, odpadła jej sztuczna noga? – zdziwiła się Anna.

Sue wystawiła głowę przez burdelową zasłonę i zrobiła teatralną minę.

– Mamy tu coś wyjątkowego – oznajmiła, co Anna odczytała jako: „Chyba ją kupi, więc powstrzymajcie się, suki, od głupich uwag”.

Kiedy wyszła Aggy, na jej twarzy malował się nieco zakłopotany uśmiech. Nie ulegało wątpliwości, że ma na sobie Wymarzoną Suknię – pełna spódnica wróżki Dzwoneczka złożona z kilku warstw połyskującego tiulu oraz mikroskopijny gorsecik bez ramiączek, którego Anna w żaden sposób nie byłaby w stanie zapiąć na sobie. Aggy wyglądała jak baletnica na scenie, zasadniczo wspaniale.

– Och, Agato! – Judy aż się rozplakała i poderwała z krzesła, by ją uściskać.

– Jest niesamowita, mamó. – Aggy pociągnęła nosem. – Czuję się jak księżniczka.

Anna, siedząc spokojnie i czekając, aż mama przestanie się rozplątać w zachwytach, wlała sobie do kieliszka resztki wina.

– A tobie się nie podoba? – zwróciła się do niej Aggy.

– Podoba. Wznoszę toast za sukces. W tej wyglądasz, jakbyś naprawdę wychodziła za

mąż. A to dopiero druga, jaką przymierzasz. Nieźle. Naprawdę pięknie ci w niej. Robi wrażenie, a przy tym jest gustowna.

Aggy obracała się na wszystkie strony, przesuwając i obciągając poszczególne warstwy spódnicy.

– Wiecie, co się mówi, kiedy się trafia na tę jedną jedyną? Właśnie znalazłam coś dla siebie.

Kiedy dobiegła końca faza cmokania, westchnień i zachwyconych spojrzeń, a wniebowzięta Sue popędziła, by zająć się formalnościami, Anna spytała, ile kosztuje suknia.

– Trzy – odpowiedziała Aggy.

Usta Anny zrobiły wielkie „O”.

– I pół – dodała jej siostra. – I jeszcze dwieście pięćdziesiąt. Dokładnie trzy tysiące siedemset pięćdziesiąt funtów. Plus welon.

– Na litość boską, Aggy! Cztery tysiąki za coś, co włożysz tylko jeden raz?

– Nie podoba ci się? – zachnęła się Aggy.

– Wyglądasz w niej prześlicznie, ale mogłabyś wyglądać nie gorzej za połowę tej ceny.

Na efekt końcowy w dużej mierze składasz się ty sama. Jak mówiła Sue, do twarzy ci w większości sukienek.

– Hmm. – Aggy znów obróciła się na pięcie. – Mamó?

– Wyglądasz jak Audrey Hepburn! Albo Darcey Bussell w *Dziadku do orzechów!*

– Jak tak dalej pójdzie, sama zostaniesz dziadkiem proszalnym pod kościołem.

Aggy zachichotała.

Anna była w kropce. Gdyby dalej odradzała siostrze zakup tej sukni, obie z mamą zakwestionowałyby jej motywy. Usłyszałyby, że się zachowuje jak zgorzkniała stara panna, która nie chce, by Aggy była szczęśliwa. A przecież naprawdę nie kierowała nią zawiść. Żeby móc zazdro-

ścić siostrze ślubu, musiałyby najpierw chcieć za kogoś wyjść. Nie myśli się o sukni, a dopiero potem o panu młodym.

– Dopilnuję, żeby na ślubie pojawili się jacyś samotni faceci. Dla ciebie. – Najwyraźniej myśli Aggy podążały w tym samym kierunku.

– Właśnie. Powinnaś wyjść do ludzi i kogoś poznać, Aureliano – dodała mama, jakby to

była ta chwila, w której należało się wreszcie zająć agorafobią starszej córki.

– Spotykam się z ludźmi! – zawołała Anna.

Aggy kręciła włosy w kok i wydymała wargi, wyginając się przed lustrem na wszystkie strony. Judy była pochłonięta rozmową z Sue.

– Wybrałam się na zjazd absolwentów – oznajmiła Anna.

– Poważnie?! – Z wrażenia Aggy wypuściła włosy z dłoni i otworzyła szeroko usta, zapominając o lustrze. – Po co?

– Chciałam się zmierzyć z własnym strachem. Bez sensu, bo nie było się czego bać. Wyobraź sobie, Ags, że nikt mnie nie poznał. Nie wiem, czy mam się z tego cieszyć, czy nie. Michelle mówi, że to dowód na to, że zamknęłam za sobą przeszłość.

– Widziałas... kogoś z nich? – spytała Aggy.

– No... Na przykład Jamesa Frasera. – Anna uśmiechnęła się lekko.

– Jamesa Frasera?! I co mówił?

– Nic. Też mnie nie rozpoznał. Dalej jest taki nadęty, że aż trudno uwierzyć. Miałam

ochotę mu rzucić coś w stylu: „Wiesz, że byłeś bohaterem tylko wtedy, jak miałeś szesnaście lat?

Teraz jesteś nikim”. – Anna zaskoczyła samą siebie gwałtownością, z jaką to powiedziała.

– Nie ma to, jak komuś wygarnąć. Dalej z niego takie ciacho?

– Zależy, czy gustujesz w rozpinanych sweterkach i zrakowaciałej osobowości.

– Chyba nie wygląda teraz jak Elmer Fudd⁶⁾? Nie, to niemożliwe!

– Aggy położyła dłoń na biodrze i z trudem wykonała obrót w swej bajkowej sukni.

6) Elmer Fudd – mało atrakcyjny fizycznie i cierpiący na wadę wymowy myśliwy z kreskówek *Zwariowane melodie*.

Anna uśmiechnęła się.

– Wciąż jest wredny i arogancki, ale jednocześnie przystojny, i oczywiście tylko to się liczy.

– Muszę wziąć kaucję! – powiedziała Sue, znów pojawiając się przy nich, z wyrazem triumfu na twarzy, a Aggy poprosiła depczącą sprzedawczyni po piętach mamę, by podała jej torbę.

Kiedy wychodziły, gorąco żegnane przez Sue, Anna czuła wyraźny niepokój z powodu

rozrzutności Aggy.

Pożegnały się szybko z mamą, bo pogoda była paskudna, a ona spieszyła się na autobus do Barking. Anna próbowała jeszcze przemówić siostrze do rozsądku.

– Krawcowa mogłaby ci przecież uszyć identyczną suknię za ułamek tej ceny.

– Marianne tak zrobiła, ale to nigdy nie wygląda równie dobrze, naprawdę. Potem przez cały dzień tylko myślisz o tej drugiej sukni.

– Jeśli przez cały dzień myślisz o sukni, to i tak coś jest nie halo.

Aggy ignorowała tego rodzaju uwagi.

– Teraz musimy się zająć twoją kreacją! Poszukamy czegoś odpowiedniego, ale najpierw

chodźmy coś zjeść.

– Dobra. Tylko obiecaj mi: nic odjechanego.

– No co ty! Będiesz w niej wyglądać tak pięknie, jak jeszcze nigdy.

– Poprzeczkę zawiesiłaś niezbyt wysoko – uśmiechnęła się Anna.

Aggy spojrzała na nią, jakby się wahała, czy coś jej powiedzieć.

Jak na nią, było to bardzo nietypowe zachowanie.

– Wiesz, że nie miałam pojęcia, co wtedy szykowali. Na „Twoje

przeboje”. Krzyczałam, żeby przestali.

– O Boże, wiem. Nie zamartwiaj się. – Anna poczuła znajome nieprzyjemne ukłucie bólu i poniżenia. Choć tyle razy zapewniała siostrę, że nie ma do niej pretensji, iż stała wtedy na wi-downi, ten temat wciąż powracał.

Oczy Aggy zaszklily się i Anna poklepała ją po ramieniu. Jak zwykle pocieszenie Anny zakończyło się tym, że to Anna musiała pocieszać siostrę.

– A kiedy pan Towers kazał nam pozbierać te wszystkie cukierki – powiedziała zapłaka-na – przysięgłam sobie, że nie zjem ani jednego.

Rozdział 14

Godzinę przed pojawieniem się Ewy w domu, w którym kiedyś mieszkali razem, James wziął prysznic i przebrał się w strój do biegania. Chciał jej pokazać, że ciągle jest aktywny, męski i wcale za nią nie tęskni ani nie popadł w depresję.

Przemknęło mu przez myśl, żeby porzucić wszędzie kartony po jedzeniu na wynos, zrobić sobie cienie pod oczami, przepłukać usta whisky, by było ją czuć w jego oddechu, i przybrać cierpiętniczą pozę, ale bał się, że skutek okazałby się odwrotny do zamierzonego. Uznał, że może ją odzyskać, tylko jeśli uświadomi jej, jaką głupotę zrobiła, rzucając go. Eva nigdy by

nie pokochała faceta przegranego.

Tak czy siak, czekało go upokarzające przedstawienie do odegrania. Starał się o tym za

bardzo nie myśleć, kiedy zawiązywał sznurówki w sportowych butach, mocniej, niż to było konieczne.

Mijały dwa miesiące, odkąd Eva ni z tego, ni z owego oznajmiła mu, że odchodzi, choć pobrali się zaledwie dziesięć miesięcy wcześniej i w najgłębszym przekonaniu Jamesa dosłownie nic nie wskazywało na to, by mogła być niezadowolona. Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to to, że wydawała się odrobinę nieobecna duchem. Sprawiała wrażenie, jakby nie umiała sobie znaleźć zajęcia, gdy tylko skończyli się urządzać.

Teraz tkwił w tym pustym domu obciążonym hipoteką wielką jak młyński kamień, w krainie gustownych tapet, dziecięcych wózków przed

frontowymi drzwiami i cappuccino bez kawy.

W miejscu, gdzie planował założyć rodzinę.

Eva znów miała „wpaść po kilka rzeczy”. Będzie się kręcić po domu i trzaskać szafami, jakby wszystko wyglądało normalnie. Jakby niedawno nie wydarzył się ten sobotni poranek, kiedy mu kazała usiąść, wbiła pięść między jego żebra, wyrwała wciąż bijące serce i zmieliła je na miazgę o konsystencji karmy dla kota.

Prócz domu zostawiła mu na głowie jeszcze jedną kłopotliwą i kosztowną pamiątkę – Luthera. Był to kot perski, jeden z tych rodowodowych zwierzaków, które wyglądają tak nierealnie i sztucznie, że można by je sprzedawać w sklepach z zabawkami. Miał gęste, bujne futro koloru popiołu z papierosa i cokolwiek niesamowite oczy, przypominające ruchliwe żółte kamyki, a na jego pyszczku malował się permanentny wyraz dezaprobaty czy może przestępczych skłonności – James nie mógł się zdecydować, co jest bardziej prawdopodobne. Eva bardzo poważnie potraktowała słowa hodowcy, który ostrzegł ich, by nie wypuszczać kota z domu, bo może się to dla niego źle skończyć, w rezultacie czego ich nowy nabytek de facto trafił do niewoli.

Swe imię zawdzięczał piosence Luthera Vandrossa *Never Too Much*, przy której po raz pierwszy ze sobą tańczyli. Z perspektywy czasu tytułowe „nigdy za wiele” brzmiało nader ironicznie, bo w ich przypadku nie oznaczało nawet roku. Zważywszy że to Eva wymyśliła, by ku-pili Luthera, Jamesa zdumiało – a zarazem mocno zirytowało – kiedy usłyszał, że zamierza mu

go zostawić.

– Zna już ten dom, a u Sary nie ma dla niego miejsca. Okazałabym się egoistką, gdybym go zabrała – usłyszał.

Z drugiej strony, jeśli Eva potrafiła porzucić męża, to tym bardziej kota.

Zadzwiećwał dzwonek. Na powitanie żony James spróbował przybrać wyraz twarzy, który nie sugerowałby jednoznacznej wrogości, ale zarazem nie sprawiał wrażenia fałszywego uśmiechu.

Wciąż nie pojmował, jak Eva mogła mu zrobić coś takiego – po trzech latach, odkąd się poznali – a ilekroć ją widział, zawsze

go uderzała jej oszałamiająca uroda. Była niewiarygodnie piękna, wprost nie do opisanego słowami. Nie tylko zachwycała zmysły, ale i urzekała poczucie es-tetyki. Doskonałymi proporcjami i symetrią. Twarzą w kształcie serca i wydatnymi ustami, które w pierwszej chwili wydały mu się zbyt szerokie, ale wystarczyło parę sekund, by zdał sobie sprawę, że to najwspanialsze usta, jakie kiedykolwiek widział. Skośnymi oczami, dołeczkami w policzkach i włosami – olśniewającą jasną grzywą naturalnej blondynki.

Kiedy czegoś chciała, wiedziała, jak oczarować rozmówcę. Rozpuszczała luźno włosy, a potem delikatnie chwyciła kosmyk między palec wskazujący i kciuk i ostrożnie odgarniała go z twarzy za ucho, lekko rozchyliwszy wargi, ani na moment nie przerywając kontaktu wzrokowego.

W początkach ich znajomości James sądził, że robi to bezwiednie, nie zdając sobie sprawy, jakie to szalenie uwodzicielskie. Ale pewnego razu wyskoczyli na weekend do Paryża, tam wybrali się do restauracji i przez nieostrożność straszliwie przekroczyli budżet. Nie dość, że jedzenie było zabójczo drogie, to jeszcze zamówili wino i pomylili się, przeliczając jego cenę na

funty. Kiedy James zobaczył rachunek, omal nie zemdleł.

– Ja to wyjaśnię – powiedziała Eva. Poprosiła kelnera i odezwała się do niego łamaną francuszczyzną, choć biegle władała tym językiem, posyłając mu to swoje spojrzenie, a James w niemym zachwycie obserwował cały spektakl.

Facet, snobistyczny paryżanin, który niejedno już widział, gapił się jak zahipnotyzowany i zgodził się wyłącznie dlatego, że go poproszono, policzyć im o połowę mniej za zakurzoną butelkę Chateau d'O Bože, Kopnąłem Się O Jedno Zero.

Gdyby Eva nie uczyła plastyki, z pewnością mogłaby zostać policyjną negocjatorką albo modelką reklamującą szampony.

Stojąc teraz w drzwiach, wyglądała świeżo jak stokrotka, najwyżej na dwadzieścia pięć lat, pełna gracji, w spiętym paskiem jasnoszarym płaszczu z kapturem i obcisłych dżinsach w kolorze indygo. James, jakkolwiek urażony tym, co zrobiła, pragnął, dosłownie łaknął, by z

powrotem skoczyła mu w ramiona, wołając: „O co nam właściwie poszło? Ależ ze mnie idiotka!”.

– Cześć. Wybierasz się gdzieś?

James spojrział na swoje ubranie. Kompletnie zapomniał, co włożył.

– Nie, skąd. To znaczy, właściwie tak. Kiedy wyjdiesz.

– Możesz mnie przecież zostawić, nie ukradnę ci odtwarzacza DVD. Nie ogoliłeś się? Za-puszczasz brodę?

James odruchowo dotknął podbródka.

– Może. A co?

Był gotów rzucić jej jakąś zgryźliwą uwagę, że to już nie jej sprawa, ale Eva zdążyła stracić zainteresowanie tematem.

– Mój kotek! – zawołała.

Wspaniale. Przywitała się z mężem tonem chłodnym jak arktyczny mróz, a rzuciła się podekscytowana ku ponuremu persowi z hodowli wsobnej.

Zgrabnie ominęła Jamesa i pomknęła do siedzącego na schodach Luthera, podniosła go

i przytuliła się do jego jakby rozgniewanego pyszczka o pustym, nic nierozumiejącym spojrzeniu.

– Jak się ma moje wesołe kudłate maleństwo?

Tego kudłatego maleństwa James zaczynał już szczerze nienawidzić. „Wesołe?”. Jak

można tak mówić o zwierzęciu, które z wyglądu przypomina pulchnego dyktatora w jednoczę-

ściowym moherowym dresie?

– A co u ciebie? – spytała jakby po namyśle.

Wkurzyła go tym pytaniem. Doskonale wiedziała, że duma nie pozwoli mu na uczciwą odpowiedź, a cokolwiek innego powie, Eva poczuje się tym bardziej rozgrzeszona.

– Po staremu. A u ciebie?

– Dziękuję, w porządku. W tym roku trafili mi się wyjątkowo fajni uczniowie. Naprawdę bardzo sympatyczni.

– Nie wątpię.

Eva pracowała w prywatnej szkole z czerwonej cegły w Bayswater,

a to, jak doskonale umiała panować nad klasą, nie pozostawało bez związku z jej urodą. Nieraz wracała do domu z wykonanym przez jakiegoś podkochującego się w niej ucznia nieudolnym rysunkiem blondynki o pełnych ustach, niekiedy unoszącej się w wodzie jak Ofelia. Malowali swoją nauczycielkę pod byle pretekstem, przy każdej okazji, a poirytowany James musiał potem oglądać te bohomazy rozgorączkowanych nastoletnich wielbicieli przyklejone do drzwi lodówki.

– Tu są kropelki do uszu dla Luthera. – Rzuciła torebkę na stół i wyjęła z niej opakowanie. – Dwa razy dziennie. Może mu wypływać brązowa wydzielina, ale to normalne.

- Fantastycznie. Nie mogę się doczekać.
- Zabiorę trochę ubrań z pokoju dla gości.
- Nie krępuj się.
- Nie musisz być ciągle taki... nonszalancki.

James przewrócił oczami.

Eva ruszyła na górę, a Luther zsunął się do kuchni, machnięciem ogona okazując, jak bardzo jest zde gustowany tym, że James nie potrafił utrzymać przy sobie kobiety.

Jasnobrązowa torba na ramię, z której Eva wygrzebała kropelki dla kota, leżała kusząco otwarta. James zauważył w niej złożoną kartkę papieru i odczytał nazwisko. „Finn Hutchinson, 2013”, a do tego mnóstwo całusów. Semestr ledwo się zaczął, a uczniowie już ją malują? Zaintrygowało go to. Jeśli się zachowywał jak zazdrosny odrzucony kochanek, to dlatego, że nim był.

Nasłuchając odgłosów z piętra, wyjął kartkę. Był to właściwie gruby karton o wyraźnej fakturze, w rodzaju tych, jakie można kupić w sklepach dla artystów. Rozłożył go i zobaczył na-szkicowany węglem wizerunek swojej nagiej żony. Siedziała na oparciu kanapy z rękoma odrzuconymi do tyłu i włosami zwisającymi jak węże, wpatrując się w niego bezwstydnie spod cięż-

kich powiek.

Mógł to być oczywiście jeszcze jeden hołd złożony Evie. Coś jednak podpowiadało Jamesowi, że rysunek został wykonany z natury. Świadczyły o tym zwłaszcza wiernie oddane szczegóły.

Odkąd się poznali, Eva zawsze depilowała sobie woskiem bikini, pozostawiając tylko

pionowy pasek w kształcie cygara. Lekko naszkicowana linia między udami jednoznacznie wskazywała, że artysta znał ten detal z autopsji. Włosy łonowe jako obciążający dowód.

James zostawił rozłożony portret na stole i oparł się o ścianę. Wypuścił powietrze i splótł

ramiona. Poczł mdłości, ogarnął go lodowaty chłód, ale panował nad sobą. Każda minuta spę-

dzona przez Evę na górze wydawała mu się wiecznością.

Rozdział 15

Kiedy Eva wróciła na dół, zorientowała się, co się stało. James delektował się tą chwilą przejmującej ciszy.

– Grzebałeś w moich rzeczach? – warknęła. Miał ją. Jeśli żywił jeszcze jakiegolwiek wątpliwości co do tego, że znalazł prezent od jej nowego faceta, właśnie je rozwiła.

– Zostawiłaś otwartą torebkę. Co to jest? – spytał głuchym tonem.

– Rysunek. Widziałeś je już wcześniej.

– Zamierzasz mnie okłamywać? W obliczu czegoś takiego?

– Dlaczego uważasz, że cię okłamuję?

– Dlatego, że to nie jest żadna fantazja, tylko twój prawdziwy portret. Myślisz, że nie potrafię rozpoznać własnej żony?

Milczenie. Twarz jej stężała, ramiona zadrżały i zaczęła płakać. Ku swej irytacji James odruchowo poczuł się winny jej łez. Wiedział, że nim manipuluje, i wezbrała w nim wściekłość.

– Przestań się mazać! Płaczem niczego nie zdziałasz. To ty to zrobiłaś, mnie, nam! Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz? Że jak ja się czuję? Uważasz, że zasługuję na to, żeby się dowiadywać o twoim romansie z nabazgranych cycków?

– Z nikim nie romansuję! – zachlipała.

– Jakiego słowa wolisz użyć?

– Wiedziałam, że tak zareagujesz na Finna, choć nic mnie z nim nie łączy.

– Nie, no skąd? Prócz tego, że się z nim pieprzysz, nic was nie łączy, prawda? Ile to już trwa?

Kiedy usłyszał, że postanowiła od niego odejść, spytał, czy ma kogoś innego, a ona kategorycznie zaprzeczyła.

Eva potrząsnęła głową.

– Przed naszym rozstaniem do niczego nie doszło.

– No jasne. Gdzieżby inaczej. Oczywiście, że najpierw skończyłaś ze mną, a to się zaczę-

ło dopiero potem. Dzięki za definicję uczciwości à la Bill Clinton.

Eva energicznie pokręciła głową.

– To nie tak.

– Ująłem to zbyt prostacko? O rozwaleniu naszego małżeństwa zdecydowały jakieś wyż-

sze, duchowe potrzeby, a nie to, że sobie znalazłaś kogoś innego? To by było zbyt banalne, prawda? I stawiałoby cię w złym świetle. Broń Boże, nie używajmy tak gównianego określenia jak ZDRADA.

James coraz bardziej podnosił głos, a Eva wycierała łzy na policzkach. Pochyliła głowę, aż włosy opadły jej na oczy. To nie były wyrzuty sumienia, ale taktyka, która miała sprawić, by

to James poczuł się winny, on jednak nie dał się nabrać.

– Kim on jest?

– Kilka razy był modelem na zajęciach z rysowania postaci.

Poznaliśmy się bliżej dopiero niedawno...

– Jak blisko? Tak blisko? – James rozsunął ręce. – Niech zgadnę.

A może tak? – złożył dłonie.

Eva pokręciła głową i pociągnęła nosem.

Zaraz. Finn. Model na zajęciach. Opowiadała o nim. Poznała go na inauguracji, poszła tam ze swoją przyjaciółką Hatty, tą od reklam restauracji. zaproponował, że może pozować jej uczniom, a ona odparła, że szkoły na niego nie stać. Kilka tygodni później opowiadała rozbawiona, niby lekceważącym tonem, jak to się zjawiał w ich szkole ten facet „w typie modela z najwyż-

szej półki”, żeby pozować na zajęciach, zrzucił ubranie i flirtował z zarumienionymi uczennicami najstarszej klasy.

James przypomniał sobie, jak to wtedy skomentował. „Koleś stał na golasa i flirtował?

Podziwiam pewność siebie”. Eva sprostowała, że w strategicznych miejscach zasłonił się ręcznikiem. Wspomniała też coś o tym, że jest wschodzącą gwiazdą i właśnie podpisał kontrakt z dużą agencją modeli.

James uświadomił sobie teraz, dlaczego bezczelny Finn okazał się tak wspaniałomyślny,
pozując *pro bono*.

Eva żartowała wtedy ze swych uczennic, zastanawiając się, ile z nich zadurzyło się w tym facecie. Z perspektywy czasu James dostrzegł całą jego perfidię. Najpierw poznał Evę, a dopiero potem przyszedł pozować na zajęciach, żeby tym gestem jej zaimponować.

– Ile on ma lat?

– Dwadzieścia trzy.

James położył dłoń na czole.

– Dwadzieścia trzy? Co ty... Kręć cię teraz gówniarze? Jak w *Haroldzie i Maude*?

– Jasne, najlepiej wszystko obśmiać, tak jak ty to potrafisz. Po co się bawić w dojrzałą rozmowę.

– A czego ty się spodziewałaś? Że jak się będę zachowywał? Że spokojnie i ze zrozumieniem przyjmę do wiadomości, że sypiasz z kimś innym?

Omam nie spytał: „Jak ty byś się czuła w odwrotnej sytuacji?”, ale w porę się zorientował, że takim pytaniem nie umocniłby swej pozycji.

Pokręciła protekcyjnie głową, jakby to James miał powody do wstydu.

W tym momencie zdecydował się im przerwać Luther. Zdradziecki worek kudłów wylą-

dował u stóp Evy, wydając z siebie żalosne popiskiwanie. Wzięła go na rękę i zaczęła pocieszać z wielkim uczuciem, jakby to James właśnie niszczył ich wspólny szczęśliwy dom i rozdzierał kotu serce.

– Nie sypiam z nim – powiedziała Eva sponad olbrzymiego wiewiórczego ogona Luthera, ale nie zabrzmiało to przekonująco.

James pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Bądź tak dobra i zostaw go w spokoju.

Eva pochyliła się i wypuściła kota.

– Spotykamy się na kawie. Jeden jedyny raz byłam u niego w mieszkaniu. Żeby mu pozować. Interesuje się sztuką.

– Co ty...? Mam uwierzyć, że potem jakby nigdy nic włożyłaś stringi i zjedliście po jo-gurcie? A tak w ogóle to mu powiedz, żeby nie rezygnował ze swojego głównego zajęcia. Bo na tym rysunku wyglądasz jak Richard Branson⁷⁾.

7) Richard Branson – brytyjski przedsiębiorca, jeden z najbogatszych ludzi w Wielkiej Brytanii.

– Dla mnie pozowanie nie stanowi wielkiego problemu. To Brytyjczycy mają zahamowania i w nagości widzą tylko seks.

– Finn, jak rozumiem, pochodzi ze Skandynawii? Nie? Też jest Brytyjczykiem i w dodatku heteroseksualnym? No tak. Więc twierdzisz, że do niczego nie doszło?

– Tak. Już ci mówiłam.

Jej wahanie co do tego, jak określić, czym dokładnie się zajmowali, w uszach Jamesa brzmiało gorzej, niż gdyby otwarcie się przyznała. Równie dobrze mogłaby wziąć nóż, wyciąć mu klapkę w brzuchu i wcisnąć do środka zimną łyżkę.

– Jeśli robiłaś z nim rzeczy, za które by was aresztowano, gdyby się to działo w miejscu publicznym, to znaczy, że z nim sypiasz. Wybacz, że jestem taki staromodny. Jako twój mąż przywiązuję ogromną wagę do szczegółów.

Zapadła cisza, bo Eva nie próbowała już nic prostować.

– To coś poważnego?

– Nie wiem.

– Więc po tym wszystkim „nie wiesz”? – James złapał się za głowę. – Doprawdy wolał-

bym, gdybyś powiedziała, że owszem, to jest miłość twojego życia i dlatego musiałaś tak postąpić.

James wyobrażał sobie, jak ten cały Finn gapi się na Evę, dotyka jej, liże ją... i miał

ochotę się rozplakać, zwymiotować, walnąć pięścią w ścianę.

– A może to przez to, że nie jesteś w stanie zrozumieć, że nie chodzi tu o kogoś innego.

Właśnie takie podejście spowodowało, że się od siebie oddaliliśmy.

– A co to, kurwa, ma znaczyć?

– To, że skoro poczułam coś do Finna, to chyba coś między nami było nie tak.

James z trudem przełknął ślinę. Jabłko Adama mu nabrzmiało.

– Odwracasz kota ogonem – odparł, starając się zapanować nad głosem. – Istotą małżeń-

stwa jest to, że człowiek się opiera pokusom ze strony innych ludzi.

Eva z opuszczonym wzrokiem sięgnęła po torebkę.

– Odkąd się pobraliśmy, wszystko się pozmieniało. Może to kwestia nadmiaru rutyny. Nie potrafię tego wyjaśnić.

– W małżeństwie pewna doza rutyny jest nieuchronna, tak to działa. Mamy dom, mamy pracę.

Spojrzała na niego z pogardą, jakby chciała powiedzieć: „Doprawdy? Tak to widzisz?”.

– Mam czekać, aż zdecydujesz, czy odeszłaś na dobre, czy nie? – spytał, a w jego głosie nie pobrzmiwały już takie emocje jak przed chwilą.

– O nic cię nie proszę, James.

Znów była opanowana, bez śladu skruchy. Cała Eva.

Doprowadzająca go do szału, absolutnie pewna siebie, a on niestety był w niej beznadziejnie zakochany. Nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby powiedzieć albo zrobić. Każda groźba byłaby tylko blefem bez pokrycia. Kiedy ktoś ma twoje uczucia gdzieś, to albo cię porzucił, albo odkrył, że dysponuje pełnią władzy.

– Możemy pogadać, jak już się uspokoisz. – Otworzyła drzwi i zostawiła Jamesa opadłego z sił na kanapie.

Naprawdę tak to wyglądało? Uwięził Evę jak chłopiec trzymający motyla w słoiku po

dżemie i patrzył, jak się dusi? Co za brednie! Eva nie była bezradną, trzepoczącą się istotą, a w północnym Londynie nie brakowało tlenu. Przedstawiała wszystko, jakby to wyłącznie James zaprojektował ich wspólne życie i uwięził ją w środku. Przecież oboje tego chcieli.

Każdy szczegół w tym domu nosił piętno Evy, wyjąwszy jego konsolę PlayStation 4.

Ale okazał się nudny. Życie z nim okazało się nudne. Jak to zmienić? Co zrobić, by znów zainteresować kogoś sobą? Pragnął to naprawić. Choć w tym momencie nienawidził Ewy, przez którą tak cierpiał, czuł się od niej uzależniony jeszcze bardziej niż dotąd.

Kiedy miał osiem lat, a rodzice usiedli z nim i oznajmili mu, że się rozstają, nie rozumiał, dlaczego tata nie może z nimi pomieszkiwać od czasu do czasu. Najpierw byli razem, a teraz w ogóle mieli się nie spotykać? Przecież to bez sensu. Prosił tatę, żeby zostawał choć na weekendy. Albo w środy. Środy były fajne. W telewizji leciały *Wojownicze żółwie ninja* i zwykle jedli makaronowe kokardki z czerwonym sosem.

Mama z tatą tylko się uśmiechnęli, smutno i z wyrozumiałością. A teraz rozpadało się jego własne małżeństwo i choć wiedział już, dlaczego rodzice nie mogli uratować związku, cofając czas, wcale nie był pewny, czy rozumie ich lepiej.

No i mimo wszystko Eva nie wspomniała tego słowa na „r”. Znajdą ją, można się spodziewać, że go poinformuje esemesem. „Kup coś Lutherowi na kaszel. PS Papiery rozwodowe w drodze”.

James próbował odegnać ponurą myśl, najgorszą ze wszystkich, jeszcze gorszą niż świadomość tego, że ją posuwa jakiś przygłup w czapce smurfa i džinsach bez paska. „Jeśli nawet ona wróci, jak mógłbyś kiedykolwiek jeszcze jej zaufać?”.

Zamknął oczy. Gdy je znów otworzył, na dywanie przed sobą zobaczył Luthera. Kot spoglądał na niego oskarżycielskim, nieprzyjaznym wzrokiem, sapiąc jak Darth Vader.

– Chodź no tu, ty wredny palancie.

James podniósł zwierzaka i przycisnął go do twarzy, by wypłakać łzy w jego gęste futro.

Pachniało jej perfumami.

Rozdział 16

Kiedy Anna miała osiem lat i pojechali w odwiedziny do włoskich krewnych, tata zabrał

ją na wycieczkę do Rawenny, by jej pokazać mozaiki. Podczas gdy mama, z Aggy w roli zakupo-wej stażystki, biegała po butikach, Anna stała z wyciągniętą szyją w świętej ciszy bazyliki San Vitale. Ojciec

opowiadał jej w skrócie historię bizantyjskiego cesarza Justyniana i jego małżonki Teodory.

To wystarczyło, by ją zafascynować. Annę urzekły dzieje córki tresera niedźwiedzi w hi-podromie w Konstantynopolu, aktorki, prostytutki (po tym wątku tata prześlizgnął się, wspominając tylko, że „zarabiała na przygodach”, ale Anna nie była głupia) i wreszcie wschodniorzymskiej cesarzowej. Wpatrywała się w wizerunek urodziwej władczyni uwieczniony w tych maleń-

kich błyszczących płytkach i czuła, jakby te ciemne oczy, lśniące niczym lampy, nawiązywały z nią bezpośredni kontakt, komunikując się poprzez stulecia.

Było to przeżycie nieomal mistyczne; wrażenie znalezienia czegoś, czego się szuka, przeistoczenia się w jednej chwili. Rodzina Alessi nie należała do religijnych, ale w pewnym sensie Teodora stała się dla Anny bóstwem. Inspirującą kobietą, która odbyła w życiu wyjątkowo długą podróż i na własnym przykładzie pokazała, że punkt startu nie musi określać człowieka na zawsze. Była bohaterką, wzorem do naśladowania. Owszem, na jej drodze do sławy miały miejsce różne ekscesy z wykorzystaniem wszystkich trzech dziurek, czego Anna nie zamierzała próbować. Ale poza tym...

Rodzice próbowali zaspokoić jej nowo odkryte pragnienie wiedzy jedną z tych bogato ilustrowanych książek w twardej oprawie w rodzaju *Krótkiej historii wszystkiego, co się wydarzyło*.

Połknęła ją w kilka dni i chciała więcej. W końcu mama pozwoliła jej pożyczać książki na swoją kartę biblioteczną i Anna mogła sięgnąć po poważniejsze opracowania, nie wyłączając solidnej biografii z drastycznymi szczegółami.

Książki pokazały Annie inne krainy, uświadamiając jej, że poza Rise Park istnieje wielki świat. Nie byłoby przesadą stwierdzenie, że uratowały jej życie. Nigdy nie rozumiała, dlaczego niektórzy znajomi uważają historię za coś nieciekawego i pokrytego kurzem. Młoda Teodora w szóstym wieku naszej ery wiodła życie nieskończenie barwniejsze niż ktokolwiek z nich tysiąc pięćset lat później, bez względu na to, co zdaniem Jennifer Pritchard⁸) działo się w parku Mayesbrook.

8) Jennifer Pritchard – brytyjska projektantka ekskluzywnych

sukien ślubnych.

Niektórzy zostali nauczycielami, ponieważ uwielbiali przekazywać wiedzę – a może raczej pouczać innych ludzi. Kiedy już udało się jej

przewyciężyć lęk przed publicznymi wystąpieniami – dzięki terapii i praktyce, a na samym początku również za sprawą buteleczki ginu –

Anna polubiła prowadzenie wykładów i ćwiczeń. Największych jednak emocji dostarczały jej badania naukowe. To wtedy przeżywała chwile olśnienia, czując się jak pierwszy śledczy, który dotarł na miejsce zdarzenia i znalazł kluczowy ślad. Wówczas ze zwykłego konsumenta historycznych faktów przeistaczała się w kogoś, kto sam uzupełnia wiedzę na dany temat o coś nowego.

Miała wrażenie, że zatoczyła koło, i wpadła w euforię, kiedy przesympatyczny John Herbert, kurator działu historii Bizancjum w Muzeum Brytyjskim, skontaktował się z nią i spytał, czy nie zechciałaby mu pomóc w zorganizowaniu ekspozycji poświęconej Teodorze. Tkwiące w niej dziecko, które kiedyś, gapiąc się jak urzeczone na ten pozłacany sklepony sufit, przeniosło się do innej epoki, teraz tańczyło z radości.

Anna tłumaczyła teksty, pomagała wybierać eksponaty i je opisywać. Nie wyobrażała sobie niczego bardziej cudownego niż takie bawienie się kawałkami przeszłości, wskrzeszanie zmarłych, choćby i w bardzo ograniczonym stopniu. Dotąd tylko w minimalnym zakresie zdarza-

ło się jej uczestniczyć w przygotowywaniu wystaw; teraz miała okazję poszperać w Muzeum Brytyjskim. Po raz pierwszy stała się zakulisową twórczą siłą sprawczą. Od miesięcy z własnej woli pracowała do późna nad ekspozycją.

Kiedy szła na pierwsze zebranie w związku z operacją „Teodora”, cieszyła się każdą sekundą spaceru przez Bloomsbury, do tego stopnia, że uśmiechała się głupkowato do mijanych po

drodze nieznanym. Była to część stolicy wytworna i elegancka jak luksusowa bombonierka, Londyn filmu i telewizji. Ciche, szerokie ulice, zielona przestrzeń Russell Square, czerwone budki telefoniczne, które teraz same stały się zabytkami, istniejącymi tylko po to,

by zagraniczni tu-ryści mogli sobie w nich robić zdjęcia, porywacze dzwonić z żądaniem okupu, a „gabinety masażu” reklamować swoje usługi.

Zjawiała się przy tylnym wejściu do muzeum jak VIP. Kiwnęła głową na powitanie znajomemu portierowi, wpisała się do książki, po czym pomaszerowała do sali konferencyjnej – no-woczesnej, lśniącej bielą, ze stolikami ustawionymi w podkowę, jakby miała się tu odbyć próba czytania do jakiejś sztuki. Anna zdecydowanie wolałaby sfatygowane drewno i skórę, pokrzepiający bałagan i drobiny kurzu tańczące w żółtawym jesiennym świetle. Porządek i jarzeniowe lampy zanadto przypominały jej szkolne klasy.

Na jej widok John uśmiechnął się przyjaźnie.

– A oto bohaterka tej chwili. Poznajcie wszyscy Annę Alessi z UCL – zawołał. – Naszą akademicką łączniczkę i ekspertkę. Ktoś mógłby sądzić, że to ja jestem tutaj znawcą, ale w rzeczywistości pełnię tylko rolę trochę bardziej doświadczonego sklepikarza. Bo to ona wybiera produkty, sprawdza, co się nadaje do sprzedaży, i, że tak powiem...

Kiedy John ją przedstawiał, Anna powiodła wzrokiem po sali, uśmiechając się i skinie-

ciem głowy witając kolejne znajome osoby, aż nagle napotkała spojrzenie Jamesa Frasera.

Niemal podskoczyła ze zdumienia, niewykluczone, że wydając równocześnie jakiś odgłos. Jej beztroska radość uleciała tak gwałtownie, iż mogły temu towarzyszyć efekty dźwiękowe. Miała świadomość, że przybrała odpychający wyraz twarzy, ale było za późno, by to zmienić. „Co to, kurrrrwa...?”.

James wyglądał na mocno zbitego z tropu, choć nie tak zjeżonego jak ona.

John tymczasem mówił dalej:

– ...A to jest James od naszych cyfrowych pomocników z agencji Parlez. Kieruje całym projektem, natomiast jego kolega Parker zajmuje się sprawami technicznymi...

Anna wymamrotała niewyraźne powitanie pod adresem chudego dwudziestokilkulatka

o asymetrycznych włosach i z hukiem opadła na krzesło. Zaczęła wyjmować notatki, pochyłona nad torbą, by nie musieć wymieniać spojrzeń z nikim w sali. Serce waliło jej jak młotem. Słyszała pulsujące zastawki, jakby były podłączone do wzmacniacza. Jak, do diabła, to się stało? Co to za groteskowy żart płatano jej tym razem?

Rozdział 17

Zebranie trwało dalej i kiedy John omawiał tematykę wystawy, Anna skojarzyła fakty.

John wspomniał kiedyś o konieczności zaangażowania fachowców od marketingu i komunikacji, żartując, że przydałoby się zainstalować „cyfrowe kible”. A na szkolnym spotkaniu Laurence napomknął, że James „pracuje w agencji reklamowej, mają mnóstwo dużych i ważnych klientów”.

Co za makabryczny zbieg okoliczności. Zaraz też przemknęło jej przez głowę, że gdyby nie poszła na zjazd absolwentów, teraz zyskałaby przewagę. James w dalszym ciągu nie miałby pojęcia, kim ona jest.

Oto skutki błyskotliwych pomysłów na zmierzenie się z własnymi demonami. Ani się obejrzała, jak dostała po dupie. Owe demony nie miały się przecież zmaterializować kilka dni później w granatowym swetrze od Johna Smedleya, na płaszczyźnie zawodowej. Przy czym tym razem, w odróżnieniu od zjazdu absolwentów, została przedstawiona z nazwiska. Czy teraz ją rozpozna?

O Boże, miała nadzieję, że nie. Nie sposób było stwierdzić, czy się zorientował. Jedyne, co mogła zrobić, to starać się zachować rezerwę, godność i lodowate panowanie nad sobą.

Dyskusja toczyła się dalej; głównie odzywał się John. Wreszcie oznajmił:

– A teraz powinienem oddać głos Jamesowi, który przedstawi nam plany wielokanałowej strategii dotyczącej...

Siedzący w sali akademicy przyglądali się z uprzejmą obojętnością, gdy Parker obu dłońmi zaczesywał sobie włosy do góry.

– Yhm... no tak... dziękuję... – James odchrząknął. – Oczywiście najważniejsza rzecz,

jaką będziemy projektować, to oficjalna aplikacja wystawy na urządzenia mobilne z systemami iOS, Android i tak dalej. To przede wszystkim pozwoli nam odpowiednio rozreklamować imprezę i zapewni zainteresowanie mediów.

Rozejrzał się po sali, a Anna pomyślała kwaśno: „I po co ta cała gadka? Przecież już cię wynajęli”. Czuła, że jest zdenerwowany, ale nie miała żadnego interesu w okazywaniu mu współczucia.

– Aplikacja będzie zawierać bogate materiały graficzne z wystawy oraz przygotowane przez państwa teksty. Nie chcemy po prostu przerabiać elementów ekspozycji, ale stworzyć coś odrębnego, stanowiącego wartość samą w sobie, z oryginalnymi treściami. Myśleliśmy o paru gadających głowach...

– Znaczący, o ekspertach, którzy by coś opowiadali, nie o tym starym zespole Talking Heads⁹⁾ – wtrącił Parker, wsadzając sobie długopis za ucho i szczerząc zęby w uśmiechu.

9) *Talking Heads* – ang. gadające głowy.

– Starym – zachichotał John Herbert.

– Właśnie. Dzięki, Parker – powiedział James, a oczy mu się zwężyły. – Chcemy też stworzyć ekspozycję wirtualną, z cyfrową wersją eksponatów, którymi nie dysponujemy bądź których nie da się przetransportować. Myśleliśmy, żeby się odwołać do postaci z mozaik, wynajęć aktorów w kostiumach i nakręcić sceny z ich udziałem. Mogliby się poruszać w tej przestrzeni. Wirtualna Teodora, Justynian i tak dalej.

Anna nie wytrzymała i wtrąciła się, zanim ktokolwiek zdążył ją powstrzymać.

– Mam rozumieć, że te obracające się trójwymiarowe skany ludzkich głów będą centralnym punktem ekspozycji? – Dla podkreślenia swych słów zamachała rękoma, a jednocześnie pomyślała: „Sama nie wiem, o co mi właściwie chodzi, ale brzmi to na tyle gniewnie, że nikt się nie odważy roześmiać”. – I że nie przewidziano żadnych opisów? – dodała.

Między naukowcami a autorami koncepcji plastycznej często dochodziło do drobnych sporów w tego rodzaju kwestiach, które Anna

pragnęła teraz podkreślić.

– Przy każdym eksponacie będzie miejsce na opis. Opracowany przez państwa – zapewnił

James, z miną profesjonalisty, która miała sugerować, że traktuje swych rozmówców nad wyraz poważnie.

– Na ile słów?

– Około stu pięćdziesięciu.

– To niewiele.

– Wydaje mi się, że istnieje pewien limit informacji, jakie ludzie są w stanie przyswoić sobie, oglądając pojedynczy eksponat.

– Spodziewamy się, że wystawa przyciągnie sporo gości nawykłych do czytania – rzuciła uszczypliwie Anna.

– Z naszych badań wynika, że powyżej stu pięćdziesięciu słów ludzie zaczynają się prze-

ślizgiwać wzrokiem po tekście – wyjaśnił James, stukając długopisem w notatnik.

– A co właściwie mają wnosić do ekspozycji ci pałętający się aktorzy? Czy zwiedzającym trzeba przypominać, jak wyglądają ludzie? Od czasów Teodory i Justyniana nie zmieniliśmy się zbyt. Oni bynajmniej nie mieli chwytnych czterech kończyn.

James zamrugął.

– Zależy nam na ożywieniu eksponatów. W naszych działaniach kładziemy nacisk na doświadczeniowość.

„Doświadczeniowość?”. Ci ludzie zawsze mają na podorędziu takie wymyślane słowa.

– A mnie chodzi o to, że będą odciągać uwagę od mozaik, które chyba są tu najważniejsze, nieprawdaż? – zauważyła Anna. – Czy nie skończy się to tak, że zwiedzający, zamiast oglądać eksponaty, będą spędzać czas na grach wideo?

James przechylił głowę na bok i zrobił minę człowieka usiłującego z pełną powagą odpowiedzieć na pytanie, które uważa za głupie.

– Nie „zamiast”, ale „również”. Żeby pomóc ludziom wyobrazić sobie tamten świat i ożywić sceny. Przypiszemy poszczególne filmy do konkretnych przedmiotów, by zwiedzający mogli oglądać tylko to,

co ich interesuje. – James zrobił pauzę. – To nowoczesny sposób angażowania odbiorcy.

– No właśnie, w tym cały kłopot z historią. Ona nie jest nowoczesna.

– Ale ludzie, którzy przyjdą na wystawę, są. Czy obywa się pani także bez energii elektrycznej?

Zabrzmiało to tylko częściowo jak żart i wszystkie plecy w sali konferencyjnej zeszytniały. Z wyjątkiem Parkera.

– Istota aplikacji polega na tym, że stanowi ona coś innego niż sama wystawa, jej uzupeł-

nienie – oznajmił James tonem mającym podkreślać ostateczność tej opinii.

– Nie rozumiem, po co się skupiać na tworzeniu czegoś, czego tam nie ma, by odwracać uwagę zwiedzających od rzeczy, które tam są. Zupełnie jakby eksponaty same w sobie nie były wystarczająco ciekawe.

– Chodzi o narrację. Ludzi zainteresuje przede wszystkim Teodora jako postać, prawda?

To ona jest tematem tej wystawy. Wraz z Justynianem. Oboje stanowią historię, którą chcemy opowiedzieć. – Wigorem James nie ustępował teraz Annie. Był to ten rodzaj chłodnej uprzejmo-

ści, która coraz bardziej napina smycz, by w końcu przybrać formę prawdziwej impertynencji.

– Tak, ale nie w konwencji tabloidowego romansu sprzed kilkunastu wieków.

– Justynian Bieber – parsknął głośno Parker. Wszyscy w sali spojrzeli na niego zimnym wzrokiem.

– Widzimy to z różnych perspektyw, ale cele mamy identyczne – wtrącił się John. – Poczekaj, aż to zobaczysz, Anno. Aplikacja z królewskimi rękopisami naprawdę wyglądała nieźle.

Może James by ci ją pokazał?

James skinął głową. Anna kipiała.

– Rozważamy kilka motywów związanych z tematyką wystawy, które by nam pomogły zrealizować naszą stronę przedsięwzięcia zgodnie z państwa wizją fundamentalnego przesłania imprezy.

„Wizja fundamentalnego przesłania”! Jakby omawiali kampanię

reklamową. „Kup dwa

Bizancja! Trzecie gratis!”. Tak rozumują ci wszyscy kolesie od marketingu, pomyślała Anna.

W kategoriach reklamy, efekciarstwa i wodotrysków w portalach społecznościowych. Równie dobrze mogliby lansować irchowe ściereczki do szyb jako oryginalne wyroby z szóstego wieku.

James Fraser rzeczywiście przypominał Dona Drapera z *Mad Men*.

James odchrząknął.

– Zastanawialiśmy się między innymi nad motywem jakiegoś średniowiecznego cacka,

które można by wykorzystać w internetowych zapowiedziach imprezy...

– Cacka? – powtórzyła Anna takim tonem, jakby trzymała to słowo między palcem wskazującym a kciukiem w maksymalnie odsuniętej od siebie dłoni.

– Tak... – potwierdził James, ale tym razem miał na tyle przyzwoitości, by okazać zażenowanie.

– No wie pani, cacko, jakaś błyskotka, superasna, zajebista, odlotowa... – zaczął Parker.

– Pomyśleliśmy, że w czytelny sposób podkreślaliby to bogactwo epoki – przerwał mu

desperacko James. – Oczywiście możemy wspólnie popracować nad tym.

– Bardziej przyciągałby uwagę motyw dziwki, ale zrodziłoby to problemy w przypadku młodszych odbiorców, w wieku szkolnym – wyjaśnił Parker poważnym tonem, jakby cytując ko-goś innego.

Szkoła. Anna poczuła nagłą suchość w gardle.

– Na razie tylko rzucamy pomysły, nic jeszcze nie jest przesądzone – zapewnił James.

– Szczerze mówiąc, mam wątpliwości co do użycia słowa „dziwka” – łagodnym głosem

odezwał się kurator John. – Wydaje się trochę nadmiernie wartościujące w odniesieniu do kobiety.

– Właśnie. Chyba byśmy nigdy nie zatytułowali wystawy:

„Czyngis-chan – mongolski

wojownik, pies na baby”? – zauważyła Anna.

Parker wyglądał, jakby szykował się do udzielenia odpowiedzi na retoryczne pytanie.

– Chcemy podkreślić, że Teodora była wyjątkową, ambitną kobietą. Nie jakąś... kurtyzana, której się poszczęściło, bo złapała odpowiedniego męża – ciągnęła Anna. – Zresztą więcej w tym było tańca i burleski. To była artystka...

Wkroczyła na bardzo grząski teren. Teodora wiodła cholernie wyuzdane życie seksualne.

Ale Anna nie zamierzała pozwolić, by jakiś facet z acidhouse'owym uśmieszkiem, kolczykiem w uchu i imieniem jak szofer z *Thunderbirds* 10), jak gdyby nigdy nic szargał reputację jej uko-chanej bohaterki.

10) *Thunderbirds* – brytyjski serial kukielkowy dla dzieci, nadawany w latach 60. XX w.

Jedną z postaci był Aloysius Parker.

– No dobra, ale w Wikipedii piszą o tym jej popisowym numerze z sypaniem jęczmienia do... no tam, na dole, który potem wydziobywały gęsi – upierał się Parker. – To było dość mocne.

James przetarł oczy w taki sposób, jakby próbował ukryć twarz w dłoniach.

– No cóż, chylę czoło przed kimś, kto czerpie wiedzę z Wikipedii – odparła Anna. Napię-

cie w sali konferencyjnej sięgnęło zenitu.

– Gdybyśmy mogli się wkrótce spotkać, żeby nagrać pytania i odpowiedzi, bardzo by

nam to pomogło – stwierdził James z kamienną twarzą, niemal sarkastycznie akcentując ostatnie słowo.

– Też tak sędzę – powiedział nerwowo John. – Przydałoby się, Anno, żebyś się niebawem

spotkała z Jamesem i przy kawie znalazła z nim wspólny język. Dopilnuj, żebyśmy wszyscy byli zadowoleni z obranego kierunku. Mam

przecucie, że to będzie bardzo owocna współpraca.

Anna posłała Jamesowi spojrzenie, które mówiło, że prędzej mu wyrwie prostatę, niż odnajdzie z nim wspólny język, i na tym zebranie się zakończyło.

Rozdział 18

Anna pędziła na uczelnię, jakby wiatr dodawał jej skrzydeł. Tyle że tym razem niosła ją nie radość, ale energia kinetyczna głębokiego wzburzenia.

Czy James Fraser ją rozpoznał? Nie sposób było stwierdzić. Instykt podpowiadał jej,

że nie. W żadnym momencie na jego twarzy nie dostrzegła nagłego przeblýsku. Niewiele jednak z tego wynikało.

Teraz znał jej nazwisko, a wcześniej widział ją na zjeździe absolwentów. Jeśli jeszcze się nie połapał, nastąpi to wkrótce. Wcześniej czy później musi skojarzyć. Alessi. Mogła być Anną, nie Aurelianą, ale nosiła niecodzienne nazwisko. Taką aliterację łatwo zapamiętać. Nie ulegało wątpliwości, że lada moment przyjdzie olśnienie. Przy następnym spotkaniu będzie się jej przyglądał z wyrazem triumfalnej złośliwości na twarzy, a na koniec rzuci: „Przypomniałem sobie, my się znamy...”.

Formalnie rzecz biorąc, nie miało to oczywiście znaczenia. W żaden sposób nie mógłby wykorzystać tej informacji, żeby zaszkodzić Annie na płaszczyźnie zawodowej, wyjąwszy nieprzyjemne plotki z zespołem pracującym przy wystawie. Trudno było wyjaśnić, dlaczego wydawało jej się to taką katastrofą.

Przewyciężyła szkolną traumę, podążając do przodu i nigdy nie oglądając się za siebie.

Wszystkie pamiętniki nieadekwatnie zatytułowane *Przyjaciele na zawsze* schowała do pudła i zamknęła na strychu wraz ze wspomnieniami. Zmieniła imię. W końcu zmieniła swój wygląd.

Na spotkanie absolwentów poszła ze świadomością, że jeśli tylko zechce, w każdej chwili będzie mogła wyjść. Przede wszystkim zaś nigdy nie przypuszczała, że natknie się tam na Jamesa Fräsera. Ten niespodziewany zwrot odebrała, jakby ktoś na górze szydził z jej zuchwałości. Jakby Bóg mówił jej: „Skoro próbujesz ingerować

w ustalony porządek rzeczy, to Ja ci pokażę twoje miejsce w szeregu”.

Więc miała pracować z potworem, który jak gdyby nigdy nic rozdarł jej papierową zasłonę, z kimś, kto znał jej przeszłość – i to akurat z nim, ze wszystkich ludzi? Nigdy nie sądziła, że te dwa światy kiedykolwiek się zetkną. Miała ochotę się rozplakać. Co za nieprawdopodobny pech. „Ze wszystkich knajp we wszystkich miastach na całym świecie...”.

– Szybsza od armatniej kuli! – zawołał za nią Patrick, kiedy wpadła na portiernię.

Na jego widok poczuła żalną, przytłaczającą wdzięczność. Oto ktoś, kto nigdy jej nie osądzi, nigdy nie wykpi, nie zdradzi ani nie ośmieszy. Wśród takich ludzi pragnęła przebywać.

Stanowili jej bezpieczną przystań, w której człowieka oceniano tylko wedle jego potencjału umysłowego. Oceny dostawało się wyłącznie za wypracowania, nie za obwód w talii, dochody, luz czy ubranie.

– Zebranie się udało? Dalej chcesz się zajmować Teosią?

– Patrick, to był koszmar – odparła, usiłując zapanować nad drżeniem głosu, co nie do końca jej się udało.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się i położył jej rękę na ramieniu.

Anna zerknęła na portierkę Susan. Już nadstawiała uszu, wietrząc skandal.

– Wyskoczmy na kawę? Przejdziemy się po Russell Square?

Patrick spojrział na zegarek.

– Dla ciebie wszystko.

– Strasznie ci dziękuję – powiedziała Anna, wyraźnie sprawiając mu radość tym nagłym i gorącym zaproszeniem. – Nie chcę robić przedstawienia.

Kiedy usiedli na ławce w parku z latte na wynos, Anna zaczęła:

– Pamiętasz, jak ci mówiłam, że mam złe wspomnienia ze szkoły? No więc zespołem z agencji reklamowej pracującym przy wystawie kieruje największy dupek ze wszystkich, który się wtedy nade mną znęcał.

– Znęcał się? – Patrick bawił się saszetką z cukrem.

– Tak. Widziałam go na zjeździe absolwentów. To, co przeżyłam, było gorsze... Skrzywdził mnie bardziej, niż ci mówiłam. To znaczy, w liceum.

– O Boże, Anno... Chcesz powiedzieć, że on cię...? Zostałaś...? – Patrick unikał jej wzroku. Anna uświadomiła sobie, że chyba niewłaściwie zinterpretował jej słowa.

– Nie aż tak. Skończyłam szkołę, kiedy miałam szesnaście lat. Nie zostałam... Wciąż by-
łam...

Poczuła, że się rumieni, a Patrick z ulgą kiwnął głową i położył jej rękę na ramieniu.

– W liceum byłam... inna – wyznała i wzięła głęboki oddech. – Znacznie grubsza.

Na twarzy Patricka malowało się skrajne zatroskanie. Anna zapomniała o jego skłonno-

ściach do nadmiernej opiekuńczości. Te skrzydła zdawały się nie mieć końca.

– Ten człowiek był dla mnie szczególnie okrutny. Podstępnie namówił mnie, żebym z nim wystąpiła na scenie, a potem pół szkoły obrzuciło mnie cukierkami i wyzwiskami.

– Dobry Boże – westchnął Patrick.

– Nie poznał mnie na zjeździe. Ale teraz zna moje nazwisko. Patrick, boję się, bo będę musiała znów się z nim zobaczyć. Przypomni mi szkołę, a ja się wtedy rozplaczę. Wiesz, że praca zawsze była dla mnie bezpiecznym miejscem, w którym nie musiałam się martwić o takie rzeczy.

Nie chcę dramatyzować, ale... Czuję się jak ktoś objęty programem ochrony świadków, kogo właśnie odnaleźli gangsterzy.

– To straszne. – Patrick zamilkł. – I jeszcze ten zbieg okoliczności. Myślisz, że to ma coś wspólnego z tym, że pojawiłaś się na zjeździe absolwentów?

– Nie, nie. To czysty przypadek. Wyobraź sobie. Jak podwójny cios. Nie widziałam tego idioty przez szesnaście lat, a tu nagle w ciągu dwóch tygodni spotykam go dwa razy.

Anna westchnęła ciężko i pociągnęła łyk kawy.

– Powinnam zrezygnować z tej wystawy. Ale tak bardzo chcę w niej uczestniczyć, zresztą nie umiałabym wymyślić przekonującej wymówki.

– Nie wolno ci rezygnować. Mówiłaś mi, że to najwspanialsza chwila w twojej karierze zawodowej. Nie możesz pozwolić, żeby ten bałwan ci ją zepsuł. Poza tym, jak już mówiliśmy, to może być przełomowe wydarzenie w twojej pracy na uczelni. Zamilkli.

– A może to jego należałoby się pozbyć? – odezwał się Patrick.

– W jaki sposób? Przecież nie pójdę do Johna Herberta i nie powiem, że facet podle się wobec mnie zachował w szkole.

– A gdyby zrobił coś podłego teraz?

– To znaczy?

– Myślisz, że może ci coś powiedzieć przy następnym spotkaniu?

– Tak. Moim zdaniem jest z natury wredny, a ja go dodatkowo zirytowałam na tym zebraniu.

– Więc go sprowokuj. Niech się zachowa wobec ciebie po chamsku. Wtedy pójdiesz do

Johna i mu oświadczysz, że nie możesz z kimś takim pracować, bo masz konkretne powody osobiste, i z agencji przyślą kogoś innego.

– Ha! No tak, to by mogło się udać... Zależy tylko, co dokładnie mi powie.

– Potraktuj to jak polisę ubezpieczeniową. Jeśli nie uraczy cię niczym rzeczywiście nieprzyjemnym, poradzisz sobie. A jeżeli zacnie z ciebie drwić, przypieczętuje swój los.

Anna rozważyła jego słowa. Pomysł, by przejąć inicjatywę i odpłacić się pięknym za na-dobne, ośmielił ją. Jakby przywdziała mentalną zbroję.

– Dzięki. To dobra rada.

– Robię, co mogę. – Patrick znów poklepał ją po ramieniu.

– Jesteś moim kudłatym bohaterem z Pandarii. – Uśmiechnęła się do niego.

Patrick rozpromienił się.

Anna z natury unikała konfrontacji. Podczas gdy Patrickowi

zdarzało się wybuchnąć na

leniwych studentów, ona zawsze starała się znaleźć dla nich zrozumienie. Nigdy przecież nie znamy całej prawdy o drugim człowieku. Lubiła roztrząsać wszelkie hipotetyczne usprawiedliwienia. „A może ma kłopoty finansowe? A może na coś choruje?” („Na lenia” – dopowiadał Patrick).

Ale potraktować z buta Jamesa Frasera? Uznała, że do tego byłaby zdolna.

Rozdział 19

Pod koniec długiego tygodnia Anna siedziała przy barze w piwnicznej kawiarni kina Soho Curzon, z płaszczem, torebką i lampką czerwonego wina. Nie chciała się podnosić i przyglądać każdemu wchodzącemu mężczyźnie i miała nadzieję, że Grant ją rozpozna.

Spóźniał się już kwadrans, ale Annie to nie przeszkadzało. Wiedziała, że niektóre kobiety przywiązują dużą wagę do punktualności, podsuwania im krzesła i innych tego rodzaju przejawów dobrych manier, ona jednak aż tak się tym nie przejmowała. Dopóki jej towarzysz sprawiał

wrażenie, że ją szanuje, i nie nalegał, by piła więcej, niż miała ochotę, wykazywała dużą tolerancję. Poznawanie facetów było wystarczająco skomplikowane, więc po co jeszcze zaprzętać sobie głowę takimi drobnostkami?

Lubiła ten lokal i często do niego wpadała, nawet jeśli nie szła na film, by znad gorącej czekolady pogapić się na ludzi. Kiedy w mieście na górze życie toczyło się gorączkowym rytmem, w tej oazie spokoju można było usiąść i pograć się w myślach.

W przeciwieństwie do Anny Michelle nie pochodziła z Londynu, przeniosła się tutaj z po-

łudniowo-zachodniej Anglii dopiero wtedy, gdy zdecydowała się na wyższą szkołę gastronomiczną, dlatego patrzyła na stolicę oczami przybysza z zewnątrz. Jej zdaniem było to jedno z najgorszych miejsc do przeżywania chandry i jedno z najlepszych do cieszenia się życiem.

Anna wiedziała, o co jej chodzi. Idąc na zebranie w Muzeum Brytyjskim, słyszała w głowie piosenki Beach Boysów; wracała z niego przy dźwiękach Joy Division.

Kiedy była nastolatką i w szkole przytrafiło jej się coś szczególnie paskudnego, szła z książką do parku Mayesbrook, by spacerować, czytać, a potem znów spacerować. Przekonała się, że siedzenie w swoim pokoju i rozmyślanie nad tym, co może przynieść następny dzień, jest niezdrowe.

Dlatego, choć po incydencie z Entuzjastą Urynoterapii Erotycznej zamierzała odczekać nieco dłużej, zanim znów się z kimś umówi, szybko doszła do wniosku, że nie chce się zdręzczać myślami. Poza tym Grant, sądząc po tym, co do niej pisał, sprawiał wrażenie ogromnie nią zainteresowanego. W serwisach randkowych każdy był dostępny tylko przez ograniczony czas. Jeśli się go spławiło, przechodził do następnej pozycji na liście – do kogoś, kto mógłby go zaanektować na dobre.

Zwlekając, Anna ryzykowała, że przegapi miłość swojego życia. Może to Grant jest tym jej przeznaczonym, a ona zniszczy wszystko z powodu Neila sado-maso i Jamesa Frasera. Szkoda gadać! Tak, znów powróciła logika loterii. Ale jakie masz szanse na wygraną i zdobycie pała-cu z ogrodem, po którym będą biegały dwa bulmastify wabiące się Pucci i Gucci?

Jej babcia Maud uważała, że każdy, kto po trzydziestce pozostaje samotny, ma „problem”.

I sam musi ustalić, na czym on polega. „A jeśli nawet z początku go nie dostrzegasz”, tu babcia zawieszala głos dla większego efektu, „szybko się zorientujesz, w czym rzecz”.

Aggy wdychała te laseczki wąglika babcinej mądrości z szeroko otwartymi oczami. Lice-alistka Anna, w martensach z namalowanymi flamastrem pacyfami i bakłażanowym pasemkiem we włosach, osiągnęła już wiek, w którym zaczyna się kwestionować autorytet starszego pokole-nia.

– A jeśli ktoś owdowiał i dlatego jest sam? Jeżeli na tym polega jego problem?

– Tak też bywa. Bo kto by chciał kogoś, kto tęskni za kimś innym, kogo mieć nie może?

W takim związku zawsze jest się tym drugim.

A co stanowiło problem w przypadku Anny? Babcia Maud zmarła i, chyba na szczęście, nie zdążyła wyrazić swojej opinii.

– Cześć, jesteś Anna?

Siedziała pogrążona w myślach, przeglądając zapowiedzi filmów w repertuarze sieci Curzon.

– Cześć! Grant?

– Napijesz się czegoś?

– Chętnie, dziękuję – powiedziała Anna.

– Dobra, tylko daj mi chwilę... – Grant zrzucił z siebie gruby płaszcz i położył przy nogach krzesła aktówkę.

O kurde. Trzymaj się. Był całkiem przystojny. Ciemny blondyn, włosy zaczesane za uszy, wydatny nos, wysoki, szeroki w ramionach, wyglądał jak ktoś, kto mógłby zwyciężyć w regatach albo dostać drobną rolę kobieciarza z wielkimi bokobrodami w *Downton Abbey*.

Na zdjęciach wydał jej się atrakcyjny, ale jak zawsze powściągnęła emocje, dopóki go nie zobaczy żywego. Pracował na nie byle jakim stanowisku – dyrektora do spraw komunikacji w dużej organizacji charytatywnej. Anna poczuła dreszcz wyczekiwania i poprawiła sukienkę na

wełnianych rajstopach. Po uwadze Neila o tym, że jest „mało kwiecista”, splótła włosy w warkocz i upięła go w kok, nałożyła więcej makijażu i kupiła bardziej obcisłą sukienkę niż zwykle.

Nie było to trudne – wszystko, co sprzedawali w Topshop, mogłoby służyć za opaski uciskowe.

Grant postawił przed sobą szklankę kronenbourga.

– Przepraszam za spóźnienie. Kiedy wychodziłem z pracy, podrzucili mi jeszcze coś do zrobienia.

– Tak, wiem, jak to jest. – Pauza. – Lubisz swoją pracę? – spytała Anna.

– Na ogół tak. Zwłaszcza odkąd odeszła moja ostatnia szefowa, Ruth. Słowo daję, w życiu nie spotkałem większego tyrana. Doszło do tego, że razem z kilkoma kolegami złożyliśmy na nią formalną skargę. Skończyło się na postępowaniu dyscyplinarnym i zrobiła się jeszcze gorsza.

Zastanawialiśmy się, czy w ogóle warto znów iść na skargę... Od czego są kadrowi? Ruth nie miała pojęcia, jak nas oceniać, nigdy

tego zresztą nie robiła, i jeszcze to... – Grant uniósł rękę i zakłapał dłonią, jakby to był dziób strusia – „Ma być tak, jak mówię”. Daliśmy sobie spokój.

Teraz siedzi w Doncaster.

– O kurczę... – powiedziała Anna, zastanawiając się, czemu tak bardzo się rozgadał na temat Ruth. Może z powodu świeżych wspomnień.

– Jak to się stało, że znalazłeś akurat taką pracę?

– W komunikacji? Dobre pytanie. Skończyłem farmakologię. W Newcastle. Wtedy wydawało mi się to słuszną decyzją i zrobiłem dyplom z wyróżnieniem, ale potem zacząłem się zastanawiać, czy naprawdę chcę pracować w tym zawodzie. To dobry kierunek, nie zrozum mnie źle, ale z natury bardziej mnie pociąga komunikacja, lubię rozmawiać z ludźmi.

„Raczej do nich przemawiać” – pomyślała Anna, próbując uciszyć swój buntowniczy wewnętrzny głos.

– No więc przeniosłem się do Londynu i zaczęło się od tego, że mój brat pracuje w bran-

ży IT i pomyślałem, że może to by było coś dla mnie.

Popracowałem trochę u niego przy różnych zleceniach, no i szło mi całkiem, całkiem. Brat twierdził, że dobrze sobie radzę, więc pomyśla-

łem, że, wiesz, może to jest coś bardziej dla mnie. A potem pojechałem do Indonezji z moją dziewczyną... Cha, cha! Powinienem powiedzieć: „moją byłą dziewczyną”...

Grant pochylił się w stronę Anny i ścisnął jej ramię – uspokajająco, choć można by też uznać, że z nadmierną pewnością siebie.

– Ta podróż zmieniła moje spojrzenie na świat. Niesamowite miejsce. Byłaś tam?

Anna pokręciła głową, przygryzając policzek, bo uświadomiła sobie, że za sprawą tej odpowiedzi spędzą teraz rok w Indonezji. I rzeczywiście – Grant zaczął opowiadać o tym kraju, jego topografii, obyczajach, kuchni, a potem... o BUTACH? Jakie tam ludzie noszą buty?

O Jezu.

Anna siedziała oszołomiona. Na każdy temat Grant gadał jak najęty. Słowa wylewały się z niego niczym z odkręconego kranu. Wystarczyło go spytać o cokolwiek, by zalał człowieka informacjami, aż po kostki, tak że nie pozostawało nic innego, jak wezwać pogotowie kanalizacyj-ne.

Najpierw ją to przygniotło, potem zaczęło drażnić, później wprawiło w wisielczy humor, a na koniec stało się nudne, potwornie nudne. Po godzinie nie wiedziała już, co robić z twarzą, by nie wyglądała jak u kogoś, kto przez okno spadającego samolotu patrzy na zbliżającą się ziemię.

W ramach odwetu mogłaby sama wdać się w monolog, ale właściwie po co? Granta nie interesowało zadawanie pytań, a Anna była pewna, że jeśli tylko nie przedstawi jej zaświadczenia, iż cierpi na zespół chronicznego gadulstwa i w świetle prawa nakłada to na nią obowiązek umówienia się z nim jeszcze raz, nigdy więcej się nie spotkają.

Grant opowiadał teraz o orangutanach z Sumatry, którym grozi zagłada, i o tym, jak go

zaatakowały swymi dłońmi o długich palcach. Akurat ta historia mogłaby być ciekawa, gdyby nie to, że najpierw musieli się cofnąć w narracji do drobiazgowego opisu przygotowań, jakie poczynił przed spotkaniem z naczelnymi. Zaczynając od kupionych na lotnisku pasztecików z serem i cebulą.

Anna odcinała kolejne cumy i odpływała coraz dalej. Zostawiła Granta przedzierającego się właśnie przez dżunglę i zajęła się układaniem w myślach listy zakupów w supermarkecie oraz dwóch mejli, które musiała wysłać w pracy.

– Jeszcze po jednym? – spytał Grant, skończywszy drugie piwo. Anna nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zrobi tych parę ostatnich łyków.

– Nie, dziękuję. Przepraszam, ale... – zerknęła na zegarek – muszę się spotkać ze znajomymi.

– Aha – powiedział Grant, wyraźnie się zastanawiając, czy mu zaproponuje, by poszli tam razem.

Annie zrobiło się go żal. Nienawidziła samej siebie za tę słabość, za to, że ciągle się nad wszystkimi lituje, nawet jeśli odznaczają się

wrażliwością na poziomie „skóry zagrożonego za-gładą nosorożca”.

Kiedy się żegnali na ulicy, zachowała znaczący dystans. Nie wyobrażała sobie, by Grant mógł uznać, że randka tak bardzo się udała, iż wypadałoby się pocałować, ale z drugiej strony nie rozumiała w nim wielu rzeczy.

– Powinniśmy to powtórzyć – oznajmił.

– Yhm...

Podawała mu rękę na pożegnanie. Potrząsnął nią, odrobinę skonsternowany.

– Dzięki. Miło cię było poznać, ale chyba będę szukała dalej.

– No tak... Aha... – Grant przygładził włosy. – Mam rozumieć, że nie chcesz mnie więcej widzieć?

– Nie wydaje mi się, żeby między nami zaiskrzyło – odparła. Znow to iskrzenie. Słowo, w którym kryje się tysiąc grzechów.

– Co masz na myśli? – spytał.

– Jakąś... więź. – Anna położyła dłoń na piersi, a potem machnęła nią w powietrzu w jego stronę. – Między nami.

– Myślałem, że dobrze nam się rozmawiało.

„Nam”! Czy jeśli ktoś idzie na wykład o zmianach klimatycznych, to wychodzi potem z niego w przekonaniu, że wspaniale mu się gawędziło z Alem Gore’em? Uczciwość zmagala się w Annie z okrucieństwem, a frustracja i podłe czerwone wino sprawiły, że zwyciężyło to drugie.

– Mówiłeś głównie ty. – Wypowiadając te słowa, poczuła się podle i niezręcznie. Jakie to

smutne stać na ulicy i wyjaśniać komuś, dlaczego do siebie nie pasujecie.

– Zadawałaś mnóstwo pytań – zauważył Grant, marszcząc brwi.

– Chyba tak – odrzekła, pragnąc, by wreszcie było po wszystkim. Może Michelle zaraz zadzwoni, żeby jej powiedzieć, gdzie są, zamiast wysłać esemesa, i zakończy tę agonię. – Przykro mi.

Nie da się uprzejmie komuś powiedzieć – zresztą nie ma to sensu – że nie nadajemy na

tych samych falach i nigdy nie będziemy, a już sam fakt, że facet tego nie dostrzega, tylko potwierdza słuszność diagnozy.

Zadzwoił telefon Anny.

Kochała Michelle tak czy siak, ale w tym momencie pokochała ją bardziej niż słońce, słodczyce i orangutana imieniem Herkules, który walnął Granta w czoło.

Rozdział 20

W purpurowym świetle wieczoru Anna dostrzegła Michelle przed lodziarnią Gelupo. Sta-

ła na ulicy, szurając nogami i zaciągając się bezdymnym e-papierosem, który przypominał aplikator do tamponów.

– Nie można tego palić w środku? – zdziwiła się Anna, kiedy do niej podeszła.

– Penny tam siedzi – wyjaśniła Michelle, krzywiąc się.

– Aha.

– Już się zdążyłyśmy poprzytykać. Najpierw ostentacyjnie podarowała piątaś jakiemuś facetowi siedzącemu w bramie, a potem zaczęła głądzić, jak to nie rozumie ludzi, którzy dają tylko funciaka, bo ona zawsze daje tyle, żeby starczyło na porządny ciepły posiłek. Na co ja stwierdzi-

łam, że raczej na porządną działkę hery. No i zaraz usłyszałam, że się kieruję stereotypami na temat biedaków, itepe, itede. – Michelle zapiszczała jak gryzoń, parodiując głos Penny. – Nie wkurzyłaby mnie ta jej świętoszkowatość, gdyby choć pracowała w opiece społecznej i po prostu się zirytowała tym, co powiedziałam, ale przecież tego piątaś i tak dostała od Daniela. Czemu ci

współczujący hipisi zawsze są największymi egoistami pod słońcem?

Anna roześmiała się. Dobrze znała te tyrady na temat Penny.

– Nie chcę tam wracać. – Michelle położyła głowę na jej ramieniu.

– Nie skusisz się na lody?

Michelle skapitulowała.

– Przekonaj się, po ilu sekundach ci powie coś niemiłego albo się dowartościuje twoim kosztem. Wejdź i licz.

W ciepło oświetlonym wnętrzu lodziarni, utrzymanym w kolorze morskiego błękitu i bieli, Anna zamówiła dla siebie i Michelle po czekoladowo-kawowej granicie i poczuła się winna, kiedy Penny

pomachała do niej entuzjastycznie z drugiego końca sali. Granitę serwowano w wa-flowych rożkach wielkości kapelusza czarnoksiężnika, ale Anna, która nigdy do końca nie wyła-

czała w głowie kalkulatora kalorii, wybrała gałki w miseczce.

– Jak tam randka? – spytała Penny, kiedy usiadły, i odgarnęła znad swoich różowych lo-dów długie proste włosy. Miała twarz okrągłą jak księżyc w pełni, wielką grzywkę, która zdawała się jej wyrastać z tyłu głowy, i dźwięczny głos. Podobnie jak w przypadku Daniela wydawał się stworzony do wypowiedania wyłącznie uprzejmych uwag. Ale w odróżnieniu od Daniela tylko się taki wydawał.

– Katastrofa. Było tak nudno, że marzyłam o zagięciu czasoprzestrzeni i popatrzeniu w przyszłość.

– Nie masz szczęścia do facetów. Ciekawe dlaczego.

Michelle zerknęła na zegarek, tak by nie uszło to spojrzeniu Anny.

– Niełatwo znaleźć kogoś tego samego rodzaju, by zacytować piosenkę – odezwał się Daniel, wyjmując łyżeczkę z ust.

– Nie przyszło ci do głowy, że może jesteś zbyt wybredna? – spytała Penny z głową przechyloną na bok.

Po drugiej stronie stolika Michelle narysowała palcem w powietrzu cyfrę „jeden”.

– Zawsze, kiedy ktoś przez dłuższy czas pozostaje sam, ludzie tak mówią. Nie chodzi

o to, że wybrzydzą, bo faceci nie są ideałem, jaki sobie wymarzyłam, możesz mi wierzyć. Oni się nawet nie zbliżają do niego – westchnęła Anna.

– A poza tym tego typu analizy wygłasza się tylko pod adresem singli. Nikt nigdy nie zapyta się żadnej pary, czy im się nie wydaje, że nie byli wystarczająco wybredni – rzuciła Michelle z promiennym uśmiechem.

– Chodzi mi o to, ile można się dowiedzieć po jednej randce – powiedziała Penny. –

Z kim się dzisiaj umówiłaś?

– Z Grantem.

– No dobrze. I może on w tej chwili siedzi sobie i myśli: „Kurka wodna!”. – Anna zapomniała o upodobaniu Penny do języka

i manieryzmów z amerykańskiego Południa lat dwudziestych ubiegłego wieku. – „Jakże bym chciał raz jeszcze umówić się z tą Anną, ale pokpiłem sprawę”.

Penny machnęła dłonią, jednocześnie pstrykając palcami.

Anna patrzyła na nią pustym wzrokiem.

– A może gdybyś się z nim spotkała drugi raz, magia by zadziałała!

– Penny pstryknęła palcami obu dłoni, uśmiechając się radośnie.

Zazwyczaj to Michelle traciła do niej cierpliwość, ale tego wieczoru przyszła kolej na

Annę.

– Nie mam czasu na spotkanie się dwa razy z każdym, kto mi się nie podoba, skoro szukam kogoś, kto by mi odpowiadał. I być może znaczy to, że nie znajdę Faceta Moich Marzeń.

Szczerze mówiąc, jest całkiem prawdopodobne, że jeśli kiedykolwiek istniał, to rozminęliśmy się lata temu. Może czekaliśmy obok siebie na to samo metro późną nocą w dwa tysiące drugim roku na King's Cross, w ostatniej chwili przeszedł kawałek dalej po peronie i nigdy nie zamieniliśmy słowa. Teraz mieszka w Kuala Lumpur i posuwa swoją nową narzeczoną, a ja rozglądam się już tylko za Facetem, Który Akurat Jest Dostępny. Ale nie rozumiem, dlaczego miałoby mnie to

zmuszać do marnowania wieczorów w towarzystwie Pana Dobra Rada, żeby udowodnić, że nie jestem wybredna. Może z perspektywy związku wygląda to na romantyczną przygodę, ale to

męka. W dodatku strasznie dołująca. Przed każdym spotkaniem zaczynasz myśleć, że może to

ten, którego szukasz, ale szybko zdajesz sobie sprawę, że taki ktoś nigdy się nie zjawi. Dobrze będzie, jak ci się trafi „w miarę znośny” albo „nie świr”.

– Och, uspokój się – powiedziała Penny i klepnęła ją w ramię.

Anna wbiła w blat ponury wzrok, z trudem powstrzymując się, by jej nie ugryźć.

– Kurewsko dobrze powiedziane – skwitowała Michelle. – I dlatego ja w ogóle nie chodzę na randki.

– Ja też na jakiś czas daję sobie spokój – oświadczyła Anna

grobowym głosem.

– Uważajcie, bo się z was zrobią dwie stare zrzędy! Jak siostry Marge w *Simpsonach*! –

zachichotała Penny, a Anna i Michelle wymieniły niedowierzające spojrzenia. Ludzie, którzy sami siebie uważają za „sympatycznych”, są naprawdę niebezpieczni.

Daniel, dojadający resztki lodów, zdawał się nie dostrzegać nietaktownego zachowania

Penny.

– Jeśli nie macie nic przeciwko dzieleniu się – rzucił – mogę zostać mormonem i uratować was wszystkie.

Michelle wydała z siebie sprośne parsknięcie i znów zapanował pokój.

– Mam dla was więcej wariackich nowin – odezwała się Anna. – Zgadnijcie, kto przyszedł na pierwsze zebranie w Muzeum Brytyjskim. Nikczemny James Fraser ze szkoły, którego widziałam na zjeździe absolwentów.

– Co? Ten, który...? – Michelle urwała, uświadamiając sobie, że przyjaciółka nie zechce

wywlekać tej historii przed Penny. – Jakim cudem?

– Jest jednym z tych kolesi od reklamy, którzy przygotowują aplikację i co tam jeszcze.

Z naciskiem na „co tam jeszcze”.

– Wie, kim jesteś? Przeprosił cię?

– Nie sądzę i nie. Postanowiłam przejść do ataku, a jeśli spróbuje podskakiwać, załatwię, że go odsuną od tego projektu.

Anna bała się, że Penny zaraz zacznie się dopytywać, dlaczego ktoś, z kim chodziła do

szkoły, nie poznał jej. Była wdzięczna Michelle, że zmieniła temat:

– To jeszcze nic. Pamiętacie tego gościa, który parę dni temu pokazał nam siusiaka? Przyszedł do mnie i się przedstawił, bo jak się okazało, pracuje naprzeciwko w furgonetce z hamburgerami. I czego byście o nim z pewnością nie powiedzieli?

– Że jest nieśmiały? – spytał Daniel.

– Że gada jak arystokrata! Ten akcent! „Guy”! Przepraszał mnie

za pokazanie fujary zupełnie jak Hugh Grant w telewizji po tej aferze z prostytutką. „Popiliśmy... zrobiło się wesoło...

wygłupialiśmy się... to tylko dla zgrywy. Pitu, pitu”.

– To chyba miłe z jego strony, że przyszedł z przeprosinami?

– Myślę, że nie chciał, żebym zadzwoniła na policję i zniszczyła mu ten lewy interes z hamburgerami. Namalowali na furgonetce napis „Pychaśne Mięsko”, a hamburgera nazwali „Wołowym pogromcą głodu”. Całe menu jest takie nadęte. Padną po miesiącu.

– Skosztowałem jednego. Przepyszny – powiedział Daniel.

– Dan! Do cholery, nie mogę liczyć nawet na twoją lojalność? Mój własny szef sali wspiera finansowo konkurencję?

– Należało ją sprawdzić. Zresztą dostałem tego hamburgera gratis.

- No pięknie! Teraz mamy wobec nich dług.
- Prawdę mówiąc, dużo się o ciebie wypytywał.
- Nie wątpię. Może od razu pokażemy mu całą księgowość?

Następnym razem, jak bę-

dziesz brał do ust to zdradzieckie mięcho, przypomnij sobie klejnoty Guya dyndające za szybą mojej restauracji i miej trochę godności.

– Czy jeśli kiedykolwiek będę brał do ust jego klejnoty, muszę wtedy myśleć o jego ham-burgerach? – spytał Daniel.

Michelle parsknęła, a Penny pisnęła.

Rozbawiona Anna wyskrobała z miseczki resztkę lodów. Kiedy odczuwała niesmak po

nieudanej randce, nikt nie mógł jej poprawić humoru skuteczniej niż najbliżsi przyjaciele. Nawet z Penny na niechcianą dokładkę.

– Idziecie obie na mój koncert? – spytała Penny, marszcząc brwi. – Pamiętajcie, że grają The Unsaid's?

Sformułowała to w taki sposób, jakby nie wspominała po raz pierwszy o imprezie dopiero w tej chwili, ale zaprosiła Annę i Michelle już wcześniej, a one się zgodziły i teraz sprawiłyby jej zawód, gdyby zmieniły zdanie. Cała Penny.

– Chyba będę zajęta w restauracji – odparła Michelle, dojadając lody.

– No co ty? Restauracja będzie wtedy zamknięta, specjalnie tak to zorganizowałam, żeby Dan mógł przyjść. Anno, a ty będziesz wolna?

Anna otworzyła usta.

– Mogę potwierdzić, że będzie – uprzedziła ją Michelle.

Rozdział 21

– Nie chcę ci tego mówić, stary, ale ani trochę nie jestem zdziwiony – odezwał się Laurence, a ton jego głosu wcale nie sugerował, że mówi to z niechęcią.

– Dlaczego? – spytał James, choć wcale nie miał ochoty pytać.

Na chwilę zamilkli, kiedy kelnerka ustawiła przed nimi dwie pękate szklanki, otworzyła puszki dixie i nalała obu piwa.

– Panowie sobie walną bronksa, a jak wrócę, zamówimy coś do jedzenia – powiedziała. –

Polecam czerwony ryż.

– „Walną bronksa”? – powtórzył James, kiedy odeszła. – Jeśli Londyn tak bardzo kocha

Amerykę, to czemu się tam nie przeniesie?

Laurence i James spotykali się raz w tygodniu na kolacji w jakiejś knajpce. Z zasady nigdy nie chodzili dwa razy do tej samej, z wyjątkiem Tayyabs, gdzie obowiązkowo leczyli kaca.

Miejsce zwykle wybierał Laurence i tym razem zaproponował lokal, w którym serwowano najprawdziwsze kanapki *po-boy* z Nowego Orleanu. A do tego autentyczne alkohole z Luizja-ny. W Soho. Co najważniejsze, o tej knajpie dużo się aktualnie mówiło i teraz sami mogli to

sprawdzić.

Laurence przechylił szklankę i ostrożnie powąchał zawartość.

– Albo to, albo piwo korzenne, które smakuje jak płyn do płukania ust u dentysty –

oświadczył i zrobił łyk. – Zdrówko. Nie zaskoczyło mnie, że Eva się z kimś spotyka, ponieważ zawsze jest ktoś inny. Ludzie bardzo rzadko decydują się zamienić konkret na niewiadomą. Zasada dynamiki życiowej Laurence’a. Przecież nie zrobiła tego, bo ją zachwycił widok z okna wolnego pokoju u jej kumpeli Sary.

– Czemu mi nie powiedziałaś?

– „Przykro mi, że żona cię zrobiła w wała. Założę się, że ma jakiegoś przydupasa”. Ucieszyłyś się?

– Hmmm – mruknął James znad menu. – „W pełnym przybraniu i z wszelkimi bajerami”.

Boże, nawet żarcia nie mogą opisać normalnym językiem? Mam nadzieję, że majonezu nie nazy-wają tu „majo”.

Kiedy kelnerka wróciła, zdecydowali się na gigantyczne kanapki z sosem. Mimo oszałamiającej ilości składników zawierających białko, jakie można było zamówić upchane w tych monstrach, James podejrzewał, że na etapie „pełnego przybrania z wszelkimi bajerami” każda wersja smakuje podobnie. W pełnym przybraniu. Pomyślał o naszkicowanej nagiej Evie i ode-chciało mu się jeść.

– Nie mogę się nadziwić, że z takim wyrachowaniem zostawiła ten

rysunek, żebym go

znalazł. Wyobrażasz to sobie, Loz?

– Nie musiałbym sobie wyobrażać, gdybyś zachował dość przytomności umysłu i zrobił

telefonem fotkę – odparł, na co James roześmiał się głucho.

– Musiałem to oglądać i zastanawiać się, jak ją szkicował.

Przypomniała mi się ta scena z *Titanica*. Tylko o jedno oczko niżej od gołych zdjęć w telefonie. Kolesi rysuje zresztą jak pięcio-letnie dziecko...

James potrząsnął głową, jakby najgorszy w tym wszystkim był talent artystyczny Finna.

– De facto to jeszcze dzieciak. Dwadzieścia trzy lata. Jezu – westchnął Laurence. – W zeszłym roku chodziłem z dwudziestoczterolatką. Jej ulubioną muzyką był skronk. Nigdy nie słyszała o Johnie Majorze. Spytałem, kto jej zdaniem rządził tym krajem między Margaret Thatcher a Tonym Blairem. Wydawało jej się, że Michael Parkinson¹¹⁾. Wtedy zrozumiałem, że nic z tego nie będzie. Szkoda, bo w łóżku układało nam się fantastycznie.

11) Michael Parkinson – znany brytyjski dziennikarz radiowy i telewizyjny.

James skrzywił się.

– Teraz to mi naprawdę ulżyło. Twoje zdrowie, stary!

– No fakt, przepraszam. Ale mówiłeś, że do niczego między nimi nie doszło.

– Podobno.

Kolejny raz James został zmuszony do zastanawiania się, co ten gówniarz robił z jego żoną – czy może: co planował jej zrobić. „Nie sypiam z nim”. Jak wąska jest w dzisiejszych czasach definicja tej czynności?

Eva zachowała się okrutnie, pozwalając, by dowiedział się w taki sposób. Kiedy zamierzała mu powiedzieć? Prócz Loza James nie miał ochoty zwierzać się z tego nikomu spośród swych znajomych i krewnych, o ile tylko nie okaże się to konieczne. Nie chciał, żeby źle myśleli o Evie. Tak to bywa ze związkami – ktoś cię odtrąca, a ty się wciąż troszczysz o jego wizerunek.

W tym momencie James stracił resztki apetytu.

I jak na zawołanie zjawily się ich *po-boys*, rozcięte na pół i otoczone niepotrzebnymi dodatkami smażonymi na głębokim tłuszczu. Kelnerka uroczyście połała obie kanapki sosem, a na odchodnym rzuciła:

– Wsuwajcie, chłopaki!

– Słuchaj... Ta różnica wieku. Finn jest bardzo młody, to szczył. Co stanowi dobrą wiadomość.

– Serio? – James dźgnął widelcem zapieczony w cieście krążek cebuli. Będzie musiał roz-bebeszyć kanapkę i narobić na talerzu bałaganu, żeby wyglądało, jakby ją zjadł. W odległej przeszłości zdarzało mu się spotykać z kobietami, które robiły coś takiego. – To upokarzające.

– Niby tak... Ale przecież nie zostawi cię na serio dla jakiegoś Dereka Zoolandera¹²⁾.

Zdaje się, że chce mieć dzieci? Ile ona ma lat, trzydzieści trzy? To tylko przelotny romans.

12) Derek Zoolander – przystojny, ale niezbyt rozgarnięty model z komedii Bena Stillera *Zoolander* z 2001 r.

– Chyba tak – mruknął James. – Chociaż diabli wiedzą, czego właściwie chce Eva. Ja tego nie wiem.

– Mogę ci coś doradzić? Rady w klasie biznes i tak nie posłuchasz, więc mam dla ciebie wersję w klasie ekonomicznej de lux.

– To znaczy?

– Odegraj się na niej. Też sobie z kimś poromansuj. Nie ma to jak zakosztować własnego gówna, żeby się przekonać, że jednak ci nie smakuje. Jak to ujął Martin Luther King.

– Hmm. Bo ja wiem...

– Czemu nie? Zdajesz sobie sprawę, jakiego masz farta? Możesz się teraz bezkarnie zabawić na boku. Nikt cię nie będzie winił, a już na pewno nie może mieć o to pretensji twoja żona.

– Z kim?

– No weź przestań. Nie będę cię przekonywać, że możesz mieć,

kogo zechcesz. Chyba mi

nie powiesz, że gdyby Eva wpadła do domu i cię nakryła z jakąś dwudziestoczterolatką, nie dało-by jej to na wstrzymanie?

– Nie ma już klucza.

– Nie udawaj debila.

James nie miał pojęcia, jak by zareagowała Eva. Nie zamierzał jeszcze bardziej rozdrapy-wać ran. Chciał wszystko naprawić, żeby znów było jak dawniej, a nie niszczyć do końca.

– Nie wciągnąłbym w ten syf jakiejś niewinnej dwudziestoczterolatki, tylko po to, żeby się przekonać.

– I tu się różnimy. Jeśli nie pozwolisz, żeby górę wzięły emocje, nie wciągniesz jej w żaden syf. Zaprosisz ją tylko na ucztę. Tak wspaniałą i pełną smakołyków, że byłoby niezdrowe zbyt często w niej uczestniczyć. Cholera jasna, jak to się je?

Laurence dał sobie spokój z bezowocnymi próbami ugryzienia gigantycznej kanapki i sięgnął po nóż i widelec.

– Dzięki, ale w tej chwili jakoś nie mam ochoty.

– Druga zasada dynamiki życiowej Laurence’a O’Grady’ego: rywalizacja zmusza do zastanowienia się, czy ci na czymś zależy, czy nie.

– Czy nie – powtórzył James. – To hazard.

– A jak się sprawdza strategia nierobienia niczego? W ten sposób tylko dajesz Finnowi okazję, żeby mu twoja żona obciągała druta.

James podniósł rękę, by powiedzieć, że wystarczy, i Laurence skinął głową.

– Przepraszam. Musisz się czuć do dupy.

Laurence dolał piwa sobie i Jamesowi, który zauważył, że mimo starań ich obu przed nimi wciąż znajdowało się pełno jedzenia.

– O Jezu, zapomniałem ci powiedzieć. Nigdy nie zgadniesz, kogo spotkałem na zebraniu parę dni temu. Tę babkę, do której startowałeś na zjeździe absolwentów. Wykłada w UCL. Zajmuje się wystawą w Muzeum Brytyjskim, na którą my przygotowujemy aplikację.

– Bez jaj! Stary, to niesamowite. Najpierw wchodzi do niewłaściwej sali, a teraz to. Ta

Hiszpanka miała coś w sobie – rozmarzył się Laurence.

– Jest Włoszką.

– Bella Italia! I wykłada na uczelni? Chętnie bym z nią spróbował.

I to więcej niż raz.

– Poważnie? Przecież cię splawiła. A na tym zebraniu znów była wredna jak diabli. Cały czas się do mnie dopieprzała. „Jaki to ma sens?”. Miałem ochotę ją spytać, czy zapomniała, że sami nas wynajęli. Nie powiedziałbym, że to ktoś w twoim typie, ani z osobowości, ani z wyglądu – stwierdził James, wycierając dłonie.

– Dlaczego?

– Za bardzo... dożarta. Za bardzo nieumalowana. I ogólnie za sztywna.

– I tu się mylisz. Nudzą mnie już zwykle panienki. Mam ochotę na kobietę. Musisz nas jakoś umówić.

– Kiedy z nią będę pracował? Nawet o tym nie myśl. Pewnie była dla mnie taka wredna właśnie dlatego, że się do niej dostawiałeś.

– To może, jak już skończycie?

– Ha. Może. Czeka. A jak brzmi ta twoja rada w klasie biznes? – spytał James.

– Co?

– Mówiłeś, że twojej najlepszej rady i tak nie posłucham.

– A, o to chodzi. – Laurence obtarł usta z piany po piwie. – Powinieneś dać sobie spokój z Evą.

– Kocham ją. – James wzruszył ramionami.

– Mówiłem, że nie posłuchasz.

– A gdybyś ty się z kimś ożenił, machnąłbyś tak na to ręką?

– Jeśli się kiedykolwiek ożenię, dam ci znać.

Laurence zawsze twierdził, że mógłby zmienić stan cywilny wyłącznie dla pieniędzy. „Po co podpisywać umowę, na której można tylko stracić forszę?”. Za ten nihilizm James od dawna ty-leż go podziwiał, co czuł do niego odrazę. W tym momencie zdecydowanie mu go zazdrościł.

– Twój problem polega na tym... – Laurence urwał i zagwizdał. – Mogę ci szczerze powiedzieć, co o tym myślę, i darujesz sobie riposty?

James zgodził się, bo wiedział, że i tak to usłyszy.

– Trudno stwierdzić, z jakiego dokładnie powodu to zrobiła. Będziesz mógł jej zaufać, że kiedyś znowu ci czegoś takiego nie wytnie? Jamesowi ta myśl również chodziła po głowie.

– Będzie wiedziała, że jeśli zrobi to jeszcze raz, między nami koniec – odparł. Starał się, by w jego głosie zabrzmiała stanowczość, ale czuł, że nie wypadło to przekonująco.

Laurence skrzywił się.

– Prosta droga do paranoi i zgryzoty, jeśli chcesz znać moje zdanie. Podejdz do tego jak ten wspinacz, który odciął sobie scyzorykiem rękę, kiedy go przywalił głaz. Z kończeniem poważnego związku jest tak samo. Na krótką metę bardzo boli i brzydko wygląda, ale musisz to zrobić, żeby wrócić do życia.

– Cha, cha. Więc małżeństwo jest jak głaz? A ja mam zbiec radośnie z góry, tryskając krwią z kikuta i myśląc o tym, jak to fajnie będzie jeść *nachos* za pomocą protezy?

– Wyobraź sobie, jak tą protezą będziesz czule drapał po tyłku swoją nową kobietę! Niezapomniane wrażenia.

Roześmiali się. Loz nigdy nie był szczególnie subtelny, ale James cieszył się, że opowiedział mu o rysunku. Od każdego innego usłyszałby tylko wyrazy współczucia, co wpędziłoby go

w jeszcze gorszy nastrój. A on rozpaczliwie potrzebował się pośmiać, choćby i z najgłupszych dowcipów.

Było to małostkowe, ale myśl o odegraniu się na Evie, żeby ją odzyskać, podsunęła mu pewien pomysł.

Rozdział 22

Jak zwykle Anna obudziła się dwadzieścia minut później, niż powinna wstać i wziąć się do roboty, po czym wylegiwała się w ciepłym łóżku przez kolejne dziesięć. Sprawdziła godzinę na telefonie i jęknęła. Zmuszanie jej do zrywania się w niedzielę o takiej porze było nieludzkie.

Wysunęła się spod patchworkowej kołdry. Tak jak niektórzy ludzie z przyzwyczajenia najpierw wkładają okulary, ona w pierwszej kolejności sięgnęła po gumkę, by spiąć włosy w olbrzymi niesforny kok. Doświadczenia z młodości nauczyły ją, że jeśli zetnie je krócej, jej gęste loki przybiorą kształt kwiatu mlecza i będzie wyglądała jak staromodna

sierotka Annie.

Anna nie znosiła wstawania, a swoje olbrzymie mosiężne łoże ze słupkami w czterech rogach darzyła głębokim uczuciem. Kupiła je, ignorując gabaryty, w rezultacie czego miała teraz nie tyle łóżko w mieszkaniu, ile mieszkanie wokół łóżka.

– A w dodatku śpi w nim tylko jedna osoba! – Komentarz jej siostry jak zwykle zabrzmiał bardzo taktownie.

Zarobki wykładowcy, oględnie mówiąc, nie wystarczały na kupno niczego dużego w Stoke Newington. Musiała dokonać trudnych wyborów. Bardziej zależało jej na łóżku niż na łazience, a przyciasną, choć uroczą kuchnię wychodzącą na ładny ogródek uznała ostatecznie za bardziej atrakcyjną niż dodatkowy pokój.

Z sypialni wchodziło się do czegoś, co agent z biura nieruchomości żartobliwie nazwał

„łazienką w apartamencie”. Wszyscy inni na jej widok pytali Annę, czemu powiesiła prysznic w szafie. Do jasnej cholery, to jest moja kabina prysznicowa!

Anna wcisnęła się do niej, a potem z niej wyszła, włożyła wczorajsze ubranie i założyła kozaki, zapinając zamki.

Wizyty u rodziców w Barking były jak podróż w przeszłość. Niezupełnie sprawiały jej przyjemność i kiedy wracała do swojego mieszkania, oddychała z ulgą. Źle się czuła, że tak reaguje na własną rodzinę, ale to nie była jej wina, że dzieciństwo budziło w niej tyle negatywnych skojarzeń.

Pojechała naziemną kolejką, a potem przesiadła się na linię metra District. Znalazła wolne miejsce i usiadła, z kawą na wynos. Trzymała kubek z wielką wprawą, nieruchomo, tak by nie wylać ani kropli przez otwór w przykrywce, jak sportowiec biegnący ze zniczem olimpijskim.

Pociąg wyjechał z tunelu i wspiał się ponad poziom ulic. Ujrzała North Circular Road, mistyczną barierę między starym a nowym, Anną i Aurelianą. Na powrót znalazła się w scenerii z młodości.

Narzuciła kaptur dla ochrony przed późnojesienną mżawką, przemknęła obok centrum

handlowego Vicarage Field i dalej znajomymi ulicami. Ciągnęły

się wzdłuż nich brzydkie przed-wojenne bliźniaki pokryte tynkiem kamyczkowym, a anteny satelitarne na ich dachach wyglądały jak wytworne toczki. W końcu dotarła do domu. Dopóki będą żyli rodzice, tu zawsze będzie jej dom. Wiedziała, że to banalne, ale za każdym razem wydawał jej się trochę mniejszy niż jego obraz przechowywany w pamięci.

Zadzwoiła i zatupała. Mama otworzyła drzwi ubrana w winylowy fartuszek udający wdzianko striptizerki z frędzelkami na sutkach, który Aggy kupiła jej lata temu na urodziny i który przestał być zabawny po trzydziestu sekundach od rozpakowania prezentu.

– Aureliana! Mówiłam: wpół do pierwszej!

– Przepraszam, ale remontują metro – skłamała Anna bez zajęcia.

– Nic o tym nie słyszałam – powiedziała Aggy, wchodząc do holu z prosecco w kieliszku z rżniętego szkła. Cała szklana zastawa stołowa rodziców wyglądała jak z lat siedemdziesiątych – w czymś takim piło się popularne wtedy niemieckie wina Blue Nun.

– Może dlatego, że Chris cię przywiózł samochodem? – odparła Anna. – Cześć, Chris! – zawołała.

– Hej tam! – zaryczał z salonu.

– A może to ty coś ściemniasz? Masz nos jak kościelna wieża – odgryzła się Aggy. – Wła-

śnie ustalamy z mamą, gdzie kto będzie siedział. Chcesz zerknąć?

– Najpierw się napiję – stwierdziła Anna i ruszyła do kuchni.

W domu cudownie pachniało pieczeniem wieprzową i rozmarynem. Zazwyczaj gotowaniem zajmowała się mama Anny, ale w niedzielnych włoskich obiadach specjalizował się tata.

Nie zapominał o niczym – zawsze były przystawki, pierwsze i drugie danie, sałatka, sery i grap-pa. Za każdym razem Chris przy pożegnaniu mówił, że z wątroby zrobił mu się pasztet.

– Cześć, tato. – Anna zastała go przy rozdrabnianiu zielonej sałaty do sałatki.

– *La mia adorata figlia maggiore!* – odparł i pocałował ją

w policzek. – Poczęstuj się winem.

Anna naląła sobie potężną porcję prosecco.

– Jak ci poszło na tym zebraniu w muzeum?

Ojciec Anny był niezwykle dumny z tego, gdzie pracuje jego córka. W przeciwieństwie do matki interesował się wszystkimi szczegółami.

– Dobrze – odrzekła, opierając się o lodówkę. Wiedziała, że gdyby nie ten dupek James Fraser, teraz opowiadałaby podniecona o wszystkim. Ścisnęło ją w brzuchu z odrazy. – Dopina-my różne rzeczy.

– Wybierzemy się tam z wielką przyjemnością.

Na końcu holu usłyszała rozanielony śmiech matki, której Chris swym tubalnym głosem właśnie opowiedział jakąś anegdotę.

Anna uznała, że ma jedyną okazję, by porozmawiać z tatą sam na sam. Zamknęła drzwi do kuchni i spytała cicho:

– Tato. Czy oni... – kiwnęła głową, by zrozumiał, że chodzi jej o przyszłą młodą parę – mają dość pieniędzy?

Tata poprawił sobie ściereczkę na ramieniu i obieraczką do ziemniaków zaczął wykrawać długie paski marchewki do sałatki.

– Mówiłem Chrisowi, że jakby czegoś potrzebowali, mają przyjść do mnie, ale powiedział, że sobie poradzą.

Annę powinno to uspokoić, ale tak się nie stało. Rodzice żyli z emerytury ojca oraz spad-ku, jaki odziedziczyła mama. Nie było tego dużo, choć na życie im wystarczało. I to nie Chris podejmował decyzje w sprawie wesela.

– Aggy wybrała sobie suknię za cztery tysiąki. – Bezgłośnie wymówiła kwotę.

Spodziewała się, że ojciec zareaguje wzburzeniem, tymczasem jedynie wzruszył ramionami.

– Znasz przecież swoją siostrę, wiesz, jaka z niej jest... – po czterdziestu latach rzadko się zdarzało, by mu zabrakło angielskiego słowa. – Szparka?

– Tato! Co ty wygadujesz! – zawołała Anna.

– A jak to się mówi? Szpanka? Szpyrka? – Ojciec udał, że podciąga spódnicę, jakby chciał się nią pochwalić, wydał usta pod

wąsem i zatańczył z obieraczką w dłoni.

– „Szparka” źle się kojarzy. Chodzi ci o szpanerkę. Taką, co się lubi lansować. Nigdy nie mów na kobietę „szparka”.

– Wydawało mi się, że tak to się nazywa. A co znaczy „szparka”?

– Nooo... coś cennego, co ma każda dama. Mniejsza z tym.

– Do twojej siostry dociera, że jakaś rzecz jest droga, kiedy po roku ciągle musi za nią spłacać kredyt. Wiesz, jaka ona jest. Nie przemówisz jej do rozsądku. Sama się musi przekonać.

– Chyba masz rację.

Anna wypła łyk wina i uznała, że zrobiła wszystko, co mogła. Żałowała, że nie potrafi w sobie znaleźć tyle dobrodusznej wyrozumiałości co tata.

– Pomóc ci z czymś?

– Poradzę sobie. – Podał jej miskę sałatki. – Zanieś to na stół i przywitaj się z wszystkimi.

Chcą z tobą pogadać o ślubie.

– No co ty! A ja się już zastanawiałam, kiedy Aggy w końcu poruszy ten temat. – Sięgając po miskę, Anna puściła oko do taty, a ten uśmiechnął się.

Kiedy weszła do salonu, jej siostra spytała:

– Możesz ostatecznie potwierdzić, czy przyjdiesz sama?

– Potwierdzam – westchnęła Anna. – Choć chciałabym przypomnieć, że umiera się również w samotności.

Chris siedział z piwem na kanapie, a Aggy i mama kucaly nad rozrzuconymi po dywanie arkuszami papieru z kółkami odrysowanymi od szklanki. Trzymając przy piersiach kieliszek z prosecco, Anna przyjrzała się notatkom obok rysunków: „CIOCIA BEV – NIE KOŁO TATY

ANI WUJKA MARTINA???!”.

– Cioci Bev nie można sadzać koło nikogo, komu się jakoś powiodło w życiu.

– Zobacz motyw przewodni, przyszła szwagierko. – Chris puścił oko do Anny.

Anna odgarnęła przeszkadzające jej kosmyki włosów i zaczęła odczytywać na głos nazwy poszczególnych stołów.

– Hawana...Manzanillo... Santa Clara...

– To dlatego, że się zaręczyliśmy na Kubie – wyjaśniła Aggy, unosząc wzrok.

– Nicea...? – Anna spojrzała skonsternowana na Chrisa.

– Czytaj dalej – zachęcił ją.

– Aggy! – zawołała. – Guantanamo?!

Chris zapał z radości. To było bardzo w jego stylu: nie poprawić narzeczonej, żeby dłużej móc się pośmiać.

– To jest miasto na Kubie!

– Owszem, ale kojarzy się przede wszystkim z amerykańską bazą wojskową i więzie-niem, w którym torturuje się ludzi.

– To nie wina Kuby! – odparła Aggy. – Czemu do wszystkiego teraz mieszają politykę? –

Poirytowana wykreśliła „Guantanamo”, a mama, by jej okazać wsparcie, podrapała ją w plecy.

– Może byśmy poszli na całość i zamiast tego zdecydowali się na słynne więzienia – zasugerował Chris. – Abu Ghraib. Barlinnie. Broadmoor.

– I jedno w pewnym oddaleniu od reszty, specjalnie dla cioci Bev. Alcatraz – podchwyciła Anna.

– Muszą być jeszcze jakieś kubańskie nazwy. – Aggy zaczęła wpisywać coś energicznie w swojego iPhone’a. Na chwilę zamilkła. – Czy coś się kiedykolwiek wydarzyło w Zatoce Świń?

Rozdział 23

Entuzjizm, z jakim Aggy planowała swój ślub i wesele, nie opuścił jej ani na moment przy wędlinach, oliwkach i bruschecie, ravioli z borowikami, pieczeni wieprzowej z ziemniaka-mi oraz sałatce i pojawiła się groźba, że nie zgaśnie również przy serach. Anna nie miała pojęcia, że do omówienia może być aż tyle kwestii. Ani że na liście prezentów może się znaleźć coś równie bezsensownego jak srebrne łyżeczki do stiltona od Tiffany’ego. Nikt nigdy nikogo nie spytał: „Nie masz przypadkiem specjalnej łyżeczki do tego przerośniętego pleśnią króla serów?”.

– Czemu muszki? – zapytał tata. – Nie mam smokingu.

– Bo to takie wytworne i szykowne. Inaczej każdy przyjdzie ubrany, jak mu będzie pasowało – odparła Aggy.

– To by dopiero było, gdyby każdy mógł się ubrać, jak chce – skomentowała Anna. –

Smokingi z wypożyczalni śmierdzą kozą. Tak w każdym razie mówią moi koledzy, którzy bywali w nich na imprezach w Towarzystwie Królewskim.

– Kupimy ci, Oliviero! – zawołała Judy do męża i dodała: – I tak byś musiał sobie sprawić nowy garnitur.

– Kiedy ja go drugi raz włożę? – skrzywił się tata.

– Na ślub Anny – odrzekła jego młodsza córka.

– Kiedy ja będę wychodzić za mąż, ludzie przestaną już potrzebować ubrań. Nadzy i nieowłosieni będą się unosić w pojemnikach z solanką i uczestniczyć w wirtualnych ceremoniach, przesyłając swoją świadomość internetem – stwierdziła Anna.

– Cicho. Musisz tylko przestać się wymądrzać przy mężczyznach i po prostu być sobą –

interweniowała mama, wywołując powszechne rozbawienie.

– Nie bądź mądra, bądź sobą – rzucił Chris, wymachując nożem i odcinając sobie następny kawałek Grana Padano.

– Moja córka to najmądrzejsza dziewczyna w Londynie – oświadczył tata, wznosząc ku niej toast.

– Owszem, ale mężczyźni tego nie lubią, szukają relaksu – odrzekła Judy.

– Nie poznałaś jeszcze wszystkich, mamó – westchnęła Anna.

Rozmowy z matką i Aggy niekiedy sprawiały, że poważnie się zastanawiała, czy działania na rzecz równouprawnienia kobiet w dużej mierze nie poszły na marne.

– Jeśli już skończyliście jeść, mamy dla was niespodziankę – oznajmiła Aggy. – Chris i ja sami piszemy dla siebie słowa przysięgi. I chcieliśmy je na was przećwiczyć. Zapowiedź nadcho-dzących atrakcji, wyłącznie dla was.

Anna gwałtownie odstawiła kieliszek.

– Czy tego nie należy po raz pierwszy wygłaszać dopiero podczas

ślubu?

– Nie zamierzam ryzykować! – ucięła jej siostra. – A jeśli Chris palnie coś głupiego?

– Na dobre i na złe – powiedziała Anna.

Za późno, Aggy już wyciągała z torebki notatnik. Anna jęknęła.

– Chris, nie daj się zastraszyć mojej szalonej siostrze. Nie musimy tego słuchać.

– Żartujesz? Kazała mi i siedziałem nad tym do pierwszej w nocy. Musicie posłuchać! –

nalegał Chris.

– No dobra. Najpierw ja – zakomenderowała Aggy. Anna powiodła wzrokiem wokół za-stawionego stołu w jadalni. Mama wydawała się zachwycona i pełna oczekiwania, tata zachował

neutralność. Anna najchętniej dałaby się połknąć pistacjowej wykładzinie na podłodze. Czasami, mimo oczywistego podobieństwa fizycznego do Aggy, czuła się w tej rodzinie jak podrzutek.

– „Christopherze. Kiedy cię ujrzałam po raz pierwszy, bałam się. Byłam przerażona...”

– Cha, cha, cha, cha! – Anna parsknęła śmiechem. – Przecież to jest tekst z *I Will Survive!*

– Mamo! – Aggy tupnęła. – Powiedz jej coś!

– Aureliano, nie z wszystkiego wypada żartować. – Judy upomniała starszą córkę.

Po dłuższej chwili szeleszczenia kartkami, pokaszływania i dąsów Aggy wróciła do swoich notatek.

– „...że znów otwarłam me serce na miłość. Nauczyłeś mnie, co to znaczy kochać. Zaglą-

dasz w sekretne miejsca we mnie...”

– Cha, cha, cha, cha! – Anna znowu parsknęła śmiechem i przy stole wybuchło zamieszanie. Mama ją karciała, Aggy piszczała, Chris i tata chichotali.

– Gdzie zagląda?! – spytała Anna. – Nie zapominaj, że na uroczystości będą dzieci.

– Mamo, powiedz jej coś! – zażądała Aggy, z częściowo udawanym, ale częściowo autentycznym oburzeniem.

– Aureliano. Jeszcze słowo i każę ci wyjść do salonu.

– Proszę, każ mi stąd wyjść!

Aggy znów się opanowała.

– „Jesteś moim bohaterem, bratnią duszą, księciem. Obiecuję, że zawsze będę ci robić twoje ulubione calzone z oliwkami i przestanę zrzedzić na temat Sky Sports, zwłaszcza że, jak powtarzasz, wybraliśmy ten pakiet abonamentowy wspólnie”. – Aggy podniosła wzrok. – Na stronie Ułóż Własną Przysięgę pisali, żeby złożyć jakieś konkretne obietnice – wyjaśniła.

Anna przycisnęła serwetkę do ust, by zdusić chichot.

– „Kiedy zachorujesz, obiecuję obcinać ci paznokcie...”

– Co takiego? – zdumiała się Anna, odsuwając serwetkę. –

Od kiedy to chorym obcina się paznokcie? Co za pomysł!

– Zapomniałaś, jak Chris złamał sobie nogę, kiedy grał w piłkę, i nosił gips? Wyrosły ma

pazury jak u jakiegoś straszdyła.

– Nie wspominałabym w mowie ślubnej paznokci u stóp.

To najmniej romantyczna część ciała.

– Nie dla fetyszystów stóp – zaoponował Chris. – Wpisz w Google’a nazwisko dowolnej aktorki, absolutnie dowolnej, i autouzupełnianie od razu ci zaproponuje obok „stopy”. Zboczeńców nie brakuje.

– Dużo aktorek szukasz w Google’u? – spytała Anna, na co Chris rzucił w nią kawałkiem *grissini*.

– Mamo! – warknęła Aggy. – Teraz przez Annę zeszliśmy na stopy aktorek i seks!

– Aureliana! Cisza! – zawołała Judy, realizując własną wersję autouzupełniania.

Aggy wróciła do czytania.

– „Obiecuję cię szanować, miłować, być ci posłuszną...”

– Wreszcie mówimy o konkretach! – Chris zabębnił dłońmi po stole.

– „Być posłuszną”? – powtórzyła Anna. – Czy my żyjemy w dziewiętnastym wieku?

– Jakie są szanse, że twoja siostra się z tego wywiąże? – spytał

Oliviero i Anna musiała mu przyznać rację.

– „Od tego dnia będę cię kochać na zawsze. Mój wyjątkowy mężczyzno... mój misiacz—

ku... mój najlepszy... jedyny”. – Rozejrzała się dokoła, a oczy jej lśniły.

– Och, Agato! – wzruszyła się mama i wytarła łzy.

Anna wymieniła uśmiechy z tatą.

– Chris, twoja kolej! – pisnęła Aggy i objęła się rękoma.

Jej narzeczony wytarł usta serwetką, po czym rozłożył wyjętą z kieszeni kartkę.

– „Agato. Wyglądasz dziś pięknie jak marzenie...” – urwał. – To znaczy, nie dzisiaj. Kiedy ją wtedy będę widział.

Aggy przewróciła oczami. Anna zaklaskała.

– „Kiedy cię poprosiłem o rękę, zastanawiałem się, czy się zgodzisz. Na pewno mogłabyś sobie znaleźć kogoś lepszego. Ale bardzo się cieszę, że powiedziałaś «Tak». I oto teraz jesteśmy tutaj”.

Zapadła cisza. Chris złożył kartkę z powrotem.

– Co?! To wszystko? – wrzasnęła Aggy.

Chris wyglądał na zbitego z tropu.

– No.

– Dzięki za wyjątkową zwięzłość.

Anna nie mogła uwierzyć, że protestowała przeciwko odczytywaniu ślubnych przysięg.

Dawno się tak z niczego nie uśmieła.

– Mogę coś dopisać! – Chris wyglądał na urażonego.

– Mam nadzieję.

– Aggy, to miały być przysięgi osobiste – zauważyła Anna. – Osobiste. Książę Chris Mi-siaczek chciał ci przekazać właśnie to.

– Lepiej, żeby mi przekazał coś więcej – burknęła Aggy.

Kiedy obiad dobiegł końca, Chris zaproponował Annie, że ją podrzuci. Mieszkali razem

z Aggy w Tottenham i często ją odwozili do domu.

Tego dnia Anna skorzystała z okazji, by ekshumować swoje szkolne pamiątki, spoczy-wające w pudle na strychu jak niewypał z czasów wojny. Zjazd absolwentów sprawił, że postanowiła coś z nimi

zrobić. Zawsze się bała, że pewnego dnia wpadną komuś w ręce. Najwyższa pora raz na zawsze się ich pozbyć. A może sama miałaby ochotę je przeczytać? Nie wiedziała, czy byłaby w stanie. Znała zakończenie.

Kiedy ładowali na tył furgonetki pudło i pękata torbę z różnymi drobiazgami, Anna znalazła kilka sekund, by porozmawiać z Chrisem w cztery oczy, bez udziału Aggy.

– Nie daj jej się tak maglować. Przecież to ma być także twój ślub. Twoja przysięga jest fajna.

– To wcale nie była moja przysięga. Podpuszczałem tylko Aggy. Chcę jej zrobić niespodziankę. – Mrugnął porozumiewawczo i Anna roześmiała się.

Aggy, jak sama mówiła, wydaje na ten ślub „kupę kasy”, ale ma już Chrisa. Oby jej siostrze udało się oddzielić od srebrnych łyżeczek do stiltona to, co naprawdę jest na wagę złota.

Rozdział 24

James bez większego trudu znalazł na planie właściwą salę w UCL, a potem z wysiłkiem otworzył potężne drzwi do pustej auli i wszedł pełen złych przeczuc. Nie czuł się tak od czasów, kiedy przygotowywał się na studiach do obrony dyplomu (z psychologii w Exeter – tyle z niej było pożytku, co z Luthera podczas psych walk w Lambeth).

Siedząca z przodu Anna uniosła rękę na powitanie. Pomachała mu bez uśmiechu, a James skinął głową, odrobinę unosząc kąciki ust. Przynajmniej zdobył się na tyle uprzejmości; ona nie okazała jej wcale.

Schodząc po schodach, poprawił kurierską torbę na ramieniu. Na myśl, że będzie musiał

spędzić godzinę z tą kobietą, poczuł, jak coś ściska go w brzuchu. Na litość boską, dlaczego niektórzy ludzie muszą przychodzić do pracy z takim nastawieniem? Czy to jego wina, że się pokłó-

ciła z chłopakiem albo wyżywa się na niej przełożony, albo zapłaciła za remont kuchni więcej, niż się spodziewała? Tak trudno wykrzesać z siebie odrobinę życzliwości?

– Dzień dobry. Widzę, że sprawy techniczne mamy już załatwione.
– Wskazał ręką na sta-tyw z kamerą wycelowaną w pulpit wykładowcy i mikrofon przypięty do sukienki Anny. Biorąc pod uwagę, że miała

wystąpić w filmie, nie wyglądała przesadnie elegancko.

Bujne kręcone włosy znów spięła gumką z tyłu głowy, w kok, który sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał się rozlecieć. Ubrana była w delikatny czarny sweter przesywany srebrną nitką, trochę bezkształtny i zapewne kosztujący sporą sumkę w katalogu Toast. Eva czasami ku-powała tam sobie „byle co na niedzielę”.

Dlaczego nauczyciele akademicy zawsze są tacy niechlujni i rozmamłani? Zależy im na podkreśleniu tego, że zostali stworzeni do wyższych celów niż krawiectwo i prasowanie?

Nieważne. Niech sobie wygląda jak na własnym pogrzebie. Bo dokładnie tak się ubrała.

– Dźwiękiem i obrazem zajmuje się mój kolega Patrick – powiedziała Anna, wskazując nieduże przeszklone pomieszczenie z tyłu auli, w którym poruszyła się jakaś postać.

James przeniósł wzrok na leżący obok niej talerz. Zostały na nim resztki czegoś dziwnego z jajkiem i odrobina rozmazanego ciemnobrązowego sosu.

– Co to jest? – wyrwało mu się, zanim zdążył pomyśleć.

– Bułka z omletem. Specjalność tutejszej stołówki.

– Aha – skwitował, nie chcąc jej urazić. Dzięki Bogu już jadł.

– Mogę potwierdzić, że ma pani tytuł doktora? – spytał. – Doktor Anna Alessi?

– Zgadza się – odparła sztywno.

Jej nazwisko brzmiało znajomo i nie dawało mu spokoju. Nagle sobie przypomniał. Tak się nazywa ta modna marka sprzętu gospodarstwa domowego. Miał gdzieś w domu otwieracz do

butelek Alessi. Ale lepiej nie pytać, czy łączy ją coś z kuchenną dynastią Alessich i twórczymi sztucznymi, bo jeszcze go oskarży o wyśmiewanie się z jej pochodzenia etnicznego i kwestionowanie prawa do równych szans.

– No więc będę pani zadawał pytania, a pani rozwinie każdy temat, tak żeby zainteresować odbiorcę. Potrzebujemy do aplikacji krótkich wypowiedzi na jedną, dwie minuty.

Anna skinęła głową i upiła łyk ze stojącego u jej stóp kubka z różowawym napojem i zwisającą z boku na nitce etykietką Twinings.

A jakże, piła ziołową herbatę.

– Poza tym – James znów podniósł wzrok znad swojego ekranu – chciałem skorzystać

z okazji i przeprosić za nasze niefortunne zachowanie, kiedy weszła pani na ten nieszczęsny zjazd absolwentów. Mój przyjaciel Laurence startuje do każdej kobiety, jaka mu wpadnie w oko.

Mówiłem mu, żeby pani nie zaczepiał, ale... – wzruszył ramionami. – To cały Laurence.

– W porządku, nie ma sprawy – ucięła Anna.

James spodziewał się czegoś więcej, może nawet, że go zwymyśla, tymczasem zapadła tylko pełna wyczekiwania cisza.

– Yhm. No dobra. Graficy prosili mnie, żebym przede wszystkim spytał panią o jedną konkretną rzecz. – Przywołał obraz na ekranie laptopa. – Bardzo im zależy na odtworzeniu na-krycia głowy Teodory, ma pełnić ważną rolę w całej aplikacji i chcieliby skonsultować z panią szczegóły.

Anna przechyliła głowę na bok.

– Chodzi o koronę? Potrafię opisać fragmenty oryginału, ale jak wyglądała w całości, mo-

żemy sobie tylko wyobrazać i nie chciałabym spekulować. Wie pan, w mojej dziedzinie tego się nie praktykuje. Przyjdzie ktoś inny i zakwestionuje moją opinię. Jeśli pan pozwoli, wolałabym się posługiwać eksponatami, na których temat dysponujemy precyzyjną wiedzą.

– Na przykład? – James westchnął w duchu. Nic nie pójdzie łatwo.

– Pas ceremonialny, który wypożyczamy z Metropolitan Museum w Nowym Jorku. Jest niesamowity, szczerozłoty i bar-dzo ciężki. Nosiła go podczas uroczystości państwowych i imprez, a jest równie ważny jak każda korona.

– No dobra. Hmm... Spodziewam się, co mi odpowiedzą... Korona jest chyba czymś

bardziej znajomym? Ludzie rozpoznają, co widzą. Pas ceremonialny trudniej będzie przetworzyć w jeden czytelny obraz.

– Za to ma tę zaletę, że jest fascynującym i kompletnym eksponatem historycznym, do

którego nie trzeba niczego dosztukowywać.

„Na miłość boską”.

– Graficy bardzo się zapalili do tego pomysłu z koroną.

– Graficy nie są ekspertami historycznymi. Zgaduję, że zależy im tylko, żeby to ładnie wyglądało. Spytał mnie pan o moje zdanie, więc je przedstawiłam.

„Owszem. Przedstawiłaś” – pomyślał James.

– W takim razie przekażę im to i może uzgodnią tę sprawę bezpośrednio z panią.

„Powodzenia, chłopcy”.

– Kiedy będzie pani mówić, proszę patrzeć mniej więcej w ten punkt. – James wstał i zrobił kilka kroków na prawo od Anny.

– Nie prosto do kamery?

– Mogłoby to wypaść trochę apodyktycznie. Proszę sobie wyobrazić, że z kimś pani rozmawia. Że to nie jest wykład. Mogę tu stać, jeśli tak będzie pani łatwiej.

– Myślę, że i bez tego zapamiętam, gdzie mam patrzeć.

„Dobry Boże”. James opadł na jeden z foteli.

– Wyobraźmy sobie wizerunek Justyniana i Teodory z mozaiki.

Co wiemy na temat tego, jak i gdzie się poznali? Proszę powtarzać każde pytanie na początku wypowiedzi, żebyśmy mieli kontekst. „Wiemy, że kiedy się poznali...” itepe.

Z początku Anna była nieco spięta, ale w miarę jak padały kolejne pytania, górę wziął jej naturalny entuzjazm dla zagadnienia, ożywiła się, bił od niej wręcz zaraźliwy zapach.

James musiał przyznać, że mówiła całkiem ciekawie. Porządna, krwista historia w stylu *Gry o tron*, żadne tam potłuczone garnki i feudalne podatki. Kiedy nagranie dobiegło końca, James wiedział, że zarejestrowali dobry materiał. Nawet jeśli nie spędzili przy tym miło czasu.

– Jeżeli ma pani ochotę, mogę pani pokazać na naszej stronie internetowej kilka przykła-dów wcześniejszych aplikacji. Łatwiej będzie się pani zorientować, jak wykorzystamy ten materiał – zaproponował, mając nadzieję, że ją ugłaska.

Anna skinęła głową i James odwrócił się do laptopa, ustawiając

ekran na fotelu w taki sposób, by mogła zobaczyć stronę Parlez.
Poruszając się po witrynie, przypadkowo wszedł do
działu „O nas”.

– Co jest na tych zdjęciach obok waszych nazwisk? – Anna
zmrużyła oczy, usiłując rozpoznać miniaturki.

James wolałby jak najszybciej przeskoczyć gdzie indziej, ale się
powstrzymał.

– A, to. Jedzenie.

– Jedzenie?

– No, wie pani. Każdy wybrał swoją ulubioną potrawę.

Spojrzała na niego, jakby właśnie powiedział, że we wtorki
wszyscy w agencji rozmawiają ze sobą językiem piratów.

– Co to jest? – Wskazała zdjęcie obok Harrisa.

– Yhm... Deser... Pieczone banany z lodami waniliowymi.

James poruszył się nerwowo w fotelu i pomyślał, że chyba nie
zyska w jej oczach, jeśli powie, że reszta biura, nic sobie nie robiąc
z poprawności politycznej, podśmiewała się z tych ku-linarnych
upodobań zniewieściałego Harrisa.

– A pan co wybrał? – spytała, szukając wzrokiem jego zdjęcia.

James kliknął, by zmienić stronę, i mruknął pod nosem:

– *Lahmacun*. To taka turecka pizza.

– Wiem, co to jest – rzuciła Anna.

– Pani, jak rozumiem, woli bułkę z omletem.

– Nie umieściłam tej informacji w moim profilu na stronie uczelni.
„To jest Anna, specja-lizuje się w historii Bizancjum. Lubi też bułkę
z omletem”.

– To tylko dla zgrywy – próbował wyjaśnić. No nie! Powiedział
przy niej: „To tylko dla zgrywy”. Co za obciach.

– Chyba żyję w zupełnie innym świecie.

– Naprawdę? – James nawet nie próbował ukryć irytacji. –

Wszystko musi być takie
śmiertelnie poważne?

– Nie musi. Ale „ulubiona potrawa”? Kojarzy mi się z wywiadami
w tych dawnych czaso-pismach dla nastolatków. „Jaki jest twój ulubiony
kolor, Kylie?”.

Uśmiechnęła się ironicznie, a James poczuł ogarniające go zażenowanie tym, że wyszedł na przygłupa.

– Mam nadzieję, że pański kolega Parker, który najbardziej lubi Big Maca z serem, da już sobie spokój z googlaniem w naszym imieniu.

James wiedział, jak w takiej sytuacji powinien zareagować przedstawiciel firmy. Przyznać rację klientowi, rzucić żartem o sobie i kolegach, na w pół przeprosić. Ale miał to gdzieś. Naprawdę nie musiała nim aż tak poniewierać.

– Parker gadał bez zastanowienia. Jesteśmy tu, żeby prezentować treści, a nie tworzyć je –

oznajmił dobitnym tonem.

– A czy ten podział ról nie obowiązuje, kiedy muszę się wyklócać z grafikami?

– Jest pani chyba trochę przewrażliwiona.

– Może to także kwestia mojej „śmiertelnej powagi”. Mam panu zdradzić swój ulubiony deser, żeby rozluźnić atmosferę?

W tym momencie James poczuł, że ma wszystkiego serdecznie dość. Nienawidził swojej pracy, nienawidził tej wyniosłej baby, nienawidził samego siebie. Nienawidził bułek z omletem, mimo że nigdy ich nie próbował. Nienawidził tego, że żona go opuściła i tak jakby sypiała z facetem imieniem Finn. I nienawidził tego, że ktoś się z niego śmieje z powodu czegoś, co nawet nie było jego winą.

Wydał policzki.

– Dobra, niech pani posłucha. Czy nam się to podoba, czy nie, przez kilka tygodni musimy razem pracować nad tym projektem. Nie rozumiem, dlaczego to musi być koszmarem. Uwa-

ża pani to, co robię, za nic niewarte bzdety. W porządku, przyjmuję to do wiadomości. To tylko cyfrowe duperELE, które pięć minut temu jeszcze nie istniały, a teraz sprzedajemy je wam jako coś niezbędnego, bo niestety są wam niezbędne. Ponieważ dzisiaj każdy ma smartfona i zdolność koncentracji uwagi na poziomie Grahama Nortona¹³) po speedballu i red bullu – nawet ci, którzy chodzą do muzeów. Ale dzięki temu mogę spłacać kredyt na dom i nie przeszkadza mi to, więc się tym zajmuję. Nie każdy kocha swoją pracę tak jak pani. Nie wszyscy

mamy w życiu tyle szczęścia. Uważa pani moich kolegów za palantów? Więc proszę sobie wyobrazić, że ja też, z jednym czy dwoma wyjątkami. I wszyscy z nich noszą imiona, które wyglądają bardziej na nazwiska. Ale zamiast siedzieć tutaj, prowokować mnie i dawać mi do zrozumienia, że to wszystko wydaje się pani kretynstwem, może by pani zmieniła nastawienie i spróbowała ze mną współpracować? Zrobimy swoje maksymalnie bezboleśnie i więcej nie będziemy się musieli oglądać.

I Bogu dzięki za to.

13) Graham Norton – znany z ekstrawagancji prezenter radiowo-telewizyjny BBC.

Cisza. Szok. Po obu stronach. Jamesowi nigdy dotąd nie zdarzyło się wybuchnąć w rozmowie z klientem. W dodatku to nie był jakiś tam stary klient, ale inteligentna kobieta z tytułem naukowym, której kazał pilnować swojego nosa.

Na pewno złoży oficjalną skargę i odsuną go od tego projektu. Albo, co gorsza, z jego powodu Parlez straci ten kontrakt. Rozejdzie się fama po innych uczelniach, trafią na czarną listę, a on sam będzie udupiony.

Wyglądała na zaskoczoną, ale nic nie powiedziała. James wahał się, czy jej nie przeprosić, uznał jednak, że teraz i tak by mu to już nie pomogło.

W końcu Anna się odezwała. W jej głosie nie było żadnych emocji.

– Ma pan dość materiału ode mnie?

– Więcej niż dość, dziękuję – odparł, zatraskując laptop.

Rozdział 25

Skończywszy popołudniowe ćwiczenia, Patrick wsunął głowę do gabinetu Anny.

– Jak ci poszło z twoim męskim nemezis? – spytał. – Okazał się nieuleczalną fasolką mung? – Patrick używał specyficznego słownictwa, które sobie przyswoił, oglądając namiętnie *Czerwonego karła*. – Zmyłem się, kiedy zaczęliście, bo wszystko działało jak należy, ale z tego co zdążyłem usłyszeć, wypadłaś znakomicie.

– Dzięki. Dziwne, ale on mnie najwyraźniej w ogóle nie pamięta ze szkoły, no chyba, że tak się świetnie z tym kryje. Ciekawe, nie?

A wydawał mi się taką gwiazdą. Wielcy ludzie nie pamiętają maluczkich. Nawet tych maluczkich o pokaźnych rozmiarach.

– Trudno mi sobie wyobrazić, że ktoś mógłby cię zapomnieć – stwierdził Patrick. – Chyba się zbyt surowo oceniasz i wyglądałaś wtedy po prostu... zmysłowo.

Anna nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Możesz mi wierzyć, nie mówię tego przez kokieterię. Byłam gruba jak świnia. Do tego miałam potężną szopę na głowie jak Slash z Guns N' Roses i chodziłam w fartuchu wielkości szafy.

– W każdym razie cieszę się, że nie doszło między wami do żadnej scysji.

– Trochę się pozarliśmy... Żartowałam z jego firmy, na co mi palnął długą tyradę, że uważam to, czym się zajmuje, za głupie, a on w gruncie rzeczy też tak sądzi. Zaskoczył mnie.

Zwłaszcza że zawsze pozował na faceta, którego nic nie rusza, bo ma się za kogoś lepszego od wszystkich.

– Serio? – Patrick wytrzeszczył oczy. Zmienił pozycję, w jakiej się opierał o framugę drzwi, a potem podrapał się po brodzie.

– Ale jeśli mnie nie pamięta, myślę, że sobie z nim poradzę.

– Mam wysłać ten plik tobie i do Parlez?

– Wyślij tylko do nich – odparła Anna, która nagle poczuła się dziwnie zakłopotana. – Nie muszę oglądać samej siebie, jak gładzę do kamery.

James Fraser będzie się oczywiście nabijał z jej występu razem ze swoimi superwyluzowanymi kumplami z pracy. Niech się nabija.

Patrick kiwnął głową i wyszedł z jej gabinetu, ledwo jednak zniknął, Annę dobiegł z ko-rytarza jego stłumiony okrzyk:

– No coś podobnego!

Ponownie zapukał i otworzył drzwi.

– Ktoś ci przerobił wizytówkę.

Anna powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem ku tabliczce na drzwiach informującej, do

kogo należy pokój. Nieznana ręka skreśliła kilka liter i dopisała jedno słowo:

Dr ANNA NICE ALESSI

– „Doktor Nice Ass”? Ładny Tyłek? – przeczytała na głos.

– Co za brak szacunku! Traktują cię jak przedmiot – oburzył się Patrick, a jego blade policzki przybrały na obrzeżach intensywnie różową barwę, niczym paluszki z kraba. – Niektórym wciąż nie mieści się w głowie, że kobieta może być inteligentna. Jak śmiać... wypisywać takie...

komentarze... – gniew Patricka był zabawniejszy niż sama profanacja jej wizytówki – na temat...

twojej...

– Zgrabności tyłka.

– Załatwię ci nową – obiecał Patrick, wysuwając tabliczkę z ramki.

– Dzięki. – Anna nauczyła się już nie przeszkadzać mu w tego rodzaju szarmanckich za-chowaniach.

– Chyba wiem, kto to zrobił – powiedział. – Takich dwóch z drugiego roku. Wyglądają jak Beavis i Butt-head, rozpływali się w zachwytach nad twoją figurą i pytali mnie, czy... – narysował palcami w powietrzu znak cudzysłowu – „zaliczyłem cię”. Dokładnie tak się wyrazili. Co

za określenie!

Zaróżowił się jeszcze bardziej, a Anna poczuła, że i ją oblewa delikatny rumieniec.

– Mogli napisać coś znacznie gorszego. Na przykład... „Doktor Anal Messy”, Brudny Ty-

łek – stwierdziła.

Oboje zamilkli.

Po chwili Patrick zamrugał.

– Zajmę się tym.

– Dziękuję – odparła Anna, wracając za biurko.

Znów usiadła i otworzyła skrzynkę odbiorczą.

Szanowna Pani,

dziękuję za okazaną mi pomoc. Czekam z niecierpliwością na te nagrania. Odnośnie do

eksponatów: graficy przystali na pas ceremonialny. Może przydałoby się spotkać w Muzeum Brytyjskim, aby wspólnie obejrzeć i omówić pozostałe? Mogłaby Pani wybrać te, które uważa za naj-ciekawsze.

Pozdrawiam

James

Gałązka oliwna. Anna zastanawiała się, jak ma to rozumieć. Jej nieuprzejmość była formą obrony, chciała w ten sposób uprzedzić atak z jego strony. Ale skoro on nie atakuje? Hmm...

Postanowiła, że dopóki James Fraser nie wspomni „Twoich przebojów”, może przystać na

rozejm. Wydawało się niewiarygodne, że wciąż jej nie rozpoznał. Czy to możliwe, by jednak ją sobie przypomniał i tylko się z nią bawił? Niewykluczone, choć mało prawdopodobne. Nie zauważyła żadnej zmiany w jego zachowaniu, odkąd razem z Laurence'em podszedł do niej na

zjeździe absolwentów.

Nigdy mu nie wybaczy, nigdy nie zapomni. Ale skoro nie ma wyboru i musi się z nim spotykać, spróbuje przez to jakoś przebrnąć, unikając zaogniania sytuacji. W sumie nie zasługiwał na nic więcej niż obojętność.

W skrzynce odbiorczej pojawił się nowy mejl. Znów Neil sado-maso. Cudownie.

Droga Anno,

ciekawe, że uznałaś moje spostrzeżenia za przejaw arogancji bądź egoizmu, podczas gdy w rzeczywistości chciałem tylko wyrazić swą szczerą opinię. Cóż więc należy sądzić o tym, jak reagujesz na cudzą szczerłość i w jakim stopniu sama umiesz być szczerą wobec innych? Wyraźnie widziałem podczas naszego spotkania, że jesteś mną zainteresowana. Zdradzały to wysyłane przez Ciebie klasyczne sygnały: kontakt wzrokowy oraz sposób, w jaki bawiłaś się włosami. Podejrzewam, że te przepychanki ze mną to gambit, który ma sprawić, abym jeszcze bardziej pragnął się znów z Tobą spotkać. Muszę przyznać, że to działa J

*Pozdrawiam gorąco
Neil*

Anna kliknęła przycisk „Odpowiedz” z taką furją, jakby chciała zmiażdżyć myszkę.

Drogi Neilu!

Oniemiałam . Widzę, że w dzisiejszych czasach posiadanie oczu i włosów w obecności mężczyzn jest bardzo ryzykowne. Powinnam była zadbać o to, by wyłysieć i oślepnąć. Dziękuję, ale zdecydowanie NIE MAM OCHOTY na drugie spotkanie. Jeśli nadal się upierasz, że prowadzę z Tobą jakąś długoterminową grę, nastaw się na czekanie aż do śmierci. Możemy się wstępnie umówić na orgię w zaświatach – zaprosź także Marilyn Monroe, Kaligulę i Roda Hulla 14) . Ży-czę powodzenia we wszystkich dalszych przedsięwzięciach!

14) Rod Hull – brytyjski artysta telewizyjny popularny w latach 70. i 80. XX w.

Anna

Rozdział 26

Anna zjawiała się pięć minut przed czasem i właśnie wrzucała dwufuntową monetę do

czapki bezzębnego i beznadziejnego ulicznego grajka przed stacją metra Russell Square, gdy zauważyła, że James także dotarł na miejsce wcześniej.

– Lubi pani muzykę ksylofonową? – spytał, kiedy do niego podeszła.

– To się nazywa filantropia – odparła poirytowana.

– A ja myślałem, że *Love Me Do*.

Posłała mu krzywe spojrzenie i dopiero wtedy zauważyła, że się uśmiecha.

Ruszyli w stronę nieodległego Muzeum Brytyjskiego, rozmawiając o nagranych poprzednim razem materiale. Anna przez cały czas wypatrywała jakichkolwiek oznak rozpoznania z jego strony, nic jednak na to nie wskazywało. Chyba że potrafił zachować kamienną twarz jak najlepszy pokerzysta na świecie.

– Musimy to założyć – powiedziała, kiedy wpisali się przy wejściu. Wyjęła parę baweł-

nianych rękawiczek z biało-niebieskiego pudełka i podała Jamesowi. – A może już pan tu wcześniej bywał i wie o tym?

– Nie bywałem – odparł i wziął rękawiczki.

Nawet w tak niechcianym towarzystwie Anna nie umiała opanować dreszczu podniecenia, jaki budziły w niej magazyny Muzeum Brytyjskiego. W żadnym miejscu na świecie nie czuła się tak dobrze jak tutaj. Pytanie o rękawiczki zadała wyłącznie po to, by sprawdzić, jak bardzo może pofolgować swoim emocjom pod pretekstem oprowadzania Jamesa.

– Zupełnie jak w ostatniej scenie *Poszukiwaczy zaginionej Arki*, prawda? – zagadnęła, kiedy stanęli w ogromnym, nowoczesnym magazynie pełnym regałów zastawionych identyczny-mi pudłami z jasnobrązowego kartonu, do których dostęp ułatwiały niewysokie przesuwane schodki na czterech kółkach. Delikatny, odrobinę zatęchły zapach kojarzył się z papierem i utle-niającymi się bardzo starymi

rzeczami. Trudno było uwierzyć, że ta cicha jaskinia wypełniona bezcennymi skarbami znajduje się w samym centrum tętniącego życiem, gwarne i zatłoczonego Londynu.

– Mam nadzieję, że nie otworzy pani skrzyni z Arką Przymierza. Bo inaczej w momencie stopię nam się twarze jak tym hitlerowcom – odparł James.

– Jeśli zamkniemy oczy, nic nam się nie stanie.

– Tego szczegółu jakoś nigdy nie rozgryzłem od strony naukowej – uśmiechnął się blado.

Nie, w jego zachowaniu absolutnie nic nie wskazywało, że pamięta ją ze szkoły. Anna poczuła się lekko na duchu, jakby uciekła przed czymś nieprzyjemnym. Przyływ ulgi sprawił, że osłabła nieco jej niechęć do Jamesa.

– Teodora jest tutaj – powiedziała, lawirując między półkami.

– Mnie to przypomina szukanie stolików w Ikei – stwierdził James.

– Tu jest dużo ciekawiej niż w Ikei – zapewniła go.

– Cha, cha – zaśmiał się. – Należę do tych ludzi, którym wszystko wydaje się ciekawsze od łażenia po sklepach i oglądania mebli z kolekcji „Oszczędź na lokatorach”, więc przyznaję, że owszem.

Anna uznała, że lepiej będzie nie wspominać, ile mebli z Ikei stoi w jej mieszkanku.

Przeszli do prawej alejki. Anna włożyła rękawiczki i wysunęła pierwszą z rzędu płytkich szuflad, których zawartość spoczywała na wyściółce z ciemnej tkaniny.

– Wszystkie te przedmioty są przeznaczone na wystawę. Mogę je wykorzystać wedle uznania. Proszę poszperać, a jeśli coś panu wpadnie w oko, postaram się opowiedzieć jakąś ciekawą historię związaną z tym eksponatem. Są tu naprawdę wspaniałe rzeczy.

James zaczął przeglądać zawartość szuflad. Delikatne filigranowe bransoletki, wysadzone klejnotami bransolety, pierścienie, wisiorki...

Anna próbowała zdusić w sobie chęć pochwalenia się wiedzą na pasjonujący ją temat.

Nie udało jej się.

– Problem z Teodorą polega na tym, że trzeba się zdecydować, jaki aspekt jej życia chcemy uwypuklić – rzekła cicho. – To postać

wielowymiarowa. Można się oczywiście skupić na tra-dycyjnym wątku awansu społecznego, od pucybuta do milionera. Ale od pieniędzy i władzy bardziej interesujące jest to, jak wykorzystywała swoją pozycję. Otwierała domy opieki dla prostytutki-tek i zakazała stręczycielstwa. Przeworsowała ustawy zabezpieczające prawa zamężnych kobiet i kary za gwałt. Zlikwidowała domy publiczne w Konstantynopolu. Można by powiedzieć, że była jedną z pierwszych feministek w dziejach.

– I wcale niebrzydka – zauważył James, zerkając z uśmiechem sponad broszki.

Jeśli ryzykował tego rodzaju dowcipy, musiał dostrzegać u Anny choćby szczątkowe poczucie humoru. Ale pomyślała, że z jego zachowania przebija niemiłosierna nonszalancja. Nic nigdy nie było dla niego ważne, chyba że sam znalazł się pod bezpośrednim ostrzałem.

– Zgadza się. Grecka Elizabeth Taylor – przytaknęła. – Inteligentna, uduchowiona, odważna... Długo by wymieniać jej zalety. Sądząc po zachowanych wizerunkach, Justynian też był niczego sobie.

– Aczkolwiek w tamtych czasach za niepoehlebny portret można było zapłacić głową –

zauważył James, zerkając na Annę.

– To prawda.

– Gdyby tak wprowadzić te prawa w stosunku do ludzi, którzy wrzucają na Facebooka szpetne zdjęcia. – Na twarzy Jamesa pojawił się uśmiech. Oboje wydawali się zadowoleni z tego, że nie walczą ze sobą.

– Jednak robienie z niej bohaterki jednoznacznie pozytywnej byłoby ryzykowne. Bywała również absolutnie bezwzględna i okrutna dla swych rywalek. Pewnie nie miała wyjścia, bo inaczej sama zostałaby pożarta. Każdy żyje w terażniejszości i nie zastanawia się, co będą o nim mówić w przyszłości. Świetny temat na film dla Hollywood.

– Skończyłoby się tak, że w głównych rolach obsadziliby Milę Kunis i Ashtona Kutchera i zrobili z tego jakąś durną komedię.

Anna uśmiechnęła się.

– Mam tylko nadzieję, że wystawa się uda. Marzę o tym, żeby dzięki niej pojawili się nowi wielbiciel Teodory. – Urwała. – To znaczy, jej późniejszych dokonań, nie tych erotycznych występów.

James roześmiał się.

– Odniosłem wrażenie, że oburzyło panią, kiedy Parker wspomniał jej rozwiążłość.

– No, wie pan. Nie chcę jej osądzać...

– To dobrze. W takim razie możemy się spodziewać, że zaaprobuje pani nazwę naszej aplikacji: *Teodora Lafirynda*.

Teraz zaśmiała się Anna. Przypomniało jej się, że w szkole słynał z ciętych ripost. Miał

poczucie humoru i lubił żartować.

– Nie sądzę, żebyśmy się mieli czym martwić, jeśli chodzi o wystawę. Będzie bardzo popularna – powiedział uprzejmym tonem, ale Anna nie potrafiła stwierdzić, czy naprawdę tak my-

śli, czy tylko sobie z niej kpi.

– To by świetnie wyglądało w aplikacji. – James, jak magik wykonujący sztuczkę z monetą, obracał w białych rękawiczkach złotą broszę zdobioną różnokolorową emalią. – Moglibyśmy zrobić powiększenie, żeby pokazać na ilustracji wszystkie detale.

Pochylił się nad broszą, przez co jego atramentowe włosy, ciemne jak najczarniejsza noc, znalazły się tuż obok Anny. Choć starała się pozostać obojętna, w cichej, odrealnionej przestrzeni magazynu nie sposób było się nimi nie zachwycić. Nawet jeśli nie budził w niej sympatii, nie mogła mu odmówić ponadczasowej urody.

O tym, czy ktoś uchodzi za przystojnego, czasem decyduje moda panująca w danej epoce.

Mama Anny uważała na przykład, że Ryan Gosling wygląda jak „owoc związku bliskich kuzynów, podobny do Nicholasa Lyndhursta¹⁵⁾. Ale Jamesa Frasera z pewnością nazwałaby „przy-stojniachą” – cholera, nawet babcia Maude, zanim na dobre rozwinęła się u niej jaskra, powiedziałyby to samo.

15) Nicholas Lyndhurst – brytyjski aktor telewizyjny o bardzo charakterystycznej pociągłej twarzy.

Pod względem proporcji i kształtów jego twarz spełniała wszelkie kryteria klasycznego piękna – tak doskonale, że gdyby go przenieść do jakiegokolwiek innej epoki, budziłby nie mniejszy podziw. Gdybyż

to tylko było możliwe. Te arcyregularne rysy ożywiała lśniąca skóra, której opalizująca poświata przywodziła na myśl kamień księżycowy... Zaraz, zaraz! Co ona wyprawia? Co ją opętało, żeby się zachwycać tą chodzącą nikczemnością przyobleczoną w postać mężczyzny z lekkim zarostem na brodzie?

Anna przypomniała sobie, co kiedyś wypisywała na temat twarzy Jamesa w pamiętnikach, zapełniając w uniesieniu kolejne strony opisami tego, jak jej wnętrze reaguje na jego widok. I ten dzień, po którym nie zanotowała już ani jednego słowa. Otóż to – tak właśnie miały się sprawy z Jamesem Fraserem. Cokolwiek pozytywnego by w nim dostrzec, natychmiast pojawiała się coś negatywnego.

– Na ogół nie gustuję w takich efektownych kosztownościach, ale muszę przyznać, że jest piękna. Trudno mi od niej oderwać oczy – przyznał James, podnosząc wzrok i rzucając Annie spojrzenie spod brwi gwiazdora filmowego. Przeszedł ją dreszcz zawstydzenia, bo uświadomiła sobie, że jego myśli błędzą w tych samych rejonach co jej. A w każdym razie niektóre z nich.

Rozdział 27

– Niestety, ale w tym tygodniu możemy się z panem spotkać wyłącznie w godzinach pracy – martwy głos kobiety po drugiej stronie telefonu wyraźnie sugerował, żeby James spadał na drzewo, bo przeszkadza jej robić manicure.

– Proszę zgadnąć, gdzie ja przebywam w godzinach pracy – odparł.
– Odpowiedź zawarta jest w pytaniu.

– Przykro mi, ale nic więcej nie możemy zaproponować. Chce się pan umówić na czwartek?

– Raczej sprawdzę, co mi powiedzą w Foxtons. Dzięki – rzucił kwaśno i rozłączył się.

Płacił za swoją dumę: musiał dzwonić do agentów nieruchomości z komórki, na korytarzu, żeby te wścibskie gnojki z biura nie podsłuchiwały. Po kilku podobnych rozmowach, kiedy ręka mu już zeszywniała od trzymania telefonu, zorientował się, że nie uda mu się załatwić nic lepszego niż późne popołudnie. Skapitulował i umówił się na dokładnie ten sam dzień i tę samą godzinę, które odrzucił dwie rozmowy wcześniej.

Hmmm. Swoją drogą przynajmniej wyrwie się z biura. Powie, że musi oddać pralkę do naprawy czy coś w tym stylu. Nie chciał, żeby się go wypytywali, co kombinuje.

Zamierzał tylko nastraszyć Evę, by wróciła, i nie sprawiało mu to przyjemności. Usiłował

zignorować krążące mu po głowie pytanie: „A jeśli do mnie wróci, ponieważ nie chce stracić domu, cóż to będzie za zwycięstwo?”.

Przypomniały mu się zaskakująco silne emocje nie tak dawno towarzyszące jemu samemu w poszukiwaniach domu i poczuł się podle ze świadomością, że będzie zapraszał innych ludzi, by wyobrażali sobie, jak się urządzą u niego, choć szanse na

zrealizowanie tych pomysłów mieli znikome.

Ale jeśli Laurence miał rację i rzeczywiście Evę należało jakoś sprowokować, metafo-rycznie naprężyć mięśnie, by przyciągnąć jej uwagę, wspólny dom w Crouch End nadawał się do

tego najlepiej. James doszedł do wniosku, że ma do wyboru trzy możliwe fronty działania: dom, kot albo on sam. Nie chciał czynić zakładnikiem Luthera ani z czystego wyrachowania iść do

łóżka z kimś innym, jak mu radził Laurence.

Odkrył, że nic tak nie zabija namiętności jak rozstanie z niedawno poślubioną żoną. Zupełnie jakby Eva okaleczyła mu głowę, klatkę piersiową i brzuch, wyłączając w nich niektóre funkcje życiowe.

Na samą myśl o wdawaniu się w fikcyjny romans z kimś obcym, kto spełniłby rolę dmuchanej lalki, ogarniał go niesmak i przygnębienie.

Miałby powrócić do wybryków dwu-dziestoparolatka, teraz, jako podłamany facet, nad którym wisi widmo rozvodu i który po odesłaniu taksówką takiej niecznie wykorzystanej przypadkowej panienci, pewnie rozplakałby się z tę-

sknoty za utraconą żoną? Dziękuję, postoję. Tego rodzaju ból nie lubi towarzystwa.

James schował komórkę do kieszeni, wrócił do biurka i przejrzał terminarz. Najlepiej by-

łoby to zamaskować jakimś spotkaniem. W jakiej sprawie mógłby ściągnąć klienta do swojego domu? Wygląda na to, że nie bardzo ma z

czego wybierać. A potrzebował dobrej wymówki, bo

Harris wkroczył na ścieżkę wojenną i tylko patrzył, do czego by się przyczepić.

Formalnie nie był jego przełożonym, ale miał świetne układy z właścicielami Parlez, upiornie bogatą parą pięćdziesięciokilkulatków, Jezem i Fi (broń Boże Jeremym i Fiona), aktualnie pochłoniętymi przebudową swojego ekodomu w Umbrii, któremu poświęcono jeden odcinek telewizyjnej *Wielkiej architektury*. Biorąc pod uwagę, że wydali na realizację tego projektu koszarne pieniądze, a okoliczni mieszkańcy najchętniej by ich zamordowali, bardziej pasowałoby określenie „wielka głupota”.

Harris był ich okiem i uchem w firmie, niebawem zaś miał im przesłać comiesięczny ra-port. Nie ulegało wątpliwości, że sporo miejsca zajmie w nim podpunkt „Leserzy i olewusy”, a James znajdował się już na jego liście podpadniętych, ponieważ go nie znosił i się z tym nie krył.

Zaraz, zaraz... Projekt „Teodora”. Musi uzgodnić z Anną z UCL eksponaty, które ostatecznie wybrali do wykorzystania w aplikacji. Czy ma ochotę zapraszać ją do siebie? Nie bardzo... Ale nie powinno mu to zająć więcej niż godzinę, góra dwie. A ostatnim razem w Muzeum Brytyjskim zachowywała się przyzwoicie.

Stchórzył i postanowił jej napisać w mejlu, że wyskoczyła mu nagła wizyta hydraulika, dlatego bardzo przeprasza, ale chciałby przenieść spotkanie do swojego domu.

– No to co nam powiesz o swojej nowej kobiecie, Jay Fray? – spytał Harris, stając za jego plecami. Poprawił na głowie aksamitną fedorę w kolorze elektrycznego błękitu, z zatkniętym za wstążkę piórkiem. Był to zaledwie trzeci na liście najokropniejszych kapeluszy Harrisa.

– Hmm? – mruknął James, udając, że pochłania go praca.

– O tej ludzkiej istocie płci żeńskiej, która będzie ci towarzyszyć piątego na imprezie.

– A, tak. Hmm. Jeszcze na to za wcześnie.

– Daj spokój, coś nam przecież możesz powiedzieć...

Z Harrisa był prawdziwy kawał mendy. To oczywiste, że

go podpytuje wyłącznie dlatego, iż wyczuł jego niechęć do poruszania tego tematu.

– Lepiej, żebyś nie wiedział, czego się spodziewać. – James starał się, żeby to zabrzmiało przyjaźnie.

– Jak się nazywa? Gdzie ją poznałeś?

ODWAL SIĘ, TY KRÓLU DUPKÓW.

– U znajomych znajomych.

James właśnie się zastanawiał, jak tu, do cholery, wykręcić się od dalszych pytań o wyimaginowaną dziewczynę, kiedy Harris dojrzał coś na ekranie Parkera. Oczy mu się zaświeciły i wydał z siebie mrozący krew w żyłach skowyt.

– Parker, siedzisz na Google Plus?! Kto w ogóle z tego korzysta? Chyba gadasz sam ze

sobą, bo jesteś **JEDYNYM CZŁOWIEKIEM NA GOOGLE PLUS.**

– Twoja matka też tu jest – odparł Parker.

– Cha, cha, cha, to twoja matka używa Google Plus – odparował Harris. – Założyliście kółko wzajemnej adoracji. Mama wysłała ci zaproszenie i jesteś jej znajomym.

– A twoja w weekendy korzysta z Outlooka – odciął się Parker.

– A twoja z Pegasus! – zawołał Harris.

– A twoja używa FAKSU i wysyła ludziom FAKSY...

Zachwyty w ich głosach wskazywał, że obaj świetnie się bawią tym wydurnianiem w duecie i mogą je ciągnąć bez końca. Zupełnie jak Flip i Flap.

James założył słuchawki.

Jak też musi wyglądać praca z dorosłymi ludźmi? Próbował to sobie wyobrazić. Powrócił

myślami do oglądania z Anną zabytków w Muzeum Brytyjskim.

Biorąc pod uwagę jej reakcję na

internetowe wygłupy, nie wątpił, że popołudnie spędzone w tym przedszkolu wzbudziłoby w niej wyłącznie wzdarcie.

Irytujące było to, że – jak sam się przed nią przyznał w nieco zbyt agresywnym wybuchu – całkowicie podzielał jej zdanie.

Rozdział 28

Anna zastukała metalową kołatką umieszczoną na błyszczących

czarnych drzwiach i poczuła zaciekawienie tym, jak mieszka James Fraser. Jego dom stał przy ładnej, cichej ulicy, wzdłuż której ciągnęły się wiktoriańskie wille o białych okapach, zasłonięte od frontu starannie przyciętymi żywopłotami z ligustru. Nieruchomości w tej części miasta kosztowały zbyt dużo, by

o nie nie dbano. Usytuowany w połowie rzędu szeregowiec Jamesa miał obowiązkowe białe żaluzje, opuszczone do połowy w wykuszowym oknie z przodu, oraz wyłożony terakotą ganek z repliką lampy gazowej.

Otworzył jej drzwi ubrany w granatową koszulę z długimi rękawami; rozpinany sweter tym razem na szczęście gdzieś zapodział. Wydawał się mniej zdystansowany i bardziej przystępny niż poprzednio. „Pewnie dlatego, że gra na własnym boisku” – pomyślała.

– Dziękuję, że się pani tu pofatygowała – powiedział. – Naprawdę to doceniam.

– Nie ma sprawy. Mieszkam niedaleko. W Stoke Newington. Mam nadzieję, że kot

udało się naprawić?

– A, tak. Już działa.

Anna przeszła za nim z holu do jadalni. W wąskiej kuchni dostrzegła w głębi czarną lodówkę Smeg, piec elektryczny i mnóstwo lśniącego chromu. O kurde. James nigdy nie może zobaczyć jej kuchni. „Bez obaw” – uspokoił ją wewnętrzny głos.

– Napije się pani herbaty? Albo kawy?

– Herbaty bardzo chętnie, dziękuję.

– Pije pani malinową, prawda? Chyba mam.

– Tak, dzięki. – Okazał się bardziej spostrzegawczy, niż sądziła.

Na skórzanym fotelu zapiszczał jakiś kudłaty stwór, przeciągnął się, usiadł i zamrugał.

Zaskoczona Anna odruchowo krzyknęła.

James roześmiał się.

– Poznajcie się. Anna, Luther.

– To kot? Jest olbrzymi.

– Całkiem spory, prawda? Choć podejrzewam, że gdyby go ogolić do gołej skóry, wyglą-

dałby jak Gollum.

– Czemu on tak na nas patrzy?

– To znaczy jak?

– Jakby... spiskował, żeby nas wszystkich zamordować.

Anna poczuła ulgę, kiedy James uśmiechnął się na jej słowa.

– Rzeczywiście wygląda jak spiskowiec planujący masową zagładę. Od dawna szukałem słowa, które by najlepiej opisywało to jego spojrzenie, brawo. Korea Północna nam niestraszna.

Kiedy zobaczymy na niebie grzyb bomby atomowej, na czerwonym przycisku będzie spoczywała ta szara łapa.

– Nazywa się Luthor, jak Lex Luthor?

– Cha, cha! Niestety nie. Luther, jak Luther Vandross.

Anna nie była pewna, czy powinna go dotknąć, czy nie.

– Nie zaliczam się do miłośników kotów – stwierdziła przepraszającym tonem.

– Ze mnie też nie jest żaden doktor Dolittle – odparł James, splatając ręce i w dalszym ciągu się uśmiechając. – Woli pani psy?

– Nie, właściwie nie przepadam za zwierzętami domowymi.

Wyjąwszy chomika, którego miałam jako nastolatka – dodała pośpiesznie. – Nazwałam go Trybula.

– Trybula? Jak to zioło?

– Tak. Pasowało do niego. Miał wielkie policzki. Bezczelny Trybula.

– Dziwny pomysł. Już lepszy byłby Bazyli. Też ziołowe imię, a przynajmniej męskie –

zauważył rozbawiony James.

– Dzięki za radę. Ale i tak już nie żyje.

– Zdechł ze wstydu – podsumował James i Anna zaśmiała się mimo woli. – Luther ma

mnóstwo problemów, ale przynajmniej nie nazywamy go Szałwia.

– Pochylił się, by pogłaskać kota, ten jednak zeskoczył z fotela i ruszył niezgrabnie do kuchni.

– Luther, żartowaliśmy tylko! – zawołał za nim James. – Należał do mojej żony – wyjaśnił.

– Aha.

Zauważyła, że użył czasu przeszłego, a James zauważył, że ona zauważyła.

– Eva i ja rozstaliśmy się kilka miesięcy temu.

– Przykro mi – powiedziała Anna. Tego się nie spodziewała.

Wydawało jej się nieprawdopodobne, by James Fraser mógł być sam. Na pewno przeleciał w kiblu jakąś atrakcyjną koleżankę żony, naćpany kokainą w Cargo w Hoxton czy gdzie tam bywają i co robią pozbawieni serca hipsterzy w średnim wieku. Dopiero teraz spostrzegła, że James nie nosi obrączki.

Poszedł za Lutherem do kuchni, przygotował filiżanki i włączył czajnik.

– Przyniosę pliki – oznajmił, gdy wrócił do salonu. Anna stała, nie bardzo wiedząc, co robić. – Może powieszę pani kurtkę?

– Dzięki... – podała mu swoją szarą budrysówkę.

James pomknął drewnianymi schodami na górę, sadząc wielkie, głośnie susy.

Anna wykorzystała jego nieobecność, by się lepiej rozejrzeć. Nigdy dotąd nie była w takim domu. Pomieszczenia wyglądały, jakby je wyjęto ze zdjęć w jakimś czasopiśmie o architekturze wnętrz. Ciemne deski podłogowe w kolorze melasy, sofa chesterfield wykończona różanym aksamitem, delikatny róż sutków na reprodukcji obrazu Rosettiego, stojące lampy ze szklanymi kloszami, wygięte i posrebrzane. Tu i ówdzie plama koloru, jak ten skórzany fotel wprowadzający do wnętrza element wiekowości. Światło odbijające się w stoliku z blatem z weneckiego szkła. Nad autentycznym kominkiem drugie lustro, olbrzymie. Ogólnie mnóstwo lśniących powierzchni.

Nie musiał jej mówić, że nie mają dzieci. Oczami wyobraźni widziała biegającego po tym domu szkraba z ostrym kawałkiem szkła wbitym w głowę niczym piorun.

Na poobijanej komodzie w części jadalnej prężył się las zdjęć w ciężkich srebrnych ramach. Jak się spodziewała, opiewały urodę mieszkańców i ich ekstrawaganckie wakacje. Zostały wykonane w najróżniejszych sceneriach, od brukowanych uliczek gdzieś w Europie, przez tropikalną roślinność, po balkony na Manhattanie.

Na jednym samotna żona stała po pas w parującej wodzie, odziana tylko w strój bikini z białych trójkątów. Anna nigdy w życiu nie umieściłaby na

widoku zdjęcia, które by tak jednoznacznie krzychało: „Podziwiającie mój biust!” – ale też nigdy nie miała takiego ciała. Eva wyglądała oszałamiająco, a jednocześnie trochę jak z reklamy pasty do zębów. Typ kobiety, której widok wywołuje zachwyt i budzi pożądanie.

Zwłaszcza jedno zdjęcie zwróciło uwagę Anny. Aż podeszła bliżej, żeby się mu przyjrzeć.

James patrzył prosto w obiektyw, uśmiechnięty nad wielką filiżanką w jakimś bistro ze stolikami na chodniku. Wyglądał bardzo sympatycznie. Wręcz wyjątkowo pociągająco. I nie wynikało to z jego urody – nietrudno być przystojnym, jeśli się człowiek urodził ze wspaniałym ciałem. Chodziło o wyraz jego twarzy. Anna nigdy go takiego nie widziała: budzącego zaufanie, czulego i rozbawionego, z jakąś nutką drwiny w oczach. Może przed chwilą uprawiał seks?

W taki sposób patrzy się tylko na kogoś, za kim się szaleje, kogoś, kto sprawia, że na jego widok ogarnia cię ekstaza. Przez moment Anna znalazła się na miejscu tej osoby, stojącej po drugiej stronie aparatu. Przez głowę przemknęło jej osobliwe wspomnienie młodzieńczego zauroczenia, jakby przesunął się po niej cień. Odpędziła je.

Pośrodku znajdował się ślubny portret młodej pary na schodach przed urzędem stanu cywilnego, obsypanej konfetti, roześmianej, świadomej własnej atrakcyjności i zakochanej. James miał na sobie jasnogranatowy garnitur i krawat w kwiaty, patrzył pod nogi, uśmiechał się, a jego pięknie wyrzeźbione rysy zachwycały fotogenicznością. Jego żona zerknęła w prawo, na kogoś niewidocznego w kadrze. Prosta suknia ślubna, obszyta koronkami, została tak zaprojektowana, by wyeksponować smukłe ramiona i łabędzią szyję. Włosy panny młodej podtrzymywała wąska opaska zdobiona klejnotami, oczy miała podkreślone eyelinerem w płynie, a w jej uszach tkwiły perłowe klipsy. Razem wyglądali arcygustownie w stylu retro – *Elvis żyje i żeni się z Grace Kelly*. Tworzyli parę doskonałą.

Co by zrobili, gdyby im się urodziło brzydkie dziecko? Utopiliby je w wiadrze wody?

Anna skrzywiła się. Cóż za dzikie myśli przychodzą jej do głowy. Pewnie się rozstali właśnie z powodu różnicy zdań w kwestii potomstwa.

Z kuchni dobiegło ją głośnie drapanie, jakby myszy biegającej za listwą przypodłogową.

Anna poszła sprawdzić, co się dzieje, i natknęła się na Luthera stojącego błagalnie przy tylnych drzwiach.

– Miauuu! – Oparł włochatą łapę o drzwi i kilkakrotnie klepnął nią o nie, by jasno zasygnalizować, o co mu chodzi. A potem zamiauczał jeszcze bardziej żałośnie.

– Chcesz wyjść? – spytała, zadowolona, że za niezbyt uprzejme myśli będzie się mogła zrehabilitować prostą pracą domową.

Nad blatem wisiał na haku klucz ze złotym pomponem. Anna wsadziła go do zamka, przekręciła i drzwi się uchyliły.

– Wyskakuj.

Kot, który jeszcze przed chwilą dopraszał się, by go wypuścić, teraz wydawał się niepewny, co ma zrobić. Kręcił się w kółko i wpatrywał w Annę przepastnymi oczami. Wąsy miał wielkie jak kolce jeżozwierza. Anna schyliła się i delikatnie go popchnęła. Ta włochata ofermą sprawiała wrażenie, jakby nigdy nie widziała ogródka z tyłu domu.

Rozdział 29

Właśnie przeglądali duże kolorowe zdjęcia – Anna opisywała je na odwrocie, a w radiu marki Roberts grała cicho w tle Classic FM – kiedy James zerknął w okno salonu i zrobił zdumioną minę.

– Dziwne... Ten kot przed domem wygląda jak... – urwał i zaczął się rozglądać po podłodze. – Luther! Luther?

Anna podniosła wzrok i zdążyła jeszcze zauważyć znikającą za szybą szarą futrzaną kulę.

– Zwykle nie przechodzi przed dom z ogródka na tyłach? – zdziwiła się.

– Co? – spytał w roztargnieniu James, wstając. – Luther?

Podszedł szybko do wykusza, oparł się o framugę i wyrzwał na zewnątrz.

– Ha! Kot zniknął. Coś mi się przywidziało. Wyglądał dokładnie jak on...

– Wszystko z nim w porządku? – spytała Anna, zaskoczona tą reakcją.

James przemknął obok niej, wpadł do kuchni i wrócił z wyrazem konsternacji na twarzy.

– Nie ma go tam... Może siedzi na górze. Nie może wychodzić z domu...

Anna wstała gwałtownie, aż żołądek zjechał jej do stóp.

– Kurczę, ja go wypuściłam.

James odwrócił się do niej z szeroko otwartymi oczami.

– Co?!

Na moment zamilkł, a potem się odwrócił i rzucił biegiem do holu. Anna popędziła za nim.

– Luther... Luther! – wołał James, gdy wypadli przez frontowe drzwi.

– Nie poradzi sobie na dworze? – Anna rozglądała się razem z nim po ogródku od strony ulicy. Było jej bardzo głupio i odczuwała lekki niepokój.

– Z trudem radzi sobie w domu – odparł James, odsuwając z łoskotem pojemnik na śmieci, by sprawdzić, czy nie ma za nim kota.

– Czemu go pani wypuściła? – spojrzał na nią, a w jego głosie pobrzmiwała delikatna nutka irytacji, którą dość mężnie starał się stłumić. – On nigdy nie wychodzi.

– Siedział przy drzwiach i w nie skrobał. Uznałam, że... Bardzo pana przepraszam.

– Ten gnojek się wycwanił. To nie pani wina. Normalne koty można wypuszczać – wyja-

śnił James, dużo bardziej uprzejmie, niż się spodziewała. W tych okolicznościach miałby uzasadnione prawo się na nią wkurzyć.

– Luther!

James przeskoczył niewysoki murek oddzielający jego ogródek od sąsiadów, sprawdził, że nie ma tam kota i wyszedł na ulicę przez ich furtkę.

Anna raz jeszcze rozejrzała się bez sensu po pustym ogródku od frontu i postąpiła podobnie.

– Wydawało mi się, że poszedł w tym kierunku – stwierdził James.

Zaczęły się już wieczorne godziny szczytu i choć była to ulica w typowo mieszkalnej dzielnicy, co chwilę przejeżdżały nią samochody.

– Mam nadzieję, że go złapiemy, zanim wyjdzie na jezdnię.

– Nie umiałby przebiec na drugą stronę?

James rzucił jej wymowne spojrzenie.

– Nigdy jeszcze tego nie robił. Odniosła pani wrażenie, że mógłby znać przepisy ruchu

drogowego? On jest głupi jak gęś.

Jego słowa sprawiły, że żołądek Anny zsunął się jeszcze niżej.

Zaraz zobaczy, jak pod ko-

łami vauxhalla zafiry kot zamienia się we włochaty omlet, i to wyłącznie z jej winy. O Boże, co

za koszmar...

– Może ja pójdę w jedną stronę, a pani w drugą? – zasugerował James.

Anna gorliwie skinęła głową i ruszyła w przeciwnym kierunku, wzorem Jamesa kucając przy każdym zaparkowanym samochodzie, zerkając za żywopłoty i wołając za Lutherem.

Zważywszy na rozwój wypadków, wypuszczenie kota bynajmniej nie okazało się sympatycznym gestem, ale grzechem nadgorliwości i wtrącania się w nie swoje sprawy. Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, co może o niej myśleć James. Skoro najwyraźniej nie pamiętał jej ze

szkoły ani nie wiedział, że podsłuchiwała go na zjeździe, gdy lekceważąco wyrażał się o jej wyglą-

dzie, opinię musiał sobie wyrobić na podstawie tych kilku niedawnych kontaktów z nią. A sądząc po jego względnie uprzejmym zachowaniu, domyśliła się, że musi ją uważać za raczej wredne babsko. Które w dodatku za chwilę zamorduje mu kota.

Nagle zza tylnych kół samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy wysunął się szary włochaty kształt. W tym momencie z lewej dobiegł Annę warkot silnika zbliżającego się auta, zwiastujący

nieuchronną tragedię.

– Luther! – zawołała i rozejrzała się za Jamesem w nadziei, że zaalarmowany przez nią zdąży się tym zająć, ale akurat gdzieś zniknął.

Kot nie tyle siedział, ile raczej kulił się i szykował do wyskoczenia na jezdnię, podekscytowany świeżo zdobytą wolnością.

– Luther, nie! – krzyknęła, jakby tym zaklęciem była w stanie przemienić go w malutkie-go, posłusznego psiaka, który rozumie po angielsku. Kot wysunął się z za koła jeszcze o parę centymetrów i zawahał się. Annie zrobiło się niedobrze i zaschło jej w ustach. Nie była ekspertem od

kociach zachowań, ale prawdopodobieństwo tego, że zwierzę wpadnie pod nadjeżdżające auto, oceniała na pięćdziesiąt procent.

Wyglądało na to, że Luther marnuje cenne sekundy, które dawa-

ły mu jeszcze szansę na bezpieczne przebiegnięcie przez ulicę, i wyskoczy dokładnie w chwili, gdy samochód znajdzie się na jego wysokości.

Kot podszedł jeszcze bardziej do przodu i zaczął się kołysać tam i z powrotem, ewidentnie gotując się do skoku. Jeden ruch i znajdzie się na środku jezdni.

Anna w panice rzuciła się w stronę nadjeżdżającego samochodu, oddalonego już tylko o jakieś sto metrów, unosząc wysoko obie ręce z dłońmi zwróconymi na zewnątrz.

– Stać!

Siedząca za kierownicą kobieta w średnim wieku z przerażonym wzrokiem wcisnęła hamulec. Zdawało się, że minęły wieki, nim w końcu samochód zatrzymał się tuż przed Anną.

Kiedy się rozejrzała w poszukiwaniu Luthera, ku swemu zdumieniu zobaczyła, że pers siedzi u jej stóp. Cholera, co za durny kot. Nie wystraszył go nawet pisk opon. Pochyliła się i złapała go mocno, nie zastanawiając się już ani chwili. Właśnie zaliczyła przyspieszony kurs postę-

powania z kotem w nagłych wypadkach – na szczęście bez wypadku.

Podziękowała kierowcy machnięciem ręki spod miękkiego kłębka futra. Przerazenie na

twarży kobiety ustąpiło miejsca zrozumieniu. Uniosła dłoń nad kierownicą, jakby chciała powiedzieć: „No tak. Wszystko jasne. Uff”.

Kiedy Anna wróciła na bezpieczny chodnik, dostrzegła nadbiegającego Jamesa, który był świadkiem całej sceny.

– Luther – powiedziała niepotrzebnie, gdy stanął przy niej.

– Do diabła, co pani wyrabia? Mogła pani wpaść pod koła!

James trzymał jedną rękę na głowie i był wyraźnie blady. Annę zaskoczyła myśl, że tak bardzo się tym przejął, nie tylko z oczywistego powodu, iż wolałby uniknąć widoku krwi i wypełniania potem sterty dokumentów.

– Czułam się odpowiedzialna.

– Pani? Odpowiedzialna? Pani życie jest chyba cenniejsze niż mój kot. Boże wszechmogący, już myślałem, że wyląduje pani na intensywnej terapii, a ja będę musiał dzwonić do pani rodziców i wyjaśniać im, że umiera pani za humorzasty włochaty termofor. Nie wiem, czy mam pani dziękować, czy raczej na panią nakrzyczeć. – James schował twarz w dłoniach, a potem znów je opuścił, by dodać: – Chyba nie pomyślała sobie pani, że się aż tak wkurzyłem o to wypuszczenie kota z domu? Przecież nic nie mówiłem.

– Skądże! Nie myślałam o tym. – Anna najzwyczajniej w świecie dostrzegła rozwiązanie problemu i, zupełnie dosłownie, rzuciła się, by je zastosować. Dopiero teraz dotarło do niej, jaką głupotą z jej strony było zawierzanie własnego życia sile hamulców nissana micry.

Anna podała Jamesowi Luthera. Przez moment ocierała dłonią o jego pierś, nie chcąc zbyt wcześnie wypuszczać kota z rąk, by przypadkiem im się nie wyrwał. Zwierzak zmarszczył gniewnie pyszczek i zaczął fukać poirytowany fiaskiem operacji „Pewna Śmierć”.

– Żyje dzięki pani – powiedział James i pochylił lekko głowę nad Lutherem. Anna wyczuła, że nie chce w jej obecności robić niczego tak niemęskiego jak wtulanie twarzy w kota.

Czuła się dziwnie. Była nabuzowana adrenaliną, właśnie wyrwała się z paszczy klęski i odniosła zwycięstwo, cokolwiek by mówić

o sposobie, w jaki to zrobiła. A człowiek, którego nie znosiła, zachowywał się tak po ludzku, tak porządnie, że trudno go było nienawidzić. „Ale on

zasługuje na nienawiść” – przypomniała sobie.

– Pomijając element samobójczy, wyglądało to świetnie. „Stać!” – James uniósł rękę, na-

śladując gest Anny i przez chwilę obejmując Luthera tylko jednym łokciem. Rozbawiony chwycił

go mocniej, bo kot cały czas się wiercił. – Chodź, stary. Puścimy ci coś na National Geographic.

Będziesz mógł udawać, że zwiedzasz Andy.

Anna uśmiechnęła się i wrócili razem do domu.

Kiedy rozdrażniony Luther uspokoił się nad spodkiem mleka Whiskas, James zaproponował:

– Temu małemu skurczybykowi drink dobrze zrobił na nerwy, więc może i my powinni-

śmy się czegoś napić. Whisky?

– Bardzo chętnie – odparła Anna, mimo że nigdy nie piła whisky.

– Z pracą już chyba sobie damy spokój – stwierdził James, zerkając na papiery rozłożone na stole w jadalni. – Może się przeniesiemy na coś bardziej wygodnego? – wskazał sofę.

Anna usiadła ostrożnie na dziewiczo różowym chesterfieldzie.

James przez chwilę pobrzękiwał szkłem w barku w głębi pokoju, po czym wrócił i podał jej niską szklankę z bursztynowym alkoholem. Nie była pewna, ale wydawało jej się, że drży mu ręka.

– Może być Laphroaig?

– To Laphroaig? W takim razie dziękuję, ale nie.

Jamesowi wydłużyła się mina.

– Żartuję! – zawołała Anna. – Równie dobrze mogłaby się nazywać Irn Bru. Kompletnie

się nie znam na whisky.

James udał, że cofa rękę.

– Skoro tak, to szkoda, żeby się zmarnowała. – Uśmiechnął się i podał Annie szklankę.

Pozwalają sobie na żarty? Marne, bo marne, ale zawsze. To był

duży krok naprzód.

– Dziękuję. Szczerze – powiedział, stukając się z nią swoją szklanką. Anna wymamrotała, że nie ma za co. Whisky była ognista i smakowała torfem. Przyjemnie rozgrzewała jej usta.

– Często się pani zdarza narażać życie dla kotów, zważywszy że nie przepada pani za nimi?

– To był odruch. Przecież nie mogłam pozwolić...

– Udowodniła pani sobie, że jest gotowa do poświęceń i kieruje się niezwykle szlachetny-mi, choć szalonymi odruchami.

James uśmiechał się z autentyczną sympatią. Anna przypomniała sobie, że wynika ona z wdzięczności za to, iż nie musiał zbierać do pudełka po butach zakrwawionych szczątków zdumionego kota i lepki palcami dzwonić do żony.

– Żona nie chciała go zabrać ze sobą? – spytała, mając nadzieję, że nie uzna tego pytania za zbyt wścibskie.

– Można by się tego spodziewać, prawda? – odparł James, siadając w skórzanym fotelu. –

Wyprowadziła się do mieszkania swojej przyjaciółki, a tam jest trochę ciasno. Przypuszczam, że kiedy sobie coś znajdzie, zabierze go. Albo i nie. Z Evą różnie bywa.

Wydawał się zakłopotany wyraźną goryczą, jaka zabrzmiała w jego głosie.

– To znaczy... Ona jest inna. Żywiłowa. Tak to się chyba określa. Jak się człowiek żeni z kobietą, której nie dorównuje, musi się spodziewać, że będzie bolało.

– Uważa się za kogoś lepszego od pana? – Anna starała się ostrożnie sformułować to pytanie.

– Eva jest jedną z tych wyjątkowych osób. Wie pani, jakby oddychała innym powietrzem.

„Dziwne – pomyślała Anna – kiedyś, dawno temu, tak właśnie postrzegałam ciebie”.

– A pani sobie ułożyła życie, spotyka się z kimś? – spytał James.

– Jestem singielką, próbuję kogoś znaleźć przez internet – skrzywiła się.

– O rany, naprawdę? Może w pewnym momencie też się na to zdecyduję. – James potarł

sobie kark. – I jak, wyszło coś z tego?

– Wie pan, jak się balsamuje ludzi? W pierwszej kolejności spuszcza się z nich wszystkie płyny ustrojowe. Tak to mniej więcej wygląda, ale nie tracę nadziei. Przynajmniej mam okazję sprawdzić mnóstwo restauracji polecanych w „Time Out”.

– Wyobrażam sobie.

Anna uśmiechnęła się kwaśno i kiwnęła głową. Wiedziała, że potakuje jej tylko z uprzejmości, choć tym razem wyzbył się protekcyjnego tonu. Akurat! Ktoś taki jak on nigdy nie będzie musiał szukać kobiet w internecie. Sama wieść o tym bez wątplenia postawiłaby na nogi całą społeczność uspiionych agentek, o których nawet nie wiedział, że go znają. „Uwaga! Mobilizacja w Muswell Hill! James Fraser nie ma z kim wyjść”.

– Gdzie pani dorastała, zakładając, że nie w Stoke Newington? – spytał.

– Yhm... Niedaleko stąd... – Powolutku zaczynał ją demaskować, już chwycił za skraj jej kominiarki; poczuła się zagrożona.

– Mogę przed wyjściem skorzystać z toalety? – rzuciła rozpaczliwie, po czym jednym haustem dopiła resztkę whisky, by jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

– No jasne. – James wydawał się nieco zaskoczony tą nagłą zmianą nastroju. – Na górze, na wprost schodów.

Anna pomknęła na piętro i znalazła się w jeszcze jednej strefie doskonałości. Łazienka była wykończona cała na biało, a glazura na ścianach lśniła niczym w sanatorium. Podobnie jak w kuchni, wyraźnie było tu widać kobiecą rękę. Na zabudowanej spłuczce stała wypalona do po-

łowy świeca o zapachu jeżyn z papierową etykietą, a szafkę z lustrzanymi drzwiami, skrywającą sterty białych ręczników, zdobiła girlanda z małych papierowych lampionów.

Na parapecie leżało zdjęcie o rozmiarach okładki czasopisma, przedstawiające piękną młodą kobietę, która spała na brzuchu, z odsłoniętą górną częścią pleców. Wyglądało na intymną pamiątkę

z miodowego miesiąca i Annie przyszło do głowy, że pani tego domu jest chyba odrobinę próżna.

Siedząc na ubikacji, nagle zrozumiała coś jeszcze. Żona Jamesa odeszła i cały ten dom, wraz z nim i kotem, trwał teraz w zawieszeniu, czekając na jej powrót.

Rozdział 30

Aggy oznajmiła Annie, że sama może sobie wybrać suknię druhy.

– To ty będziesz w niej chodzić, więc musi ci się podobać i musisz się w niej czuć dobrze.

Anna uparła się, że wystarczy jej coś z sieciówek. Wybrały się więc do salonu Monsoon w pobliżu Oxford Circus, gdzie Aggy przejęła inicjatywę i zaczęła ściągać z wieszaków sukienkę za sukienką, zarzucając je sobie na ramię, a potem, kiedy już więcej nie mogła unieść, korzystając z ramienia siostry.

– Yhm... – chrząknęła Anna. – Sama mogę wybrać...?

– Od czegoś trzeba zacząć – odparła Aggy.

– Naturalnie. – Anna zdusiła uśmiech. Mogło być o wiele gorzej.

Jej siostra mogła przecież zażyczyć sobie całej chmary druchen.

Na szczęście jej „najlepsza psiapsiółka” Marianne na

swoim ślubie ograniczyła się tylko do jednej – własnej siostry, by móc się wykosztować na droż-

szą suknię dla siebie. Dzięki temu Aggy nie musiała się jej rewanżować i postąpiła podobnie.

W przymierzalni, tak ciasnej, że nie dałoby się w niej serdecznie uściskać nawet łasicy, Anna wkładała i zdejmowała kolejne kreacje.

Zapomniała już, że przymierzanie ubrań może być ciężką pracą.

W dodatku wymagającą zerkania co chwilę w lustro i analizowania własnego wyglądu znacznie bardziej, niż miała na to ochotę. Robiło jej się coraz duszniej, tekturowe metki kłuły ją w delikatne fragmenty ciała, a włosy miała coraz bardziej rozczochrane. W wybranych przez Aggy smukłych, bardzo wysokich szpilkach Annę rozboleły stopy, zanim zrobiła w nich choćby krok. Co jakiś czas odsuwała zasłonkę, by zaprezentować rezultat i wydać werdykt.

Koronkowa mini w kolorze elektrycznego błękitu:

– Pierwsze miejsce w konkursie gazetki telewizyjnej na zdziwę

miesiąca.

Suknia w wielkie róże z lawendową szarfą:

– Jak opaska na głowę z *Czterdziestoletniego prawiczka*.

Różowa spódnica tulipan ze srebrnymi dodatkami:

– Mam na parapecie wszystkie zwierzątka z *Leśnej rodziny* i co wieczór całuję każde z nich na dobranoc.

Za każdym razem Aggy mruczała tylko „Hmmm” i niechętnie kiwała głową na znak, że podziela jej zdanie.

Kiedy Anna ściągała właśnie sukienkę numer sześć, by wcisnąć się w siódmą, jej siostra oznajmiła zza zasłonki:

– Aha, znalazłam ci kogoś do pary na mój ślub.

Z podziękowaniami możesz zaczekać.

Anna zastygła z na wpół rozpiętym zamkiem błyskawicznym.

– Mam ci podziękować? Czy ja cię prosiłam o tego rodzaju pomoc?

– Przyda ci się.

– Aggy, czy ty mówisz serio? Zaczęłaś rozpowiadać bez mojej wiedzy, że masz smutną samotną starszą siostrę? Weź mię nie wpieniaj, jak mawia Michelle.

– Nie jesteś zainteresowana?

– Nie. Sama sobie wybieram, z kim się chcę umówić.

– I wychodzi ci to genialnie. Ile razy się już umawiałaś przez internet? Znalazłaś kogoś?

Kiedy ostatni raz wyszłaś gdzieś z jakimś facetem? Z takim, z którym by cię coś łączyło?

Anna poruszyła się niespokojnie.

– Wieki temu – ciągnęła Aggy po drugiej stronie poliestrowej zasłonki. – Może dla odmiany teraz ja ci spróbuję kogoś znaleźć? Jeśli ci się nie spodoba, nie ma sprawy.

– Nie. Nic na siłę, tylko dlatego że to twój ślub! – Anna przewróciła oczami do własnego odbicia w lustrze. – Kto to jest?

– Pamiętasz kuzyna Matteo?

– No... chyba tak... To ten, który na pięćdziesiątce taty tańczył z mamą *When You're in*

Love with a Beautiful Woman z tym kręceniem biodrami

i machaniem palcem? Nosi sportowe podkoszulki? I jest naszym kuzynem? Coś z tego wynika?

– Myślałam o jego kumplu. Primo. Jeśli się zgodzisz, to powiem Matteo, żeby go zabrał

jako swoją osobę towarzyszącą. Dla ciebie.

– Super, jeszcze jeden plażowy kulturysta. Czemu miałabym mu się spodobać? Widziałaś, jak wyglądają te włoskie tipsiary? A włoscy faceci lubią kobiety, które potrafią gotować jak Non-na. Ja umiem tylko zrobić jajka w koszulce i spaghetti.

– Szukasz wymówki w stereotypach – stwierdziła Aggy.

Nagle zza zasłonki wyłoniła się jej dłoń z telefonem. Zaskoczona Anna aż krzyknęła.

– Primo.

Z ekranu iPhone'a spoglądał na Annę wręcz absurdalnie śliczny Włoch o chłopięcej urodzie. Miał kręcone kasztanowe włosy i oczyniczym dwie czekoladki. Anna zsuwała właśnie sukienkę z dzianiny, której biustonosz bez ramiączek w kolorze écru ścisnął jej piersi jak balony z wodą pod płytą chodnikową, i mało co się nie zarumieniła.

– A dlaczego miałby się mną interesować? Wygląda na dwadzieścia parę lat, jak chłopak z One Direction czy innego boysbandu. Una Direzione.

– Ma trzydzieści trzy lata i jest architektem.

– No proszę. Dobra, punkt dla ciebie. Ale dlaczego ja?

Aggy westchnęła i wysunęła rękę z przymierzalni.

– Nie przyszło ci nigdy do głowy, że ponieważ się zachowujesz jak samotny stary kaszalot, to ludzie właśnie tak cię traktują?

– Tak jest, nic innego nie robię, tylko siedzę w domu i myślę: „Może to dlatego, że zachowuję się jak samotny stary kaszalot...”.

– Mówię poważnie! Ciągłe powtarzasz, że nikomu fajnemu nie mogłabyś się spodobać.

Powinnaś przeczytać *Jak poprawić swoją samoocenę*. Primo jest moim znajomym na Facebooku, więc może też oglądać twoje zdjęcia. Mówi, że ładnie wyglądasz i bardzo mu się podobasz.

– Cudownie, Aggy. Może jeszcze mnie wyślesz w paczce do Florencji i załatwisz wszystko do końca?

– Więc nie masz ochoty? W takim razie mu powiem, że nie.
Szkoda.

O Boże! Kiedy Aggy sobie coś umyśliła, naprawdę potrafiła postawić na swoim. Łatwo zrozumieć, dlaczego Chris nie ma nic do gadania przy planowaniu „Mojego wielkiego włosko-angielskiego wesela”.

– Okej, zastanowię się nad tym.

– Zastanawiaj się szybko! Nie co dzień trafia się taki Primo.

Anna podciągnęła zamek z boku obcisłej sukienki z czarnej krepy, z ołówkową spódnicą i koronkowym gorsetem. Przez moment miała nieprzyjemne wrażenie, że nie zdoła przeciągnąć suwaka powyżej talii, ale nagle złapał metalowe ząbki i wszystko znalazło się na swoim miejscu.

Hmmm. Prawdę mówiąc, źle to nie wyglądało. Anna odwróciła się, spojrzała przez ramię i poprawiła tkaninę na biodrach. Odsunęła zasłonkę.

– Tydzień z tangiem argentyńskim w *Tańcu z gwiazdami*.

Skrzywdzona prostytutka nieufna wobec mężczyzn, podrywana w barze w Buenos Aires przez tajemniczego włóczkę w filcowym kapeluszu?

– Wspaniała!

– Wystarczająco druhnawata?

– Mam to gdzieś. Najważniejsze, że moja siostra wygląda jak posolony ziemniak.

– Że co?!

– To z *The Only Way Is Essex* 16).

16) *The Only Way Is Essex* – popularny brytyjski program z gatunku reality show nadawany od 2010 r. na kanale ITV2.

Anna raz jeszcze sprawdziła, jak mocno sukienka opina jej pupę.

– Siostrzana miłość.

– Kiedy Primo cię w niej zobaczy, będzie załatwiony.

Dlaczego Anna odnosiła wrażenie, że nie ma znaczenia, czy się zgodziła na obecność Prima, czy nie, bo zaproszenie i tak już zostało wysłane?

Aggy bawiła się jej włosami.

– Tu by ci się przydała jakaś spinka z kwiatkiem... Cudowna. Tak.

Bierzemy ją.

– Ja ją kupię – oświadczyła Anna.

– Co? Ty? Dlaczego?

– Bo ty już dość wydałaś, a to jest sukienka, którą włożę więcej niż jeden raz.

– Anno, jesteś najlepszą siostrą – Aggy przytuliła ją. Na chwilę zamilkły. – Chciałam ci

też kupić szpilki.

Anna wypchała sobie policzek językiem.

– Super. Jeszcze szpilki.

Cofnęła się za zasłonkę, by przebrać się z powrotem we własne ubranie i, na szczęście, buty na płaskim obcasie.

– Wiesz, że imię Primo nadaje się tylko pierworodnemu synowi? – spytała. – To tak, jakby nazwać pierwsze dziecko Pierwszy.

– Nie opowiadaj takich rzeczy, kiedy się poznacie. Mama ma rację. Powinnaś przytemperować swoją osobowość.

Rozdział 31

Anna właśnie skończyła seminarium z grupą poważnych studentów z trzeciego roku. Wyraźnie otrzeźwiły ich, jeśli nie poruszyły, zbliżające się egzaminy końcowe. Przypomniała sobie to nagle przyspieszenie czasu z własnych studiów. Człowiekowi się wydaje, że trzy lata to wieczność, po czym odkrywa, że ani się obejrzał, a już się kończą.

– Proszę pytać, gdyby mieli państwo jakieś kłopoty z napisaniem tego tekstu – zachęciła ich, kiedy wychodzili.

Odwróciła się z powrotem do skrzynki odbiorczej, tego nigdy nienasyconego pożeracza czasu. Wśród ikonki z kopertą zauważyła wiadomość od Jamesa Frasera. Tytuł brzmiał: „W doborowym towarzystwie: inni sławni ludzie ratujący Luthera...”.

Kąciki ust uniosły jej się w uśmiechu. Otworzyła mejla i roześmiała się głośno, przewijając trzy przerobione w Photoshopie słynne sceny z filmów. Richard Gere w *Oficerze i dżentelmenie* przyciskał ponurego Luthera do białego marynarskiego munduru, Ralph Fiennes szedł przez pułstynię z owiniętym w len Lutherem w *Angielskim pacjencie*, a Patrick Swayze unosił go wysoko w finale *Dirty Dancing*. Sceny wyglądały tym zabawniej, że w każdej wykorzystano to samo zdjęcie

kota, z głową zwróconą prosto do obiektywu, marsową miną i ogonem przypominającym miotełkę do kurzu.

Obrazkom towarzyszył krótki list:

Jeszcze raz dziękuję za wykazanie się niezwykłą odwagą w obliczu potencjalnej katastrofy rodowodowej. Dowiedziałem się, że Parlez dostał mnóstwo bezpłatnych biletów na Obtarcia , ten jutrzejszy spektakl w Donmar Warehouse, z Dylanem Kellym. Słyszałem, że kobietom się podoba.

Nie bardzo wiem dlaczego, bo facet nawet w butach z grubymi obcasami ma ledwo metr sześć-

dziesiąt wzrostu. Ma Pani dwie koleżanki, które chciałyby się z Panią wybrać? Jeśli tak, proszę to przyjąć jako dowód mojej wdzięczności.

James x

I jeszcze elektroniczny całus? Naprawdę mu zależało na tym kocie. Anna zabębniła palcami o blat biurka, wahając się, jak odpowiedzieć.

Z jednej strony nie chciała, by jej wyświadczał

przysługi ktoś, z kim pozostaje w relacjach zawodowych.

Zwłaszcza James Fraser. Z drugiej ich współpraca przy Teodorze zasadniczo dobiegała już końca i z tego, co widziała, musiała przyznać, że aplikacja prezentuje się znakomicie. James Fraser okazywał się też aż nazbyt szarmancki w podejściu do incydentu z tym włochatym zwierzakiem, przypisując Annie zasługi w rozwiązaniu problemu, który sama przecież spowodowała.

Nadal mu nie ufała. I to się nigdy nie zmieni.

Ale Aggy by ją zabiła, gdyby się dowiedziała, że Annie proponowano bilety na to przedstawienie, a ona nawet jej o tym nie wspomniała. Jej siostra szalała na punkcie Kelly'ego, a wszystkie bilety na *Obtarcia* rozeszły się w mgnieniu oka już kilka miesięcy temu. Aggy mogłaby się wybrać sama. Ale czy przyjmując dowody wdzięczności w imieniu kogoś z rodziny, Anna mniej by się sprzeniewierzyła swoim

zasadom?

Spektakl grano w Donmar Warehouse. Zawsze bardzo chciała zobaczyć ten teatr. Zresztą czy ma jakieś lepsze plany na jutrzejszy wieczór? Zupa z mikrofalówki i następna płyta DVD z właśnie oglądanego zestawu.

Wysłała mejle do Aggy i Michelle z pytaniem, czy miałyby ochotę wybrać się na to przedstawienie, bo zaproponowano jej bilety.

Dwa potwierdzenia nadeszły w ciągu dwudziestu minut.

JA PIERDZIELE, SERIO? WYMIEKAM! UBOSTWIAM DYLANA KELLY'EGO. CO JA

WLOZE?! Xxx

Aggy, teatr działa w ten sposób, że to ty oglądasz aktora, a nie on ciebie. Rozumiem, że jesteś chętna.

Uściski,

Twoja zdecydowanie bardziej rozsądna i zgryźliwa siostra

x

I od Michelle:

Jak cholera. Zostawię całą kuchnię na głowie mojego pomocnika. Nie może mi odmówić, bo w ostatnie święta przyłapałam go, jak po pracy woził na wózku w jadalni naszego praktykan-ta. Z monitoringiem nie ma żartów (i ze mną też).

M xx

Wysłane z mojej iPizdy

Michelle codziennie zmieniała sygnaturkę w swoim iPhone. Anna ucieszyła się, że sprawiła im tyle radości, i w pogodnym

tonie odpisała Jamesowi, przyjmując jego propozycję. Odpowiedział w ciągu kilku minut, że świetnie, bo on też się wybiera, razem ze swoim kumplem Laurence'em, co, jak ma nadzieję, nie będzie jej przeszkadzać.

O kurczę. O tym nie pomyślała. W ogóle nie wzięła pod uwagę, że James również mógł-

by z nimi pójść. Czy to ważne? Poznają się z Aggy. A Laurence? Będzie miał kolejną okazję, by się połapać, kim ona jest. Niepotrzebne ryzyko.

Rozsądek podpowiadał jednak, że skoro James ciągle się nie zorientował, choć kilkakrotnie spotykali się w biały dzień i znał jej nazwisko, szanse Laurence'a na rozwiązanie zagadki w ciągu dwóch godzin spędzonych niemal w całkowitej ciemności muszą być bliskie zera. Anna zaczęła wierzyć, że nigdy nie zostanie rozpoznana, co równocześnie sprawiało jej ulgę i wprawiało ją w pewną konsternację.

O tych nowych okolicznościach wypadało jednak poinformować Aggy i Michelle. Była to winna zwłaszcza siostrze.

Wysłała mejla do obu: „James Fraser i Laurence też tam będą. Nie przeszkadza Wam to?

Wciąż nie wie, kim jestem, i zachowujemy się wobec siebie uprzejmie”.

Jeśli Tobie to nie przeszkadza, to mnie też nie. No i będę mogła rzucić na niego parę per-wersyjnych spojrzeń. Przepraszam, wiem, że to wredny facet, ale wredni faceci też bywają przystojni. Jak Johnny Depp w roli Sweeneya Todda. Aggy Xx

Podpisuję się pod wszystkim, co ona napisała. Michelle Xx

Anna odpisała zatem, że wszystko w porządku, a potem przypomniała jeszcze siostrze, że gdyby padło jakieś pytanie dotyczące tego, skąd pochodzą, ma mówić, że z Tottenhamu, i jak najszybciej zmienić temat.

Usłyszała pukanie i do gabinetu wsunęła się głowa Patricka.

– Proszę o zezwolenie na wejście do kwatery Mścicieli.

– Zezwalam – odparła Anna.
– Masz ochotę na herbatę? – spytał.
– Jasne, chętnie się napiję – powiedziała, jednym okiem wciąż zerkając na ekran.

Znów zobaczyła zdjęcia Luthera dołączone do wcześniejszego mejla od Jamesa i zachichotała.

– Co tam masz? – zainteresował się Patrick. – Jakieś nowe złote myśli studentów? Pokaż, przymierzam się do spisania tych wszystkich idiotyzmów. Parę dni temu u Rogera ktoś zamiast „Savonarola” napisał „Sawanna Rola”. Chyba się za dużo naczytał o początkach rolnictwa.

– Nie, to tylko zdjęcia przerobione w Photoshopie. Pamiętasz Jamesa z Parlez?

– Twojego podłego kolegę ze szkoły?

– Tak. Uratowałam mu kota przed przejechaniem. Przysłał mi zabawnego mejla z jego zwierzakiem w roli głównej.

– O! – Patrick uniósł brew.

W pokoju dało się wyczuć delikatny, bardzo delikatny powiew chłodu.

– Przekonał się do ciebie?

– Trochę. Odrobinę.

– Nie zapominaj, że kiedy ktoś tego typu stara się być czarujący, zazwyczaj robi to w jakimś konkretnym celu. A ten cel stanie się dla ciebie jasny dopiero później.

Głowa Patricka gwałtownie wycofała się na korytarz.

Uśmiech na twarzy Anny zniknął i poczuła się lekko nieswojo. Pomyślała, że cynizm kolegi może się okazać uzasadniony.

Komputer zasygnalizował nadejście nowego mejla. Neil sado-maso. Ten to się chyba nigdy nie podda.

Droga Anno,

na moje słowa odpowiadasz jeszcze bardziej sarkastycznym humorem, ulubioną bronią, jakiej używasz do ataku stanowiącego formę

*obrony. Gnębią Cię niezliczone problemy w kontak-tach z plcią przeciwną i jeszcze większy strach przed szczerością, niż sądziłem. Oto moja przepo-wiednia: za kilka miesięcy wciąż będziesz prowadzić poszukiwania w internecie. I być może za-
sknisz za moją ofertą ponownego spotkania... Do zobaczenia. Oczywiście, jeśli będę jeszcze wolny J*

Pozdrawiam najserdeczniej

Rozdział 32

– Dzięki, stary, za tę przysługę – powiedział Laurence, gdy siedzieli przy piwie w zatłoczonym barze w Donmar, nie przejmując się, że w ciągu pięciu minut od podniesienia kurtyny alkohol z pewnością będzie próbował się rozstać z ich pęcherzami.

– Nie ma sprawy, i tak chciałem to zobaczyć. – James wzruszył ramionami. Wcale nie był

przekonany, że mądrze robi, pomagając Lozowi w poderwaniu Anny.

– Nie zalewaj. Akurat. Wróciłeś do gry, co mnie osobiście bardzo cieszy. Kogo przypro-wadzi? – spytał Laurence.

– Nie jestem pewien – odparł James i poczuł dreszcz niepokoju na myśl o tym, jak zachowa się jego kumpel.

Prawdę mówiąc, Loz miał po części rację. Jeśli pominąć cały medialny szum i obsadę, James uważał *Obtarcia* za wybitnie pretensjonalną stratę czasu. W dodatku fabuła obracała się wo-kół nieistnienia romantycznych związków, a tego tematu w tej chwili jakoś nie miał ochoty zgłę-

biać.

Ale ludzie zabijali się o bilety, a nikt inny ze znajomych, którzy akurat byli wolni tego wieczoru, nie miał ponad trzydzieści lat i nie widział sensu w oglądaniu czegoś, co nie jest filmem 3D, nie powala efektami specjalnymi i w czym nie gra Jason Statham.

James zaczynał już zrzędzić, że bilety na *Obtarcia* się zmarnują i że wypadałoby je przynajmniej zwrócić do Donmar, gdy nagle przyszedł mu do głowy pomysł, który pozwalał za jednym zamachem

załatwić różne sprawy. Przede wszystkim tę najważniejszą – porzuconego męża, który nie zamierza bezczynnie siedzieć i uzalać się nad sobą. Miał też dług wdzięczności wobec Anny za jej ofiarność podczas afery LutherGate. Dopiero kiedy gonili za tym durnym małym gnojkiem, uświadomił sobie, że jego śmierć odebrałby jako symboliczny koniec wszystkiego, co

go łączyło z Evą. Może zresztą całkiem dosłowny, nie tylko symboliczny. Bo na pewno dostałaby szału.

Zastanawiał się, czy nie powinien ostrzec Anny, że Laurence będzie próbował zastawić na

nią sidła, uznał jednak, że odebrałaby to jako protekcjonalizm z jego strony. Była kobietą po trzydziestce, a nie nastolatką, Laurence zaś już na zjeździe absolwentów nie krył swoich zamiarów.

Gdyby do czegokolwiek między nimi doszło, Anna umiałaby sobie poradzić.

Ktoś klepnął go w ramię. Anna. Po godzinie wysłuchiwania erotycznych aluzji Laurence'a i biurowych plotek jej ciemne włosy, błysk w oku i szara studencka kurtka przyniosły ukojenie jego zmęczonym oczom.

Towarzyszyła jej przyjaciółka, którą przedstawiła jako Michelle, oraz siostra, Aggy. Michelle miała bujne kształty, proporcjonalnie okazały biust i krótkie włosy w odcieniu koszenilowej czerwieni. Do tego osobliwy wyraz twarzy, jakby właśnie szykowała się do powiedzenia czegoś mocno kontrowersyjnego. Z jakiegoś powodu Jamesowi trudno było uwierzyć, że Anna mogłaby się zaprzyjaźnić z kimś takim.

Aggy jego zdaniem nie dorównywała urodą starszej siostrze, bardziej się za to wystroiła i umalowała. Paplała bezustannie i bez sensu, tryskając tą szczególną energią życiową, która u jednych mężczyzn wywołuje euforię, a u innych potworne znużenie. James należał do tych drugich.

Czy to tylko złudzenie, czy rzeczywiście obie przyglądały mu się z odrobiną wrogości?

Kiedy wszystkie trzy poszły do baru, Laurence za ich plecami zaczął robić porozumiewawcze miny, od których Jamesa ścisnęło

w brzuchu. „Proszę, nie rób z siebie dupka”.

– Siostrzyczka też wygląda interesująco. Nie jestem pewien co do tej drugiej – pani Mak-symalny Limit Bagażu. Niezła tapicerka. Ale co to za kolor włosów? Jak z konkursu na symbol Szkocji – szepnął Laurence.

– Loz – syknął James, czując, że na twarzy robi mu się gorąco. Laurence roześmiał się. Najwyraźniej reakcję Jamesa wziął za obawę przed podsłuchaniem, a nie zażenowanie i złość, że w ogóle wygaduje takie rzeczy.

– Chciałem cię o coś zapytać. – Laurence zwrócił się do Anny, kiedy znów zebrali się całą grupką. – O tę imprezę pożegnalną twojej kuzynki Beth. Udała się?

– Eeee... – Anna wyglądała na zmieszaną. Jej siostra uniosła mocno brwi i James mógłby przysiąc, że zapytała bezgłośnie: „Kto to jest Beth?”

– Nie poszłaś tam! Spławiłaś nas, a potem dałaś nogę!

Anna wciąż sprawiała wrażenie skonsternowanej, podczas gdy Laurence mówił dalej:

– Ale przeznaczenie znów nas pchnęło ku sobie.

– Raczej James – odparła Anna, odzyskując głos.

– Najwyraźniej to przeznaczenie sprawiło, że spotkaliście się w pracy, więc to ono pełni tu rolę pośrednika – upierał się Laurence. – James jest u niego tylko administratorem. Chłopcem na posyłki.

James uśmiechnął się krzywo i pomyślał, że jego kumplowi z pewnością chodzi teraz po

głowie zupełnie inne słowo na „p”.

O Boże, co za koszmarna sztuka. Po prostu koszmarna. Z każdą minutą James zsuwał się coraz niżej w fotelu. To, co się działo na scenie, było tak strasznie do dupy, że nadawało zupełnie nowe znaczenie pojęciu „analiza”. Nic dziwnego, że tak mało ludzi chodzi do teatru. James zaczynał się zastanawiać, czy nie powinien złożyć oficjalnej skargi w Ministerstwie Kultury i Sztuki.

Najgorsze było to, że ponieważ załatwił bilety, czuł się poniekąd odpowiedzialny za treść spektaklu. Jakby osobiście zachęcał ich wszystkich do jego obejrzenia. I jeszcze co chwilę te krę-

pujące sceny z golizną. Naprawdę wypadało uprzedzić widzów, że będą narażeni na wielokrotne oglądanie małego Dylana Kelly'ego – w sensie: nie „jakiego”, ale „czyjego”. Kiedy aktor wymachiwał nim przed publicznością, James starał się patrzeć na to obojętnie, by nie wyglądać na

świętoszka, który nie trawi sztuki.

Rzucił dyskretne spojrzenie na sąsiedni rząd. Siostra Anny zdawała się nie dostrzegać koszmarności przedstawienia i sprawiała wrażenie wniebowziętej. Usta miała lekko rozchylone, oczy szeroko otwarte i chłonęła każde słowo padające ze sceny. Przyjaciółka Anny wyglądała na

nieporuszoną i właśnie grzebała w paczce żelków. Laurence przybrał pseudointelektualną skupioną minę, z brodą opartą na dłoni. Anna zaś... uśmiechała się? Musiała wyczuć, że na nią patrzy, bo obróciła głowę w jego stronę. James odpowiedział uśmiechem, a potem zrobił dyskretny gest, jakby wsadził sobie pistolet w usta i strzelił. Annę wyraźnie to rozbawiło. Odwrócił się z powrotem ku scenie, w zdecydowanie lepszym humorze.

– Jakaż to prawda tkwi w miłości? – zapytywał oświetlony punktowym reflektorem Dylan Kelly, zwracając się do widzów w finale sztuki, której oszałamiająca konkluzja brzmiała, że wszyscy i wszystko w życiu to jeden wielki szajs.

– Miłość jest narkotykiem. To opium, środek przeciwbólowy uśmierzający samotność

ludzkiej kondycji. I jak wszystkie środki przeciwbólowe otępia zmysły. Miłością nazywamy ten stan, kiedy znajdujemy kogoś innego, ale tracimy samych siebie.

„Przestań, kurwa, pieprzyć i załóż spodnie”.

Rozdział 33

– Daje do myślenia – stwierdził Laurence.

– Tak, każe się zastanowić, po co w ogóle oglądać takie gówno – odparł James.

Anna wiedziała, że bywa bezlitośnie złośliwy, ale w tym wypadku musiała mu przyznać rację.

– Nie podobało ci się? – Laurence spytał tonem, który zabrzmiał

jak telefoniczna wersja jego prawdziwego głosu.

– Nie czułem się równie mocno wydymany przez Irlandczyka, odkąd ostatni raz leciałem

Ryanairem.

Michelle parsknęła, a James uśmiechnął się do niej. Anna ucieszyła się, że między nimi najwyraźniej zaiskrzyło. Natomiast Aggy sprawiała wrażenie bardziej niepozberanej niż zwykle i poczyniła parę uwag, na które James zareagował tylko pustym spojrzeniem.

Laurence zaproponował, żeby wspólnie wyskoczyli na drinka po spektaklu, wylądowali więc w zatłoczonym pubie w Covent Garden dla przyjezdnych spoza miasta: witrażowe okna, lśniąca czerwona farba jak na londyńskich autobusach, polerowany mosiądz, a do tego ciepły alkohol podawany w matowym szkle.

– Powiem wam, czego ja się dowiedziałam. Że Dylan Kelly ma pindolka – oznajmiła Michelle.

James i Laurence skrzywili się.

– Rozgrzewamy się – mruknął Laurence.

– Całkiem dorodnego – rzuciła Aggy, wachlując się programem.

– Naprawdę tak uważasz? – spytał James z absolutną powagą w głosie.

Na tego rodzaju pytanie, dotyczące takiego tematu, Aggy w zwykłych okolicznościach zareagowałaby piskiem. Tymczasem jedynie coś wymamrotała, kiwnęła głową i zamilkła. Anna nie mogła wyjść ze zdumienia, że James Fraser zdołał uciszyć jej siostrę. W rezultacie jednak zapadło nieco kłopotliwe milczenie.

– Dla mnie wyglądał jak dekarz erotoman, który chętnie by, cytując, pobaraszkował z twoją żoną i wyżarł ci wszystkie ciasteczka.

Anna uśmiechnęła się, ale snobizm Jamesa nieprzyjemnie ją poruszył. Dekarz? Jej przyszły szwagier był malarzem pokojowym. Wyobraź sobie, że ludzie ciężko i uczciwie pracują nie tylko na laptopach. Nie każdy musi być pozerem z MacBookiem.

Michelle spytała Aggy, czy nie wyszłaby z nią na papierosa, i Annę ogarnęło niejasne uczucie ulgi.

– A ty co sądzisz o tej sztuce? – spytał ją Laurence. Przyglądał jej się sponad krawędzi szklanki i Anna odniosła nieodparte wrażenie, że

próbuję ją podrywać.

– Yhm. – Przechyliła głowę na bok. – Była trochę... Myślę, że usiłowała się zmierzyć z wielkimi prawdami, powiedzieć coś odkrywczego na ich temat, ale nie stanęła na wysokości zadania. No bo dlaczego na końcu on wraca do właścicielki galerii sztuki, tej całej Eloise, która traktowała go jak śmiecia?

– Ponieważ wszyscy jesteśmy ofiarami losu? – podsunął Laurence, uśmiechając się smętnie.

– Ale co w niej miałyby go pociągać? Była taka zimna.

– Czasem najbardziej podobają się nam ci, którzy traktują nas najgorzej.

– No tak, wszystko fajnie, jak się ma dwadzieścia dwa lata. Ale ten facet był już dobrze po trzydziestce. Jeśli ktoś lokuje swoje uczucia w soplu lodu z ładnym biustem i nie potrafi z tym skończyć, to ta obsesja mówi coś o nim samym.

Zerknęła na Jamesa, który spoglądał z determinacją w kierunku szafy grającej. Anna po-niewczasie zdała sobie sprawę, że być może odnosi jej słowa do własnej sytuacji. Ale przecież nigdy nie poznała jego żony, więc chyba trudno je uznać za skierowane bezpośrednio do niego?

– Wiesz, przychodzi taki moment, w którym niesympatyczni ludzie uprawiający dużo

seksu stają się już tylko niesympatycznymi ludźmi uprawiającymi dużo seksu. Nie bardzo rozumiem, czemu mieliby mnie obchodzić – stwierdziła.

– Zgadzam się w stu procentach – powiedział James.

– Chciałbym napisać coś takiego, ale lepszego. – Laurence się zamyślił.

– Cha, cha, cha. – James aż się poderwał. – Sztukę o zaliczaniu pańienek? *Zawód: bzy-kacz*. Pióra Laurence'a O'Grady'ego.

Laurence'a to nie rozbawiło; wydawał się poirytowany.

– Pójdiesz w ślady tego magika od uwodzenia, który napisał *Grę*. Tyle że nad brytyjskim morzem.

– Nie musisz ze mnie robić człowieka aż tak płytkiego. Zdarzają mi się w życiu również chwile zadumy.

– Raczej gapienia się we własny pępek – zaripostował James,

a Anna roześmiała się, mimo że Laurence'owi ta uwaga ewidentnie się nie spodobała.

Zadzwoił telefon Jamesa. Anna próbowała się skupić na wywodach Laurence'a, by nie podsłuchiwać wymiany zdań, która coraz bardziej przypominała kłótnię.

„A skąd moja mama miałaby to wiedzieć...?”. „Eva, ty chyba żartujesz? Teraz?”. „Wiem, że to głupie bydlę, ale nie sądzę, żeby miał popełnić samobójstwo, zanim wrócę do domu...”. „Ja pier... No dobra, jestem w Lamb & Flag. Tak, na pewno. Cześć”.

Rozłączył się, przerywając rozmowę Anny i Laurence'a.

– Słuchajcie. Eva gdzieś wyczytała, że pyłek lilii jest trujący dla kotów, i chce natychmiast przyjechać do domu, żeby usunąć kwiatek, który kupiła moja mama. I nie może z tym poczekać dwóch godzin. Przyjedzie tutaj po klucze.

Anna poczuła dreszcz zaciekawienia – będzie miała okazję poznać byłą żonę. O ile rzeczywiście było to właściwe określenie. Odniosła raczej wrażenie, że Jamesa i Evę pociągają burzliwe związki, w których ludzie rozstają się co pięć tygodni, by nie osłabła ich namiętność.

– Najpierw kazała wykastrować kota, a teraz przy jego pomocy kastruje ciebie – zauwa-

żył Laurence. – Regularne eunuchowo.

James skrzywił się.

– Zaraz... – Laurence'owi przyszło coś do głowy. – Kiedy jej powiedziałaś, że sprzedajesz dom?

James rzucił szybkie spojrzenie w stronę Anny. Zorientowała się, że wolałby nie poruszać tej kwestii w jej obecności.

– Dzisiaj? – naciskał go Laurence. Anna czuła, że sprawia mu to przyjemność. Przed chwilą sam był obiektem żartów, teraz mógł się odegrać.

James skinął głową.

– Przecież wiesz, co kombinuje. Chce sprawdzić, z kim spędzasz wieczór, a potem pojedzie do domu, żeby poszukać w sypialni śladów po jakiejś przepychance. Wiesz, o co mi chodzi.

James, mocno zmieszany i zakłopotany, wzruszył ramionami. Anna odwróciła wzrok. Domyślała się, że Laurence ma na myśli

konkretną osobę, z którą spotyka się jego kumpel. Nie bardzo to współgrało z delikatną aurą melancholii, jaką wyczuła w jego domu, ale całkiem możliwe, że potrafił jednocześnie przeżywać zawód miłosny i bzykać się ostro z kimś innym.

Kiedy Eva wsunęła się przez drzwi pubu, wyglądało to, jakby do reality show w stylu *Big Brother* wkroczyła na krótki gościnny występ Debbie Harry w kwiecie wieku: włosy w kolorze białej czekolady, wyraźne kości policzkowe, kocie oczy, drobne, jędrne ciało i smukłe nogi opięte ciemnym dżinssem.

– Eva, co tam u ciebie słyhać? – Laurence zerwał się, by cmoknąć ją w policzek.

– Cześć, Laurence – przywitała go bez uśmiechu.

Jej głos miał w sobie twardą jak diament zmysłowość, charakterystyczną dla angielszczy-zny ze skandynawskim akcentem.

James przedstawił wszystkich.

– To jest Eva, a to Anna, jej siostra Aggy i Michelle.

Eva miała taką minę, jakby James przedstawił jej trzy tancerki na etacie w nocnym klu-bie. Czy Annie się zdawało, że omiatając je wzrokiem, najdłużej zatrzymała go na niej?

– Miło mi – powiedziała głosem wypranym z jakichkolwiek emocji.

Wszyscy powrócili do rozmowy, ale Anna udawała tylko, że słucha, bo w rzeczywistości starała się wyłowić coś z wymiany zdań między Jamesem i Evą, gdy wręczał jej klucze do domu.

– Jak skończysz, zostaw je pod niebieską doniczką.

– Wyrzucę kwiatki do kubła i wyniosę śmieci.

– Jak uważasz – odparł James. – Powiem mamie, żeby się powstrzymała na przyszłość od takich nieprzemyślanych gestów.

Anna zerknęła w ich stronę. Eva patrzyła na Jamesa, jakby nie mogąc się zdecydować, czy ma zareagować na to, co powiedział, czy nie.

– Luther mógł od tego umrzeć.

– Tak. Rozumiem.

Annę uderzyło, że w gruncie rzeczy Eva ignoruje ich obecność,

nawet nie próbuje nawią-

zać z nimi kontaktu. Stała w taki sposób, by odgrodzić Jamesa od reszty towarzystwa, a w jej głosie pobrzmiwał kłótny ton. James wyglądał na zmartwionego.

Na odchodnym rzuciła wszystkim: „Miło was było poznać”, ale w uszach Anny zabrzmia-

ło to bardziej jak wyzwanie czy ostrzeżenie. Jakby słyszała policjanta, który życzy komuś miłego dnia, choć w rzeczywistości daje mu do zrozumienia, by przypadkiem nie próbował czegoś prze-skrobać. Nic dziwnego, że mając tak zimną żonę, James mógł wziąć do siebie tę uwagę o „loko-waniu uczuć w soplu lodu z ładnym biustem”. „Ale założę się, że dobrze się dobrali” – pomyślała Anna, sącząc sauvignon blanc.

Kiedy wracały metrem do domu, Michelle i Aggy lojalnie podzieliły się z nią spostrzeżeniami na temat Jamesa Frasera. Obie uznały, że manieri ma całkiem przyzwoite. I owszem – jest nieziemsko przystojny. Ale była od niego jakaś zarozumiałość. Zdecydowanie bardziej polubiły rozgadane go Laurence’a, który, choć nieudolnie usiłował podrywać Annę, okazał się nader czarującym rozmówcą.

Sama Anna miała wrażenie, jakby James ledwo ją zauważał, za to Laurence przyglądał jej się zbyt uważnie.

Rozdział 34

Dopiero po dłuższej chwili James zdał sobie sprawę, że Parker wrzeszczy coś do niego, przekrzykując Duran Duran. Właśnie wybierał monologi Anny do aplikacji. Miała rację, materiał

wypadł tak interesująco, że trudno było zdecydować, co pominąć. Oglądając nagrania, uświadomił sobie, że Anna z wyglądu sama przypomina trochę cesarzową Teodorę. Obie miały identyczne ciemne oczy, jakby przepełnione smutkiem.

– Widziałem cię wczoraj wieczorem – oznajmił Parker, gdy w końcu muzyka przycichła.

– Tak? – James poczuł delikatny niepokój.

– Z twoją dziewczyną. Wybraliście się na spacer do Cov Garden? Lexie zerknęła w ich stronę.

James mruknął coś niewyraźnie.

Był speszony. Zwykle nieporozumienie, które powinien od razu wyjaśnić. Ale to miało swoje dobre strony. Jeśli zaprzeczy, że chodzi z Anną, powrócą pytania o jego wymyśloną dziewczynę, której biografii jeszcze nie wymyślił. Okazja za bardzo kusila. Ale kogo dokładnie widział Parker...?

– Nie przyznałeś się, kiedy ją spotkaliśmy na zebraniu w muzeum!
No tak.

– Yhm – chrząknął. – Należy oddzielać sprawy zawodowe od przyjemności i tak dalej.

Cholera, co on wyprawia? Pograża się coraz bardziej.

– Wyskoczyła na nas! – Parker zarechotał.

– No. Ma dużą wprawę w tym oddzielaniu.

– Chodziliście już wtedy ze sobą?

– Tak jakby...

„Ileż kręcenia, ileż płątania, gdy się wprawiamy w sztuce kłamania”¹⁷). Albo innymi słowami: łgarstwo nie popłaca.

17) Popularny cytat z poematu *Marmion* sir Waltera Scotta, wydanego w 1808 r.

Ale się wkopał.

Gdyby po prostu zacisnął zęby i przetrzymał tę koszmarną falę litości przemieszanej z ciekawością, po tym jak im się przyznał do rozstania z Evą, teraz nie wpadłby w tarapaty. Skłamał, uwierzyli mu i oto musi zapłacić za chwilę słabości. Nie ma nic za darmo.

– Czy ja dobrze słyszę? – Harris odezwał się znad stołu do Subbuteo. – Parks, ty naprawdę widziałeś tę nieuchwytną dziewczynę?

Parker skinął głową.

– No proszę. – Harris na dobre oderwał się od gry w piłkarzyki. Tym razem miał na sobie kraciasty melonik oraz koszulkę z logo sieci barów hamburgerowych i napisem „In-N-Out, po-dwójnie podwójne”. – A już zaczynaliśmy podejrzewać, że ta twoja nowa dziewczyna to tylko wielka dynia z twarzą namalowaną markerem.

– Przecież nigdy bym nie próbował się podpiąć pod twoją dyniową rodzinkę. Wiem, ile

dla ciebie znaczy. – James odgryzł się niezdarnie, wywołując

szmer rozbawienia w biurze. Nie znosił tych durnych docinek z Harrisem, ale nie bardzo wiedział, jak sobie z nim radzić bez okazywania mu jawnej wrogości. Czuł się, jakby wrócił do szkoły.

– Pracuje przy tej wystawie w Muzeum Brytyjskim – wyjaśnił Parker. Nie był z natury podły, a jedynie prostolinijny i dlatego jako informator Harrisa mógł nieumyślnie narobić szkód.

– Poważnie? – Harris zagrzechotał figurkami do gry, wyraźnie się zastanawiając, jak wykorzystać tę nową informację, by dogryźć Jamesowi. – Więc grzebanie w projekcie udało ci się połączyć z grzebaniem w majtkach?

– Jezu, Harris, to było niesmaczne – skrzywił się James.

– Przepraszam, tatusiu – odparł Harris i wrzasnął: – Gooollllll! Mona, jestem królem fut-bolu stołowego! „Jestem Panem Tańca, tako rzekł!”¹⁸⁾

18) Cytat ze znanego hymnu Sydneya Cartera pochodzącego z lat 60. XX w.

Następnie, jakby chcąc to potwierdzić, zakręcił zamasyście biodrami, na widok czego Jamesowi zrobiło się niedobrze.

Ramona podkręciła muzykę, a Harris znów zaczął opowiadać anegdotę o tym, jak z ogrodów na dachu w Kensington rzucił kiedyś plastikowym flamingiem, który wylądował prosto przed Nickiem Grimshaw¹⁹⁾, co oznaczało, że znudziło mu się już dręczenie Jamesa. Na razie.

19) Nick Grimshaw – brytyjski prezenter radiowy i telewizyjny.

James odwrócił się z powrotem do swojego laptopa i zaczął się zastanawiać nad dalszą taktyką. Parker znów zobaczy Annę na inauguracji wystawy. Są więc dwie możliwości, obie nieciekawe. Mógłby porozmawiać na osobności z Parkerem, przyznać mu się, że zmyślił całą tę historię o rzekomej dziewczynie, i poprosić go, żeby nie wspominał o tym Annie. Może mu powie, że brał jakieś leki antydepresyjne i dlatego gadał od rzeczy albo coś w tym stylu.

Tyle że Parker, zawsze uczynny, gorliwy i starający się udowodnić swą przydatność, na

pewno nie dochowa tajemnicy i wszystko wypapla w zaufaniu Harrisowi czy innej mięsożernej gnidzie. Już sobie wyobrażał

te dowcipy Harrisa o dziewczynie z dyni. Nie znudzą mu się nawet w dwa tysiące dwudziestym roku. Nie, równie dobrze mógłby od razu przyznać się im wszystkim.

To sprawiało, że pozostawała mu tylko druga opcja, niewiele lepsza. Musi przypilnować, żeby podczas inauguracji wystawy Anna nie miała okazji do rozmowy z Parkerem, i liczyć na to, że nigdy się nie dowie o całej sprawie.

Tak. Jamesa czekało skomplikowane i arcytrudne zadanie do wykonania.

Rozdział 35

Wyglądało na to, że Laurence miał rację. A James musiał to niechętnie przyznać. Kiedy wrócił z teatru do domu i rozejrzał się po pokojach, doszedł do wniosku, że Evie istotnie chodziło o skontrolowanie go.

Na parapecie, w miejscu, gdzie wcześniej stała doniczka, pozostał jaśniejszy krąg. Żeby Luther, wiedziony jakimś samobójczym pędem, mógł się dostać do tego kwiatka i otruć się jego pyłkiem, musiałby na niego skoczyć, strącić go na podłogę, a potem pogryźć. Co jak co, ale ten kot nie kojarzył się ze zwinnością, ruchliwością i niesamowitymi wyczynami sportowymi. Często sprawiał wrażenie, jakby zdumiewał go własny ogon. James był też przekonany, że drzwi do sypialni zostawił na wpół otwarte, a nie zamknięte, jak je zastał po powrocie. Choć niewykluczone, że Eva po prostu weszła tam, żeby znów zabrać coś ze swoich rzeczy.

Ale następnego dnia przysłała mu esemesa z propozycją, by wieczorem wybrali się na

spacer po Heath i porozmawiali. Po raz pierwszy, odkąd się wyprowadziła, wykazała jakiejkolwiek zainteresowanie ewentualnym pogodzeniem się z nim. Najwyraźniej więc groźba wystawienia domu na sprzedaż zadziałała. Zwycięstwo nie sprawiło jednak Jamesowi najmniejszej rado-

ści.

Jak na tę porę roku wieczór był ciepły i kiedy James zobaczył czekającą na niego Evę, z włosami splecionymi na karku w dwa urocze kucyki, jak u podlotka, zakłuło go w sercu, nogi i ramiona nagle zaczęły

mu ciążyć i poczuł się bardzo staro. Eva od razu przeszła do rzeczy. Ręce założyła ciasno na piersiach i ruszyła parkową alejką, szybko, jakby dokądś zmierzali.

– Nie uważasz, że zanim wystawisz dom na sprzedaż, powinieneś mnie o tym poinformować?

– Przecież ci mówiłem, że robię wycenę.

– Nie wydawało mi się, że uzgodniliśmy, by go sprzedać.

– Wyprowadziłaś się. Nie potrzebuję tak dużego domu tylko dla siebie.

– Próbujesz wymusić na mnie decyzję?

James z trudem utrzymywał nerwy na wodzy. Nie miał ochoty odgrywać roli wrzeszczącego faceta w parku.

– Wymusić? Sądzisz, że powinienem siedzieć jak idiota i czekać,

aż razem z Finnem skończycie cykl szkiców węglem na kanapie? Żeby potem zabrać się do akwareli w jacuzzi?

Odeszłaś ode mnie. Nie wiesz, co to oznacza?

Wciągnął gwałtownie powietrze, tak zimne, że aż go zabolalo w gardle i płucach. Czekał, kiedy Eva powie, że skończyła z Finnem, że to był wielki błąd, że nie chce sprzedawać domu. Bo

po co innego by się z nim umawiała?

Nie powiedziała nic.

– U Sary musi wam być trochę ciasno. Jej facetowi to nie przeszkadza?

Patrzył gdzieś w bok. Eva utkwiała wzrok w ziemi.

James zachwiał się, jakby siedział w starym mini z uszkodzonym zawieszeniem i właśnie podskoczył na garbie spowalniającym.

– Nie mieszkasz u Sary?

Zacisnęła usta i pokręciła głową.

Nagle poczuł, jakby w jego klatce piersiowej zrobiło się za ciasno dla wszystkich narzą-

dów. Chciał spytać zdecydowanym głosem, czy „od początku tak było”, ale sflaczałe struny głosowe nie były w stanie się poruszyć.

Szli dalej.

– Więc tak wygląda to niesypianie ze sobą? Co za szokujący zwrot

akcji – odezwał się w końcu. Jego głos brzmiał żałośnie, sam to słyszał. Nie ma już żadnych punktów do zdobycia.

Przegrał.

– Mam nadzieję, że teraz już wolno mi nazywać po imieniu to, co ty uważałaś za sztukę, a ja za grę wstępną, przyznajesz, że miałem rację, i tak dalej.

– Cały James. Obchodzi cię tylko to, czy poszłam do łóżka, a nie powody, dla których cię zostawiłam.

– Jedyne, co od ciebie usłyszałem, to to, że się nudziłaś. Nie wiem, czego się spodziewa-

łaś po małżeństwie. Przecież mieszkaliśmy razem. Ślub to impreza, święto, potem wszystko wraca do normy. Ale ty wolisz szalone życie u boku Finna, tak? Jak to sobie wyobrażasz, kiedy ci

stuknie czterdziestka, a on wciąż będzie balował po nocnych klubach?

– Finn rozmawia ze mną jak z równą sobie. Nie jak z jakąś kurą domową, która się na niczym nie zna.

– O Boże, Eva. Już to widzę. Nagle zostałam Betty Draper ze śrutówką?

– Powiem ci, kiedy zrozumiałam, że muszę odejść. Tego wieczoru, gdy wpadli do nas Jack i Caron.

– Co? Mój *tadżin* chyba nie był aż tak niedobry.

– Rozmawiałeś z Caron przez całą noc.

– Z tą urzędniczką?

– Byłeś zachwycony każdym jej słowem, cały czas się śmiałeś. Kompletnie cię nie obchodziło, co ja mam do powiedzenia. Uważasz mnie za banalną.

– Oczywiście, że jej okazywałem zainteresowanie. To kwestia uprzejmości. Przychodzą goście, więc wypada z nimi porozmawiać.

– A potem ona powiedziała, że prywatne szkoły nie powinny mieć statusu organizacji po-

żytku publicznego, i ty się z nią zgodziłeś!

– Jej argumenty były przekonujące. Myślałem zresztą, że też tak sądzisz.

– Zostałabym bez pracy!

Jamesowi przypomniawsza się jedna z ich pierwszych randek, w pubie-restauracji w Cla-pham. Eva powiedziała mu wtedy, że pracuje w szkole tylko po to, by odłożyć pieniądze, bo chce zostać prywatną korepetytorką. Mogłaby wówczas uczyć za darmo wybitnie utalentowanych młodych artystów, utrzymywać się z lekcji dla zamożnych klientów i świat byłby bardziej sprawiedliwy. Przypomniało mu się, jak pomyślał, że jest taka wielkoduszna, a w dodatku to jedyna znana mu osoba, której do twarzy w beżu.

– A moi znajomi? Jak ich nazywałeś? „Wał na schwał” i „siostry rury spod koafiury”.

Przecież oni naprawdę byli okropni. Ten jej rozpustny zaprzyjaźniony fryzjer Wolfram

nawet własną matkę na łóżu śmierci by ochrzanił, że się źle obcięła. A te dyskotekowe harpie i samozwańcze „wybitne artystki”, które spotykały się w jego salonie, były po prostu straszne.

Welociraptory w szpilkach od Kurta Geigera. James był prawie pewny, że jedna z nich zorganizowała kiedyś „piknik” w Kew tylko po to, aby mu dać do zrozumienia, jak bardzo na niego leci.

Bez wątpienia to one zachęciły Evę, by odeszła do Finna.

– Kto tam z tobą siedział? Wczoraj w pubie? – Eva skakała z tematu na temat, jakby wszystkie układały się w jeden logiczny wywód.

– Kilka osób.

– Ta baba z długimi włosami. Gapiła się na mnie.

Błysk nadziei. Ale to chyba niemożliwe. Eva doszukiwała się rywalki?

– Anna? Pracujemy razem.

– Spotykasz się z nią?

James nie wiedział, co odpowiedzieć. Czy jeśli zapewni Evę, że nie ma najmniejszych powodów do zazdrości, zmarnuje niespodziewaną okazję zsyłaną mu przez los? Zdecydował się na ofensywny unik.

– Obchodziłoby cię, gdyby tak było?

– Możesz robić, co chcesz, jesteś wolnym człowiekiem. Spotykasz się z nią?

– Więc jednak cię to nie obchodzi.

Minęli na ścieżce inną parę w młodym wieku. Uśmiechnęli się do nich, jakby wszyscy należeli do Klubu Udanych Związków. Nieco dalej jakieś dziecko puszczało latawca, wydając radosne okrzyki podniecenia. James zerknął w tamtym kierunku.

Eva przystanęła i obróciła się do niego. Jej zmarznięty nos i policzki przybrały odcień jasnego różu. Większość ludzi wyglądałaby jak plaster gotowanej szynki, ona jednak przywodziła raczej na myśl cukrową myszkę ze szkolnego sklepiku.

Pora przejąć inicjatywę.

– Wystawiam dom na sprzedaż. Nie wiem, jak się mają sprawy między tobą a Finnem, ale ja zamierzam ruszyć dalej – oznajmił James.

– Spotykasz się z tą kobietą?

James zawahał się. To, że się tak bardzo dopytywała, dobrze wróżyło. Nie kłam, ale nie rozwiewaj wszystkich wątpliwości.

– Zaprzyjaźniliśmy się.

Po powrocie do domu James zmusił się do sprawdzenia w internecie informacji o modelu Finnie Hutchinsonie i znalazł jego stronę. Dowiedział się z niej, że to „aspirujący muzyk” – no gdzieżby inaczej! – a także „zapałony surfer, który nie odpuści żadnej fali”. Ależ proszę, ścigaj je sobie aż do Australii.

James zaczął przeglądać galerię jego zdjęć, z ponurą determinacją waląc w przycisk „Dalej” jak małpa, której wręczono młotek. Na jednym z nich Finn siedział w fotelu ubrany w smoking, ale z rozpiętą muszką i nogami rozsuniętymi w pozie samca alfa. Przypominało to reklamy brandy albo dunhillów z lat siedemdziesiątych. Podpis głosił: „To było bardzo udane zdjęcie.

Klasyczny smoking i duch Sinatry”.

Na innym pochyłał się do obiektywu, uśmiechając się krzywo i drapiąc z tyłu głowy w tym okropnym geście udawanego zakłopotania. Miał na sobie koszulkę w serek z Fruit of the Loom, srebrne nieśmiertelniki na szyi i przedziałek pośrodku sterczących włosów.

„Ludzie mó-

wią, że ze mnie przystojniak, ale ja uważam się raczej

za gamonia”.

Jeszcze inne przedstawiało go w olbrzymim kapeluszu i batystowej koszuli, żującego wy-kałaczkę. Podpis brzmiał: „To prawdziwy ja, w plenerze”. Jasne. Bo oczywiście w Dalston zajmujesz się hodowlą bydła.

Co mu to wszystko przypominało? Evę. Kiedyś skomplementował ją, że zawsze, bez względu na okoliczności, jest świetnie ubrana, a ona odparła, że czuje się aktorką. Uwielbia grać role. Jamesowi przyszło do głowy, że ostrzegawczych sygnałów otrzymał aż nadto, dotąd jednak nie potrafił ich dostrzec.

Jak to się stało? Zdawał sobie sprawę, że mając Evę za żonę, będzie musiał odganiać od

niej mężczyzn, ale nie sądził, że mógłby ją stracić, kiedy z włosów wciąż jeszcze będą wytrząsać ślubne konfetti. Podejrzewał, że odpowiedź kryje się w tym, co z początku tak bardzo go w niej pociągało, i ma związek ze starym banałem o miłości przeradzającej się z czasem w nienawiść.

Eva była jak rekin, który ani na moment nie może się zatrzymać. Albo jak ten autobus w filmie *Speed*, który wyleci w powietrze, jeśli zwolni poniżej pięćdziesięciu mil na godzinę. Zachwycała go w przerażający sposób, a on popełnił błąd, usiłując okiełznać to przerażenie i zachwyt, by

mieć je przy sobie na stałe.

Teraz był już tylko przerażony. Wyglądało na to, że nie łączy ich aż tyle, by w kryzysowej sytuacji znaleźć wspólny język i zastanowić się, jak z niej wybrnąć.

Czy to możliwe...? „Nie myśl tak, James. Spróbuj o tym nie myśleć”.

Wpatrywał się w zdjęcie Finna w luźnych dzinsach, opartego o motocykl, z nagim tor-sem, tłustą szmatą przerzuconą przez ramię i lipną smugą oleju na policzku. „Moja filozofia ży-ciowa? Uwielbiam czerpać z życia pełnymi garściami”.

James rozmyślał o tych pięknych ludziach, a w głowie uparcie kołatała mu brzydka myśl.

Czy to możliwe, by kochał kogoś, kogo nie lubi?

Rozdział 36

– Puk, puk! Ubrała się już pani, doktor Alessi?

– Zaraz! – zawołała Anna. Miała nadzieję, że Patrick nie próbuje jej sobie wyobrazić nagiej. Zdenerwowana, po raz ostatni sprawdziła włosy i makijaż w pochłapanym lustrze i poprawi-

ła na brzuchu ciemnoniebieską wełnianą sukienkę. Postanowiła, że zdejmie płaszcz dopiero wtedy, gdy się czegoś napije. Dekolt może się nie wyróżniał szczególną śmiałością, ale do tak obcisłych kreacji Anna nie była przyzwyczajona. Ponieważ nie znosiła zakupów, problem „w co się ubrać na otwarcie Teodory” rozwiązała dopiero w ostatniej chwili, za cenę dwustu funtów w Hobbs.

– Victoria tu idzie. – Patrick poinformował ją o tym spiętym głosem, jakiego ludzie używają, by ostrzec kolegów z pracy, że szef może ich usłyszeć. „Jesteśmy na antenie i przypadkiem nie wyskocz z jakimś tekstem”.

– No to super. Już! – Anna otworzyła drzwi. Kiedy Patrick usiłował jej powiedzieć, że pięknie wygląda, stojąca za nim Victoria ucięła jego komplementy jednym ostrym spojrzeniem.

Victoria Challis nie tylko była groźną szefową wydziału, ale także roztaczała wokół siebie aurę grozy. Miała zaledwie półtora metra wzrostu i siwe włosy uformowane jakby w czepek z dziwacznymi prostokątnymi baczkami. Na wypadek gdyby ktoś nie domyślił się, że nie toleruje żadnego „fiu-bździu”, nosiła też spodnie od garnituru i męską koszulę z krawatem. Anna podziwiałaby ją za tę ekstrawagancję i kompletne lekceważenie norm społecznych w zakresie garderoby, ale zawsze była zbyt zajęta, żeby się jej bać.

Ktoś myślący stereotypami mógłby uznać Victorię za lesbijkę, w rzeczywistości jednak od trzydziestu lat pozostawała w związku małżeńskim z Frankiem, który wykładał na wydziale matematyki. „Wygląda bardziej na swojego męża niż on sam”, jak to mało elegancko ujął pewien kolega z pracy.

Z uczelni do muzeum szło się tylko kilka minut, ale pytania na temat wystawy, jakimi Victoria zasypywała Annę, sprawiały, że droga wydawała się znacznie dłuższa. Nawet jeśli nie było w nich nic, z czym Anna nie umiałaby sobie poradzić, sam ton szefowej budził lęk.

Anna wiedziała o Teodorze wszystko i potrafiłaby udzielić tych odpowiedzi nawet w stylu swej bohaterki, słynącej z akrobatycznych popisów erotycznych – stojąc na głowie albo z jęcz-mieniem wsypanym w różne dziwne miejsca. Niemniej jednak Patrick wyraźnie się martwił, że mogłaby się na czymś wyłożyć, i co chwilę w niezbyt subtelny sposób wtrącał uwagi w rodzaju: „Mówiłaś, że John Herbert jest bardzo zadowolony z twojej pracy”. Zatrutą Challis coraz bardziej to irytowało, aż w końcu warknęła: – Ta kobieta ma własne struny głosowe, doktorze Price!

Rozmowa z Victorią przypominała przebywanie przy otwartym wielkim piecu w hucie.

Wybuchła dokładnie w momencie, gdy dotarli do szatni w Muzeum Brytyjskim, w rezultacie czego Anna zapomniała, że zamierzała wejść na imprezę w płaszczu. Kiedy go odruchowo zdjęła, Patrick dosłownie osłupiał z wrażenia. Zaczęła żałować, że wybrała tę sukienkę. Ceniła sobie platoniczną zażyłość z Patrickiem i nie chciała jej psuć podkreślaniami przed nim swych kobiecych kształtów.

– Wyglądasz rewelacyjnie, muszę ci to powiedzieć – zawołał, a Victoria przewróciła oczami.

Anna cieszyła się, że wokół jest mnóstwo innych, znacznie wspanialszych rzeczy do oglą-

dania. Wielki Dziedziniec Muzeum Brytyjskiego nocą prezentował się bardzo efektownie. Po-

środku wznosiła się okrągła czytelnia oświetlona od zewnątrz jasnym kręgiem białych świateł

i obwieszona pionowymi bannerami reklamującymi wystawę o Teodorze. Ażurowa konstrukcja przeszklonego zadaszania nad dziedzińcem rzucała na wieczorne niebo siatkę identycznych rom-bów. Anna czuła, jak szybciej bije jej serce i ogarnia ją podniecenie.

W kamiennej przestrzeni niósł się gwar rozmów zaproszonych gości, kelnerzy roznosili na tacach smukłe kieliszki szampana i panierowane przekąski na wykałaczkach, obok na ladach można się było zaopatrzyć w okolicznościowy album oraz pobrać oficjalną aplikację, wszędzie kręciły się też grupki zwiedzających samą wystawę... no, no. Jak by to podsumowała Aggy: „Ja cię trącam!”.

Wszyscy przyszli tu dla Teodory. Anna nie miała dzieci, ale domyślała się, że mniej więcej tak musi się czuć dumny rodzic, gdy patrzy, jak jego pociechy odbierają dyplom albo się żenią.

Zaczerpnęła energiczniej powietrza i spróbowała pójść za radą taty, przekazaną jej lata temu: pośród harmidru i zamieszania poszukać spokojniejszego miejsca dla siebie. Cenna umiejętność, kiedy się mieszka z Judy i Aggy. Oddychając głęboko, po raz drugi w ostatnich tygodniach poczuła na sobie czyjś wzrok w zatłoczonej przestrzeni. I tym razem był to James Fraser.

Patrzył na nią z wyrazem wesołego zaciekawienia. Anna pomyślała, że w jego oczach tak przyciągająca uwagę sukienka musi na niej wyglądać osobliwie nie na miejscu, jak psy na obrazie grające w pokera. Skłoniła lekko głowę, by go pozdrowić, na co w odpowiedzi uniósł kieliszek szampana.

– Doktor Alessi! Witam, witam! Pęczniejemy z dumy, jak sądzę?
Anna odwróciła się i ujrzała uradowanego Johna Herberta.

– John, to chyba najcudowniejszy dzień w moim życiu – wyznała mu, nie panując nad wzruszeniem.

– Zrobimy rundkę, żeby opowiedzieć wszystkim, jak wspaniałą pracę wykonałaś? – spytał.

Kiedy wreszcie dobiegło końca krążenie wśród gości, pogawędki i dopieszczanie ego kor-poracyjnych sponsorów, Anna, udzieliwszy informacji dziennikarzom piszącym o sztuce i wysłuchawszy przemówienia dyrektora muzeum, poczuła się wykończona, ale i wyjątkowo dumna.

Ktoś klepnął ją w ramię. Obróciła się i zobaczyła Parkera. Ciekawa koszula... Czy ten wzorek na krawacie to naprawdę maleńkie dzwoneczki?

– I jak ci się podoba aplikacja?

– Jest fantastyczna – odparła. – Dziękuję.

Po pamiętnym zebraniu, kiedy mocno się dała we znaki agencji Parlez, Anna była przekonana, że jako jedyna rozplakała się przy biurku, oglądając klip z aktorami. Obawiała się, jak wypadnie Teodora, ale kobieta, która ją zagrała, o orlim nosie, dostojnej sylwetce i oczach koloru fusów, okazała się niesamowicie podobna do cesarzowej.

– A ta część poświęcona modzie, zatytułowana *Elegancja Bizancja*? To ja wymyśliłem.

Anna uśmiechnęła się.

– Fajny kalambur.

– Projekt skończony, więc teraz możecie już otwarcie ze sobą chodzić? – zapytał Parker.

– Proszę?

– Bez obaw – powiedział cicho. – Widziałem was. Wiem.

– Jakich „nas”?

– Ciebie i Jamesa. W teatrze. Wiem o was... no wiesz...

Parker wyszczerzył zęby i wykonał najordynarniejszy gest na świecie, zwijając jedną dłoń w pięść i wsuwając w nią kilkakrotnie palec drugiej.

W tym momencie wyrósł między nimi mocno poruszony James, spojrział na rękę Parkera, a potem na zdumioną twarz Anny.

– No nie, Parker. Co ty wyrabiasz?

– Mówiłem, że nie musicie się już z Anną tak kryć! James wyjaśnił mi, że rozdzielacie sprawy zawodowe od przyjemności, ale teraz możecie się oddać wyłącznie przyjemnościom.

Bara-bara, tego-tego... – Parker zakołysał lekko biodrami na boki.

James podrapał się w oko z taką miną, jakby miał ochotę wyparować.

– Wydaje ci się, że my ze sobą chodzimy? – Anna spojrzała na Parkera, a potem na Jamesa.

– Tak mówił – Parker popatrzył na Jamesa.

– No... to znaczy... On nas widział i... – James wyraźnie się spocił, a twarz wykrzywił

mu grymas zagubienia, co Annę wprowadziło w ekstazę. Prawdę mówiąc, była zdziwiona, że nie ryknął: „Z nią? Fuj! W życiu!”. Oto na jej oczach James Fraser właśnie poczuł się głupio. Tak się spełniają najcudowniejsze sny.

– Miałeś nikomu nie mówić – skarciła go.

James wytrzeszczył oczy. Długa pauza.

– No tak, przepraszam.

– To miał być naprawdę sekretny romans. Dosłownie nikt nie miał

się o nim dowiedzieć... – dodała, nie spuszczać z niego wzroku.

Uśmiechała się. James nie wierzył własnym oczom.

– Trzeba się było nie pokazywać w Covent Garden – zauważył Parker. – A zamiast tego wybrać się w jakieś gówniane miejsce, do którego nikt teraz nie chodzi. Na przykład do Shore-ditch, cha, cha, cha. Wpadniesz oczywiście na pięciolecie?

– Proszę...? – Teraz to Anna spojrzała bezradnie na Jamesa.

Otworzył usta i z niejakim wysiłkiem wyjąkał:

– No tak... Jasne... Zdaje się, że zapomniałem ci wspomnieć...

– Słuchaj, jeśli coś kombinowałeś, żeby mnie nie zaprosić... – odegrała urażoną dumę, by

dać mu czas na dojście do siebie. Uśmiechnął się. Na jego obliczu malowały się zachwyty i wdzięczność. Anna poczuła, że się rozkleja. Oczywisty skutek wypitego szampana w połączeniu z dobrą wolą. I może jeszcze z jego rysami twarzy. Ale tę brodę w stylu kapitana Haddocka naprawdę powinien przemyśleć.

– Nie, no skąd. Jasne, że jesteś zaproszona – powiedział.

– Dobra, ja spadam – zakomunikował Parker.

– Idź, zrobiłeś już wszystko, co miałeś zrobić – mruknął James, posyłając Annie sarkastyczne spojrzenie, które wbrew sobie uznała za zabawne i urocze.

Rozdział 37

Wystarczyło spuścić Parkera z oka NA MINUTĘ – dosłownie, to nie mogło trwać dłu-

żej – i od razu prześlizgnął się do Anny jak wąż na rolkach. No i oczywiście musiał coś palnąć.

James przeklinał się w duchu. (Swoją drogą, dlaczego Parker, choć wiedział, że obowiązują stroje wieczorowe, przyszedł w czymś, co Jamesowi kojarzyło się bardziej z subkulturą rave?).

Irytowało go to zwłaszcza dlatego, że – jak sądził – łatwiej byłoby mu się znów pojawić z Evą, gdyby koledzy z pracy nigdy nie poznali jego „nowej dziewczyny”. Choć teraz, kiedy się okazało, że zamieszkała u Finna, wszystkie kalkulacje zwyczajnie wzięły w łeb.

– Idź i się z nim pobij – brzmiała fachowa analiza sytuacji w wykonaniu Laurence’a. –

Koniecznienie tak, żeby sobie potargać koszulę od Thomasa Pinka. Kobiety uwielbiają poszarpane ubrania.

– Ja i ten model? Wyglądalibyśmy jak dwie baby walące się po pyskach.

– A jeszcze lepiej, kiedy faceci tarzają się przy tym w jakiejś brei. Przypomnij sobie *Brid-get Jones*.

Zamiast tego Parker się odezwał i James wyszedł na największego kretyna na świecie.

Najchętniej zgłosiłby się od razu do tej szwajcarskiej organizacji, która pomaga ludziom popełnić samobójstwo. A jednak Anna pomogła mu ewakuować się z tego Sajgonu. Niesamowite. Zaimponowała mu.

Miała na sobie ciemnoniebieską sukienkę, która zdradzała, że pod tymi wszystkimi rozciągniętymi swetrami kryje się zgrabna figura. Włosy spięła na karku w luźny koński ogon. Rysy twarzy podkreśliła kredką do oczu i ciemną szminką.

Obserwował, jak krąży po sali, a kiedy się odzywa, mężczyźni wpatrują się w nią zafascy-nowani, przykładają palec do warg, by uciszyć innych, i potakują jej energicznie jak ludzie doskonale zorientowani w temacie. „Pewnie się łudzisz – pomyślał – że oni wszyscy ciągną ku tobie ze względu na twoją kluczową rolę w tej wystawie. Bynajmniej. Chodzi o walory”.

– Spodziewam się, że teraz oczekujesz jakiegoś oryginalnego wyjaśnienia i przeprosin.

Ostatnio zrobiły się bardzo modne – powiedział, biorąc od przechodzącego kelnera z tacą dwa kieliszki szampana. Żeby wybrnąć z sytuacji, będzie musiał użyć uroku osobistego o mocy bomby atomowej. Musi ją nim dosłownie napromieniować.

– Jak słyszałaś, Parker niewłaściwie zinterpretował nasze wspólne wyjście do teatru i wymyślił sobie, że jesteś moją nową dziewczyną...

– Czy kobieta, z którą spotykasz się naprawdę, nie wkurzy się?

– Z nikim się nie spotykam. Powiedziałem im, że kogoś mam, bo gdybym się pojawił na

firmowej imprezie sam, bez przerwy próbowaliby mi kogoś naraić.

– To z kim zamierzałeś iść?

– W ogóle jeszcze o tym nie myślałem.

– No tak.

O Boże, nagle dostrzegł w Annie, w jej zachowaniu, coś, co sprawiło, że zdecydował się podjąć szalone ryzyko i wyznać jej prawdę.

– Zastanawiałem się, czyby im nie powiedzieć, że już z tobą zerwałem.

Annę zamurowało i przez chwilę James myślał, że teraz to już przegiął na całego.

– Żebyś nie musiała iść! – dodał pośpiesznie.

– A ty żebyś wyszedł na faceta, który rozdaje karty! Czemu to ja nie mogłabym rzucić ciebie?

– Bardzo dobry pomysł i wyglądałoby to wiarygodniej. Tyle że nie przyznałem im się, że to Eva ode mnie odeszła, więc pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli i w tym wypadku nie wyjdę na frajera.

– Niesamowite – mruknęła Anna do kieliszka, bez śladu urazy w głosie.

– No wiem, wiem. Niby dorosły facet, a zachowuję się, jakbym dalej chodził do szkoły, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Tym razem Anna się nie odezwała.

– Ta impreza na pięciolecie agencji to ma być jakaś niespodzianka na South Bank, a potem idziemy na kręgle. Yhm... Skoro już myślą, że ze mną pójdziesz... mogłabyś to dla mnie zrobić? – Jamesa zdumiała własna zuchwałość. – Ale jeżeli masz już dość tej całej absurdałnej maskarady, możesz śmiało odmówić. Zrozumiem doskonale. Zwłaszcza jeśli się spodziewasz wyjątkowo nudnej imprezy. Choć myślę, że raczej byś się dobrze bawiła.

Ależ to zgrabnie ujął.

Anna pociągnęła łyk i przekrzywiła głowę na bok.

– To znaczy... dobrze bym się bawiła z tobą?

James poruszył się zakłopotany.

– No tak. Nie proszę cię wyłącznie dlatego, żeby jakoś wybrnąć z tej głupiej sytuacji. Naprawdę uważam, że w inteligentnym towarzystwie może być fajnie. Ale jak mówię, jeśli chcesz, możesz mi spokojnie chlusnąć drinkiem w twarz. Ja na twoim miejscu tak bym zrobił.

– Więc jednak nie „zerwaliśmy ze sobą”? Nie mogę cię rzucić?
James skrzywił się.

– Jeśli ci zależy, to owszem. Ja też ostatecznie mógłbym im się przyznać do wszystkiego i pokazać, jaka ze mnie ofiara losu.

Uniosła brwi.

– A skąd miałabym wiedzieć, że naprawdę to zrobiłeś?

– Mógłbym kogoś poprosić, żeby mnie sfilmował moim telefonem.

– Ha! Już to widzę.

– To ty trzymasz w ręku wszystkie karty – zauważył James. –

Gdybyś zażądała, zrobił-

bym to nawet przebrany za kobietę.

– Hmmm. Przypuszczam, że randka absurdalna może się okazać ciekawsza niż moje zwykłe randki.

– Serio?

Anna wzruszyła ramionami.

– Tak.

O rany. Teraz to już naprawdę miał u niej dług wdzięczności.

Stuknął się z nią kieliszkiem.

– No to super. I gratuluję wystawy. Po tych zawirowaniach na początku cieszę się, że nasza praca znalazła uznanie w twoich oczach.

– Nie sądziłam, że go potrzebujecie. W muzeum są zachwyceni.

– Twoje uznanie zdobyć najtrudniej, więc daje najwięcej radości. Na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie.

– No nie – rzuciła z roztargnieniem, przesuając się nieco w bok, tak by znaleźć się bardziej na wprost Jamesa. – Zdaje się, że Tim McGovern zauważył, że na niego patrzę.

– Kto to jest?

– Tim McGovern? Z telewizji. Moja nieszczęśliwa miłość.

James zerknął na wysokiego, szczupłego, gustownie ubranego żyłastego mężczyznę

o lśniącej, kompletnie łysej głowie, we wzorzystej marynarce od Paula Smitha i markowych czarnych okularach w stylu lat sześćdziesiątych. On także zwrócił na nich uwagę i z wprawą zawo-dowca upił łyk szampana. Połane w ich stronę szybkie, twarde spojrzenie zdradzające zainteresowanie natury seksualnej James odczytał

z grubsza jako: „Jak by cię tu od niej oddzielić?”.

Jego twarz wydała mu się znajoma.

– Czy to nie jest ten historyk, który robi filmy dokumentalne dla BBC4? – spytał.

– Owszem.

– Faceci łamiący serca w Klubach Książki muszą być zupełnie inni niż ci w realnym świecie. Mnie on bardziej przypomina wyuzdaną cieciorkę. Naprawdę źle ulokowałeś swoje uczucia.

Anna zachichotała. James pomyślał, że jest już nieźle wstawiona. Normalka na tych wszystkich imprezach, na które się idzie prosto z pracy: szampan, jedzenia jak na lekarstwo i do dziewiątej wszyscy są nawaleni. W starych, dobrych czasach zdarzało mu się budzić w towarzystwie znajomych, z którymi w ogóle nie powinien był się zadawać, i zawsze winne były drinki z bąbelkami. Człowiek czuł się po nich, jakby mu odessano całą wilgoć z oczu. I robił się nieostrożny.

– Niiieeeee. On jest fantastyczny. Wybitny fachowiec.

– No tak, ale... Facet ma mokasyny ze skóry zebry. Władza to afrodyzjak, nie pigułka gwałtu.

– Mogłabym go słuchać godzinami.

– Wygląda na to, że on też mógłby się słuchać godzinami. To was łączy.

Roześmiali się w tym samym momencie i James zdał sobie sprawę, że konspiracyjne żar-towanie z kimś przeciwnej płci tworzy nader intymną atmosferę. Sposób, w jaki się podtrzymuje kontakt wzrokowy, jednoczesne wybuchy radości, wspólny sekret... Sprawdził, co się dzieje z Telewizyjnym Timem. Nadal rzucał w ich stronę wilcze spojrzenia.

– Wyraźnie jest zainteresowany. Chcesz go poderwać? – spytał Annę.

– Niby jak?

– Żadna sztuka. Za chwilę zacznę ci coś szeptać do lewego ucha. Nachyl się, a ja będę się uśmiechał i udawał, no wiesz, że mam na ciebie ochotę. Tobie się to w zasadzie podoba, ale nie chcesz tak od razu się zgodzić. Potem się roześmiej, trochę zalotnie, jakbym ci powiedział coś sprośnego. Kumasz?

– Mówisz poważnie?

– Tak. Jeśli to dobrze odegrasz, za parę minut sam tu podejdzie i się przedstawi.

– Dlaczego?

– Bo jeżeli dojdzie do wniosku, że na serio się do ciebie przystawiam, będzie miał powód, żeby samemu wykonać jakiś ruch.

– A jeśli po prostu uzna, że przyszliśmy tu razem?

– Mężczyźni nie zachowują się tak wobec kobiet, z którymi już się spotykają. Po mowie ciała łatwo odróżnić regularną parę od „faceta z potencjalną zdobyczą”. Słuchaj, kumpluję się z Laurence’em, a on ma olbrzymią praktykę w tej dziedzinie. Zaufaj mi. Gotowa?

– Gotowa – potwierdziła Anna, usiłując przywołać na twarzy wyraz lekkiego rozbawienia.

James pochylił się ku niej. Poczł zapach jej perfum, kwiecisty, a zarazem słonawy od

kontaktu ze skórą. Odgarnął jej włosy z ucha, czego nie planował, ale dodał teraz dla lepszego efektu.

Szepnął:

– Cały wieczór chciałem ci o tym opowiedzieć... Luther dostał zatwardzenia. Mam dla niego tabletki, ale Evie odbiło i zgodziła się wyłącznie na naturalne środki. Kazała mi dodawać mu do jedzenia dynię z puszki. Próbowałem, ale nie chciał tego jeść. Okazało się, że przez przypadek kupiłem dyniowe nadzienie do ciasta. Musiałem kupić normalną dynię, ugotować ją i roze-trzeć na papkę. Luther ją zeżarł i zniknął. Zgadnij, gdzie go znalazłem, całego obsranego na pomarańczowo. W szufladzie z moją bielizną, którą zostawiłem na wpół otwartą. Mogę teraz mó-

wić, że kot mi narobił w gacie.

Anna zatoczyła się do tyłu, przysłaniając sobie usta dłonią i trzęsąc się ze śmiechu.

– Biedny Luther!

– A potem uciekł z czymś, co wyglądało jak marchewka wisząca mu z tyłka. – James pochylił się i dokończył ochryłym głosem: – Ale slipki, które mam teraz na sobie, zostały wypra-ne, skarbie. A o dyndającej marchewce pogadamy później.

Anna znów się zatrzęsała ze śmiechu, a James uśmiechnął się

i pomyślał, że kiedy się postara, potrafi z siebie zrobić czarującego drania. Tak bardzo napawał się chwilą, że nie od razu zauważył minę Anny obwieszczającą absolutny sukces i Telewizyjnego Tima stojącego przy jego łokciu.

– Dobry wieczór, przepraszam, że przeszkadzam. Pani doktor Alessi?

– Tak, to ja! Dobry wieczór – odparła lekko zszokowana Anna, zaraz jednak się pozbierała i wymieniła z nim uścisk dłoni.

– A pan jest...? – Telewizyjny Tim zwrócił się do Jamesa tonem, który wyraźnie sugerował: „NIKIM!”.

– W pilnej potrzebie odwiedzenia ubikacji, proszę wybaczyć. – James uśmiechnął się do Anny i odszedł.

Kiedy znów się pojawił, oboje w dalszym ciągu byli pogrążeni w rozmowie. Telewizyjny Tim spojrzał na niego i James pomyślał: „Dobra, dobra, wygrałeś. Tylko dlatego, że wcale nie próbowałem”.

Ruszył w stronę drzwi i po drodze zderzył się z jakimś bladym mężczyzną o rudawych włosach.

– Przepraszam – rzucił odruchowo.

Tamten bynajmniej nie zareagował podobnie. Wpatrywał się w niego z wyrazem nieskrywanego obrzydzenia. Robił to tak intensywnie i z taką ostentacją, że James, zupełnie jak w komedii, zerknął przez ramię, by sprawdzić, czy ktoś za nim nie stoi i czy rzeczywiście to o niego chodzi.

Dziwne. Nawet bardziej niż dziwne... Teraz zauważył obok przeszywającego go wzrokiem faceta niską, pulchną kobietę. Czy ona się przebrała za mężczyznę? Oboje wyglądali jak statyści z *Hobbita*.

Zdał sobie sprawę, że wariatów jest tu nie mniej niż w Parlez. Od tych z agencji różniło ich tylko to, że mieli doktoraty.

Pożegnał się i wyszedł na orzeźwiająco zimne nocne powietrze, zastanawiając się, czy Anna zakończy ten wieczór tak, jak kiedyś on kończył.

Godzinę później, gdy leżał rozciągnięty na kanapie z rozdartym wielkim opakowaniem krakersów krewetkowych na piersiach,

niespodziewanie otrzymał odpowiedź. Jego iPhone zasignalizował nadejście esemesa od Anny. Chciała mu podziękować? Miał nadzieję, że nie. Obejdzie się bez przygnębiającego potwierdzenia. Poczul się samotny. Uniósł telefon nad głowę, od-blokował go, wpisał hasło i przeczytał wiadomość.

WIEDZIAŁEŚ? Musiałeś wiedzieć, prawda?

Krewetkowe krakersy zsunęły się na podłogę, gdy wystukał w odpowiedzi:

O czym?

Bzzz.

O TIMIE

Musisz wyjaśnić, o co ci chodzi. Nic nie rozumiem.

Bzzz.

*ON JEST GEJEM. PODSZEDŁ, BO TO TY MU SIĘ
PODOBAŁEŚ.*

*No nie! Przepraszam. Ale numer. Choć pewnie można się było
domyślić po butach Jx PS*

Dasz mi jego numer?

Rozdział 38

– Gratuluję, Au-Reli-Anno – powiedział Patrick, wchodząc do gabinetu Anny i wykonując dworski ukłon trochę w stylu *Czarnej*

Żmii. Wymawiał jej pełne imię cokolwiek osobliwie, ale nigdy go nie poprawiała. – Jak się czujemy o poranku? W glorii chwały? Wykąpani w oślim mleku?

– Cierpię – odparła Anna. – Ale to dla dobra sprawy.

Była w siódmym niebie. Z Teodorą nie mogło pójść lepiej i teraz wyobrażała sobie tłumy gości ciągnące na wystawę. Zamierzała wkrótce wślizgnąć się tam anonimowo jako zwykły zwiedzający. Niestety na tę euforię nakładało się jednocześnie wrażenie, że bardzo by się jej przydała transfuzja krwi. Brrrrr... Szampan był delikatny jak motylek, ale kasał niczym pszczoła.

– Podobało ci się?

– Bardzo. Chociaż musiałem wcześniej wyjść. Obowiązki w świecie magii.

Anna kiwnęła głową ze zrozumieniem, chociaż tym razem miała wątpliwości, czy mówi prawdę. Patrick nie lubił tłumów ani dużych imprez. Chyba że w formie pikseli.

– Byłaś królową balu – oświadczył niezręcznie.

– Daj spokój, chyba się nie zalałam ani nie machałam ręką, jak wtedy na balu historyków, kiedy dyskutowaliśmy o tej pracy z teologii na temat „Penisa Boga i boskiej seksualności”?

– Skądże znowu! Chodzi mi o wymiar towarzyski. Wypadłaś wspaniale.

Anna czuła, że Patrick zbiera się, by jej coś powiedzieć.

– Tim McGovern wyglądał na bardzo zainteresowanego twoją pracą – ciągnął. – Widzia-

łem, że pograżyliście się w rozmowie na pół godziny. Mam nadzieję, że cię nie porwie, żebyś została jego czarującą współprezenterką. Wiesz, że bardzo by nam ciebie brakowało na uczelni.

– Nie martw się, jego zainteresowanie zdecydowanie nie wykraczało poza moją pracę. –

Anna zaśmiała się sucho.

– Wymieniliście numery?

Zaskoczyła ją trochę bezpośredniość tego pytania. Pomyślała o widowisku, jakie celowo odegrali z Jamesem, zanim podszedł do nich Tim. Postronni obserwatorzy mogli na tej podstawie wyciągnąć

najrozmaitsze błędne wnioski.

– Ha! – zachnęła się. – No co ty.

– Zdaje się, że wyszedł z jakąś inną kobietą, więc... to chyba kobieciarz?

Anna parsknęła.

– Patrick, on jest waflem, jak to mówi Michelle. Ciepłym bratem.

„Nie interesuje się piłką”.

– Co takiego?

– To gej. Podszedł, bo wpadł mu w oko James Fraser z Parlez. Jak tylko James nas zostawił, zaczęły się pytania, kim jest ten przystojny mężczyzna, „który wygląda jak Brandon Routh”, i poczułam się wykorzystywana.

– Ten lalusz z agencji reklamowej był koszmarny. – Patrick niemal wypluł z siebie tę uwagę.

– A co, miałeś z nim jakieś przejścia? – spytała Anna nieco zaskoczona. Zweryfikowała swoją opinię o manierach Jamesa i nie uważała, by zachowywał się nieuprzejmie. W każdym razie nie wobec niej. Już nie.

– Widziałem go z tobą – odparł Patrick, poprawiając okulary, za którymi płonęły jego blade oczy. – Jak do ciebie szeptał, podrywał cię i się łąsił.

Anna roześmiała się – delikatnie, bo bolały ją mięśnie twarzy.

– Nieee! To tylko tak wyglądało. Choć muszę przyznać, że odstawił niezły spektakl.

– Przepraszam, Anno, ale jako osobnik również obdarzony chromosomami XY mogę cię zapewnić, że to było jak najbardziej autentyczne.

– Słowo honoru, tylko udawał, że ze mną flirtuje, żeby mi pomóc zwrócić uwagę Tima.

I zadziałało. Niestety trochę inaczej, niż się spodziewałam.

– A czemu właściwie miałby ci pomagać?

– Dla żartu? Bo ma wobec mnie dług do spłacenia?

– Jeśli coś ma wobec ciebie, to raczej nieczne zamiary. Uważaj. Nie zapomniałem, jaka by-

łaś przerażona tym, że musisz z nim pracować.

Hmmm, tu ją miał.

– Nasza współpraca dobiegła już końca i nic się nie stało. Patrick, czasami chyba popa-dasz w lekką paranoję na punkcie męskich sztuczek.

– Anna potarła pulsujące skronie. Boże, czy nigdy się nie nauczy pić mniej alkoholu, a więcej wody?

– Yhm... Jeśli on się tobą nie interesuje, to ja jestem...

– Victoria! – zawołała Anna, bo w tym momencie za Patrickiem

pojawiła się Zatruta Challis.

Momentalnie zakończyło to wizytę Patricka, ale choć Victoria teoretycznie również przyszła, by pogratulować Annie wystawy o Teodorze, na koniec Anna i tak czuła się, jakby została delikatnie zbesztana.

Po wyjściu szefowej natychmiast obejrzała w lusterku swoje przekrwione i podkrążone oczy, a potem sięgnęła po telefon.

– Michelle – wychrypiała – nie dam rady iść dzisiaj na koncert Penny. Rozłożyło mnie.

– Nic z tego, idziesz i koniec. Weź dwa nurofeny plus, popij americano, zagryź rogali-kiem z szynką i serem i przestań mi tu pieprzyć farmazony. Bez ciebie tego nie wytrzymam.

Rozdział 39

Zdaniem Michelle Penny miała niewiele talentów, ale nawet ona przyznawała, że dziewczyna Daniela potrafi śpiewać. Jej zespół The Unsaid Things, w skrócie The Unsaid, czyli Przemilczane, występował jako czwarty w sali na tyłach pubu w północnym Londynie, który specjalizował się w muzyce na żywo i cuchnących ubikacjach.

Anna sączyła pełnotłustą colę, z uprzejmości starając się wyglądać na zainteresowaną młodocianym zespołem rockowym, który grał przed The Unsaid. Tworzący go trzynastolatko-wie mieli na sobie rozpięte koszule w kratę, założone na bawełniane koszulki – widomy znak, że ich zespół rozpadnie się, zanim na dobre powstanie.

– Następną piosenka jest o dziewczynie w szkole... to znaczy w szóstej klasie... która ciągle kłamie i wydaje jej się, że jest przez to fajniejsza, ale to nieprawda, bo jest po prostu kłam-czuchą – zapowiedział wokalista spod grzywki przesłaniającej mu całą twarz. – Nosi tytuł *Sarah kłamie*. Mamy nadzieję, że wszystkim się spodoba. No chyba, że siedzi z wami Sarah.

– Zdaje się, że komuś na podwójnej lekcji geografii przyszło do głowy, żeby się pochwalić przed światem własną nieudolnością. Czy następny kawałek będzie się nazywał *Nie prosiłem się na ten świat?* – rzuciła z przekąsem Michelle. Anna roześmiała się, ale zrobiła nerwowy gest w kierunku siedzącej nieopodal gromadki dumnych rodziców, którzy – co napawało ją przerażeniem – nie wyglądali na wiele starszych

niż one.

Na szczęście wokalista preferował technikę śpiewu zwaną wrzaskiem i złośliwa uwaga Michelle nie przebiła się przez hałas gitar i grzmiące, bolesne słowa piosenki. „Pieprzę cię, Sarah, ty suko/Mówisz, że jesteś wrażliwa, robisz zakupy u Jacka Willsa/Twój chłopak nie ma dwudziestu lat, tylko dziewiętnaście/Pieprzę cię, Sarah, nie obchodzi mnie, gdzie byłaś...”.

– Ta Sarah zaczyna mi się podobać – stwierdziła Michelle. – Może sprawdzimy, czy Dan nie potrzebuje towarzystwa?

Znalazły go za stołem na kozłach zawalonym bawełnianymi koszulkami i czapeczkami z rozmazanym nadrukiem – siedział na stołku i czytał wspomnienia Petera Cooka. Wystawiony na sprzedaż towar sygnowały najrozmaitsze formacje, od rockowego Head Office, przez thrash-metalowy The Pungency, po nieokreślony gatunkowo The Unsaid. Michelle mówiła, że to lan-drynkowy folk, ale Anna domyślała się, że sami członkowie zespołu raczej tak nie opisują swojej muzyki.

– Interes nie idzie? – spytała Michelle.

– Można tak powiedzieć, choć nie wykluczam, że po koncercie zrobi się tutaj tłoczno.

– Dobry z ciebie facet, że tak się dla niej poświęcasz w wolny wieczór, wiesz?

– E tam. Ona, kiedy ma wolne, gotuje dla mnie – odparł Daniel, puszczając oko.

– Może ci przynieść piwo? – zaproponowała Michelle, na co Daniel wskazał do połowy pełną szklankę u swych stóp.

– Zawołaj, jakbyś miał ochotę na więcej – powiedziała, a potem, gdy już odchodziły, spytała cicho Annę: – Wolne od czego?

Kiedy zajęły miejsca, znów się odezwała:

– Swoją drogą, *Sarah kłamie* porusza pewną uniwersalną prawdę: każdy pamięta ze szko-

ły kogoś, kto rzeczywiście był notorycznym kłamcą. U mnie nazywał się Gary Penco i wmawiał

nam, że trzyma w domu sokoła, a w jego garażu stoi ferrari testarossa. À propos szkoły: wystawa już się zaczęła, więc, jak rozumiem, nigdy więcej nie będziesz musiała oglądać tego całego

Jamesa? Chyba ci ulżyło?

– Prawdę mówiąc... – Anna zawahała się. Sama nie mogła uwierzyć w to, co zamierzała powiedzieć Michelle. – Wybieram się na imprezę u niego w firmie. Jako jego rzekoma dziewczyna.

Michelle zakrztusiła się piwem, opryskując pianą rękaw Anny.

– Przepraszam, chyba powiedziałaś coś po włosku i źle rozumiałam. Na co się wybierasz? Jako kto?!

– Jego koledzy z pracy widzieli nas razem. No wiesz, wtedy, w teatrze. Wzięli mnie za

dziewczynę, z którą ma się pojawić na tej imprezie. Zrobię mu tę przysługę, zamiast wyjaśniać całe nieporozumienie. To tylko wyjście z ludźmi z biura.

Michelle zmarszczyła brwi.

– Czemu mu pomagasz?

Anna wzruszyła ramionami. Bardzo dobre pytanie.

– Myślałam, że konieczność spotkania się z nim będzie dla mnie koszmarem, pamiętasz?

No ale wszystko poszło gładko. Przekonałam się, że nie ma już nade mną przewagi. Teraz wygląda to inaczej.

– Dalej nie wie, kim jesteś?

– Nie.

– Powiesz mu?

– Nie...

– Dlaczego?

– Nie mam żadnego interesu w wywlekaniu tamtej sprawy.

– Więc na ile to jest nowe rozdanie? Myślisz, że gdyby wiedział, byłby dla ciebie wredny?

– Nie...

Następne dobre pytanie. Wyobrażała sobie, że wzbudziłaby w Jamesie odrobinę winy

i mnóstwo litości. Co do dokładnych proporcji, mogła tylko zgadywać. Nie chciała, żeby się nad nią litowano.

– Słuchaj – powiedziała, zmuszona do udawania, że jest pewna czegoś, czego wcale pewna nie była. – Idę za instynktem. Dobrze się

czuję. To jest ten nowy rozdział, o którym mówiłaś, kiedy mi kazałaś iść na zjazd.

– Wtedy miałaś tylko być sobą. Udawanie jego dziewczyny wydaje mi się dziwne i nic na

tym nie zyskasz. A on zasłużył sobie u ciebie na kopa w dupę.

– Nawet jeśli robię coś głupiego, to tylko jeden wieczór. Potem koniec.

– Hmmm. Tak brzmi mój oficjalny werdykt w tej sprawie, Anno. Hmmm.

Na The Unsaid's składało się dwóch mężczyzn oraz Penny, w wełnianej sukience i butach do pół łydki w stylu lat sześćdziesiątych. Głos miała przepiękny, czysty jak dzwon i niezwykle melodyjny. Śpiewała jednak piosenki, które zdaniem Michelle brzmiały bardziej jak łązawe melo-dyjki wykorzystywane często w reklamach do zachwalania sztywnych samochodzików dla kobiet albo wzruszania widzów tym, że jakiś dom towarowy specjalnie z myślą o nich będzie otwarty podczas świąt.

Kiedy Penny sięgnęła po dzwoneczki i zaczęła tańczyć wokół sceny, kołysząc się lekko i śpiewając o tym, jak bardzo lubi gorącą kawę w zimne poranki, Michelle nie wytrzymała.

– Czy w tym wypadku przemilczane zostało to, że można się w ten sposób nabawić cu-krzycy typu drugiego? – szepnęła Annie do ucha.

Anna uciszyła ją gestem, a Michelle zaśmiała się.

– Następny utwór to nasz cover piosenki Nirvany, którą zapewne znacie – zapowiedziała Penny, zerkając spod rzęs.

Zacząli grać coś, w czym Anna rozpoznała szczególnie poruszający i przejmujący kawa-

łek z akustycznej sesji w MTV. Niestety, w wykonaniu The Unsaid Things przeistoczył się w rzewną błahostkę.

– Ja chyba śnię. – Michelle wychrypiiała szeptem do Anny. – To niemożliwe, żeby z *Where Did You Sleep Last Night?* zrobić aż taką landrynę. Następna będzie *Rape Me* w wersji seple-nionej. „Łejp miiiiii...”

– Michelle! – syknęła Anna, bo obok nich pojawił się Dan. Sama zrobiła podekscytowaną minę, trochę jakby chciało jej się siku,

w nadziei, że będzie to wyglądać na życzliwość i sympatię.

– Chyba nieźle im idzie?

Zespół zaczął grać bardzo cichy akustyczny kawałek o drżącej melodii. Anna zwykle mia-

ła trudności ze zrozumieniem tekstów, ale Penny śpiewała tak wyraźnie, że dało się wychwycić każde słowo.

Siedząc z colą w dłoni i koncentrując się na utrzymaniu neutralnego wyrazu zainteresowania na twarzy, Anna zwróciła uwagę na fragment o „poznaniu mężczyzny/który podaje do sto-

łu”. O mało się nie odwróciła, by kiwnąć głową Danielowi, ale powstrzymał ją gniewny wy-dźwięk piosenki. W refrenie z kolei pojawiła się wzmianka o czekaniu na próżno. Wszystko to

sugerowało, że przesłanie ballady brzmi: „Powinam cię rzucić”.

Kiedy na końcu rozległy się zdawkowe oklaski, ani Michelle, ani Anna nie zdołały

uchwycić spojrzenia Daniela. Na propozycję kolejnego piwa oznajmił, że musi pomóc Penny w pakowaniu sprzętu, i zmył się.

Michelle rozgadała się dopiero w drodze do metra.

– Kuuuurwa. Czy ja dobrze zrozumiałam ten ostatni kawałek, czy tylko mi się wydawa-

ło? – spytała Anna.

Michelle pokręciła głową.

– Z niej jest niezły numer, mówię ci.

– Czemu Dan to znosi?

– Jeśli chodzi o kobiety, ma potwornie zaniżoną samoocenę.

W głębi duszy musi uważać, że nie zasługuje na nikogo lepszego od niej. Do szału mnie to doprowadza.

– Myślisz, że wiedział, co mu zaśpiewa? – spytała Anna.

– Skąd. Ona jest nienormalna. Wiesz, nigdy mu tego nie mówiłam, ale moim zdaniem

podpieprzała napiwki.

– Nie rozumiem...

– Kiedy pracowała w Pantry. Zawsze wrzucaliśmy wszystkie do wspólnej kasy, a potem dzieliliśmy po równo. Jeśli jej się trafił duży napiwek, chowała go do kieszeni. Nie mogę tego udowodnić, ale pracuję

w knajpie na tyle długo, że umiem rozpoznać ludzi, którzy nie zostawiają napiwków, a Penny zaskakująco często trafiały się takie stoliki.

– I nic nie powiedziałaś Danowi?

– Uznałam, że to nie ma sensu, w końcu ją po prostu wywaliłam, bo do niczego się nie nadawała. A niedługo potem dowiedziałam się, że ze sobą chodzą. Więcej tego błędu nie popeł-

nię. Kiedy następnym razem zobaczę, jak ktoś z moich przyjaciół wplątuje się w idiotyczny związek, od razu mu to powiem. Skorzystam z przysługującego mi prawa do natychmiastowej reakcji. Więc uważaj, gdybyś nagle uznała, że Pan Wredny Szkolny Kolega stanowi całkiem niezłą partię.

– Bez przesady! To ostatni człowiek na świecie, jaki by mi przyszedł do głowy.

– Nie ma nic gorszego, niż stracić kogoś porządnego dla jakiegoś kutafona – stwierdziła Michelle, gdy dotarły do stacji. – Tego dnia, kiedy Dan powiedział mi, że z nią chodzi, pomyślałam sobie: „Szkoda faceta”.

Rozdział 40

Podchodząc do rozgadanej gromadki stojącej w mroku i mżawce na South Bank, Anna poczuła nagły niepokój, jakby się znalazła w niewłaściwym miejscu. Bo naprawdę tu nie pasowała. Tylko wskutek nieporozumienia wylądowała na imprezie w Parlez jako osoba towarzysząca.

Teraz trochę żałowała tej decyzji. To przez tego cholernego szampana w połączeniu z Teodorą wielkoduszność wzięła górę nad zdrowym rozsądkiem. Michelle miała rację, nie wolno jej zapominać, że Jamesowi Fraserowi nic nie jest winna. A jeśli już, to należy mu się od niej rozbity nos. Miała pełne prawo zemścić się na nim i wystawić go do wiatru.

Dlaczego więc tu przyszła? Żeby mu pomóc wyjść z godnością z kłopotliwej sytuacji?

Z godnością, której on tak brutalnie pozbawił ją samą, gdy była o połowę młodsza?

Doszła do wniosku, że chyba przez ciekawość. Nawet doznane

upokorzenie i oburzenie nie zdołały jej skłonić do oparcia się pokusie wykorzystania tego, że nikt jej nie poznaje. Podobnie jak w przypadku zjazdu absolwentów było to jednorazowe wyzwanie. Wejdzie i wyjdzie, znów na własnych warunkach. Kiedy się okazało, że ma pracować razem z Jamesem, uznała to

za szyderstwo ze strony Boga, ale może Ten Na Górze posłał jej tylko w ten sposób mobilizują-

cego kuksańca? Idź. Obejrzyj sobie to stworzenie i przekonaj się, że w gruncie rzeczy ani w nim, ani w jego kumplach nie ma nic szczególnego.

Z odległości dwudziestu metrów dało się już poczuć intensywną woń absolutnej awangar-dy mody. Anna długo się męczyła nad wyborem odpowiedniego stroju, na tyle efektownego, by

nie wyglądała byle jak, a zarazem nie aż tak efekciarskiego, żeby cokolwiek manifestował.

W końcu zdecydowała się na jeszcze jeden wariant oklepanej małej czarnej. Dotąd właściwie się nie zastanawiała, czy nadaje się na dziewczynę Jamesa. Jego DZIEWCZYNE? Owszem, miała ją tylko udawać, ale to niczego nie zmienia. Jej młodsze „ja” przyglądało się temu ze zgrozą.

A może z wściekłością.

Pracujący w Parlez nosili włosy mocno podcięte albo przystrzyżone jak od garnka, osobliwe kolczyki, ekstrawaganckie zimowe kurtki i buty na klockowatych wysokich obcasach syg-nowane nazwiskami znanych projektantów. Jeden z mężczyzn miał wąsy wiktoriańskiego akrobata, a jedna z kobiet fryzurę będącą czymś pośrednim między kokiem zwykłym a tapirowanym, przypominającą kaczy dziób na szczycie głowy. Anna usłyszała, jak w rozmowie z kimś innym nazwała swą poszarpaną tutu „spódniczką steampunkowej kurtyzany”. Co to za ludzie, do cholery? W co ona wdepnęła? Anna przez tyle lat martwiła się tym, by jej wygląd nie wywoływał żadnych komentarzy, że nie potrafiła sobie wyobrazić, iż ktoś mógłby chcieć swym strojem budzić kontrowersje.

Średnia wieku chyba nie przekraczała dwudziestu siedmiu lat. Obrzucili Annę spojrzeniami, w których nie dostrzegła większego

zainteresowania.

– Cześć! – przywitała się niezręcznie jak nauczycielka przychodząca do obcej klasy na zastępstwo.

Uniosła dłoń w czymś przypominającym gest powitania i poczuła ulgę, kiedy na jej widok James odłączył się od grupy. Zobaczyła, że ma na sobie dwurzędowy granatowy płaszcz ry-backi, co bardzo ją ucieszyło. Najwyraźniej nie gustował w modzie ekstremalnej, jeśli pominąć ogólne upodobanie do ubierania się w stylu Clive’a Dunna²⁰). Był blady z zimna, lśniły mu

oczy, a wiatr targał włosy. Nachylił się, by ją cmoknąć w policzek.

20) Clive Dunn – brytyjski aktor specjalizujący się w rolach podstarzałych mężczyzn, między innymi w sitcomie *Armia tatuśka*.

Zdradziecko infantylny żołądek Anny wykonał przewrót w przód, tym bardziej żaloszny, że całowali się tylko na pokaz. Kiedy ich oczy znów się spotkały, oboje dostrzegli w nich zakłopotanie wynikające z niezręczności całej tej sytuacji.

– To jest Anna. Anno, to jest... to są wszyscy. Imiona zostawimy na później.

Rozległy się chaotyczne pozdrowienia i zaraz wszyscy powrócili do rozmowy, z wyjątkiem filigranowej dziewczyny o jasnych włosach ściętych na pazia i miłej, szczerzej twarzy.

W dalszym ciągu wpatrywała się zafascynowana w Annę jasnoniebieskimi sowimi oczami, z któ-

rych było skupienie, ale nie wrogość. „Aha, poznaję to spojrzenie” – pomyślała Anna. „Oczywi-

ście zabujałaś się w Jamesie. Zawsze musi się znaleźć ktoś taki”.

James zatarł ręce, dmuchając w nie, i powiedział:

– Wciąż nie wiemy, co właściwie ma być w programie. Większość obstawia, że nasz szef Jez nauczył się równocześnie połykać ogień i jeździć na monocyklu. Ja w każdym razie chętnie bym zobaczył, jak próbuje.

– Proszę o uwagę! – zawołał mężczyzna o siwych włosach sięgających do kołnierza wy-tworknego wełnianego płaszcza.

Towarzyszyła mu truskawkowa blondynka w płowym surducie

z olbrzymim futrzanym kołnierzem. Oboje promieniowali samozadowoleniem ludzi z dużą kasą, które zdawało się izolować ich od reszty świata.

– Nadeszła pora, by ujawnić, co zaplanowaliśmy razem z Fi na rozpoczęcie wieczoru.

Przejażdżka Okiem z szampanem!

– Oko? – James mruknął z niedowierzaniem. – Cholera. Będziemy pierwszymi londyń-

czykami, którzy się przejechali Londyńskim Okiem.

Rzucił Annie smętny uśmiech, który ta odwzajemniła nieokreślonym grymasem. Poczła gwałtowny skurcz w żołądku i nie miał on nic wspólnego z filmową urodą Jamesa. Kompletnie nie brała pod uwagę, że mogliby się wybrać na Londyńskie Oko. Dlaczego o tym nie pomyślała?

Chichocząc, szcękając zębami i zacierając dłonie w rękawiczkach, cała grupa ruszyła po-

łudniowym brzegiem Tamizy. Kiedy dotarli na miejsce, para bogaczy wdała się w ożywioną rozmowę z obsługą diabelskiego młyna.

– Na pewno załatwiają z klientem darmowy wstęp. Klasyczny wąż w kieszeni. – James próbował nawiązać rozmowę z Anną.

Skinęła tylko głową i uśmiechnęła się z wysiłkiem, usiłując opanować panikę. Czuła się jak w pułapce. Gdyby oznajmiła, że nie da rady pojechać, zrobiłaby z siebie widowisko na

oczach tych wszystkich strasznych ludzi. Kiedy się wahała, co robić, mężczyzna w eleganckim płaszczu znów poprosił o uwagę.

– Słuchajcie, wygląda to tak, że dostaliśmy dwa wagoniki! W nocy przejażdżka kołem jest bardzo romantyczna, więc może zamiast się dzielić na dwie grupy, wybierzecie parę, która pojedzie osobno? Kto ma ochotę?

W odpowiedzi rozległo się szemranie, ale chętni się nie zgłosili. Truskawkowa blondynka szepnęła coś do ucha mężczyźnie w eleganckim płaszczu. Ten podniósł wzrok i spojrzał na Jamesa.

– James, może ty i twoja dama?

Wszystkie oczy skierowały się w ich stronę.

– Dobra. Jedziemy? – James popatrzył na Annę, szukając u niej

wsparcia, na co kiwnęła lekko głową, że się zgadza. „O Boże, o Boże, o Boże...”. Teraz już się w żaden sposób nie wywinie.

Bez słowa weszła za nim do futurystycznego wagonika. Małeńka postać w przeźroczystej bańce, która za moment pofrunie w powietrzu niesiona oddechem olbrzyma. „Nie zwymiotuj, nie zwymiotuj, nie zwymiotuj...”. Jakoś dotarła do drewnianej ławki pośrodku i spróbowała skupić zmysły na jej dotyku. Drzwi za nimi zostały zamknięte i zablokowane. W uszach Anny zabrzmia-

ło to jak zgrzyt zamka w więziennej celi. Choć wcale nie wołała, żeby je pozostawiono otwarte.

Ile to potrwa? Całą wieczność.

– Ja nie mogę... Diabelski młyn dla turystów. Przepraszam za ten obciach. Ale przynajmniej jest się czego napić – powiedział James, wyjmując szampana z wiaderka z lodem. – Masz ochotę?

Anna, która w tym momencie nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa, potrząsnęła głową.

– Dobrze się czujesz?

Skinęła na potwierdzenie, ale ewidentnie nie była to prawda i James wbił w nią wzrok.

– Mam lęk wysokości – wyznała cicho i skrzywiła się, gdy wagonik szarpnął.

– Serio? Czemu nie powiedziałaś? Przynajmniej mielibyśmy dobry pretekst, żeby się od tego wykręcić.

– Nie chciałam robić zamieszania... To znaczy, uznałam, że do postaci, którą gram, nie pasuje lęk wysokości.

W spojrzeniu Jamesa zobaczyła zakłopotanie, ale i wdzięczność.

– Jesteś bardzo odważna – stwierdził, przyglądając się jej. – Chyba nie zarzygasz całego wagonika, co?

Rozdział 41

Czując, jak delikatnie unoszą się nad ziemią, Anna zacisnęła powieki i ze wszystkich sił

starła się utrzymać we właściwym miejscu zawartość żołądka.

Kiedy znów otwarła oczy, James popijał z pełnego kieliszka, obserwując ją z niepokojem.

– Tak mi głupio, Anno. Trzeba było powiedzieć.

– Podziwiał widoki, nie martw się. Nic mi nie będzie – pisnęła, machając ręką.

Patrzyła, jak z drinkiem w dłoni podchodzi do zakrzywionego okna. Przez chwilę milcze-li.

– Naprawdę nie dasz rady popatrzeć? – spytał w końcu James. – Wiem, że byłem cyniczny co do tego pomysłu, ale widok rzeczywiście robi wrażenie. Może to z powodu szampana.

– Chciałabym, ale nie jestem w stanie – odparła, wpatrując się w swoje szarobiałe knyk-cie.

– Pomoże ci, jeśli będę mówił? A może lepiej, jak się zamknę? – spytał James.

– Zdecydowanie wolę, żebyś coś mówił.

– Skąd ci się wziął ten lęk wysokości?

– Wielkie dzięki, od razu o nim zapomniałam!

Roześmiali się.

– Kiedy byłam mała, wyszłam na Krzywą Wieżę w Pizie.

Pauza.

– Mówisz poważnie? Czasem bywasz taka sarkastyczna, że nie potrafię odgadnąć, kiedy żartujesz.

– Jak najbardziej. Wydaje się to nazbyt włoskie, prawda? Jakby ktoś powiedział,

że oślepl, bo się dziabnął w oko wielkim kawałkiem pizzy. Kiedyś na Krzywą Wieżę można było wchodzić, a po zewnętrznej stronie nie było żadnych poręczy. Jeszcze nie nadeszła epoka przepisów BHP i odszkodowań za narażenie zdrowia i życia. Tata pozwolił mi wspinać się po schodach przed nim. Kiedy byliśmy już prawie na górze, wybiegłam na jeden z balkonów i o mało z niego nie spadłam. Uratowało mnie tylko to, że miałam długie włosy i tata w ostatniej chwili zdążył

mnie za nie złapać i szarpnąć do tyłu. Do dziś pamiętam to przerażenie, kiedy zdałam sobie sprawę, jak niewiele brakowało. I wiedziałam, że gdybym spadła, byłoby po mnie. Na ile coś takiego może rozumieć sześćioletnia dziewczynka. To nie jest odpowiedni wiek

do zastanawiania się nad własną śmiertelnością. Od tamtej pory boję się wysokości. Jakbym cierpiała na zespół stresu po-urazowego. Nie potrafię zapomnieć.

– Pomyśleć, że jedno złe doświadczenie może potem przez lata powracać w przykrych wspomnieniach – zauważył James. Zabrzmiało to tak do bólu celnie, że Annie znów przemknęła myśl, iż może jednak ją rozpoznał, zaraz jednak dodał: – Ja przeżyłem coś takiego w poprzedniej firmie, kiedy mnie namówili, żebym spróbował pigułek na spalenie tłuszczu od naszego klienta.

To, co po nich wychodzi z człowieka, wygląda jak ser na marghericie. Od tamtej pory nie mogę patrzeć na pizzę.

Anna roześmiała się. Rozmowa znów się urwała.

– Jak ci idzie z randkami w sieci? – James w końcu przerwał ciszę.

– Jak zwykle bez sensu.

– Może powinnaś jakoś zmienić swój profil?

– Wielki dzięki, trafiłeś w sedno! „Może to twoja wina?”.

– Nie! – James zaprotestował gwałtownie, ale był wyraźnie rozbawiony. Anna odniosła

wrażenie, że przy niewielu kobietach musi tak bardzo uważać na słowa jak przy niej, i że mu się to podoba.

– Nic takiego nie powiedziałem. Chodziło mi raczej o to, że wydaje się to najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem. A może byśmy obejrzelili twój profil? Pracuję w internecie, pisuję różne teksty reklamowe. I dość często słucham, co o nich sądzi Laurence. Może ci się przyda spojrzenie z drugiej strony?

– Teraz?

– Przystaniesz myśleć o wysokości. – James już wyjmował telefon z miną, która zdawała się mówić: „Zrób mi tę przyjemność”.

– Chcesz się ze mnie pośmiać? – spytała, czując skurcz w brzuchu, spowodowany tyleż wysokością, co wydarzeniami z przeszłości.

– Obiecuję, że nie będę. Zresztą, czy może być coś bardziej żenującego niż to, co sam odstawiłem na wystawie?

Anna uśmiechnęła się i przechyliła głowę.

– No fakt...

Nie była zachwycona pomysłem, by James czytał, co napisała

o sobie dla potencjalnych partnerów. Ale chciała się też dowiedzieć, co o tym myśli. No dobra, był człowiekiem złym, ale zarazem inteligentnym i... przystojnym. Tak. Chciała usłyszeć opinię z drugiej strony.

Podawała mu nick, pod jakim się zarejestrowała w serwisie, i czekała w napięciu, gdy James mruczał coś o sygnale 3G.

– Dobra, jest.

– Tylko żadnych kpin!

– Obiecuję. Chyba że znajdę coś w stylu „Lubię to, co w życiu najważniejsze”. Popatrz-my. Ładne zdjęcia. Ale czemu są tylko trzy?

– No tak. – Anna czuła się zakłopotana, wyjaśniając swoje motywy. – Nie chcę, żeby mnie oceniano na podstawie wyglądu.

– Godne pochwały, ale szukasz faceta w świecie realnym, a nie takim, w jakim chciałabyś żyć. Wrzuć jeszcze kilka... „Lubię podróże”. Typowe sformułowanie, które pasuje do każdego.

Ponieważ nie jesteś koczownikiem, sprowadza się do „Lubię wakacje”.

Anna zachichotała.

– Zastąpiłbym to czymś bardziej konkretnym... Hmm.

„Wysportowana i aktywna”. Naprawdę? Nie! – James uniósł rękę, bo usta Anny ułożyły się w wielkie „O” jak oburzenie. – Dlatego, że najczęściej znaczy to dokładnie tyle, co „nudna i banalna”. Albo: „lubi chodzić do pracy na piechotę”. Wywal to, chyba że profesjonalnie grasz w tenisa. Przecież widzą, że się nie obżerasz pączkami, a tylko to ich naprawdę interesuje. I w ten sposób wracamy do mojej wcześniejszej uwagi o zdjęciach: daj ich więcej.

„Jaki dziwny wieczór”, pomyślała Anna. Oto wisi nad Londynem z Jamesem Fraserem,

który jak jakiś Cyrano de Bergerac próbuje w jej imieniu uwodzić mężczyzn.

– Następna rzecz. Piszesz, że jesteś beznadziejną romantyczką?

Tym razem Anna poczuła, że się rumieni, ale na szczęście w wagoniku było dość ciemno.

– Tak...

– Odradzam. Mężczyźni odczytują to jako: „Po trzech tygodniach zaczniesz do mnie wy-dzwaniać z płaczem o trzeciej nad ranem”.

– Chodziło mi o to, że szukam czegoś na poważnie. No wiesz... że się nie wygłupiam.

– O Boże, nie pisz, że „masz już dość krętaczy”. To najbardziej przerażające sformułowanie w ustach kobiety. Znaczy tyle co: „Kiedy się obudzisz, zobaczysz mnie z wielkim kuchennym nożem w ręku”. „Myślałam, że jesteś inny niż wszyscy, James. Nie chcesz skończyć tak jak oni, prawda?”.

Anna roześmiała się i spytała:

– No to co powinnam napisać, mądralo?

– Coś bardzo osobistego, co stanowi kwintesencję Anny. Za nic nikogo nie przeprasza.

Jesteś, jaka jesteś. I dodaj, że nie lubisz kotów. To się fachowo nazywa: „unikatowa cecha pro-dukta”.

– Wtedy za jednym zamachem wykluczę wszystkich właścicieli kotów.

– Zastanów się: podobał ci się kiedykolwiek jakiś facet z kotem?

– Szczerze mówiąc, nie – odparła i oboje się uśmiechnęli.

– Efekt będzie raczej taki, że w ten sposób właścicieli kotów rozbawisz i zaintrygujesz.

Zresztą, naprawdę miałabyś ochotę spotykać się z kimś, dla kogo najważniejsze jest to, czy lubisz koty? Kojarzy mi się to z facetem, którego ulubionym zespołem jest Noah & The Whale, który się zajada komosą ryżową i cierpi na zaburzenia erekcji.

– Cha, cha. Chyba nie. Skąd w ogóle wiesz to wszystko? Też się umawiałeś na internetowe randki?

„Już to widzę” – pomyślała.

– Nie, podrywałem dziewczyny tylko w tradycyjny sposób.

I zawsze kierowałem się jedną zasadą: czy tej, która mi się podoba, będzie się podobało tam, gdzie się wybieram? W internecie jest tak samo. Im więcej pokażesz prawdziwej siebie, tym prędzej znajdziesz kogoś, kto ci bę-

dzie odpowiadał. Wyobraź sobie, kogo szukasz, i napisz to tylko dla niego.

– Hmm. Nie bardzo umiem.

– Od dawna jesteś sama? – spytał James, chowając telefon

do kieszeni.

Coś w tych niecodziennych okolicznościach sprawiło, że Anna zaryzykowała prawdę. Nie było sensu zgrywać luzaczki. Nigdy nie będzie steampunkową kurtyzana.

– Od zawsze. To znaczy, może nie od zawsze... Jakies siedem lat.

– Nie żartuj...

– Mnie to wcale nie bawi.

– Nie o to mi chodziło. Po prostu trudno mi uwierzyć.

Uznała to za frazes, coś powiedzianego z czystej uprzejmości.

Wzruszyła ramionami.

– Po studiach chodziłam z kimś przez półtora roku. Nazywał się Joseph. Przez jakiś czas nawet mieszkaliśmy razem. Był sympatyczny. A na studiach miałam okropnego chłopaka, Marka, który nie chciał mnie pocałować, dopóki tego nie zrobimy, i wiecznie mu się coś nie podobało w moim wyglądzie. Cieszę się, że już wyrosłam z podejścia dziesiętnastolatki, że lepiej mieć ko-gokolwiek niż nikogo.

Ktoś powinien napisać pracę naukową na temat wpływu wysokości na pozbywanie się zahamowań podczas rozmowy.

– Jezu, to musiał być żaloszny facet – powiedział James, odwracając się.

„Ale nigdy mnie nie wystawił do wiatru na scenie ani nie nazwał słońcą, tak jak ty” – pomyślała Anna.

– Właściwie to chyba nigdy naprawdę się nie zakochałam.

– Szczęściara – stwierdził James. – To ci daje przewagę.

– Zabrzmiało cynicznie.

– Ale naprawdę tak uważam. – Podszedł, by dolać sobie szampana.

Wyjął butelkę z top-niejącego lodu w wiaderku i spytał: – Ty nadal nie masz ochoty? Mogłoby ci dobrze zrobić. Alkohol dodaje odwagi i w ogóle.

– Może odrobinę – zgodziła się. Cholera, znowu szampan.

James nalał jej pół kieliszka i podał.

– Rozumiem, że nie wstaniesz z ławki?

– Wykluczone.

– To ma sens. Gdyby wagonik oderwał się od Oka i spadlibyśmy do Tamizy, pewnie byś przeżyła, trzymając się kurczowo ławki. Potem

mogłabyś na niej dopłynąć do brzegu jak na tra-twie ratunkowej.

– Odwał się. – Anna roześmiała się, gdy James postawił obok niej kieliszek i przytrzymał

go za podstawkę, dopóki nie znalazła w sobie dość siły, bo go chwycić.

Doceniała to, jak z nią żartuje, wykazując jednocześnie autentyczną troskę. Wrócił do

okna, a ona pociągnęła szybko haust szampana, w pośpiechu stukając kieliszkiem o zęby. Jeszcze dwa łyki i wypła wszystko.

– To znaczy, podobali mi się różni... – No nie, teraz prócz wysokości na jej paplaninę za-czał też wpływać alkohol. – Ale nie mogę powiedzieć, żebym kiedykolwiek doznała tego oszałamiającego, bezgranicznego uczucia wszechogarniającej miłości do jednej konkretnej osoby. Ko-goś, o kim bym myślała, że czekałam na niego całe życie. Kogoś, kto mnie rozumie, a ja rozumiem jego i łączy nas przyjaźń, a do tego jeszcze na siebie lecimy.

James odwrócił się.

– Mam wątpliwości, czy poza komediami romantycznymi coś takiego w ogóle istnieje.

W każdym razie dłużej niż pierwszy tydzień.

– Dzięki za słowa pocieszenia – skwitowała Anna.

– Przepraszam. Nie pytaj o poglądy na temat miłości faceta, któremu inny właśnie posuwa żonę.

– Spotyka się z kimś innym?

– Z modelem. Ma dwadzieścia trzy lata. Zaczynam rozumieć, jak muszą się czuć pierwsze żony gwiazd rocka.

– Przystojny?

– No skąd, pozuje wyłącznie rękami, głowę ma jak jakaś maskara z kreskówki. Jasne, że jest przystojny. Aż mi ulżyło, jak to powiedziałem, pani doktor.

Roześmiali się, ale szybko wyczuła, że myśli Jamesa powędrowały ku żonie, i obojgu mi-nęła wesołość. James Fraser zmuszony przyznać, że ktoś pod względem warunków fizycznych nad nim góruje. Ciekawe.

– Myślisz, że do siebie wrócicie? – spytała Anna.

– Nie mam pojęcia. Gdybyś mnie o to zapytała jeszcze niedawno,

byłbym ostrożnym

optymistą. Teraz nie wiem.

– Ale chcesz tego?

– Chyba tak. Sam nie wiem dlaczego.

– Bo czujesz w stosunku do niej tę wszechogarniającą miłość jak z komedii romantycznej?

– Bo jestem masochistą.

Zamilkli.

– Dobra, podsumujmy więc nowy profil Anny. „Jestem z zawodu historyczką...”.

– To brzmi, jakbym miała sześćdziesiąt osiem lat i używała trymera do włosów w nosie.

– „Co bynajmniej nie znaczy, że dobijam siedemdziesiątki i wycinam sobie włosy w nosie trymerem na baterie. Wyobraź sobie raczej nieustraszoną badaczkę, która z bambusową pochodnią w rękę zapuszcza się do grobowca, by razem z Indianą Jonesem szukać przeklętej mumii”.

– Bardziej pasuje do archeologa.

– Cicho! Zakończ tak: „Jestem ponętna. Nie znoszę kotów. Na drugie śniadanie jadam omlet w bułce. Zadzwoń”.

– Cha, cha, cha, cha! – Ponętna? „Bez przesady, na kolana nie rzucam, zresztą nie jestem w twoim typie”. – Zdaje się, że masz wprawę w pisaniu takich tekstów.

– Słyszę sceptycyzm w twoim głosie. – James uśmiechnął się. – Mam bardzo odpowiedzialną pracę. Wszystkim klientom prowadzę konta w serwisach społecznościowych. Jeden fałszywy ruch na HootSuite i renoma wkładek do butów Scholl pójdzie się paść.

Zdumiewające, ale oto z powrotem znaleźli się na poziomie ulicy. Opuszczając wagonik, wciąż się śmiali. Anna zapomniała, że przyszli z całą grupą.

– Dobrze się jechało? – zapytał z lekką ironią w głosie żylasty człowieczek w jasnozielonej kurtce, berecie i spodniach w pepitkę.

Anna przesunęła wzrokiem po twarzach tych, którzy na nich czekali. Dostrzegła w ich spojrzeniach coś, czego nie знаła. Coś tak

bardzo jej nieznanego, że dopiero po chwili zdała sobie sprawę, co to jest. Zazdrość.

Naprawdę? Znajomi Jamesa zazdrościli im tej przejażdżki we dwoje? Ich kwitnącego rzekomego związku i żartów, którymi nie zamierzali się z nikim dzielić?

Jakże często, pomyślała Anna, ludzi wyleczyłoby z zazdrości poznanie prozaicznej prawdy.

Rozdział 42

James nie obiecywał sobie wiele po kręglach, ale kiedy dotarli do urządzanej w stylu retro jadłodajni z wyszynkiem w All Star Lanes, okazało się to całkiem fajną zabawą. I choć do ostatniej chwili miał poważne wątpliwości, po co tu właściwie przyszedł, obecność Anny sprawiła, że zrobiło się naprawdę przyjemnie.

Świetnie się ze wszystkimi dogadywała; była rozluźniona, miła i zaangażowana. Z początku może trochę nieufna, ale z pomocą alkoholu stała się sobą. A ponieważ instynktownie skupiła się na Lexie, jako najsympatyczniejszej osobie w tym gronie, James docenił jej gust.

Wyobrażał sobie, jak zachowywałyby się teraz Eva. Pewnie by słuchała Harrisa czy Ramony z tą swoją miną sfinksa, nieco krytyczną, ale nieprzeniknioną. Potem podryfowałyby z powrotem do Jamesa, by się o nich wyrażać z lekceważeniem, co sprawiłoby go w pewne zdenerwowanie, przemieszane z dumą, że ma najbardziej wystrzałową dziewczynę na sali. Uświadomił

też sobie, że nigdy nie czuł się wystarczająco dobry dla niej.

Próbował odnaleźć w Evie jakąś wartość wyższego rzędu, coś wykraczającego ponad po-wierzchną atrakcyjność, na którą się przede wszystkim zwraca uwagę, mając kilkanaście lat.

Była uprzejma? Od biedy. Troskliwa? Hmmm. Ale z drugiej strony nie potrzebował pracownicy organizacji charytatywnej ani wolontariuszki z garkuchni dla bezdomnych. Wystarczy tego użalania się nad sobą.

Kiedy zadzwonił do swojej siostry Grace, by jej powiedzieć, że Eva go zostawiła, usłyszał: „Zawsze miałam wrażenie, że ona cię trochę lekceważy. Ale tobie się podobają tacy ludzie”.

Gdy podał w wątpliwość tę opinię, dodała: „Lubisz wredne

dziewczyny. I wrednych facetów”.

W gruncie rzeczy nie znał nikogo, kto zdałby Test Grace, niemniej był to test wart zdania.

Jeżeli Eva wróci, co o tym drugim podejściu pomyślałaby sobie jego rodzina? Bał się, że pewnie nie byliby zachwyceni. No cóż, akurat ich zdanie chyba nie jest tu najważniejsze, prawda? Jeżeli ją odzyska... Trudno mu było wyobrazić sobie, by mogło być inaczej. Doświadczenie nauczyło go, że kiedy czegoś chce, zawsze to osiąga.

À propos doświadczenia... Zauważył, że Annie przydałoby się parę lekcji gry w kręgle.

Szło jej koszmarnie, a przy każdym niecelnym rzucie śmiała się beztrudno jak dziecko. W końcu James uznał, że nie może dłużej patrzeć, jak kolejny raz nie trafia kulą w kręgle.

– Mogę zaproponować odrobinę konstruktywnej krytyki? – spytał, podchodząc do niej, jak przystało na zatroskanego nowego chłopaka.

Anna odgarnęła z twarzy czarnokasztanowe loki, wydawała się nieporuszona. W wieczoro-rowej sukience, wzorzystych rajstopach i idiotycznych butach do gry w kręgle wyglądała przesłodka.

– Przede wszystkim, czemu rzucasz tak ciężką kulą? Bardziej by się nadawała do armaty.

Waży chyba połowę tego, co ty.

Oblała się rumieńcem. Wyszczekana i inteligentna Anna zarumieniła się na wzmiankę o jej wadze. Kobiety bywają czasem dziwne.

– Bo... podobał mi się perłowy kolor.

James uśmiechnął się.

– Nooo taaaak. A może jednak wzięłabyś tę? Nie ma, co prawda, tak atrakcyjnego odcie-nia, ale znacznie lepiej się nadaje do przewracania różnych rzeczy.

Zabrał jej kulę i wymienił na inną, podtrzymując ją na dłoni, gdy Anna wkładała palce w trzy otwory u góry.

– Zamachnij się – powiedział i zademonstrował, jak to powinno wyglądać. – Patrz dokładnie tam, gdzie chcesz ją posłać, i nie rzucaj jak zdechłym kotem do zsypu na śmieci. Płynny ruch. – Pokazał, o co chodzi. – Chyba mnie za to znienawidzisz?

– Jesteś gorszy od Freda Westa²¹), a do tego nosisz identyczne swetry jak on – stwierdzi-

ła, na co się głośno roześmiał.

21) Fred West – seryjny morderca działający w Wielkiej Brytanii do 1994 r.

Anna zrobiła zamach kulą i rzuciła nią na tor z niedużej wysokości. Patrzyła, jak skręca w bok i przewraca trzy kręgle, by następnie zniknąć z hukiem.

– Lepiej... – skomentował James, jedną ręką trzymając się za kark. – Ale dalej za sztywno. Pozwolisz, że o coś spytam? W szkole chyba byłeś do niczego w sportach?

Znów się uśmiechnął, na co odpowiedziała uprzejmie tym samym, choć jednocześnie wydawała się nieco zmieszana. Nie da się ukryć – tego wieczoru zachowywał się wobec niej cokolwiek bezczelnie. Ale chciał ją tylko rozbawić. Miała cięty dowcip i słowne szermierki z nią naprawdę go cieszyły. Gdyby pracowali w jednym biurze, pewnie biegałyby do niego z radością.

– Mogę pokazać? Skoro już mnie nienawidzisz jak seryjnego mordercy, gorzej być nie może.

– Tak ci się wydaje? – spytała Anna. – No dobra, pokaż.

– Ustaw się w ten sposób... – Staął tuż za nią i kiedy chwyciła kulę, by się zamachnąć, pokierował jej ramieniem. Szarpnięcie w chwili rzutu sprawiło, że na moment przycisnęli się do

siebie. Jamesa przeszył dreszcz. Jakby przeskoczyła między nimi iskra, bezsprzecznie wywołana nagłym zetknięciem się męskiego i kobiecego ciała. Jakby ktoś przekręcił kluczyk w stacyjce i zapalił lampki na końcach wszystkich nerwów.

Odsunął się i dalszych wskazówek udzielał jej już z pewnej odległości, mocno zaskoczony tym doznaniem, bo przecież Anna wcale go nie pociągała. To znaczy, nie przeczył, że jest atrakcyjna. Ktoś, komu podoba się ten rodzaj urody, mógłby szaleć na jej punkcie. James był przekonany, że wśród jajogłowych, z którymi ona pracuje, niejeden się za nią ugania. Zwłaszcza że wielu akademików, jakich miał okazję widzieć, wyglądało jak stwory z *Muppet Show*.

Ale nawet gdyby się zdecydował na romans, Anna z pewnością nie należała do kobiet, z którymi się idzie do łóżka „dla urozmaicenia małżeństwa”. Na coś takiego była zbyt dumna i poważna. Gdyby już, to prędzej by to zrobił... może z kimś w rodzaju Lexie. Nie kimś takim jak Anna. Z nią chciałby się przyjaźnić. Była w jego życiu pierwszą osobą, która go zaintrygowała.

Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby jej powiedzieć, że chciałby się z nią dalej spotykać jak z przyjaciółką, tak by nie uznała, że chce od niej czegoś więcej, ponieważ wiedział, że on jej również kompletnie nie pociąga. Cholera, jak przekazać, że nie chodzi mu o seks, tak by nie zabrzmiało to, że w rzeczywistości do tego właśnie zmierza?

Po przegranej w kręgle stracił Annę z pola widzenia, a kiedy pół godziny później znów się pojawiła, oznajmiła mu, że wychodzi.

– Lexie się załała. Wypiła o wiele za dużo. Muszę ją wsadzić do taksówki – powiedziała.

– No tak. – Jamesowi zrzedła mina. To wyłącznie Annie zawdzięczał udany wieczór i liczył na to, że wyskoczą jeszcze później do baru, gdzie zamierzał ją zabawiać opowieściami o rozmaitych aferach w Parlez. Skoro chciała już wyjść, postanowił zrobić to samo. – Lexie wymaga aż takiej troski?

– Ile wymaga, tyle dostanie – odparła, a James odniósł wrażenie, że głos jej odrobinę drży.

– Wyjdę z wami – zaproponował, ale już zdążyła się odwrócić. – Wezmę kurtkę. – Jeszcze jedna zaleta rzekomego posiadania dziewczyny. Kiedy dał znać innym, że już wychodzą, wszyscy tylko kiwnęli mu i mrugnęli porozumiewawczo.

– Wszystko w porządku? – spytał na ulicy, gdy Anna ułożyła mocno niedysponowaną Lexie na ławce i czekali na taksówkę. Spojrzała na niego i z jej twarzy zorientował się, że coś z pewnością nie jest w porządku.

– Dzwonił Laurence. Chciał się ze mną umówić – odpowiedziała i James poczuł, jak ogarnia go skrajna irytacja. „Nie możesz dać spokoju nawet kobiecie, która udaje moją dziewczynę...?”

– Twierdził, że to ty mu dałeś mój numer.

O Boże, dlaczego to zrobił? Tak było wygodniej. Loz go zamęczał, a on zbyt łatwo ustąpił.

– Powiedział mi też, że zaprosiłeś mnie do teatru tylko po to, żeby mu wyświadczyć przysługę. I że nazwałeś moją siostrę „żywym dawcą mózgu, przełomem w transplantologii”.

Jamesowi opadła szczeka, podczas gdy w żołądku skręcało go z zażenowania.

– Dzięki, Laurence. Obie te wypowiedzi zostały wyrwane z kontekstu.

– Więc nie wygłaszasz obraźliwych uwag o kobietach, których prawie nie znasz? – Anna wbiła w niego spojrzenie niczym cesarzowa Teodora, która za chwilę bez mrugnięcia okiem każe go stracić. Odgarnęła włosy, które wiatr rozrzucił jej po twarzy.

– Wydaje mi się, że na ogół nie.

– W takim razie musiałam się przesłyszeć na zjeździe absolwentów. Mogłabym przysiąc, że to ty powiedziałaś o mnie: „Na kolana nie rzuca, zresztą nie jest w moim typie”.

James z trudem przełknął ślinę. Jasna cholera... Ta uwaga rzucona wtedy Laurence'owi.

Usłyszała ją? Auuuć...

– Nie miałem na myśli... Słuchaj, Loz po chamsku próbuje ci się podlizać.

– Natomiast ty stanowisz wzór męskiej uczciwości, stojąc tu z kimś, kogo prosisz, żeby dziś wieczorem udawał twoją dziewczynę?

– Nigdy nie uważałem się za ideał. Mówię tylko, że nie jestem tak zepsuty jak on. – James miał świadomość, że brzmi to żałośnie. – Wybierasz się na randkę z Laurence'em?

Anna wzruszyła ramionami.

– Pomysł równie dobry jak ten.

Machnęła ręką i w końcu do krawężnika podjechała wolna czarna taksówka.

– Jeśli sądzisz, że Laurence jest tym lepszym, to po prostu dałaś się nabrać. Uwierz mi, Anno, on cię skrzywdzi. Nie rób tego.

– Nie interesuje mnie twoje zdanie na temat tego, z kim powinnam

się spotykać.

– Rozumiem, ale mówię ci to jako przyjaciel. Laurence to nie jest mężczyzna, z jakim chciałabyś się zadawać.

– Przyjaciel – prychnęła Anna.

– Myślałem, że nim jestem.

– Przez krótką chwilę szaleństwa ja też. Ale chyba najlepiej będzie, jeśli na tym zakoń-

czymy naszą znajomość. Raz na zawsze – odparła Anna.

Po dłuższej chwili manipulowania bezwładnymi kończynami Lexie, tak by przyjęła pozycję siedzącą, Anna wsunęła się za nią do taksówki, zastukała głośno w drzwi, a odjeżdżając, nie obejrzała się za siebie.

Rozdział 43

Anna krążyła właśnie po mieszkaniu, zastanawiając się, czy pół słoika czerwonej papryki chili, paczka czerstwego chleba tostowego i kawałek cheddara w niebiesko-zielone cętki wystarczą do przygotowania lunchu, czy też powinna się wybrać do sklepu, gdy na otwartym laptopie zauważyła mejla od Jamesa Frasera.

W sobotę? Klikając wiadomość, nie wiedziała, czego się spodziewać, ale nastawiała się na to, że zaraz się rozzłości. Zgadywała, że pewnie chodzi o przeprosiny, do których dołączył

prośbę, by nie zdradziła nikomu w Parlez, iż wcale nie są parą.

Kiedy jednak otwarła wiadomość, przede wszystkim zaskoczyła ją jej długość. James Fraser nie wydawał się kimś, kto by potrzebował – czy choćby pragnął – w swoim życiu kobiet, któ-

re przysparzają mu zmartwień. Wyjąwszy żonę.

Zaczęła czytać, obejmując dłońmi kubek stygnącej herbaty.

Droga Anno,

przepraszam, jeśli nie masz ochoty czytać mejli ode mnie, ale gdyby tak się sprawy miały, zawsze możesz mnie wywalić do spamu albo wysłać mi w odpowiedzi gifa z wypiętym tyłkiem.

Chciałbym się wytłumaczyć.

Być może po przeczytaniu tego nadal będziesz mnie nienawidzić, ale wówczas przynajmniej będę się pocieszał – choć marne to pocieszenie – tym, że nienawidzisz mnie za prawdę, a nie za propagandę Laurence'a. Muszę Cię prosić, byś mi uwierzyła, że wszystko, co tu piszę, jest prawdą. Wiem, że proszę o bardzo wiele, zważywszy na okoliczności. Bez przerwy się zastanawiam, co sobie musiałaś o mnie pomyśleć po tym telefonie od Laurence'a... Na pewno nic mi-

łego. Mogę tylko powiedzieć, że w mojej wersji również nie wypadam wspaniale. A jeśli dobrze odczytałem to, jak się wczoraj rozstaliśmy, jest całkiem prawdopodobne, że już Cię nigdy więcej nie zobaczę, po co więc kłamać?

Prawdą jest, że po części zaprosiłem Cię do teatru, ponieważ Laurence prosił mnie o pomoc w ponownym nawiązaniu kontaktu z Tobą. Wpadłaś mu w oko na tym szkolnym spotkaniu, co, jak sądzę, zauważyłaś. Ale sam również miałem ochotę na to wspólne wyjście, ponieważ lubię Twoje towarzystwo. Gdyby chodziło wyłącznie o przysługę dla Laurence'a, jak utrzymuje, po co ja bym się tam pojawiał? Słowo daję, aż tak mi nie zależy na tym, żeby Laurence miał się z kim przespać i poznać współczesny teatr.

Prawdą jest też, że Twoja siostra mnie nie zachwyciła. Przepraszam, wiem, że słuchanie negatywnych opinii na temat kogoś, kogo się kocha, nigdy nie sprawia przyjemności. Nie mówię, że jej nie lubię. Chodzi chyba o to, że tak ogromnie się od Ciebie różni, co mnie zaskoczyło. Bardzo za to polubiłem Twoją przyjaciółkę Michelle. Jakkolwiek arogancko to zabrzmiało, nie wydaje mi się, że zrobiłem coś wyjątkowo niestosownego, pozwalając sobie na nonszalancką uwagę.

Wolno mi mieć niepocholebne zdanie na temat innych ludzi, nawet jeśli są krewnymi znajomych.

Loz powtórzył Ci to wyłącznie w tym celu, żeby mnie pogrążyć, przy okazji raniąc Twoje uczucia – co, jak sądzę, więcej mówi o nim niż o mnie.

Co do mojego komentarza o Tobie na szkolnym zjeździe, to powiedziałem te słowa jedynie po to, by odwieść Laurence'a

od podrywania Cię. Myślałem, że przyszedł tam z kimś, i bałem się, że przez mojego kumpla wybuchnie awantura. To miała być pozbawiona głębszego znaczenia uwaga, którą chciałem go po prostu zniechęcić – zwykłe gadanie w męskim gronie, a nie przemy-

ślana opinia. Nie wiem, jak to naprawić, by nie popaść w odwrotną skrajność i nie wyjść na

buca. Owszem – zasadniczo nie jesteś „w moim typie”, ale też wiem, że kompletnie Cię to nie rusza i że w drugą stronę wygląda to identycznie.

Po przeczytaniu tego wszystkiego uświadomiłem sobie, że wypadam jeszcze gorzej, niż przypuszczałem. Mógłbym się rozwodzić nad tym, za jaką wspaniałą osobę Cię uważam i jak wspaniale się wczoraj zachowywałaś w stosunku do wszystkich. Zamiast tego jednak wytoczę najcięższe działa. Załączam zdjęcie wkurzonego Luthera w ubikacji. Jest tak strasznie kudłaty, że nie mieści się cały w kuwecie i kiedy się załatwia, głowa wystaje mu przez klapę w drzwiach. Baw się dobrze.

James x

Anna kliknęła, by otworzyć załącznik, i nie potrafiła powstrzymać się od parsknięcia śmiechem na widok pyszczka naburmuszonego Luthera, pozbawionego reszty ciała i patrzącego prosto w obiektyw tymi marmoladowymi oczami, z miną, jakby mu ktoś nadepnął na ogon.

Czytała wiadomość raz za razem, nie mogąc się zdecydować, co właściwie sądzi o tym człowieku. Z jednej strony poświęcił czas, by napisać jej to w gruncie rzeczy czarujące wyznanie (za co przyznała mu plusa), z drugiej zaś irytowało ją jego wrodzone poczucie wyższości. Tkwiło w nim tak głęboko, że nawet sobie nie uświadamiał, kiedy z niego wychodziło. No bo w sumie co ją to obchodzi, czy polubił Michelle? Nie szukała u niego aprobaty dla swoich znajomych i rodziny. Był taki zarozumiały.

A ten fragment o tym, że nie jest w jego typie? Niesamowite!
„Dzięki za informację, podaj mi moją ostateczną pozycję w rankingu, kiedy dokonasz pełnej oceny”. Najwyraźniej sądził, iż poczuła się

urazona tym, że nie została uznana za wystarczająco atrakcyjną. Nie przyszło mu

do głowy, że mogą ją po prostu drażnić mężczyźni, którzy wygłaszają tego rodzaju opinie o kobietach. Gwoli sprawiedliwości musiała jednak przyznać, że ludziom zdarza się mówić bez zastanowienia różne rzeczy, z których później woleliby się wycofać. Sama nie była tu wyjątkiem.

Długo analizowała jego słowa na wszystkie strony, aż w końcu zdecydowała się na odpowiedź.

Drogi Jamesie,

jestem skłonna przyjąć wszystko, co napisałeś, za prawdę, ale nie rozumiem jednego – je-

śli Laurence jest takim dupkiem i tak Cię potraktował, to dlaczego wciąż pozostaje Twoim najlepszym przyjacielem? Znasz go jeszcze ze szkoły? Pewnie był drużbą na Twoim weselu i tak dalej?

Anna

Odpisał w ciągu pięciu minut. Myśl, że James co chwilę sprawdzał skrzynkę pocztową, mile polechtała jej ego.

Dobre pytanie. I nie mam na nie dobrej odpowiedzi. Zapewne przydałaby mi się głębsza samoanaliza. Laurence jest fajnym kumplem do zabawy, ale potrafi się też zachować jak ostatnia szuja, i bynajmniej się z tym nie kryje.

Mógłbym się usprawiedliwiać tym, że znam go od tak dawna, bo w szkole, kiedy sobie znajdujemy przyjaciół, jesteśmy jeszcze niedojrzali umysłowo. Zanim się przekonamy, jaki ktoś jest, wiążemy się z nim na dobre. Napisałem, że „mógłbym się usprawiedliwiać”, ponieważ nie widzę Twojej twarzy i nie potrafię ocenić, jak bardzo się gniewasz ani

czy by mi to uszło na sucho...

Nawiasem mówiąc, Loz nie był moim družbą. Zaszczyt ten przypadł mojej siostrze Grace.

Jx

Anna odpisała natychmiast, zdając sobie sprawę, że w ten sposób de facto mu wybaczyła.

Być może sprawiło to jego dystansowanie się od wyborów dokonanych w szkole.

Masz siostrę? Naprawdę?

Ax

No nie, dodała całusa?! „Anno Alessi, wygląda na to, że w konfrontacji z facetem, który potrafi napisać ładnego mejla, jesteś gotowa poddać się walkowerem” – pomyślała. Zareagował niemal równie błyskawicznie.

Tak. I mam zdjęcia na dowód. Jest fotografem wojennym, w tej chwili w Mali. Mama okropnie się przez to denerwuje. W mojej rodzinie rozum, odwaga i talent przypadły Grace – bardzo to niesprawiedliwe. Ma dwadzieścia sześć lat, nikt jej nie podskoczy i ciągle ryzykuje, że zginie od zabłąkanej kuli albo na minie, podczas gdy ja zastanawiam się, jak skutecznie wypromować probiotyczne napoje jogurtowe.

Trochę mi przypomina Ciebie – i naprawdę nie mówię tego, żeby po jej plecach wygramolić się z szamba. Podobieństwo dostrzegam zwłaszcza w skłonności do nieowijania w bawełnę, kiedy robię z siebie kutafona. Fajnie byłoby, gdybyście się kiedyś poznały, mimo że dla mojej godności skutki tego byłyby katastrofalne. Grace na pewno by Cię bardzo polubiła.

Jx

„Oto James Fraser w pigułce” – pomyślała Anna. Gorące pragnienie tego, by poznała ko-goś mu bliskiego, owinięte w milczące założenie, że choć ją obraził, nastąpi jakieś „kiedyś”.

Dobrze, przeprosiny przyjęte. Nawiasem mówiąc, Laurence zabiera mnie na łyżwy. Właściwie nie spodziewałam się po nim czegoś takiego.

Ax

Tym razem na odpowiedź czekała aż pół godziny. Zastanawiała się, czy z powodu tego zaproszenia na łyżwy. Domyślała się, dlaczego nie był nim zachwycony – informacje, jakie do tej pory uzyskała od Laurence’a, nie stawiały Jamesa w dobrym świetle.

A czemu właściwie się zgodziła? Laurence zachowywał się cokolwiek podle. Ale w jego bezpośredniości było coś rozbijającego. Zadzwonił do niej w chwili, gdy wychodziła z damskiej ubikacji w All Star Lanes. Odebrała, a kiedy wspomniała, gdzie się znajduje, rzucił gwałtownie: – Jesteś z Jamesem na prawdziwej randce?

Wyjaśniła, że nie, na co usłyszała: „No dobra, nigdy wcześniej tego nie robiłem, ale muszę ci to powiedzieć. Nigdy nie spotkałem kogoś, kto by mnie tak momentalnie zauroczył jak ty

i kogo chciałbym lepiej poznać. Wyobrażam sobie, że przez to, co widziałas albo słyszałas o mnie, możesz nie mieć ochoty na umawianie się ze mną, ale ja bardzo bym się chciał z tobą spotkać. Więc zamiast ściemniać i kombinować, postanowiłem zagrać w otwarte karty i po prostu prosić cię o wspólnie spędzony wieczór. Żadnych zobowiązań, żadnej presji. Jeśli odmówisz, obiecuję, że nie będę nalegał”.

Sama była zaskoczona tym, że trudno jej odrzucić tak złożoną propozycję. A kiedy się zastanawiała, co powiedzieć, Laurence nagle dodał: „James pomógł mi, bo wie, że szaleję za tobą, dlatego nie jestem pewien, jak mam interpretować dzisiejszy wieczór. On czasem bywa dwulico-wy...”. Zaintrygowana Anna spytała, co konkretnie ma na

myśli. I tak zaczęła poznawać nieprzyjemne rewelacje.

Słuchała tej gładkiej gadki akwizytora, przyglądając się Lexie, która siedziała bezwładnie pod ścianą i wpatrywała się w Jamesa wzrokiem kobiety zakochanej na zabój i absolutnie tego nieskrywającej. Wcześniej dużo opowiadała Annie, jaki to jest niesamowicie uprzejmy i uczciwy w pracy. Tak się w nim zadurzyła, że jej peanów na jego cześć nie sposób było nie traktować z przymrużeniem oka. Annie przemknęło przez myśl, że owa uczciwość Jamesa jakoś nie obejmuje prawdy o jego statusie uczuciowym.

Kiedy James pomagał jej rzucać kulą, doświadczyła czegoś dziwnego, o czym nie zamierzała nikomu wspominać. Wpadł na nią, ich ciała na chwilę się zetknęły i poczuła... że jest jej bardzo przyjemnie. Prawdę mówiąc, wciąż odtwarzała w myślach to doznanie, wyobrażając sobie, jak ją trzyma w ramionach. O Boże, była bardziej samotna, niż chciała przyznać. Jeszcze trochę i będzie się zachowywać jak facet w więzieniu, który pozuje na macho, daje sobie wytatuować pantery, a potem w desperacji zaczyna się ocierać o innych więźniów.

Laurence i James. Który z nich dwóch zachował się gorzej podczas „Twoich przebojów”?

James. To on zwabił ją na scenę. A czy Michelle nie powiedziała jej – ba, nawet sam James tak uważał – że marnuje czas, umawiając się przez internet tylko z bezpiecznymi, ale nudnymi face-tami?

Dlatego odparła:

– No dobra, Laurence. Czemu nie?

Naprawdę się wybierasz na tę randkę z Lozem? O rany. Czekam na wiadomość, jak Ci

z nim poszło. Chyba że będziesz musiała opowiedzieć całą historię w sądzie, za pośrednictwem łącza wideo, rekonstruując wydarzenia z użyciem lalek. (Przepraszam. W każdym razie nie pij niczego, co miałoby dziwny kredowy smak).

Rozdział 44

W poniedziałek rano James powoli zbierał się do pracy i właśnie pisał mejla do siostry, gdy aż drgnął w poczuciu winy, kiedy nagle zorientował się, że ktoś stoi tuż przy jego ramieniu.

To tylko Lexie, uff. W piątek nieźle się nawaliła, biedactwo, tak bardzo, że wciąż miała podkrążone oczy i nienaturalnie bladą skórę. Oczywiście nie można było wykluczyć, że przez weekend też balangowała – a brakowało jej w tym doświadczenia Jamesa. Wyobraził ją sobie, jak zostaje na noc u niego w domu. Lexie była typem dziewczyny kojarzącej się z różowym winem Blossom Hill, czekoladowymi truflami i futrzanymi kapciami w kształcie pazurzastych stóp po-twora.

– Podziękujesz Annie za odwiezienie mnie do domu? – spytała. – Strasznie mi głupio.

– Jasne, spoko. Każdemu z nas się zdarzyło nagrzmocić, kiedy szef stawia, nie przejmuj się.

– Zepsułam ci wieczór?

– To znaczy?

– No wiesz...

Dureń. Przecież Anna pojechała z nią do domu sama. Założył, że Lexie urwał się film, ale najwyraźniej tyle pamiętała. Cholera...

– Nie, nic się nie stało, naprawdę – zaczął ją pospiesznie zapewniać. – W sobotę rano pewnie byłaś trochę sponiewierana?

– Coś koszmarnego. Kręciło mi się w głowie jak w *Egzorcystcie*. Porzygałam się jeszcze w kręgielni. Anna była taka miła. Zamierzałam zostać dłużej, ale usłyszała mnie w kiblu i powiedziała mi coś takiego: „Wiem, że masz ochotę dalej się bawić, ale uwierz mi, jeśli teraz poje-dziesz do domu, nie będziesz miała czego żałować. Inaczej zaliczysz taką przerwę w życiorysie, że nie będziesz pamiętać, co mówiłaś ani co robiłaś, a to jest najgorsze”. Zachowała się jak najlepsza kumpela.

Tak, u Lexie na pewno stało białe łóżko z narożnymi słupkami przykryte kwiecistą narzu-tą z Etsy i kwiaty w staromodnych konewkach, a na półce wszystkie sezony *Czystej krwi* w wy-daniu dla kolekcjonerów.

– Cieszę się. Anna rzeczywiście jest bardzo troskliwa. Przekażę jej. Gogusiowaty Charles, który przysłuchiwał się ich rozmowie, odwrócił się na krześle.

– Jeśli wolno mi się wtrącić, trafił ci się naprawdę ktoś wyjątkowy. Nie miałem okazji poznać bliżej twojej byłej żony, za to Anna jest bardzo... przystępna. Urocza dziewczyna. Opowiadała mi o pracy, musi być nieźle oblatana w swojej dziedzinie.

– Tak. – Lexie przytaknęła z bolesną miną. – Anna jest bardzo sympatyczna.

– Nigdy nie rozumiałam, jak się dogadujesz z Evą – odezwała się Christabel z Niemiec, która w agencji zajmowała się księgowością i czasami opowiadała o swoim życiu seksualnym z takimi szczegółami i tak absolutnym brakiem poczucia wstydu, że Jamesowi robiło się gorąco. – Mnie przypominała choćby kłólową lodu. Przy niej zawsze się wydawałaś bardziej poważ-

ny, nie jak ten dowcipny James, którego znamy.

Jamesa uderzyło, że w ich przekonaniu „prawdziwym” Jamesem był ten w pracy, a nie ten, którego widywali w towarzystwie żony.

– Zrobiłeś upgrade do wersji 2.0 – skomentował Parker. – Usunąłeś usterki. Poprawiłeś funkcjonalność.

Parker nigdy nie pragnął, by go uważano za przygłupa, niemniej często odnosił na tym polu spore sukcesy.

James skrzywił się. Dziwne. Zawsze sądził, że ponieważ Eva wygląda szalowo, robi na

wszystkich wielkie wrażenie. Nie przyszło mu do głowy, że mogliby zwracać uwagę na to, czy jest „sympatyczna”. To go trochę zawstydziło, jakby został upomniany. Uważał ludzi z Parlez za

banalnych, a oni nagle udowodnili mu, jak płytki jest on sam. Nie uświadamiał sobie tych umysłowych mielizn.

– Tak, dobrze zrobiłeś, że się pozbyłeś tej ostatniej – stwierdził Harris, skwapliwie wykorzystując okazję do powiedzenia czegoś niemiłego, bo określenie „ta ostatnia” trudno nazwać taktownym w stosunku do kobiety, którą jego rozmówca nie tak dawno uznał za godną poślubienia. James pomyślał, że nawet gdyby chodził w żałobie, Harris nie powstrzymałby się od uwag.

„Nie straciłeś krewnego, tylko wyrzuciłeś stare wizytówki”.

Inni zaczęli przytakiwać jednym głosem. Również ich zdaniem jego związek z Evą był

znacznie mniej udany niż ten rzekomy z Anną, co wprawilo Jamesa w pewne zakłopotanie. Więc dlatego, że skutecznie ich okłamał, wszyscy zdecydowali się mu powiedzieć, co naprawdę sądzą o żonie, którą wciąż kochał? A gdyby kiedyś do niego wróciła, czy te wyznania nie postawią ich w niezręcznej sytuacji?

Odwrócił się do swojego ekranu, spojrział tępo na dowcipnego mejla do Grace i kliknął

„Zapisz jako szkic”. Nie czuł się już tak pewny siebie. Jak brzmiała ta maksyma? „Kłamstwo nie popłaca”.

Na pewno? Przyszła wiadomość od Laurence’a. James nie miał w tej chwili sił ani ochoty, by zmierzyć się z nim twarzą w twarz czy choćby na czacie, ograniczył się więc do wysłania mu mało błyskotliwego mejla, w którym nazwał go kutasem za to, co powiedział Annie.

W tym incydencie było coś niepokojącego. Wiedział, że kiedy Laurence się napali na ja-kąś kobietę, potrafi być bezwzględny sukinsynem, on jednak na ogół nie doświadczał tego na

własnej skórze. „Może dlatego, że nigdy dotąd mu nie stanęłaś na drodze” – podszeptał jakiś głos.

Jamesowi przypomniało się, jak obaj zaśmiewali się z historycznych wiadomości nagrywanych na poczcie głosowej przez jakąś odtrąconą dziewczynę i jak krył Laurence’a, gdy ten dawał dyla wyjściem przeciwpożarowym.

W miłości, na wojnie i w kręglach wszystkie chwytysą dozwolone, Jimmy! A poważnie mówiąc, przepraszam. Wydawało mi się, że masz ją gdzieś, w przeciwnym razie byłbym bardziej dyskretny. Zaczęła się o Ciebie wypytywać, a ja nawijałem bez zastanowienia. Strasznie Cię przepraszam. Jeśli chcesz mi się zrewanżować, napisz na LinkedIn, że świetnie robię laskę facetom w kiblach albo coś w tym stylu.

Tak czy owak, w końcu udało mi się z nią umówić. Właśnie

odkurzam mój najlepszy garnitur Ciro Citterio i pryskam się „Domniemaną Zgodą” od Seana Johna...

Loz

Rozdział 45

Anna nie miała drygu do żadnego sportu i niemal żadnej formy aktywności fizycznej poza spacerowaniem, mimo to całkiem nieźle radziła sobie na łyżwach. W dzieciństwie tata zabierał ją na pobliskie lodowisko, dzięki czemu mógł się wymigać od zakupów z żoną i młodszą córką.

Siadał i czytał książkę, a przy każdym okrążeniu machał Annie ręką, by widziała, że czuwa. Cała sztuka jeżdżenia na łyżwach polegała na uwierzeniu, że to możliwe, i wykonywaniu płynnych, eleganckich ruchów nogami. Amator nie musiał nawet odznaczać się szczególną gibkością; wystarczyło, że umiał zachować równowagę.

Kiedy razem z Laurence'em wypożyczyli łyżwy w budynku przylegającym do Somerset House, zasnurowali je najmocniej, jak się dało, i dokuśtykali do lodowiska, chwając się jak nowo narodzone źrebięta, Anna spodziewała się, że jej towarzysz zaraz zacznie wykręcać ósemki, rozpędzać się i gwałtownie hamować, tryskając spod łyżew lodowym pyłem.

Tymczasem Laurence wydawał się autentycznie przerażony, a wysoko umieszczony środek ciężkości nadawał jego ruchom wyjątkową niezgrabność. Przez większość czasu tylko trzymał się kurczowo poręczy z zaciętą miną. Anna zastanawiała się, czy wie, że ta nieporadność dodaje mu uroku, czy raczej na etapie planowania zwyczajnie przecenił swoje umiejętności. Nigdy jeszcze nie widziała go tak niepewnego siebie i nigdy nie wyglądał sympatyczniej. Kiedy jej pomachał, wykonała kilka samotnych okrążeń.

Za trzecim razem Laurence, który z najwyższym trudem poruszał się powoli za chmarą młodzieńskich uczennic z plecakami Hello Kitty, zawołał:

- Mogłaś mnie uprzedzić, że tak dobrze jeździsz.
- Cha, cha, wcale dobrze nie jeżdżę! Nie robiłam tego od lat.

Trzeba uwierzyć w siebie i to wszystko.

– Należysz do tych ludzi, co to wszystko świetnie potrafią, nawet chodzić po wodzie, prawda? A w każdym razie śmigać po niej, kiedy zamarznie.

– Słowo honoru, że nie.

Anna poprawiła na brodzie ciężki czarny szalik domowej roboty (jedną z niewielu części garderoby pochodzących z pracowni Judy Alessi, jakie wciąż nosiła) i poczuła dziewczęcą radość z komplementu, jakkolwiek nietrafionego. Chwila. Czyżby dobrze się bawiła na randce? Niesamowite. Z Laurence'em? Jeszcze bardziej niesamowite. Z facetem, którego James nazwał mendą w garniturze od Hugo Bossa. Czy istnieje jakakolwiek szansa, by coś się między nimi zawiązało, choćby krótki romans?

Tupet Laurence'a niespecjalnie ją zachwycił, ale przypuszczała, że kobietom, którym pasuje taki styl, bardzo się podoba jako mężczyzna. Kiedy nie jeździł na łyżwach, emanował wrodzoną zblazowaną pewnością siebie kogoś, kto doskonale się czuje we własnej skórze – pewno-

ścią siebie, której częśćkę inni chętnie by od niego przejęli poprzez samo przebywanie z nim.

A jego wyrazista, asymetryczna twarz na swój sposób wydawała się bardziej atrakcyjna, niż gdyby była doskonale piękna. Anna już wcześniej zauważyła, że to, do czego trzeba się trochę dłużej przekonywać, dłużej się też podoba.

– Chcesz się mnie przytrzymać? – spytała, ciekawa, jak na tę propozycję zareaguje jego męskość typu alfa.

– Nie przewrócę cię?

– Zaryzykuję.

Laurence ostrożnie wsunął jej rękę pod ramię i puścił poręcz. Nie tyle jeździł na łyżwach, ile raczej usiłował w nich chodzić po lodzie. Anna czuła w łokciu jego ciężar.

– Odpychaj się – pokazała mu, jak ma to robić. – Myśl, że się nie będziesz chwiać, to się przestaniesz chwiać.

Laurence spróbował wykonać nieco bardziej płynny ruch.

– Widzisz! – zawołała, wyciągając go na środek lodowiska sprzed

nadjeżdżającej groma-dy uczennic. Oddalenie od poręczy, która dawała poczucie bezpieczeństwa, źle podziałało na

Laurence'a i Anna jeszcze bardziej poczuła uwieszony na niej ciężar.

– Dobrze ci idzie – uspokoiła go. – Spróbuj się ślizgać...

– „Spróbuj się ślizgać”, jakby wystarczyło powiedzieć – burknął z udawaną irytacją.

– Ale to prawda. – Anna roześmiała się. – Byłoby dużo gorzej, gdybyś próbował jeździć jak na nartach.

Po kilku chwilach myślała już, że zaczyna łapać, o co chodzi, gdy nagle poczuła mocne szarpnięcie za ramię.

– Zaczekaj! Nie mogę... AAAAAAA! – Laurence zakołysał się nagle kilka razy do przodu i tyłu, zaczął śmiesznie przebierać nogami w miejscu, a potem wywalił się na lód, pociągając za sobą Annę.

Wylądowała na tyłku, natomiast on rozłożył się jak długi, budząc popłoch w grupce starszych japońskich turystów, którzy, gdy tylko otrząsnęli się ze strachu, zaczęli mu robić zdjęcia.

Anna przysunęła się w jego stronę.

– Nic ci się nie stało? Laurence! Walnąłeś się w głowę?

Nadal leżał na lodzie i z tej pozycji patrzył na nią.

– Czy ja umarłem? Jestem w niebie?

Uspokojona już, ale wciąż nabuzowana adrenaliną, Anna dostała napadu histerycznego

śmiechu. Powinna była wiedzieć, że Laurence nie tak łatwo traci panowanie nad sobą.

– Z tego, co słyszałam, do nieba nie trafisz – wykrztusiła.

– Jesteś pewna? Bo wyglądasz jak anioł.

– Mógłbyś choć na chwilę przestać bajerować?

Laurence podciągnął się i z grymasem na twarzy próbował stanąć.

– Umówmy się, że jak na pierwszą lekcję jazdy na łyżwach tyle wystarczy – zasugerowa-

ła Anna, przytrzymując go za rękę. Na szczęście w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby mu przejechać po palcach wyciągniętych dłoni.

– Bogu niech będą dzięki.

– Czemu zaproponowałeś łyżwy, jeśli nie umiesz jeździć?

– Myślałem, że to będzie niezapomniane przeżycie – odparł Laurence. – Co za szalony pomysł, żeby przyczepiać sobie noże do stóp?

Zapadł wieczór i lodowisko wydawało się teraz bardziej odpowiednim miejscem na randkę. Gigantyczna, obsypana światełkami choinka, niebiesko-zielona poświata lodu i gustownie oświetlony majestatyczny budynek sprawiały, że Anna poczuła się jak w romantycznej komedii, w której nie zabrakło nawet slapstickowego gagu. Kiedy usiedli w jednym z boksów z widokiem na łyżwiarzy, zimne powietrze w połączeniu z gorącym jabłecznikiem podziałało jak balsam na

duszę. Gdyby się miała zakochać, to warunki temu sprzyjały.

Szkoda, że była z kimś, kto starał się ją zabawić dopracowanymi w każdym detalu aneg-dotami, od czasu do czasu urozmaicając je wzmiankami o swoich sukcesach zawodowych i starannie pomijając wszelkie inne kobiety. W końcu Annę zaczęło to nużyć. Nie miała ochoty być publicznością, chciała pogadać jak równy z równym.

– Laurence – powiedziała łagodnie. – Nie musisz przede mną grać kogoś, kogo twoim

zdaniem chciałabym poznać. Wolałabym spędzić czas z tobą. Zapomnij na chwilę, że jestem kobietą.

– To nie takie proste – odparł, puszczając do niej oko. – Znów to robię, prawda? – Roze-

śmiali się oboje. – Masz rację, trochę przesadzam, kiedy się denerwuję.

– Akurat się denerwujesz. – Anna z powątpiewaniem uniosła brwi. Na moment zapadła cisza.

– Ten żart o tym, że nie pójdę do nieba, wziął się, jak sędzę, z opowieści Jamesa Frasera? – spytał Laurence.

– I z moich własnych obserwacji.

– Z Jamesem nie zawsze łatwo się kumplować.

– Daj spokój, nie chce mi się już rozstrzygać, który z was jest gorszy. – Anna przewróciła oczami.

– Nie chodzi mi o to, co on robi, ale o to, jaki jest. Kobiety lecą na niego. W szkole było to samo.

Anna usiadła wygodniej i dopiła drinka.

– Czasem przebywanie w towarzystwie takiego supermana w przebraniu bywa torturą dla własnej próżności. Nikt cię nie zauważa, a jeśli nawet do ciebie zagada, to co najwyżej z grzeczności. Może dlatego wszedłem w rolę jego najlepszego przyjaciela – żeby to sobie jakoś zrekom-pensować. Wiesz, o co mi chodzi? Myślisz sobie, no dobra, nie mogę być tym, więc będę musiał

być tamtym.

– Tak, wiem.

– Jeszcze raz to samo? – spytał, zerkając na jej pustą szklanę.

Anna skinęła głową. Kiedy Laurence poszedł do baru, dostała esemesa.

I jak było? Jx

Jeszcze się nie skończyło. W sumie jest fajnie. Myślę, że Laurence jest ciekawszy, niż są-

dzisz... Ax

NO NIE! Dałaś się nabrać na numer pt. „Naprawdę jestem zupełnie inny”? To nie jest nawet trzeci poziom ściemy. A miałem Cię za inteligentną itd. Umówisz się z nim znowu? Jx Gdyby Anna nie wiedziała, że to pod każdym względem niemożliwe, pomyślałaby, że James sprawia wrażenie odrobinę zazdrosnego.

Niewykluczone. Ax

No to pięknie. Musimy pójść na drinka, żebym Ci przemówił do rozsądku. Nieważne, czy masz ochotę. Nie mogę na to spokojnie patrzeć. Musimy koniecznie pogadać o Laurensie. Jx Laurence wrócił z drinkami i postawił je na stole.

Po pierwszym łyku Anna spytała:

– Pewnie na te opowieści poderwałeś mnóstwo kobiet?

Uśmiechnął się.

– Bez przesady, żadne mnóstwo. I dotąd nie spotkałem nikogo wyjątkowego, bo inaczej by mnie tu nie było.

– Patrz, jakie to zabawne – powiedziała Anna. – Gdybym była mężczyzną, przechwalał-

byś się setkami. Ale ponieważ jestem kobietą, uważasz, że wolę usłyszeć jakieś: „Skarbie, one nic dla mnie nie znaczą”.

Laurence uśmiechnął się jeszcze szerzej i podrapał się w oko.

– A nie jest tak?

Wzruszyła ramionami.

– Jeśli tego nie żałujesz, to po co się z tym czaić? Mówiłam ci: bądź sobą.

– Dlatego, że to wywołuje określone podejrzenia. O cynizm albo o nieliczenie się z cudzymi uczuciami.

Sama go podejrzewała o jedno i drugie. Zastanawiała się, czy powinna z góry zakładać, z kim chce, a z kim nie chce się umawiać na randki. Powiedziała Laurence’owi, że jego reputacja jej nie przeszkadza, ale to nie do końca była prawda. Czy postępuje wobec niego uczciwie?

– Teoretyzując i generalizując, przypuszczam, że jeśli ktoś traktował ludzi jak przedmioty jednorazowego użytku, łatwiej dojść do wniosku, że i ciebie tak potraktuje – stwierdziła ostrożnie.

– Hmm. Ja to widzę tak, że jeżeli człowiek jest głodny, to idzie do knajpy. Jeśli coś wygląda na fajne, to pewnie się takie okaże. Zawsze się kierowałem prostymi motywami i tak też postępowałem. Ale prędzej czy później przyklepią ci łatkę kobieciarza albo erotomana, czy co tam wymyślą, a przecież ludzie są tylko ludźmi.

Annie przyszło do głowy, że może jest z nią po prostu uczciwy, a ona go osądza. I zaraz potem następna myśl: czy nie dokładnie tak postępuje rasowy uwodziciel? Zbija cię z tropu moralnym relatywizmem, do którego dokłada trochę kąśliwych uwag pod własnym adresem, spryskując wszystko dobrą wodą kolońską i podlewając ciepłym alkoholem? Zanim się zorientujesz, co jest grane, już leżysz bez majtek.

– Przypuszczam, że też bym nie chciała, żeby mnie osądzano

za wybory, jakich dokonuję – rzekła.

– A na czym one polegają?

– Głównie na beznadziejnym czekaniu na kogoś, kto byłby dla mnie ważny.

– To tak jak ze mną. Tyle że ja to robię intensywniej.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Laurence popijał drinka i patrzył jej w oczy. Anna zastanawiała się, czy rzeczywiście jest w tym aż tak dobry z powodu lat praktyki.

– Popatrz na to – zawołała, zadowolona z pretekstu, by odwrócić wzrok, wskazując na

dwie dwudziestoparolatki o długich włosach i w nieskazitelnie białych łyżwach, śmigające po lodzie. Jechały przekładanką do tyłu, zerkając przez ramię. Robiły to tak szybko i z taką wprawą wymijały pozostałych ludzi na lodowisku, że zdawały się tańczyć między nimi. – Myślałeś, że ja

dobrze jeżdżę. One to dopiero są świetne.

– Jesteś bardzo skromna jak na kogoś, kto ma tyle powodów, by nie być skromnym. –

Laurence ledwo zerknął w tamtym kierunku. Anna miała wrażenie, jakby realizował podręczni-kową radę „daj jej do zrozumienia, że jest jedyną kobietą w pokoju”.

– O Boże, przestań.

– Widzisz? Bronisz się przed komplementami.

– Jeśli wierzysz, kiedy cię chwala, musisz też poważnie podchodzić do tego, jak cię krytykują.

– To ci tylko dodaje uroku, uwierz mi. Mało która piękna kobieta nie popada w zarożu-mialstwo. Albo w jakąś ciężką nerwicę.

„Wspomnij wprost, że jest piękna. Ale podkreśl, że prócz tego ma znacznie więcej zalet”.

James miał rację, Laurence powinien napisać własną wersję *Gry*.

Anna pokręciła głową.

– Z pewnością nie trzeba być pięknym, żeby zapaść na nerwicę.

– Ha! Skąd możesz wiedzieć?

Skąd? Zaczęła sobie zdawać sprawę, że z nim się nie da normalnie

porozmawiać; on inaczej nie potrafił. Każde zdanie było przećwiczone, każde spojrzenie starannie wyważone.

I tak oto zakończył się Eksperyment Laurence. To nie był facet dla niej. Pomyślała, że dla pewnego typu mężczyzn kobieta zawsze będzie stanowić zdobycz. A kiedy dostaną ją w swoje ręce, obedną ze skóry i... hm, zjedzą... Nie, to chyba nie jest najlepsza analogia. Kiedy dopną swego, nudzą się i znów muszą ruszać na polowanie. On jej nie chciał poznać, chciał ją zaciągnąć do łóżka. Próby dotarcia do prawdziwego Laurence'a nie miały sensu; wątpiła zresztą, czy gdyby nawet tego dokonała, spodobałby się jej.

– No to jak się mają łyżwy do kręgli? – spytał.

– Trudno porównywać, biorąc pod uwagę, że w kręgle gram beznadziejnie, a na łyżwach jako tako sobie radzę.

– Chodziło mi raczej o randki – wyjaśnił.

– Co? – zdziwiła się. – Kręgle to nie była randka.

– Wiem, ale... zrób mi tę przyjemność.

OceńSwojąRandkę-kropka-com.

– Co jest z wami obu nie tak?

Annie przypomniał się nagle James i Laurence podczas „Twoich przebojów”, jak stali za

kulisami i cieszyli się, że udało im się ją tak potwornie upokorzyć. Teraz znów się zabawiali i znów to ona stała się przedmiotem tej zabawy. Po raz kolejny też uczestniczyła w niej dobro-wolnie, z naiwności. Mgła opadła i Anna poczuła się odrobinę zde gustowana własnym zachowa-niem.

– Urządziliście sobie jakiś konkurs, założyliście się o coś?

To dlatego odstawiłeś ten cały spektakl z błaganiem mnie o umówienie się z tobą?

– No co ty, Anno? Tego o kręglach nie mówiłem serio. Żartowałem tylko...

– Dzięki za drinki. Mam nadzieję, że jutro nie będziesz miał za wielu siniaków na tyłku. –

Wstała, zamierzając wyjść. – Ani na swoim ego.

Pomimo gorących protestów Laurence'a, który zarzekał się, że źle rozumiała jego niewinną uwagę, Anna pozostała nieugięta.

- Laurence, twoja księżniczka znajduje się w innym zamku.
- Co chcesz przez to powiedzieć?

Zawahała się.

- Nie wiem. Tak mówi mój kolega z pracy, Patrick.

Rozdział 46

James Fraser nie od razu spełnił groźbę zwymyślenia jej za Laurence'a. Było jasne, że dowiedział się o jego porażce, i temat stał się nieaktualny. „Płakać za wami nie będę”, pomyślała Anna. Dopiero tydzień później, kiedy wróciła z wykładu dla pogrążonego w katatonii drugiego roku, na ekranie zobaczyła mejla od Jamesa. Sama przed sobą nie chciała przyznać, że na ten widok poczuła przyjemny delikatny dreszczyk.

Co tam słyhać w sprawie naszego spotkania? Nie uciekaj, bo i tak się nie schowasz.

Mam swoich ludzi wszędzie. Nie cytuj tego bez kontekstu. Jx

Miała już dość spełniania ich zachcianek. Ustawiła fazery w pozycji Potrójny Jad i wypaliła salwą:

Znowu mam wysłuchiwać, jak jeden z was tłumaczy mi, dlaczego jest lepszy od tego drugiego, choć moim zdaniem niczym się właściwie nie różnicie? Nie, dziękuję. Wolę spędzić wieczór na przepychaniu kibla. Ax To wystarczy, pomyślała z ponurą satysfakcją. Czyż James nie oczekuje od kobiet, że będą mu padały do stóp? Niech się jej zrewanżuje jakąś obcesową uwagą, niech się na nią wścieknie. Jej to nie ruszy, bo nie zamierza mu sprawiać przyjemności.

*Ooooo! * Aż się zatrzęsała ze świętego oburzenia * No to współczuję, Panno Smutaśna –*

zgadnij, kto dostał na wyłączność jeszcze ciepłą kopię programu Tima McGoverna o Teodorze z relacją z pewnej wystawy? I zamierzał Ci zaproponować prywatny pokaz? I zapewnić alkohol?

TAK. Założę się, że zaraz przestaniesz być taka nieuprzejma w stosunku do mnie, ty potworze. Jx PS Na zapchany kibel najlepszy jest płyn w pomarańczowej butelce od Wilkinsona. Przelatuje jak Laurence przez drużynę siatkarek.

Anna parsknęła śmiechem. Bawiąc się długopisem, przeczytała wiadomość po raz drugi i znów zachichotała. Wahala się, jak zareagować. James, z tą swoją beztroską pewnością siebie, postanowił, że zostaną przyjaciółmi. Kusilo ją, żeby się zgodzić. Będzie miło. Poza tym cholernie chciała obejrzeć ten program.

– Jestem aroganckim, starzejącym się idiotą, któremu się wydawało, że nie potrzebuje aż tyle czasu na przebiegnięcie całej trasy. Strasznie cię przepraszam. – James powitał ją w progu w koszulce z wielką plamą potu w kształcie litery „V”.

Anna mruknęła uprzejmie, że nic się nie stało. Ucieszyła się wręcz, że od razu mieli temat do rozmowy. Wyglądało na to, że oficjalnie przekroczyli granicę między obowiązkiem a niezobowiązującą przyjaźnią. Randka z Laurence’em była jednorazowym układem; tu nie istniały żadne określone zasady.

– Nie obraziłabyś się, gdybym pobiegł na górę i wziął bardzo szybki prysznic? – James potarł policzek rękawem granatowej koszulki. Twarz lśniła mu z wysiłku, a włosy błyszczały od

potu. Anna pomyślała, że dla Lexie takie połączenie aparycji filmowego „człowieka ze stali”

z zapachem świeżego męskiego potu mogłoby oznaczać omdlenie z wrażenia.

– Jasne, że nie – odparła, zsuwając kurtkę z pleców, gdy szła za nim do salonu, gdzie obok różowej sofy położyła torebkę.

James przyniósł srebrną schładzarkę, nalał lampkę białego wina i podał Annie. Obok położył piloty do telewizora i DVD.

– Poszukaj, gdzie zaczyna gadać mój wielbiciel Tim. Ale poczekaj z oglądaniem, aż wrócę. Nie chcę przegapić nawet jednej błyskotki.

Anna uświadomiła sobie, że w towarzystwie Jamesa czuje się coraz bardziej swobodnie.

Nadal mu w gruncie rzeczy nie ufała, biorąc jednak pod uwagę lęk i niechęć, jakie początkowo w niej budził, zaczynała się przyzwyczajać do jego poczucia humoru. Nigdy nie miała brata, ale może to było właśnie coś takiego.

Sięgnęła po piloty i przez dłuższą chwilę próbowała uzyskać obraz na ekranie, jednak bez powodzenia. Do pokoju wsunął się Luther i beznamytnie przyglądał się intruzowi.

– Cześć, Luther! – przywitała się uprzejmie.

– Błaaaaaap! – usłyszała w odpowiedzi.

Podszedł do wyglądającej na bardzo drogą zielono-niebieskiej poduszki na podnóżku i podrapał ją wyciągniętą łapą. Wyprężył w stronę Anny puszystą kryzę na karku niczym przekor-ny bachor rzucający wyzwanie swojej opiekunce.

– Chyba nie powinieneś tego robić...

– Błuuuurrrrp! – Ściągnął poduszkę na podłogę i zaczął ją drapać z entuzjazmem dziecka rozrywającego opakowanie gwiazdkowego prezentu.

Anna wstała i próbowała mu wyrwać poduszkę z pazurów. Zareagował, wbijając je w nią jeszcze głębiej. Rozległ się paskudny dźwięk rozpruwanego materiału i Anna skapitulowała. Czy ten kot zawział się, by każdą jej wizytę przeobrazić w katastrofę? Robił to, co mu kazała jego pani? Luther przestał drapać.

– Dziękuję! – powiedziała Anna.

Kot usadowił się wygodnie na poduszce i zrobił identyczny grymas jak ten, który widzia-

ła na zdjęciu z kuwety.

– No nie! – zawołała. – James!

Próbowała wyszarpnąć poduszkę spod Luthera, ale ten znów wbił w nią pazury. Tym razem nie zamierzała pozwolić, by spadła na nią wina za to, że kot zapaskudził coś, co musiało kosztować fortunę. Poprzednio nie sprawdziła protokołu i wyciągnęła z tego nauczki.

Z piętra nie dobiegały żadne dźwięki. Anna pobiegła po schodach, wielkimi susami i gło-

śno, ponieważ drewno, z których wykonano stopnie, dudniło głucho, jakby zostały wydrążone w środku, a położona na nich wąska

mata z morskiej trawy nie tłumiała tupotu stóp.

– James? James! – Skoro już dotarła tak daleko, nie mogła się wycofać. Kiedy pokonała

kilka ostatnich stopni, usłyszała szum płynącej wody. W tym samym momencie jej oczy zarejestrowały zaskakujący widok w łazience na końcu podestu. James. W całości. A ściślej to wszystko, co mogła dojrzeć, gdy stał odwrócony do niej tyłem. Głowę miał całą w szamponie, którego strużki spływały mu po plecach jak w jakiejś żywej reklamie dietetycznej coca-coli.

Anna otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zdołała tylko zaskrzeczeć jak Luther. Pilna wiadomość od mózgu do dziwnie powolnych stóp: James zaraz się odwróci. Zauważy ją i jeśli będzie na niego patrzyła chwilę dłużej, zobaczy go kompletnie gołego i... o Boże, tak jest, już się odwracał... Annie mignął tylko kawałeczek różowej skóry i czarne włosy, gdy rzuciła się po schodach z powrotem na dół.

Co ona wyprawia? Przecież James był żonaty. O mało co nie zaczęła się gapić na penisa innej kobiety.

Wróciła na kanapę i sięgnęła po kieliszek, próbując ignorować wewnętrzny zamęt. Upiła łyk wina, bo zaschło jej w ustach. Musiała dokonać przegrupowania sił. Poraził ją bodziec wzrokowy. Nic wielkiego, tyle że był nieoczekiwany. Czekala, aż spadnie jej tętno i ustąpi uczucie, którego nie mogła nazwać inaczej jak pożądaniem. „Wyobraź sobie Borisa Johnsona²²⁾ w krzykliwych wąskich kąpielówkach, z włosami na piersiach wygolonymi w olbrzymie B”. Dobra, po-skutkowało. Uspokoila się. Sytuacja wracała do normy.

22) Boris Johnson – niezbyt urodziwy aktualny burmistrz Londynu.

– Człaaarpp! – zaskrzeczał Luther, staczając się z na szczęście wciąż czystej poduszki i wczolgując się Annie na kolana. Przez chwilę próbował się niezgrabnie na nich ułożyć, jak ar-tretyczny starzec, aż w końcu się uspokoił i zaczął głośno pochrapywać.

Anna wyciągnęła rękę i delikatnie pogładziła jego puchatą sierść.

– Pchiiiiii – wydał z siebie osobliwy odgłos zadowolenia.

Co za przedziwny dom. Połączany pałac godny pięknej złotowłosej królowej, która dopiero co abdykowała. Mężczyzna, który bierze

prysznic przy otwartych drzwiach i wprawia ją w erotyczne zakłopotanie. I jeszcze perski kot wydający dźwięki jak pierdząca poduszka ze sklepu ze śmiesznymi rzeczami albo te zabawne stworki ze *Star Treka*.

Wrócił James. Tyłek, który wywołał tyle zamieszania, zakrywały mu teraz dżinsy, a na górę włożył świeżą koszulkę. Białym ręcznikiem wycierał sobie właśnie umyte, wilgotne włosy.

– Wyobraź sobie, że nawet nie zamknąłem dobrze drzwi i same się otwały. Poczulem się jak jakiś stary zboczeniec z parku, czający się w długim płaszczu, żeby się przed tobą obnażyć.

Aaaaaaaa! Nie, nie, nie! Naprawdę o tym wspomniał?! Tego Anna kompletnie się nie spodziewała i w jednej chwili zrobiło jej się przeraźliwie gorąco. Mięiste cztery litery, których obraz ledwo zdołała odpędzić, znów zaatakowały z całą swą perwersyjną mocą. Ten zadek przyniósł jej upadek.

Rozdział 47

James zażartował sobie, ale mina osłupiałej Anny, zmiana koloru jej twarzy i otwarte usta, które nie były w stanie wymówić ani słowa, niedwuznacznie sugerowały, że na czymś ją przyłapał. Wiedział, że jest kobietą skromną i przyzwoitą, ale nie przypuszczał, iż może być równie wstydliva jak bohaterki Jane Austen i na samą wzmiankę o otwartych drzwiach łazienki zareaguje aż w taki sposób.

A jeżeli ona go widziała? Zadrzał, nagle zawstydzony i skrępowany, ale poczuł coś jeszcze. Najwyraźniej nie zamierzała mu nic mówić ani z niego kpić... Czyżby oglądanie go nagiego pod prysznicem było dla niej niezupełnie przykrym przeżyciem? Jeśli kręci go myśl, że mogło jej się podobać, to naprawdę zachowuje się jak stary, obleśny ekshibicjonista.

– Widzę, że Luther cię polubił – rzucił, by jakoś wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

– Na to wygląda. – Głos Anny zabrzmiał cokolwiek dziwnie. Cholera, muszą szybko znaleźć jakiś temat do rozmowy. James sięgnął po pozostawiony wcześniej kieliszek i napełnił go winem.

– Więc wyszłaś cało ze spotkania z Lozem?

– Jakbyś z nim o tym nie rozmawiał i nie wiedział.

– Powiedział mi tylko, że nie zdołał cię przekonać o swojej szczerości. Co mnie nie dziwi, biorąc pod uwagę, że nie był z tobą szczery, a ty jesteś inteligentna. – James usiadł na fotelu.

Nie ma mowy, by dołączył do Anny na sofie tuż po tym, jak niefrasobliwie pokazał jej wacka.

Miał tylko nadzieję, że nie wypiął przy tym brzucha. Nie był już przecież dwudziestodwulatkiem.

I choć nie sądził, że powinien się czegokolwiek wstydić w swoim ciele, ucieszyłby się, gdyby żaden z byłych facetów Anny nie został szczególnie hojnie wyposażony przez naturę.

– Nie był szczery? – Anna uśmiechnęła się.

– Szczerze chce cię przelecieć, tak jak szczerze chciał przelecieć wiele innych kobiet.

– Czy to ważne, ile ich przeleciał, jeżeli do mnie nie próbował się dobrać?

James odgarnął z oczu wilgotny kosmyk i uśmiechnął się kpiąco.

– No proszę. Wydaje ci się, że będziesz tą kobietą, która sprawi, że w końcu się ustatkuje?

– Nie! – zawołała Anna z taką gwałtownością, że aż wylała trochę wina na zupełnie tym nieporuszonego Luthera. – Laurence kompletnie mnie nie interesuje, chciałabym natomiast wiedzieć, czemu uważasz, że twój najlepszy kumpel stanowi tak fatalną partię. To nie jest rok pięćdziesiąty pierwszy.

– Rocznik nie ma tu nic do rzeczy. Nie kupujesz samochodu.

– Jasne. Chodzi mi o to... – zaczęła Anna, a Jamesowi wydawało się, że w jej paplaninie pobrzmiewa lekka nerwowość. – W sypianiu z mnóstwem partnerów chyba nie ma nic moralnie nagannego?

– Nie ma. W teorii. Ale ktoś, kto robi to na taką skalę jak Loz, z reguły jest też nałogo-wym kłamcą. Przynajmniej w przypadku mężczyzn. W praktyce raczej się nie da bzykać na prawo i lewo bez olewania cudzych uczuć i manipulowania ludźmi, żeby dostać to, czego się chce.

Prawda jest pierwszą ofiarą i tak dalej.

– Ale Laurence wcale się z tym chyba nie kryje?

– Do pewnego stopnia. – James pociągnął łyk wina. – Tak wygląda zaawansowane mę-

skie łganie w wykonaniu fachowca. Gość potwierdza, że owszem, ma to i owo za uszami, ale bez wdawania się w drastyczne szczegóły, które mogłyby cię odstraszyć. Wtedy ty dochodzisz do

wniosku, że ci się zwierzył z czegoś, czego nie powiedział żadnej innej kobiecie. Więc najwyraź-

niej musisz dla niego znaczyć coś więcej. Patrzy ci przy tym głęboko w oczy, jakby obiecywał, że tym razem będzie inaczej, i dawał do zrozumienia, że interesuje go w tobie coś więcej niż cia-

ło. W zasadzie cię nie okłamał. Tylko podszedł w taki sposób, żebyś sama pomyślała, jaki to

z niego uczciwy facet. Że po paru miesiącach erotycznych uniesień w ekskluzywnych hotelach w centrum, które wyszukiwał na lastminute.com, nagle nie przestanie odbierać twoich telefonów.

Że nie spotyka się z żadną inną i może oto właśnie zaczyna się wasza wielka miłość. Błąd, błąd i jeszcze co najmniej pół błędu na dokładkę. Jak każdy zręczny oszust, zdąży zrobić swoje i zniknąć, zanim się zorientujesz, kim jest naprawdę.

James miał nadzieję, że Anna nie pomyśli, iż uznał ją za frajerkę, która uwierzyła w szczerą intencję Laurence'a. Gdyby coś czuła do Loza, ten oczywiście potrafiłby to zręcznie rozegrać. Ale nie zasługiwał na nią, ponieważ nie widział w niej nic poza fizyczną atrakcyjno-

ścią. James nie zamierzał mu pozwolić wykorzystać wrodzonej przyzwoitości Anny. Kiedy dobrzy ludzie spotykają złych, nie wiedzą, jak się poruszać po tej obcej dla siebie krainie. James przynajmniej trochę ją poznał i jako tako orientował się w topografii.

– Odmalowałeś to bardzo sugestywnie.

– Metoda jest ponadczasowa. I oczywiście nie widzę nic złego w szybkim numerku z kimś takim – pod warunkiem że wiesz, na czym stoisz. Nie chciałem, żebyś się dała nabrać.

Swego czasu zdarzało mi się odbierać telefony od kobiet, które „nigdzie nie mogły znaleźć Laurence'a”. Tym razem nie zamierzałem siedzieć z boku i patrzeć w milczeniu na to, co się dzieje.

Annę zastanowiło to „tym razem”. Dlatego, że ją znał?

– Mówił, że ma uraz, bo całe życie pozostawał w twoim cieniu – powiedziała.

– Cha, cha, cha! Poważnie? Więc to moja wina! Biedny Laurence. Niesamowite. Już sobie wyobrażam tę scenę. „Czuję w środku potworny ból. To moja słabość i tajemnica, z której nikomu dotąd się nie zwierzyłem. Pogłaskaj mnie, Anno, żeby przestało boleć. Trochę niżej, o tak, teraz mi dobrze”.

Roześmiali się oboje, a James zaczął się bawić mankietem nogawki swoich džinsów.

– Mimo to jest twoim najlepszym przyjacielem – zauważyła Anna.

– Nie wiem, czy najlepszym. Najczęściej widywanym. W męskim gronie na ogół jest tak, że wygrywa największy sukinsyn. Ty ze swoich przyjaciółek na pewno możesz być dużo bardziej dumna. Są bardziej... osobliwe.

– Osobliwe? Nie przyjaźnię się z nimi z litości!

– Wiem!

Wino i dobre towarzystwo sprawiły, że Jamesowi zrobiło się ciepło w brzuchu.

– A moja siostra jest idiotką? – spytała Anna.

– Daj spokój, już za to przeprosiłem. I dodałem ją do obserwowanych znajomych na Twitterze.

– Czyż może istnieć wspanialszy dar? Trzej królowie przynieśli Jezuskowi złoto, kadzidło i mirrę i ślubowali, że będą czytać jego tweety.

James roześmiał się, naprawdę rozbawiony, czując, jak w brzuchu robi mu się jeszcze cieplej. Anna była dowcipna.

– Dlatego, że Aggy pracuje w pokrewnej branży.

– I zajmuje się mniej sensownymi rzeczami niż ty?

– Umówmy się: jej praca polega na organizowaniu imprez.

W profilu na Twitterze napisa-

ła, że „ogólnie lubi się bawić”. Po takiej deklaracji raczej trudno mnie do siebie przekonać, mimo to nie poddaję się. Jeśli się dowiem, że gustuje w The Hoosiers czy czymś w tym stylu, przyjmę to na klatę.

Anna przewróciła oczami i uśmiechnęła się, bynajmniej nie

rozgniewana.

– To może byśmy się wzięli do oglądania Tima? – zaproponowała.

Wcisnęła guziki zgodnie z instrukcjami Jamesa, ale na ekranie pojawiło się tylko śnieżenie. Wzdychając, że nie ma z niej żadnego pożytku, wziął od Anny pilota, by szybko przekonać się samemu, że odtwarzacz DVD najwyraźniej nie działa.

– Ten wypasiony supernowoczesny sprzęt niestety ma to do siebie, że jak się zepsuje pilot, nic nie zrobisz. – Postukał urządzeniem o oparcie kanapy. – Szajs.

– Mój szwagier ma chyba ten sam model. Tam jest taki przycisk...

– Anna przysunęła się po dywanie i usiadła na kolanach przed odtwarzaczem.

James przyglądał się jej spiętym z tyłu czarnobrazowym, jakby czekoladowym włosom i krótszym, jeszcze bardziej poskręcanym lokom na karku.

– Musisz z tego wyjść – powiedział z roztargnieniem. – Tu się ustawia język.

– Dzięki za informację. Próbowałam wybrać grecki, bo Teodora pochodziła z Cypru.

– Zepsuty. Przyznaję się do porażki. – Anna poddała się po dłuższej chwili bezowocnego wciskania przycisków palcem wskazującym i wymachiwania pilotem pod najróżniejszymi kątami.

– Moglibyśmy obejrzeć na laptopie, ale to nie będzie to samo. A może u ciebie? Masz telewizor i DVD?

– Mam nawet dwa plus odtwarzacz. Ogólnie lubię się bawić.

James zerknął na zegar.

– Mamy dość czasu, żeby wziąć taksówkę i pojechać do ciebie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Anna wyglądała na niezdecydowaną.

– Jeszcze nie przepchałaś kibla? – spytał James, robiąc dłońmi gest, jakby coś przesuwiał.

– Mój syfon cały czas był czysty, jak strona w pamiętniku.

Chciałam cię obrazić.

– Nie uwierzysz, ale tak też sobie pomyślałem.

Rozdział 48

Wino fatalnie wpływało na przytomność umysłu. Gdyby Anna nie wlewała go w siebie tak szybko, może by lepiej przemyślała tę decyzję. Podczas jazdy taksówką ogarniał ją coraz większy niepokój. Podejmowanie Jamesa Frasera w jej mieszkaniu nie było dobrym pomysłem w żadnych okolicznościach, a co dopiero w sytuacji, gdy mieli się tam zjawić prosto z jego luk-susowo urządzonego domu? Anna nie miała nawet możliwości posprzątać. Zresztą i sprzątanie niewiele by zmieniło – jej mieszkanko z założenia nie było przeznaczone do oglądania. Służyło do trzymania rzeczy, których potrzebowała i które kochała, poupychanych gdzie popadło. Było jak jej serce podane na talerzu. Czy może tam wpuścić Jamesa?

– Uprzedzam, mam straszny bałagan, nie to co w pałacach w Crouch End – wymówiła tę nazwę z udawanym arystokratycznym akcentem, wsuwając klucz w drzwi, na których łuszczyła się farba.

– Mieszkałem na studiach i później w takich chlewach, że niczym mnie nie zaszokujesz –

odparł James. – Chyba że też suszysz na kaloryferze sportowe ochraniacze na genitalia.

Mimo to aż nadto była świadoma, jak ciasny w porównaniu z holem w jego domu jest jej przedpokój, jak niski musi się wydawać sufit i jaką pstrokatą, przypadkową zbieraninę stanowią jej wszystkie meble.

– Przyjemnie tu – stwierdził uprzejmie James, kiedy już usadowiła go na wyblakłej od

słońca czerwonej rozkładanej kanapie i podała mu wino.

– Cha, cha, nie żartuj.

– Wcale nie żartuję! Masz bardzo przytulne mieszkanie.

W pokoju od frontu pod ścianami pokrytymi gruboziarnistym tynkiem stały tanie regały z czarnego lakierowanego drewna. Nad niedużym emaliowanym kominkiem z epoki wisiała oprawiona w ramkę reprodukcja oryginalnej okładki *Wielkiego Gatsby'ego* w stylu art déco.

Anna zapaliła umieszczone w kracie świece do podgrzewacza, mając nadzieję, że Jamesowi nie wyda się to zbyt sugestywne. Uznała, że w przygaszonym świetle wszystko będzie wyglądało lepiej.

– Jeśli znajdę kupca, niewykluczone, że się przeniosę do Stokey.

Przy jednej pensji nie stać mnie na dom w Crouch End – stwierdził James i przez chwilę wymieniali z grzeczności uwagi o zaletach różnych dzielnic Londynu.

Szybko stało się jasne, że oboje już się odrobinę zbyt mocno wstawili, by móc się skupić na oglądaniu historycznego filmu dokumentalnego. Mieszkanie Anny było może ciasnawe i nie tak szalowo urządzone jak dom Jamesa, ale za to bardziej kameralne.

Puściła *Rumours* Fleetwood Mac, po tym jak James wstał, obejrzał jej pojedynczy rząd kompaktów i nazwał je „kolekcją pogrążonej w depresji samotniczki w średnim wieku, która większość płyt dostała jako gratisy do niedzielnej prasy”. Anna pomyślała, że chyba powinno ją to urazić, ale w tych docinkach nie wyczuwała ani śladu złej woli. Kiedy James jej dogryzał albo śmiał się z jej ripost, była w tym wyłącznie autentyczna radość z nadawania na tych samych falach.

– Nie mogę sobie wyobrazić, jak nieprawdopodobnie pretensjonalna musi być twoja ko—

lekcja lansiarskich płyt – powiedziała.

– Już ich nie mam, wszystkie trafiły do magla razem z praniem.

Ulubiony kawałek? –

spytał, oglądając pudełko.

– *You Make Loving Fun*. Jest taki optymistyczny.

– Jest. Christine McVie romansuje w nim z oświeceniowcem, który ma wielkiego węża jak Burt Reynolds na zdjęciach w „Playgirl”. Gdybym miał zacząć wierzyć w cuda, akurat w ten bym nie uwierzył.

– Hmm. Dzięki, że mi go obrzydziłeś. – Anna usiadła z powrotem.

– Mogę? – spytał, biorąc się do przeglądania zawartości pozostałych półek, niczym gość na kolacji szukający tematu do nawiązania rozmowy.

– Nie mam nic, czego bym się wstydziła! – zawołała. – To znaczy, mam, ale za bardzo już jestem ululana, żeby się wstydzić.

– No nie, harlequiny? – Na półce na wysokości oczu James dostrzegł rząd cienkich szkarłatnych grzbietów.

– Uwielbiam je – odparła Anna. – I wcale ich nie uważam za grzeszną przyjemność.

– Bo to raczej grzeszna męczarnia – skwitował James.

Wolną ręką wyjął jedną z książek i obrócił ją w dłoni.

– *Oblubienica pana na włościach*. „Mógł ją zaciągnąć do łóżka, lecz nigdy nie zostałaaby jego żoną!”. Ufff! Ja cię pieprzę...

– To akurat są romanse historyczne. O pieprzeniu jest osobna seria, „Namiętność”, bardziej pikantna.

– Cha, cha. Nie rozumiem cię. Jesteś inteligentna i dowcipna. A to na pewno nie jest lite-ratura wysokich lotów.

– Za to bardzo śmieszna.

James zrobił sceptyczną minę. Odłożył na półkę *Oblubienicę pana na włościach*, postawił

kieliszek na kominku i sięgnął po inny tomik. Przekartkował go i zaczął czytać na głos.

– „Okrutne oczy lorda Haselmere wbijały się w drżące powaby Tary jak dwa rozpalone pogrzebacze”. Co to są „drżące powaby”? Kto to redaguje? „Udawała kokietkę, lecz była zaledwie czarodziejką! Pragnął ją porwać ze sobą niczym wiking unoszący zrabowane łupy. Lecz w tym wypadku łupem była kobieta – kobieta, której nigdy niestety nie zdoła uczynić swą żoną.

Nieważne. Musi postąpić, jak postąpiłby każdy prawdziwy mężczyzna, znalazłszy taki skarb. Do

diabła z rodzowym tytułem i ogromnym majątkiem, którego nie będzie komu odziedziczyć...”.

A jakże, bez ogromnego majątku się nie obejdzie. „Wciąż był mężczyzną, może już nie w sile wieku, lecz nadal jurnym”. W pierwszej chwili przeczytałem, że durnym. „Zdejmij bluzkę” – wycharczał...”. Cha, cha, cha. Jak można wycharzczyć coś takiego? Spróbuję jeszcze raz. „Zdejmij bluzkę!”.

James wychrypiał ten rozkaz gardłowym głosem zбочeńca. Anna śmiała się tak serdecznie, że aż w kącikach jej oczu pojawiły się łzy.

– No dobra, masz rację, to jest śmieszne – przyznał James. – Ale jak długo można opowiadać ciągle jeden i ten sam dowcip? Co kobiety widzą w tych romansach? Eva nigdy nie lubiła kwiatów, czekoladek ani niczego takiego, ale kiedy się jej zbliżał okres, namiętnie oglądała te upiorne filmy, w których jakiś facet o zachodzie słońca goni

autobus, żeby powiedzieć kobiecie, że dzięki niej odnalazł w sobie lepszego człowieka czy coś w tym stylu. Co was w tym kręci?

– To pytanie autentyczne czy retoryczne?

– Autentyczne. Chcę zrozumieć. Może będę ci mógł jakoś pomóc.

– Tylko się nie nabijaj... – Anna przysunęła sobie na kolana mocno uklepaną i poplamioną aksamitną poduszkę i przytuliła ją. – Chodzi o kulminację, wielkie uniesienie w finale – i daruj tu sobie głupie skojarzenia. To najważniejsza scena w romansie. W zwykłym życiu ludzie nigdy sobie nie wyznają, jak wielką namiętność czują do siebie. Odbierasz parę sygnałów, pijesz parę drinków, ładujesz w łóżku, rutyna. Podoba mi się, kiedy bohater mówi kobiecie to wszystko, co chciałaby usłyszeć, ale nigdy nie słyszy.

James skinął głową.

– „Przytul mnie, pada deszcz, nie możesz!”. Coś w tym rodzaju?

– Tak. To znaczy, coś, co ma sens. On musi jej powiedzieć, dlaczego jest dla niego tak wyjątkowa, a ona na koniec odkrywa, że jej gorące uczucia do niego zostały odwzajemnione.

Anna nie dodała, że to pragnienie brało się w niej zapewne z tego, iż kiedyś, przed laty, nikt nie chciał z nią nawet rozmawiać.

– Po tej przemowie porywa ją w swoje męskie ramiona, całuje i wiezie do zamku, gdzie następuje miły ciąg dalszy.

– Zdaje się, że zamek stanowi w tych fantazjach bardzo ważny element – zauważył James. – Wszystkie marzycie o miliardrze z kaloryferem na brzuchu. Nie widzę tu tytułów w rodzaju *Zakochana w żebraku*.

– Trzeci od prawej – wskazała półkę. – Zgadza się. I pewnie przez to chore uwarunkowanie płciowe nigdy nikogo nie spotkałam. – W jej głosie zadźwięczała nieco ponura nuta. – Mam zbyt wysokie oczekiwania.

– E tam. Nie spotkałaś nikogo odpowiedniego, ponieważ większość facetów to dupki. Nie chciałbym być kobietą albo gejem... To miała być deklaracja w duchu pełnego zrozumienia dla płci przeciwnej, ale chyba mi nie wyszła.

Oboje zanieśli się pijackim chichotem. Anna zastanawiała się, czy ma w lodówce coś do

jedzenia, co mogłaby zaproponować.

– Co to jest?

Z trzymanego w rękę harlequina James wyjął zakładkę, którą okazała się ulotka kliniki medycyny estetycznej. Wszelkie wątpliwości, czy nie znalazła się tam przez czysty przypadek, rozwiewała zapisana na niej ręką Anny data i godzina wizyty – skądinąd później odwołanej.

– Nie! Nie patrz na to – zawołała. Ale wtopa! Obciach nad obciachy! Powinna się zapaść pod ziemię ze wstydu, a mimo to czuła się zażenowana tylko w jednej czwartej, w trzech czwartych zaś rozbawiona komiczną żalosnością całej sytuacji. Swój udział miał w tym alkohol.

James wsunął ulotkę z powrotem między kartki.

– Dziwną ostatnio mamy pogodę, nieprawdaż?

Oboje znów zanieśli się śmiechem.

– Użalam się, że nie mogę sobie znaleźć faceta, a trzymam na półce harlequina założonego ulotką kliniki urody. O Boże... – Anna zachichotała i przycisnęła sobie poduszkę do ust. – Zaraz znajdziesz moje łóżko z jedenastoma pluszowymi misiami.

– Masz jakieś kłopoty z prawem i musisz sobie zrobić nową twarz, żeby cię nie capnęło FBI?

– Chciałam sobie usunąć znamię. Wygląda jak plama po winie i układa się w napis „ODWAL SIĘ, JAMES, NIE BĄDŹ TAKI WŚCIBSKI”.

– Świetny pomysł na artykuł. Sprzedam to do babskiej prasy i zarobię trochę grosza.

„Moje niezwykłe znamię odstrasza kochanków”.

Anna przetarła oczy i westchnęła.

– Jeśli już musisz wiedzieć, a niestety na to wygląda, rok temu miałam doła i zastanawiałam się nad... podniesieniem piersi.

James zmarszczył nos. Nos, który byłby przebojem w każdym katalogu chirurgii kosme-tycznej.

– Dlaczego? Jestem pewien, że niczego ci nie brakuje.

– Sama nie wiem, może przez kaca i z nudów. Ten zakichany facet, z którym chodziłam na studiach, powiedział mi kilka przykrych rzeczy.

Ale właściwie do wszystkiego we mnie miał
zastrzeżenia, więc trudno to uznać za dobry powód.

Anna zdawała sobie sprawę, że po doświadczeniach z dzieciństwa
zrobiła się przewrażliwiona na punkcie własnej fizyczności, i starała się
z tym walczyć. Podejrzewała, że po części to

właśnie dlatego tak niechętnie zajmuje się swoim wyglądem. Tyle
że akurat biust jako jedyny nie wyszedł bez szwanku z metamorfozy,
jakiej dokonała. Kiedy schudła, wyraźnie oklapł. Oglądając z boku swoje
piersi, martwiła się, że doskonale pasuje do nich określenie Aggy:
„skrzydełka koperty”.

Na chwilę zamilkli.

– To znaczy, że nie zamierzasz tego robić? – spytał James.

– Wątpię.

– I dobrze. Do niczego ci to niepotrzebne.

– Skąd wiesz?

– Gdybyś miała piersi jak te szmaciane woreczki do dekorowania
tortów, poprawiliby ci

je za darmo w ramach ubezpieczenia. Skoro musisz płacić,
to najwyraźniej chodzi tylko o zaspo-kojenie własnej próżności.

James Fraser zarzucał jej próżność? Czasami w życiu następują
naprawdę przedziwne zwroty akcji.

– A jeśli ci się wydaje, że ma to znaczenie dla facetów – ciągnął –
zapewniam cię, że nie, z wyjątkiem twojego dupkowatego byłego, który
jest po pierwsze dupkiem, a po drugie już z nim zerwałaś.

– Założenie, że chodzi wyłącznie o męskie spojrzenia, to seksizm.
A może bym chciała poprawić sobie piersi dla siebie?

– No ale przecież tak nie jest. Gdyby je zaaprobowало jury pod
przewodnictwem Ryana Goslinga, wcale by ci nie przeszkadzały.
Z czego wniosek, że robisz to, żeby zadowolić gusta wymaginowanych
facetów w przyszłości. A nie ma takiej potrzeby. Bo oni są
wymaginowani.

– Wielkie dzięki, niech cię diabli!

– Nie o to mi chodzi! Źle się wyraziłem. Mówię, że
wymaginowałaś sobie ich upodobania. A faceci działają w systemie
binarnym. Albo nam się kobieta podoba, albo nie. Nie ma żadnego

oczekiwania na przyjęcie lub odrzucenie zaproszenia, jak na Facebooku, dopóki nie prze-analizujemy wszystkich szczegółów i nie przyznamy punktacji.

– A odkąd to Ryan Gosling stał się naczelnym arbitrem od oceniania biustów?

– Wiesz co? Może mi je pokaż i sam ocenię.

– Chyba nie mówisz poważnie?

James kiwnął głową, pocierając oczy. Splótł ręce na piersiach i odchylił się do tyłu.

– Chciałbyś! – Anna ni to pisnęła, ni to zachichotała.

– Przecież możesz na tym tylko skorzystać. Albo usłyszysz komplement, albo absolutnie bezstronną i bezinteresowną opinię, że faktycznie wskazana jest operacja. I zanim cokolwiek powiesz, chciałbym zauważyć, że chirurg kosmetyczny, który ma cię skasować na pięć kawałków, wcale nie jest obiektywny.

– Niewiarygodne! – Hmmm. „Bezinteresowny”. „Bezstronny”. Nie musiał aż tak mocno

podkreślać tego elementu binarnego niepociągania go przez nią.

– W klinice pokazywałabyś je kompletnie obcym ludziom. Nie widzę wielkiej różnicy.

– Anonimowym lekarzom, a nie wstawionemu Jamesowi, który sobie robi jaja.

– Cholera. A już myślałem, że cię przekonam. W każdym razie oferta pozostaje aktualna.

Śmiali się, a Annie przemknęło przez głowę, że tego wieczoru zajmuje się ocenianiem różnych części ciała w znacznie większym stopniu, niż się spodziewała.

James odłożył książkę na swoje miejsce i opadł na kanapę, błędząc wzrokiem po pokoju.

– Co to jest...? Dziwne... Ejże... – mruknął. Przechylił szyję w lewo i patrzył teraz na

coś leżącego w samym kącie pokoju, obok podstawy wiekowej lampy podłogowej z Ikei. Zanim Anna zdążyła podążyć za jego spojrzeniem, zerwał się i już zmierzał w tamtą stronę.

Jeśli można wytrzeźwieć w cztery sekundy, to coś takiego stało się

z Anną. Poczwała taki przyływ adrenaliny, że nieomal podskoczyła na kanapie.

Szkolne zdjęcie portretowe formatu A4, oprawione w tanią złotą ramkę, zostało wykonane w atelier na pstrokatym tle, mającym udawać chmury na błękitnym niebie. Na pierwszym planie znajdowała się Aureliana z czasów, które wspominała jako najgorszy koszmar w swoim życiu. Mocno kręcone włosy spięte na czubku głowy plastikową klamerką opadały jej z tyłu, ale kilka niesfornych loków sterczało do góry, upodabniając ją nieco do Tintina. By zapanować nad bujną czupryną, użyła jakiegoś lepkiego żelu, ale dało to taki efekt, jakby zamiast umyć włosy szamponem, postanowiła wypróbować eksperymentalną technikę samoczyszczenia, które jeszcze się nie zaczęło. Na pomysł oszczędzenia się w tak zdumiewający sposób może wpaść tylko czterna-stolatka.

Okrągła twarz koloru placka pieczonego na blasze przywozowała na myśl pucułowate lalki Cabbage Patch. Czoło miała upstrzone młodzieńczym trądzikiem, który próbowała zamaskować grubą warstwą beżowego korektora. W rezultacie nad czarnymi smugami gęstych brwi schodzą-

cych się pośrodku powstał osobliwy księżycowy krajobraz.

Najgorszy ze wszystkiego był chyba jej wyraz twarzy. Aureliana nie znosiła aparatów fotograficznych, które odwzajemniały to gorące uczucie. Spoglądała więc w obiektyw z grymasem, z jakim się patrzy na znieawidzonego wroga. Nie tyle się uśmiechała, ile raczej wykrzywiała usta jak odcięta głowa zdrajcy zatknięta na włócznię. Spomiędzy warg pobłyskiwał metalowy aparat korekcyjny na zęby.

Anna sądziła, że cały poufny materiał tego rodzaju już dawno trafił do śmieci bądź został

spalony, z wyjątkiem jednego szkolnego zdjęcia, które owinięte w szary papier spoczywało na

dnie szuflady w sypialni mamy. Nie miała sumienia pozbawiać jej tej ostatniej fotografii córki z dzieciństwa. Niespodziewanie okazało się, że przeoczyła jeszcze jedną groteskową pamiątkę z tamtego okresu.

Z trudem łapiąc oddech, zastanawiała się gorączkowo: jak to się stało? Nigdy przecież nie trzymała w mieszkaniu niczego, co by jej

przypominało o przeszłości, a już na pewno nie na widoku. Zaraz jednak wszystko pojęła. Obok leżał bezkształtny worek drobiazgów zabranych ze

strychu u rodziców, wciąż czekając na rozpakowanie. Przechylił się na bok i oprawiony portret częściowo wysunął się z niego na podłogę pod własnym ciężarem. Dotąd myślała, że ten sztyw-ny, prostokątny przedmiot to segregator. Zemściła się na niej własna niechęć do przejrzenia rzeczy ze szkolnych czasów i luźne podejście do sprzątanía.

– Skąd ty ją znasz? – zdumiał się James, wyciągając zdjęcie z worka jeszcze bardziej, aż ukazały się ramiączka jej uszytego przez mamę fartuszka i złote łańcuszki z Argos, jakie lubiła nosić pod kołnierzykiem koszuli, by przydać sobie odrobiny szyku.

Odpowiedź na to pytanie jeszcze nie chciała się uformować w umyśle Jamesa.

Annie odebrało mowę. A potem panika i przerażenie pchnęły ją do działania.

– Przestań grzebać w moich rzeczach! – krzyknęła, po czym rzuciła się przez pokój i porwała ramkę z fotografią. Przycisnęła ją kurczowo do brzucha, splatając ręce w obronnym ge-

ście. – Przez cały wieczór grzebiesz w moich rzeczach, ty wścibski sukinsynu!

– Co?! – Jamesa zamurowała gwałtowność jej reakcji. – Przecież to tu leżało. Skąd masz zdjęcie tej dziewczyny ze szkoły, która... zaraz, czy ona nie była Włoszką...?

Jego niebieskie oczy, o tym głęboko fioletowym odcieniu jak z jej plakatu *Gatsby'ego*, rozszerzyły się. Oczy, w które kiedyś Aureliana wpatrywała się urzeczona przez całą lekcję chemii, mimo że skrywały je te idiotyczne okulary ochronne. James zasłonił dłonią usta i pokręcił głową. Dłoń znów opadła, a usta lekko się otwały.

Pierś Anny falowała.

– Nie jesteś...? Alessi. Ale ona miała na imię... Ariana? To twoja siostra?

– Aureliana – odparła Anna drżącym głosem. – Mam na imię Aureliana.

To wyznanie przyniosło jej chwilową ulgę. Sama się ujawniła. Ale ból zaraz powrócił, bo

twarz Jamesa wykrzywiło powątpiewanie, zdumienie i... rozbawienie.

Roześmiał się. Naprawdę się roześmiał, prychnął z niedowierzaniem.

– O Boże. Anna? Aureliana. To ty? Poważnie? Nie wierzę.

– Śmiejesz się ze mnie?

– Trochę mnie to oszołomiło. Nigdy w życiu bym nie pomyślał...

Czemu nic nie powiedziałaś?

– Nie pamiętasz, co mi zrobiłeś?

James wzruszył ramionami.

– Nie pamiętasz? – powtórzyła napastliwie.

Jedyne, co mogła zrobić, by się obronić, to przejść do ataku, zamienić wstyd w dziką fu-rię.

– No wiesz... Minęło już tyle lat... Przepraszam, ale miałaś więcej czasu, żeby sobie wszystko przypomnieć. Bardzo się zmieniłaś...

– Chcesz powiedzieć, że już nie jestem taka gruba? Taka brzydka? Że już się nikt nade

mną nie pastwi? To ostatnie może ci odświeży pamięć.

W salonie Anny zapanowała atmosfera konfrontacji i zagrożenia, co obudziło w Jamesie instynkty obronne. Wyglądał na zmieszanego. I zrobił się agresywny.

– Przepraszam, ale skąd w tobie nagle tyle wrogości? To ty coś przede mną ukrywałaś, nie przyznałaś się, kim jesteś, zachowujesz się, jakby ci odbiło.

– Odbiło mi! – krzyknęła Anna. – Znowu mnie obrażasz? Kurwa mać, ani trochę się nie zmieniłaś!

– Czemu na mnie wrzeszczysz? Uspokój się.

– Nie mów mi, że mam się uspokoić! – Anna nie przestawała krzyczeć. Zdawała sobie

sprawę, że musi wyglądać jak wariatka, ale nie była w stanie zapanować nad emocjami. – Przypomnę ci, co zrobiłeś. Wyciągnąłeś mnie podstępnie na scenę w przebraniu grubej baby i namó-

wiłeś całą szkołę, żeby mnie obrzucili cukierkami. Patrzyłeś na to i pękałeś ze śmiechu, ty i Laurence, obaj tam staliście i śmialiście się ze mnie. I nazwałeś mnie słoniną.

James zmrużył oczy i wydał usta.

– Yhm, no dobra. Chcesz, żebym cię przeprosił za jakiś dziecinny wygłup sprzed prawie dwudziestu lat?

– Na początek się do niego przyznaj.

– Czy ty sobie zdajesz sprawę, jak to wszystko brzmi nedorzecznie? Zachowujesz się, jakby to ktoś inny sprawił, że nagle wszystko się między nami zmieniło. Jeszcze chwilę temu nie miałas do mnie żadnych pretensji.

– Ale to ty jesteś za wszystko odpowiedzialny! Zachowuję się tak, bo bawi cię to, co mi zrobiłeś.

– Co? Więc nagle zostałem twoim wrogiem numer jeden? Byłem gorszy niż inni w szko-le, tak?

– Byłeś najgorszy.

– Ha! No to pięknie.

– Bo to prawda. Zrobiłeś coś najpodlejszego ze wszystkich.

Wiedziałeś, że mi się podobasz, i wykorzystałeś to przeciwko mnie. Nikt inny nie zdołałby mnie wyciągnąć na tę scenę.

– Nie histeryzuj. To był głupi kawał.

– Już samo to, że kompletnie się tym nie przejmujesz, pokazuje, jakim dalej jesteś człowiekiem.

– Na litość boską! Nie obwiniaj mnie o to, że byłaś wtedy taką poczwara.

– Poczwara? Ty gnoju!! – Anna wypluła to z siebie, trzęsąc się z wściekłości. – Ty cholerny, zasrany, pieprzony gnoju!

James jakby się odrobinę wystraszył. A potem na jego wyniosłej twarzy pojawił się niesmak. Zrobił dokładnie taką minę, jaką się spodziewała zobaczyć, kiedy odkryje jej prawdziwą tożsamość.

– Wychodzę. Jesteś nienormalna. Kompletnie cię porąbało – rzucił, sięgając po płaszcz. –

Cześć.

Trzasnęły frontowe drzwi. Anna cisnęła przez cały pokój oprawionym portretem, twarzą

do dołu. Odbił się od ściany i wylądował zdjęciem do góry. Zawyla, skoczyła za nim, złapała go i znów nim rzuciła. Tym razem uderzył w regał i szkło pękło, zasypując dywan dziesiątkami maleńkich odłamków, błyszczących jak brylanty. Rzeczywiście nie zachowywała się zupełnie normalnie.

Co za sukinsyn. Jak mogła choćby przez chwilę się łudzić, że stał się lepszym człowiekiem niż ten chłopak ze szkoły, który potrafił jej zrobić coś takiego? Jak mogła go tu wpuścić?

Opadła na kanapę i zaszlochała. Chlipiąc i pociągając nosem, zanosila się łkaniem, które dobywało się gdzieś z dołu brzucha. Miała wrażenie, jakby przez oczy i nos uciekała z niej dusza.

Po długim, powolnym pościgu, w którym jedna jej część wysforowała się daleko do przodu, Aureliana w końcu dogoniła Annę i obie połączyły się ze sobą w beznadziejnym samotnym cierpieniu.

Z odtwarzacza popłynęły pierwsze takty *You Make Loving Fun*.

Rozdział 49

– Zdaniem „GQ” koniecznie należy tu spróbować *puty* – oznajmił Laurence, studiując menu. Siedzieli w wyłożonym kafelkami boksie piwnicznego baru pod restauracją Spitalfields Hawksmoor i sączyli koktajle Old Fashioned o tytoniowym aromacie.

– *Putą?* Nazwali potrawę „dziwka”?

Laurence sprawdził jeszcze raz.

– To znaczy, *poutine*. Z Quebecu. Frytki, zsiadłe mleko i serwatka. Coś jak zdekonstruowany ser.

James pozostał nieprzekonany i ostatecznie zdecydował się na żeberka, podawane z di-pem w srebrnym dzbanuszką na osobnej tacy. Zawartość talerza Laurence’a została obficie pod-lana brązowym płynem.

– Żyjemy w chińskim roku sosu – skomentował James. – Czy to nie wygląda jak trochę bardziej udziwnione żarcie ze smażalni frytek?

– Nmmmm – wymamrotał Laurence z pełnymi ustami. – Całkiem smaczne. Wiesz, że te

mosiężne ścianki to są stare drzwi wind z Unilever House²³)? Art déco z odzysku.

23) Unilever House – zabytkowy biurowiec z okresu

międzywojennego w londyńskiej dzielnicy Blackfriars.

Wytarł usta serwetką, podążając spojrzeniem za rozkołysanymi zmysłowo biodrami jakiejś kobiety przechodzącej nieopodal po parkiecie. – Podoba mi się tutaj.

– Serwatka... – zadumał się James. Laurence wciąż nie odrywał wzroku od nieznajo—

mej. – Jak w tej dziecięcej rymowance? „Kasiénka mała/W kątku siedziała/Z kubkiem serwatki, zda się...”.

Laurence odwrócił się.

– „Pająk miał chętkę/Na pogawędkę”. To tak jak ja.

– „Lecz tylko spłoszył Kasię” – dokończył James. – Więc lepiej uważaj.

– Zamiast pogawędki wystarczy mi sama kasiulka.

– Wiesz co? Może się napij bromu.

James wziął głęboki oddech, szykując się do przekazania megasensacji. Od tamtego wieczoru nie myślał właściwie o niczym innym, czuł się winny i bardzo chciał, by ktoś go przekonał, że nie ma powodów się zadręczać.

– Zmieńmy temat, dobrze ci to zrobi. Zaraz usłyszysz coś takiego o Annie, tej Włoszce, że cię powali i rozłoży z wrażenia.

– Wolałbym, żeby to ona coś przede mną rozłożyła. Chwila... Chyba się z nią nie przespałeś? – Laurence wydawał się autentycznie wkurzony taką ewentualnością, wręcz rozzłoszczo-ny.

Jego reakcja zaskoczyła Jamesa.

– Nie. A gdyby nawet, to co? Czy to takie ważne?

– Jak cholera. Ona jest moja. To ja ją pierwszy zobaczyłem. Won z łapami.

– Czy w swoich planach łóżkowych uwzględniasz w ogóle jej odczucia? Bo jakoś nie zauważyłem, żeby miała na ciebie ochotę.

– Na ciebie też nie ma, więc mógłbyś tego dopiąć tylko jakimś podstępem. Co zgodnie z niniejszą umową ustną byłoby oczywistym naruszeniem męskiego kodeksu honorowego.

James zmrużył oczy.

– W porządku. Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy. Ale zaraz się przekonasz, że żaden z nas nie ma u niej najmniejszych szans. Pamiętasz

tę włoską dziewczynę ze szkoły, Aurelianę?

Laurence zmarszczył brwi.

– Kogo...? Jakieś bliższe szczegóły?

– Gruba. Długie, kręcone, czarne włosy. Totalna ofiara losu.

Na „Twoich przebojach”

wszyscy ją obrzucili cukierkami. Namówiliśmy ją, żeby się przebrała za śpiewaczkę operową, kojarzysz? To ty wymyśliłeś ten wielki finał ze słodyczami.

– A, ta. Śpiewający potwór spaghetti. Pewnie się dorobiła czterech tłustych bachorów, nosi bluzki w kwiaty, a do tego klapki. Widziałeś kiedyś te zapuszczone babsztyle z kontynentu?

Ohyda.

– To jest Anna.

– Nie rozumiem...

– Anna. Aureliana. Ta sama osoba. Po szkole zmieniła imię.

Aureliana Alessi. Cały czas miałem wrażenie, że Anna Alessi z czymś mi się kojarzy.

Laurence odłożył sztucce.

– Chyba cię pogięło.

– Serio. – James pociągnął łyk koktajlu.

– No bez jaj...

– Niezłe zdziwko, co?

Jamesa zastanawiało, że nic nie zajarzył, nawet kiedy poznali siostrę Anny, choć z drugiej strony w ogóle jej nie pamiętał ze szkoły. Młodsze roczniki starszym zawsze wydawały się nie-dostrzegalną, amorficzną masą.

– Ale jak to możliwe? Nie wkręcasz mnie?

– Skąd! To dlatego się pojawiła na zjeździe absolwentów.

Zastanów się. Przecież ta historyjka o pomyleniu sali od początku nie miała sensu. Nikt jej nie poznał, wyobrażasz sobie? Nic dziwnego, że się na nas wkurzyła.

Tak, naprawdę trudno się jej było dziwić. Im dłużej James myślał, jak to musiało wyglądać

z perspektywy Anny, tym bardziej utwierdzał się

w przekonaniu, że fatalnie. Nieświadomie przyczepili się do kobiety, którą obaj kiedyś po chamsku ośmieszyli, a Laurence próbował ją poderwać. Mieli szczęście, że nie oberwali po głowach butelką.

Z czasem Anna odsunęła na bok te

zaszłości i zaprzyjaźniła się z nim. Czy on na jej miejscu też by się tak zachował?

– To nie błąd, tylko wielbłąd! – zarechotał Laurence. Pokręcił głową w zdumieniu. – Nie nasza wina, Slim Fast na ogół nie przynosi aż takich rezultatów. Nie mogę uwierzyć, że z dwójki, w najlepszym razie, zrobiła się solidna ósemka, a może nawet dziewiątka. To się nadaje na film dokumentalny do telewizji.

– Jezu, Loz. Trochę więcej człowieczeństwa.

– No co ty, przecież wiesz, że się wyglupiam.

Na chwilę zapadła cisza.

– Dowiedziałem się przez czysty przypadek, że szkolnego zdjęcia w jej mieszkaniu – odezwał się James. – Naskoczyła na mnie jak wariatka. Nie wiedziałem dlaczego. Przecież to ona mnie okłamywała, a nie ja ją. Więc o co chodzi?

Wypowiedziane na głos usprawiedliwienie zabrzmiało bardzo nieprzekonująco. James

sięgnął po typową formułkę z arsenału Laurence'a, co stanowiło najlepszy dowód, że nie czuł się rozgrzeszony. Owszem, ukryła swoją prawdziwą tożsamość. Ale po zastanowieniu się musiał za-dać sobie kilka pytań. Czy sam nie postąpiłby identycznie? Czy ktokolwiek chciałby, żeby o jego życiu decydowało to, że w szkole był pariasem? Czy taki ktoś odrzuciłby tego typu brzemie przeszłości, gdyby tylko nadarzyła się okazja?

Aureliana należała do grona największych cudaków, najbardziej kuriozalnych postaci, jakich parę egzemplarzy można znaleźć w każdej szkole. Miała wszelkie kwalifikacje ku temu, by

stać się dla rówieśników obiektem drwin i prześladowań – brakowało tylko oficjalnej prośby o to przekazanej przez jej mamę nauczycielom. Z Aurelianą nie wypadało nawet rozmawiać, w kon-taktach towarzyskich traktowano ją jak zadżumioną. Tak bardzo odstawała od wszystkich. Pod względem fizycznym z dzisiejszą Anną

nie łączyło jej dosłownie nic. Jedynym podobieństwem, jakie dostrzegał, była jej osobowość: zgryźliwe spojrzenie outsidera.

Tak czy owak, to są stare dzieje. Anna nie miała prawa być wobec niego tak niemila, kiedy wyszła na jaw jej przeszłość. „Niemila? A jak byś określił swoje zachowanie w stosunku do

niej w szkole?” – zapytał jakiś głos.

O Boże, czemu musiał wyskoczyć z tą „poczwarą”? Zareagował instynktownie, w odruchu samoobrony, jakby uniósł ręce, widząc, że ktoś chce go uderzyć. Poczwara. To nie było sło-wo, którym by się kiedykolwiek posługiwał. Zupełnie jakby powróciła i znów nim zawiadnęła umysłowość szesnastolatka, jakby go opętał zły duch.

– A co ty robiłeś u niej w domu? – spytał ostro Laurence.

– Oglądaliśmy na DVD program o tej wystawie, przy której razem pracowaliśmy.

– Ja nie żartuję, Jimmy. – Laurence wsadził sobie widelcem w usta grudkę zsiadłego mleka czy może zakrzepłej serwatki. – Mam wobec tej kobiety poważne zamiary.

– Dopiero co ją oceniałeś jak jeszcze jedną zdobycz!

– Zgadza się, i dostała mocne osiem punktów na dziesięć. Nie dotykać. Masz ją traktować jak obiekt odgradzony policyjną taśmą. Zbadam odciski palców.

James zmarszczył brwi. Czy Loz rzeczywiście zainteresował się Anną tak bardzo, jak to

w ogóle było możliwe w jego przypadku? Miał trzydzieści dwa lata i ani jednego dłuższego związku za sobą. Może w końcu uznał, że potrzebuje czegoś bardziej trwałego, nobilitującego, co

przydałoby mu wiarygodności. „Moja dziewczyna ma doktorat i wykłada na uczelni... Jest Włoszką...”. Tak, potrafił sobie wyobrazić Laurence’a, jak się przechwala, że ma kobietę na poziomie.

– Ona nie jest w twoim typie – oznajmił zdecydowanie. – Widziałem, że do pracy nie chodzi w szpilkach. I nie jest bogata.

– Pfff! Ale stanowi wzorzec radykalnego zwrotu akcji i prawdziwe wyzwanie. Dojrzałem do kobiety, która nie ma w głowie siana. Chyba się zakochuję.

– Do tego trzeba mieć serce. – James z ponurą miną grzebał nożem

w miękkiej bułce. Nie tak sobie wyobrażał tę rozmowę. Chciał, żeby Laurence stanął po jego stronie. Tyle że wcale nie był pewien, czy ktokolwiek powinien tam stać, a Loz jak zwykle myślał wyłącznie o sobie.

– Fantastycznie, stary, że tak to się potoczyło.

– Dlaczego? Nie mogę uwierzyć, że zrobiłem jej coś tak podłego.

Zachowaliśmy się jak

ostatnie świnię i nigdy więcej nie będzie chciała z nami rozmawiać.

– No jasne. Dlatego właśnie pracuję w dziale sprzedaży.

W trudnościach dostrzegam ukryte szanse. Mam teraz doskonały pretekst, żeby do niej jeszcze raz uderzyć. Zadzwonię, żeby ją przeprosić. Całe jej poczucie własnej wartości musiało lec w gruzach. Współczujący Laurence powinien jej podsunąć ramię, by mogła się wypłakać. A po duchu pocieszyć też ciało. – Wycelował w Jamesa widelcem. – I nawet nie myśl o podpieprzeniu mi tego pomysłu. Jest mój. Jak bę-

dzie trzeba, powiem jej, że to ty wymyśliłeś ten numer na „Twoje przeboje”, a ja cię błagałem, żebyś tego nie robił.

– Nie waż się! – warknął James.

– Aha! Więc jednak chciałbyś ją przelecieć! Wiedziałem, jak cię podejść.

– Absolutnie nie mam takiego zamiaru, pewnie zresztą nigdy więcej jej nie zobaczę, ale nie jestem dumny z tego, co zrobiliśmy, i nie chcę, żeby przez ciebie stała się jej jeszcze większa krzywda.

Laurence wzruszył ramionami.

– Byliśmy dziećmi. Minęło tyle lat, że właściwie nigdy się to nie wydarzyło.

– Ona płakała, Loz. Przez nas.

– No to teraz dzięki mnie dla odmiany trochę pojęczy.

James odłożył serwetkę na stół i poddał się. Jakby gadał z mosiężnymi drzwiami z odzysku. Kiedy Laurence poszedł do toalety, zaczął się bawić telefonem, zastanawiając się, co mógłby powiedzieć albo zrobić, żeby to wszystko naprawić. Upokorzył Annę jeszcze bardziej, wyjawiając jej sekret Laurence’owi. Poczul niesmak.

Laurence miałby teraz wykorzystać te informacje, żeby znów się

do niej dostawiać?

Chciał mu przeszkodzić, ale nie wiedział jak. A jeśli to, co się stało, tak bardzo ją wyprowadziło z równowagi, że w końcu ulegnie Lozowi? To też miałyby obciążyć sumienie Jamesa? Szlag by trafił...

Czy tylko to go niepokoiło? Że pośrednia odpowiedzialność spadnie na niego? Na myśl o cielesnym obcowaniu Laurence'a z Anną poczuł irracjonalne wzburzenie, sięgające aż trzewi.

Przez głowę przemknął mu obraz ich splecionych nagich ciał, drżących, podskakujących, palce Loza w jej rozpuszczonych włosach... Nie, dzięki, nie chcę, skasuj to, mózgu. Ścisnęło go w żo-

łądku. Obudził się w nim instynkt opiekuńczy. Nie mógł postąpić inaczej, nie po tym wszystkim, co zrobił Annie.

Laurence wsunął się z powrotem do boksu.

– Nie mówiłem ci jeszcze, że dołączą do nas Polly i Becca z Accenture. Bingo! – Laurence pomachał do stojących na drugim końcu sali wychudzonych kobiet w wydętych wzorzystych sukienkach i monstualnych szpilkach. – Uważaj, Polly ma tak arystokratyczny akcent, że Cambridge wymawia jak „Cambles”. Każ jej powiedzieć „gastronomia” – mówi, jakby miała usta pełne dropsów.

– Dzięki, że spytałeś, czy mam ochotę – syknął James.

– To tylko znajome z pracy, nie musisz się jakoś szczególnie wysilać – odparł Laurence, poprawiając spinkę przy mankiecie.

James przywitał Polly i Beccę krzywym uśmiechem, a potem siedział poblady i odrę-

twiały, ignorując żarty Laurence'a, zachwycone trajkotanie obu kobiet i rzucane nieśmiało w jego stronę spojrzenia spod mocno umalowanych rzęs. Nie był w stanie myśleć o nikim innym niż o kimś, kogo tu nie było, i o tych paru godzinach sprzed szesnastu lat, o których aż do teraz wolał

nie pamiętać.

Rozdział 50

Anna usłyszała, jak jej siostra pyta: „A jeśli trzeba je będzie wyważyć?”, i uznała, że lepiej wpuścić Michelle i Aggy do mieszkania

teraz, niż jutro wzywać fachowców, by wymienili drzwi. Powlokła się przez przedpokój i w końcu zareagowała na pukanie.

W otwartych drzwiach stała Michelle, która wyjęła z ust e-papierosa i zlustrowała Annę od stóp do głów.

– Kurde. Chyba się spóźniłyśmy.

Po prawej pojawiła się twarz Aggy.

– Czemu chodzisz w śpioszkiach? – spytała Michelle.

– To jest jednoczęściowy strój z *Gdzie mieszkają dzikie stwory*.

Kostium, w którym bohater odwiedza baśniową krainę, i efektowna aluzja literacka – sprostowała Anna.

– Raczej efektywny zabójca namiętności, skarbie – odparła Michelle, pakując się do

mieszkania z życiodajną torbą od Marksa i Spencera. Tuż za nią, również nie czekając na zaproszenie, wsunęła się Aggy.

W salonie okrążyły Annę.

– O rany, co to jest to brązowe, co ci wisi z tyłka? – zainteresowała się Michelle.

– Nie widzisz? Ogon.

– Wygląda jak kupa.

– Co oglądasz? – Aggy zerknęła na ekran telewizora

z zatrzymanym stop-klatką obrazem jakiegoś mężczyzny z wystającymi kłami.

– *Buffy: Postrach wampirów*.

Oczy gości Anny spoczęły na olbrzymim plastikowym kręgu na wpół zjedzonej paelli z mikrofalówki i otwartej paczce chipsów. Obok leżało wielkie opakowanie hummusu i rząd fir-mowych torebek Cadbury ze słodyczami. Nie wyglądało to dobrze, ale przecież Anna nie zjadła wszystkiego dzisiaj. Po prostu nie posprzątała.

– Przyniosłyśmy trochę przekąsek z kurczaka. Nawet w najlepszych czasach jesz jak w niemieckiej niewoli. To jest minimalnie smaczniejsze – oznajmiła Michelle.

Usiadła na fotelu, Aggy zaś przycupnęła ostrożnie na końcu kanapy. Przyzwyczaiła się oglądać swą starszą siostrę w pełni opanowaną, toteż zastany w jej mieszkaniu chaos, materialny i emocjonalny, wyraźnie zbił ją z tropu. Anna zdawała sobie sprawę, że

mimo żartobliwego tonu obie się o nią martwią. W normalnych okolicznościach starałyby się je uspokoić. Tym razem jednak nie była w stanie odnaleźć w sobie dość energii: czuła się przybita jak sztacheta w płocie.

– Najpierw to, co najważniejsze. – Michelle zaszeleściła reklamówką. – Nawet jeśli nie najpilniejsze. Przyniosłam ci żelki we wszystkich możliwych smakach. Poza cytrynowymi są raczej ohydne. A w ogóle co się z tobą dzieje, Anno?

– Mówiłam ci. Cały tydzień chorowałam i wzięłam wolne w pracy. Zatrulałam się czymś.

– Taaaak... A kiedy dzwonimy, esemesujemy, wysyłamy mejle, albo w ogóle nie odpowiadasz, albo zbywasz nas paroma słowami, zupełnie nie w swoim stylu. A potem zaczynamy się rozpytywać. I pewna osoba, którą nazwę tu kryptonimem „Bi-Szel”, na wypadek gdybyś się na

nią miała wkurzyć, uświadamia sobie, że ostatnim człowiekiem, jakiego widziałaś przed rozcho-rowaniem się, był ten James ze szkolnych czasów. I kto następnie dzwoni do niego do pracy, po czym dowiaduje się, że doszło między wami do... sprzeczki?

– O Boże, rozmawiałaś z Jamesem? O Boże! – Anna zarzuciła na głowę kaptur dresu.

– To są rogi? – zdziwiła się Aggy. – Chodzisz w kostiumie diabła?

– Uszy – wymamrotała Anna przez tkaninę. Zsunęła kaptur z powrotem na plecy.

– Znajduję się pod silną presją ze strony twojego kolegi Patricka, który chciałby wiedzieć, co się z tobą dzieje – powiedziała Michelle.

Anna westchnęła.

– Spójrz na to tak, że uratowałam cię przed jego wizytą. O co się posprzeczaliście?

– James ci nie powiedział?

– Nie. Mówił tylko, że to ciebie mam o to zapytać.

Dyskrecja Jamesa na moment rozpalila w niej iskierkę szacunku dla niego, ale zaraz zgasila ją inne wspomnienia.

– Zobaczył szkolne zdjęcie i odkrył, kim jestem. Śmiał się ze mnie. Straciłam nad sobą panowanie i nawrzeszczałam na niego, że był

wrednym sukinsynem. Powiedział, że mnie porą-

bało i że to nie jego wina, że kiedyś była ze mnie taka poczwara. Straszliwie mnie upokorzył, znowu powróciły wszystkie złe wspomnienia ze szkoły.

– No pięknie! – stwierdziła Michelle. – Nazwał cię poczwara?

– To straszne. – Aggy wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać.

– Wiedziałyśmy, jaki z niego podły człowiek. Nie mogę uwierzyć, jak sama sobie wmó-

wiłam, że mógłby się zmienić.

– Krótko mówiąc, podejrzany dawny sukinsyn potwierdza, że pozostał sukinsynem –

skwitowała Michelle. – Ale to jego problem. Czemu ty tak bardzo to przeżywasz?

Najwyższa pora zadać takie pytanie. Dotąd Anna go unikała.

– Nie wiem. Zaczął się śmiać i w jednej chwili wróciliśmy do „Twoich przebojów”. Okazało się, że wciąż jestem tamtą dziewczyną, której nikt nie chciał znać. Zawsze nią będę.

– Ja chciałam cię znać! – zawołała Aggy, a po jej policzku spłynęła łza.

Anna pochyliła się i ścisnęła jej ramię.

– Dziękuję. Tyle że ty nie miałaś wielkiego wyboru, bo mieszkałyśmy pod jednym da-chem. Co mi odbiło, że próbowałam się zadawać z tymi płytkimi i zdemoralizowanymi ludźmi?

Wiem, kim są, więc dlaczego się oszukiwałam? Byli dla mnie mili i to mi schlebiało. Okazałam się słaba. Chciałam wierzyć, że się zmienili. Chciałam wierzyć, że ja się zmieniłam. Chciałam, żeby mnie w końcu polubiły fajne dzieci. Jakie to żalosne, przecież mam trzydzieści dwa lata.

– Lubią cię. Mogłyby cię lubić. Po prostu jesteś dla nich za dobra – orzekła Michelle.

– Nie... Mam wrażenie, jakbym się przebrała za kogoś innego. Nic nie wydaje się autentyczne. To, jak zostałam potraktowana przez nich wtedy, pokazuje, co naprawdę myślą o mnie tacy ludzie jak on. I kim naprawdę są. Cała reszta to bzdety.

– Więc nie spotykaj się z tymi płytkimi ludźmi. I po sprawie.

– Wiem. Czekam, aż emocje zgodzą się z intelektem co do tego, że nie mam się czego wstydzić.

– Nigdy nie przypuszczałam, że cię mogą nie rozpoznać na spotkaniu absolwentów – powiedziała Michelle. – Dręczyła cię ta przeszłość i nie umiałaś się od niej uwolnić. Przepraszam, że cię namawiałam, żebyś tam poszła.

– Nie winię cię. – Anna poprawiła ogon. – To ja chciałam się dalej spotykać z Jamesem.

Jakaś część mnie liczyła chyba, że może z tego wyniknie coś dobrego.

„No i nieźle się bawiłaś” – pomyślała.

– Wiecznie powtarzasz, że się zmieniłaś – Michelle ponownie wsadziła sobie do ust e-papierosa – ale młodsza Anna też była bystrą dziewczyną. Miłą, ciekawą i dowcipną. Za to ludzie cię lubią i to nie jest coś, co się objawiło dopiero w dorosłym wieku. Owszem, wyglądasz teraz inaczej niż jako nastolatka, ale to dotyczy każdego z nas.

– Oni mnie wszyscy nie znosili, Michelle. – Anna próbowała opanować drżenie głosu

i nie rozplakać się. – Nienawidzili mnie. Czegoś takiego chyba się nie da do końca z siebie wyrzucić. Poczucia, że ponieważ jesteś taka, a nie inna, nikt nigdy nie będzie cię kochał.

No i pojawiły się łzy. Aggy przytuliła Annę, Michelle wstała, też ją objęła i wszystkie razem trochę sobie popłakały. W końcu Michelle wymamrotała:

– Ten twój bajkowy kostium przydałoby się chyba wyprać.

Anna pociągnęła nosem i odchrząknęła, ale zauważyła, że dzięki wypowiedzeniu na głos tej strasznej prawdy poczuła się lepiej. Oglądając na zdjęciach swoją głupiutką pucułowatą twarz sprzed lat, współczuła tamtej dziewczynce. Poszła do szkoły pełna zapału do zdobywania wiedzy, a dowiedziała się, że nie jest nic warta.

– Biorąc pod uwagę, że kocha cię mnóstwo ludzi, to po prostu nieprawda – zauważyła Michelle, gdy na powrót usiadła.

– Wyjąwszy ten drobiazg, że nie mogę sobie znaleźć faceta.

– Bez przesady. Kupę facetów chciałoby z tobą chodzić, więc przestań mi się tu mazgać jak panna Havisham²⁴).

24) Panna Havisham – zamożna stara panna z *Wielkich nadziei* Karola Dickensa.

– To prawda. Niedawno siedziałam na Facebooku i Phil ode mnie z pracy powiedział, że bardzo by cię chciał poznać – wtrąciła się Aggy.

Anna uśmiechnęła się blado.

– No dobra. Daj te żelki.

Michelle rzuciła jej paczkę Phizzy Pig Tails.

– Ciągłe cię to dobija, bo z nikim nie chcesz o tym pogadać – stwierdziła Aggy. – Mama i tata boją się, że się wściekniesz, jeśli tylko poruszą ten temat. Kiedyś zamykałaś się w sypialni i czytałaś książki, a teraz dusisz wszystko w sobie i trzymasz nowych znajomych na dystans. Nawet Chrisowi nigdy nie mówiłyśmy, co się stało...

Jak na Aggy były to wyjątkowo poważne i wnikliwe obserwacje. Anna słuchała z uwagą.

Musiała. Czuła, że znów jej się zbiera na płacz.

– Z Chrisem lubię sobie pożartować. Nie chcę, żeby zaczął mnie inaczej postrzegać...

– Nie zacznie! Rozmowa pomaga – powiedziała Aggy. – Wiem, co mówię. Kiedyś się

przespałam z pewnym klientem i konsekwencje tego były koszmarnie. Koleś rozповідаł naoko-

ło, o czym gadałam w łóżku, i wszyscy polewali. A potem ja przedstawiłam swoją wersję wydarzeń i ludzie też się śmiali, ale z sympatią. Odebrałam mu tę historię i już mnie nie mogła zranić.

Wiesz co? Może wrzucić sobie to szkolne zdjęcie na Facebooka albo coś w tym stylu.

Anna skrzywiła się.

– Dobra, tego może nie rób. Ale wiesz, o co mi chodzi. Zrób z „Twoich przebojów” zabawną historię. Jedną z tych, które chętnie opowiadasz. Masz takie poczucie humoru, że wszyscy by się śmiali razem z tobą.

Anna pochyliła się i objęła kościste ramiona siostry. Kiedy Aggy była mała, Anna mawia-

ła, że czuje się, jakby przytulała ekierkę w piórniku.

– Coś ci powiem – odezwała się Michelle. – Wcale mi się nie

wydaje, że ten James jest taki pewny siebie, jak sądzisz. Kiedy z nim rozmawiałam, kilka razy pytał, czy dobrze się czujesz. Mam wrażenie, że był zawstydzony.

– Głównie tym, że się ze mną zadawał. Powinien się wstydić za to, co mi powiedział, ale zapewniam cię, że to nie jest typ człowieka, który by sam siebie o cokolwiek obwiniął.

– Może sobie wszystko przemyśli i cię przeprosi.

– Ha. Jakoś się nie spodziewam.

Anna pomyślała o tym, jak bardzo ją wyprowadziło z równowagi odkrycie jej prawdziwej tożsamości. Zastanawiała się, czy gdyby zdołała opanować nerwy, uniknęliby tak ostrej konfrontacji. Nie, to niemożliwe. Śmiał się, nie uważał się za winnego czegokolwiek i nazwał ją poczwarą. Potwierdził jej wszystkie podejrzenia.

– Jeśli cię olał, to nie był nic wart – stwierdziła Michelle. – A poza tym zdaje się, że jakoś specjalnie nigdy go nie lubiłaś?

– Nie bardzo.

– Czujesz się na siłach, by w poniedziałek wrócić do pracy?

– Tak.

– To dobrze. Nie wydaje mi się, żeby samotność ci służyła.

Przypomnisz sobie, jak bardzo lubisz swoją pracę, i to ci dobrze zrobi.

– No tak... Babcia Maude mawiała: „Jeśli chcesz być szczęśliwa, nie pracuj za dużo.

Mężczyźni znacznie wyżej cenią dobrą zabawę niż mądrość”. Co miało znaczyć: „Odniesiesz sukces, ale będziesz samotna” – powiedziała Anna.

– Mnie babcia Maude mówiła, że jeśli mężczyzna ma romans, to dlatego, że mu czegoś brakuje w domu – zauważyła Aggy.

– Ta wasza babcia Maude miała udane małżeństwo? – spytała Michelle z żelkiem w ustach.

– Niezbyt. Ciągle chodziła skwaszona, a dziadek Len miał minę umęczonego mrówkoja-da – odparła Anna.

– W takim razie przestałabym sobie zawracać głowę jej mądrościami na temat relacji damsko-męskich – orzekła Michelle, żując powoli. – Babcia Dobra Rada bujała w obłokach. Co to jest?

Anna powiodła wzrokiem za jej spojrzeniem.

– Pudło z pamiętnikami. Ze szkoły. Chciałam je przejrzeć.

– Na litość boską, po co?!

– Żeby sobie przypomnieć...? – Anna wzruszyła ramionami, zmęczona. – Nie wiem. Po

zjeździe absolwentów pomyślałam, że skoro nie udało mi się zamknąć przeszłości w taki sposób, to może uda mi się, jeśli przeczytam swoje pamiętniki i odżyją te wszystkie wspomnienia. A potem zaczęłam wątpić, czy dam radę się z nimi zmierzyć.

– Przestań się tak rozczulać nad sobą. Mam pomysł – oznajmiła Michelle. – Może byśmy

je spaliły? Na stosie. Tak zamkniesz za sobą te drzwi. Będziemy tańczyć dookoła i pokrzykiwać.

Anna roześmiała się, a Aggy pisnęła.

Dziesięć minut później, po tym jak wyniosły pudło do ogrodu, stały wszystkie i dygotały, na wpół oświetlone światłem z kuchni i lampą bezpieczeństwa nad tylnymi drzwiami.

– Nie masz jakiegoś metalowego kubła? – spytała Michelle, obejmując się ciasno ramionami i trzęsąc się z zimna.

– Wszystkie kubły są plastikowe – odparła Anna

– A może by wsadzić pamiętniki do mikrofalówki? – zasugerowała Aggy.

– Chcesz upiec w mikrofalówce papier i tekturę? – zdziwiła się Michelle.

– Pamiętniki mają metalowe zamknięcia – zauważyła Anna.

– Mamy je tylko zniszczyć, a nie wylądować w szpitalu bez włosów i w lokalnych wiadomościach jako wydarzenie dnia – stwierdziła Michelle, a potem westchnęła. – Chcesz, żeby coś było dobrze ugotowane, ugotuj to sama. Masz grilla? I podpałkę?

– Zaczekaj! Mam.

Anna rzuciła się w krzaki i wyciągnęła z nich okrągły grill na trzech nóżkach, pełen popiołu, podczas gdy Aggy przetrząsała kuchenne szafki.

Michelle rozpałała ogień, nie żałując zapalek, i poprosiła o pierwszy pamiętnik. Manipulując nim za pomocą szpikulca do grilla,

patrzyła, jak kurczy się i topi pyszczek misia. Z obu stron tuliły się do niej siostry Alessi.

– Prawie gotowe. Pokrójcie bułki i przygotujcie keczup. Ależ to cuchnie. – Michelle za-kaszłała, gdy zaczęła się topić metalowa zapinka pamiętnika. – Anno, uważaj na kostium, bo się zapali jak pochodnia. Dobra, Aggy, dawaj teraz rok dziewięćdziesiąty piąty. Musiałaś się aż tyle rozpisywać? – zwróciła się do Anny.

Kiedy tak stały ściśnięte ze sobą, trzymając się za ręce, Anna powiedziała:

– Dziękuję wam obu. Czuję się znacznie lepiej. Powinnam to była zrobić dawno temu.

– Pora przyjąć do wiadomości, że to oni mają się czego wstydzić. Nie ty – zawyrokowała Michelle.

Wpatrując się w migoczące płomienie i pokryty sadzą pamiętnik, Anna po raz pierwszy zdała sobie sprawę, ile prawdy jest w tym spostrzeżeniu.

Rozdział 51

James siedział w knajpce pod łukami mostu kolejowego w Bermondsey na spotkaniu z Willem Wembleyem-Hodgesem, „producentem sznurków z sera”, pragnącym wylansować swój produkt na rynku. Słuchał biznesmena w różowym słomkowym kapeluszu, energicznie kiwając głową.

– Więc klient idzie sobie ulicą i pogryza taki sznurek, ale to nie ser topiony, tylko owczy z Armenii, z czarnym kminkiem.

James miał ochotę rzucić coś w stylu: „Bogu dzięki, że ktoś wreszcie postanowił się zająć ludźmi, którzy chodzą po ulicach z nieodpowiednimi sznurkami z sera”, ale oczywiście nie powiedział nic.

Umysłem cały czas błądził gdzieś daleko, dumając nad najlepszą formą przeproszenia

Anny. Ciągłe o tym myślał. Poczwarą. Co go napadło, żeby użyć takiego słowa? Ilekroć to sobie przypominał, nieomal przechodził go dreszcz wstydu. A potem zadzwoniła jej przyjaciółka Michelle i poczuł się jeszcze okropniej, gdy stało się jasne, że naprawdę wzburzył Annę.

Było jeszcze dość wcześnie, kiedy wrócił do biura. Panowało

w nim osobliwe napięcie.

Zdziwiło go to, ale nie przesadnie, dopóki obok nie pojawił się Harris, niosący wielki kubek herbaty z mleczną pianką. Wyraz twarzy miał tyleż groteskowy, ile zwiastujący coś nieprzyjemnego: malowało się na niej złośliwe podniecenie, triumf, a przede wszystkim radosne oczekiwanie.

– James, możesz na słówko? – spytał, siadając przy swoim komputerze. W biurze zrobiło się tak cicho, że dałoby się usłyszeć spadającą szpilkę.

– No. O co chodzi? – James także usiadł.

– Zerknij na to z łaski swojej.

Wstał i przeszedł do biurka Harrisa. Zobaczył otwarte w trybie pełnoekranowym ogólne konto mejlowe agencji. Harris kliknął, by otworzyć plik dźwiękowy, i pojawiła się abstrakcyjna falująca wizualizacja. Ktoś mówił, głośno i wyraźnie, a w tle było słycać szelest i jakiś ruch.

Głos należał do młodego mężczyzny z Londynu i James dopiero po chwili zorientował się, że to on jest tym nieznanym.

...Uważa pani to, co robię, za nic niewarte bzdety. W porządku, przyjmuję to do wiadomo-

ści. To tylko cyfrowe duperele, które pięć minut temu jeszcze nie istniały, a teraz sprzedajemy je

wam jako coś niezbędnego, bo niestety są wam niezbędne.

Ponieważ dzisiaj każdy ma smartfona i zdolność koncentracji uwagi na poziomie Grahama Nortona po speedballu i red bullu – nawet ci, którzy chodzą do muzeów. Ale dzięki temu mogę spłacać kredyt na dom i nie przeszkadza mi

to, więc się tym zajmuję. Nie każdy kocha swoją pracę tak jak pani...

Anna. Wygłosił tę tyradę, kiedy nagrywali pytania i odpowiedzi do aplikacji i wyprowadziła go z równowagi. Co jeszcze powiedział? O Boże, co on jeszcze wtedy powiedział...

...Uważa pani moich kolegów za palantów? Więc proszę sobie wyobrazić, że ja też, z jednym czy dwoma wyjątkami. I wszyscy z nich noszą imiona, które wyglądają bardziej na nazwiska.

Ale zamiast siedzieć tutaj, co chwilę mnie prowokować i dawać mi do zrozumienia, że to wszystko wydaje się pani kretyństwem...

Harris wcisnął pauzę.

– Miło usłyszeć twoje zdanie o nas.

James stał nieruchomo, zastanawiając się gorączkowo, co powiedzieć wszystkim w biurze, którzy słyszeli, co o nich myśli. Czuł się tak, jakby obgadywał kogoś, kto niespodziewanie i po cichu stanął za jego plecami. Tyle że to doświadczenie było znacznie gorsze, pomnożone wielokrotnie.

– To z UCL. Czyżbyś się pożarł ze swoją panienką?

No jasne. Pokłócili się. Jamesowi zakręciło się w głowie. Grając na zwłokę, pochylił się, by przeczytać treść mejla. Zanim zdołał wymyślić jakiegokolwiek wyjaśnienie, Harris rzucił: – Już to wysłałem do Jeza i Fi.

Żadna niespodzianka. Do Jamesa zdążyło już dotrzeć, że zapewne będzie się musiał pożegnać z pracą. Nagranie było jak wypowiedzenie w wersji audio.

Mejl przyszedł z anonimowego konta i składał się tylko z paru zdań: „Dotarło do naszej wiadomości, że jeden z Państwa pracowników zachował się wyjątkowo nieprofesjonalnie podczas niedawnej realizacji projektu, w którym uczestniczyła nasza uczelnia. Uznaliśmy, że może Państwa zainteresować załączony plik dźwiękowy”. Temat brzmiał:

Pilne z UCL. Dot.: James Fraser.

James obliznął suche wargi.

– Nie mówiłem tego na serio. Strasznie mi wtedy dogryzała i broniłem się. Moje słowa zostały wyrwane z kontekstu.

– Fi jest akurat w Londynie i wpadnie w porze lunchu, żeby z tobą porozmawiać.

– W porządku – odparł James i wrócił do swojego biurka, by Harris nie mógł się dalej cieszyć. Przez minutę czy dwie zbierał myśli,

skołowany, wystraszony i wściekły. W końcu postanowił zadzwonić do Anny i zażądać wyjaśnień. Wymknął się z biura i po dwóch nieodebra-nych połączeniach, niemal na pewno odrzuconych, nagrał jej się na pocztę głosowej.

Jezu. A on się głowił, jak ją przeprosić. W ostatni weekend Anna wydawała się niezrównowazona, ale teraz to już naprawdę jej odbiło. Nie podejrzewał, że mogłaby się zdobyć na aż taką złośliwość. Najwyraźniej mocno się co do niej pomylił. Jak mógł ją uznać za miłą i sympatyczną? Niech to szlag. Od teraz będzie ufał pierwszemu wrażeniu.

Wrócił na swoje miejsce. Minuty mijały, rozmowy w biurze nie przekraczały poziomu ci-chego szemrania. W końcu Harris nie wytrzymał przeciągającego się oczekiwania na Fi.

– I co, James, jak się czujesz? Wiesz, że cię wykopią jak zbiorową mogiłę? – zadrwił. –

Zrobią ci wykopaliska proktologiczne, będzie wielkie kopen w dupen i wylotka...

– Bardzo śmieszne, Harris. Jak zwykle błyszczysz dowcipem – odparł James. – Chciał-

bym coś wyjaśnić. Kiedy mówiłem o palantach w pracy, do tych paru wyjątków od reguły na pewno nie zaliczyłem ciebie.

Promyk światła w najczarniejszej godzinie: jego riposta wywołała zaskakująco głośne śmiechy. Harris miał minę gnoma, któremu ktoś puścił baka przed nosem.

Rozdział 52

Wyrażenia „rzucić się w wir pracy” często używa się tak, jakby to było coś złego – odsunięcie od siebie problemów, zamiast zmierzenia się z nimi. Ale zdaniem Anny rzucenie się w wir pracy było nieskończenie lepsze od rzucenia się do rzeki, wpadnięcia w złe towarzystwo czy fa-szerowania się psychotropami.

À propos złego towarzystwa: zaskoczył ją Laurence, który zadzwonił pełen współczucia,

by jej przekazać, jak bardzo mu przykro z powodu tego, co stało się podczas „Twoich przebojów”. Anna była niemal pewna, że to ich

ostatnia rozmowa, bo nie ulegało wątpliwości, o co mu naprawdę chodzi.

Michelle miała rację – powrót do pracy dobrze jej zrobił. Po porywającym wykładzie dla trzeciego roku ruszyła przez dziedziniec uczelni do swojego gabinetu, po raz pierwszy od tygodni z uczuciem lekkości. Wrzucenie do ognia szkolnych pamiątek mogło być tylko ceremonialnym gestem, ale wywarło pożądany skutek. Wraz z nimi spaliła też kukłę Jamesa.

Po drodze z auli zdawało jej się, że słyszy dzwonek komórki. Kiedy weszła do gabinetu, odłożyła segregatory i sięgnęła do torebki, by sprawdzić, kto dzwonił. Na wyświetlaczu zobaczy-

ła, ku swemu zaskoczeniu, że to James Fraser. Zostawił jej wiadomość na poczcie głosowej.

Niedobrze. Michelle może sobie uważać, że James byłby w stanie zdobyć się na przeprosiny, ale ona ani przez chwilę nie myślała, że pozwoli mu na to jego duma. A gdyby nawet, to z pewnością nie w poniedziałek rano.

Odsłuchiwała wiadomość.

Anno. Nie mam pojęcia, w co ty, do cholery, pogrywasz, ale ten atak na mnie to było naprawdę chamskie zagranie. Możesz do mnie oddzwonić? A jeśli myślisz, że mnie spławisz, nie odbierając telefonów, to przyjdę i będę siedział na portierni tak długo, aż ze mną porozmawiasz.

Wygląda na to, że niedługo będę miał mnóstwo wolnego czasu na takie wysiadywanie.

Trzask. Koniec nagrania.

Atak? Coś tu było nie tak, i to bardzo. Usiłując wykrzesać w sobie zuchwałą odwagę, pokonała lęk i oddzwoniła. Odebrał bynajmniej nie od razu, później niż się spodziewała, ale zaraz potem po dźwiękach w tle zorientowała się, że musiał wybiec na ulicę.

– Halo? Chciałeś ze mną rozmawiać? – odezwała się. – Wcale nie...

Nie zdołała dokończyć zdania.

– Tak. Możesz mi powiedzieć, dlaczego uważasz to za adekwatną zemstę za coś, co zrobi-

łem prawie dwadzieścia lat temu? Pozbawić mnie pracy? Przecież wiesz, że mam coś, czego nie mieliśmy w wieku szesnastu lat, a co nazywa się kredytem na dom. I rachunki do płacenia.

– O co ci chodzi? Jaka adekwatna zemsta?

– Ten mejl. Z nagraniem.

– Nie wiem, o czym ty mówisz.

– O rany, to jest żałosne, nie obrażaj mojej inteligencji. Będziesz udawać, że to nie ty go wysłałaś?

Anna odsunęła krzesło i wstała. Serce zabiło jej gwałtownie.

– Przysięgam, że nie mam zielonego pojęcia, o czym ty mówisz.

Powiedziała to z taką siłą, że po drugiej stronie zapadła cisza.

– Do mojej firmy przyszedł mejl z nagraniem tego, jak wygaduję niezbyt miłe rzeczy o swojej pracy i ludziach, z którymi pracuję. To było wtedy, kiedy przygotowywaliśmy w auli pytania i odpowiedzi do aplikacji. Byłem wściekły i nie powinienem był ci mówić tego wszystkiego, ale nie miałem pojęcia, że to nagrywasz.

Anna osłupiała i poczuła delikatne mdłości.

– W ogóle nie wiedziałam, że istnieje takie nagranie. I nie wysyłałam go.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś inny z twojej uczelni podsłuchiwał tamto spotkanie i tydzień po naszej kłótni ujawnił to nagranie? Są jacyś inni podejrzeni? Chyba się obejdziesz bez Po-irota i zwoływania wszystkich do salonu, żeby to wyjaśnić.

– Chyba tak... – Anna krążyła niespokojnie po gabinecie, a telefon niemal parzył ją w ucho. – Myślałam, że nagrywamy tylko pytania i odpowiedzi. Nigdy nawet nie miałam tego pliku. Mówiłeś, że ktoś go przysłał w mejlu?

– Tak. Opisanym jako pochodzący z UCL, ale wysłanym z anonimowego konta na Gma-ilu.

– Gdybym to ja go chciała wysłać, po co miałabym się ukrywać? Jak sam zauważyłeś, i tak wszyscy są przekonani, że to ja za tym stoję.

– Więc kto to zrobił?

– Nie wiem.

James westchnął. Nie sprawiał wrażenia uspokojonego i Anna doskonale rozumiała dlaczego. Jego kłopoty nie stały się mniejsze, a w dodatku nie udało mu się zidentyfikować wroga.

– Zaczekaj...

– Co?

– To musiał zrobić mój kolega z pracy, Patrick. Tylko jemu wspominałam o naszej rozmowie. Na otwarciu wystawy bardzo mu podpadłeś. Możliwe, że wtedy w auli nagrał wszystko. Ale nie wiem, dlaczego wysłał ten plik.

– Rudy?

– Trochę.

– Chyba go pamiętam. I wiedział, że się pokłóciliśmy?

– Nie... Ja mu nie mówiłam. – Zaraz... Michelle wspominała, że Patrick się dopytywał, dlaczego Anna nie przychodzi do pracy. – Moja przyjaciółka Michelle mogła mu powiedzieć.

James westchnął.

– Cudownie. No to jestem załatwiony – stwierdził już nieco mniej gniewnym głosem.

– Masz duże kłopoty?

– Moja szefowa Fi zjawi się w porze lunchu, żeby mnie zastrzelić. Jutro znajdę się na czarnej liście w internecie, nie mam złudzeń. I pewnie w pubie, z głową na kontuarze.

– Gdybym porozmawiała z twoją szefową, może by to coś pomogło?

– Mogłabyś spróbować, ale jak Fi posłucha tego nagrania, chyba nic mnie nie uratuje. To

nie jest zwykła rozmowa dwojga osób. Trochę mnie poniosło.

– Przykro mi, James.

– Dzięki. Mnie też. Na razie. – Rozłączył się.

Rozdział 53

Anna musiała się zebrać w sobie, by móc odbyć krótką wędrowkę korytarzem do gabinetu Patricka. Nie bardzo wiedziała, co z tego wyniknie, ale była przekonana, że nic miłego. Czy Patrick rzeczywiście to zrobił? Dlaczego? Jak mógł? I jak ma go oskarżyć, żeby go... nie

oskar-

żyć?

Zastukała w drewno i weszła, gdy tylko usłyszała „Proszę!”.

– Dzień dobry! Lepiej się czujesz? – spytał Patrick. Czy był lekko podenerwowany, czy

tylko jej się zdawało?

– Znacznie lepiej, dziękuję. A co u ciebie?

Usiadła na brzegu krzesła, ledwo go dotykając pośladkami.

– Po staremu.

Brak kubków z herbatą i wyraźnie nieklejąca się rozmowa zdradzały, że to nie są zwykle poranne odwiedziny. Zegar na kominku głośno tykał.

– Właśnie miałam dziwny telefon – powiedziała Anna.

– Aha.

Anna nie miała już wątpliwości, że to Patrick stał za mejlem do Parlez. W tym „aha” nie było ciekawości. Sygnalizowało winę.

– Może powinienem wyjaśnić, że wiem, że twoja choroba miała podłoże psychologiczne, a nie fizyczne.

– Tak?

– Michelle mówiła mi, jakie straszne rzeczy powiedział ci ten człowiek. Byłem zdegustowany... – Patrick pokręcił głową, przesunął o parę centymetrów w prawo pióro na bloku do pisania i poprawił leżące pod spodem luźne kartki, tak by wyrównać ich brzegi.

– O czym rozmawiałaś z Michelle?

– Powiedziałem jej, że słyszałem od ciebie o tym całym Jamesie Fraserze, a ona opowiedziała mi o jego najnowszym wyczynie.

Anna domyśliła się, jak to musiało wyglądać. Michelle wspominała, że Patrick męczył ją pytaniami o przyczyny nieobecności Anny w pracy. Nie była nieostrożna, a jedynie szczerą z natury, Patrick zaś bez wątplenia przekonał ją, że zna całą historię z Jamesem. Tak czy owak, nie miał prawa wtrącać się w nie swoje sprawy.

Anna czuła, jak narasta w niej złość, powoli, ale systematycznie, jakby ktoś podkręcał jej poziom na wzmacniaczu.

– I uznałem, że ktoś powinien coś zrobić w twoim imieniu. Nikt się

o ciebie nie troszczy... a ty masz w sobie zwyczajnie za dużo altruizmu, żeby sama podjąć jakieś działania.

Anna tylko otworzyła szerzej oczy, słysząc tę charakterystykę swojej osoby. Patrick zdawał się drzeć.

– Miałem nagrany dowód tego, jak się do ciebie odzywał, i wysłałem to do agencji. Niech choć raz to on cierpi z powodu swojego zachowania, a nie niewinni ludzie.

Anna nie wiedziała, co za szaleństwo wstąpiło w Patricka. Wyglądało na to, że sam nie może uwierzyć, co zrobił. Odchrząknęła.

– Wysłałeś bez mojej zgody i wiedzy do firmy, z którą współpracujemy, potajemnie wykonane nagranie prywatnej rozmowy, wpłatałeś w to mnie, upokorzyłeś obcego człowieka i przez ciebie stracił pracę.

Brwi Patricka gwałtownie się uniosły.

– Wylali go?

Anna nie była w stanie dłużej nad sobą panować.

– Owszem! A w każdym razie to mu grozi! Patrick, jak mogłeś zrobić coś takiego? Wszyscy myślą, że to ja wysłałam tego mejla!

– Przepraszam. Rozzłościłem się i musiałem jakoś zareagować.

Patrick wysunął brodę, usiłując przybrać pozę bojownika o wolność spod sztandaru Wiki-leaks.

– Nie mogłeś mnie zapytać?

– Zaczęłabyś rozważać wszystkie konsekwencje, ogarnęłyby cię wątpliwości i puściłabyś to płazem.

– Jeśli twoim celem było uderzyć w moim imieniu w Jamesa Frasera, to trudno o większe pudło. Skutek jest taki, że musiałam go przeprosić i straciłam całą swoją moralną przewagę nad nim.

– Za co niby miałabyś go przeproszać?! To on się zachował jak łajdak. Wybacz, ale nie zamierzam sobie zaprzętać głowy kłopotami, w jakie mógł wpaść człowiek, który kiedyś publicznie cię poniżył.

Anna jęknęła i zasłoniła twarz dłońmi.

– A nie wydaje ci się, że jeżeli ktoś miałby go za to ukarać, to powinnam to zrobić ja?

– Jak rozumiem, próbowałaś. I on cię tak strasznie obraził, że przez

tydzień nie byłaś w stanie wyjść z domu.

Anna z trudem łapała powietrze.

– Wiem, że chciałeś mi pomóc, ale wybrałeś fatalny sposób. Nie chciałam się już nigdy więcej z nim zadawać, a teraz będę musiała posprzątać ten cały bałagan, jakiego narobiłeś.

– Jesteś pewna?

– A kto inny miałby to zrobić?

– Chodziło mi o to, czy na pewno nie chcesz go więcej widzieć.

Bo z zewnątrz wyglądało to tak, że z wroga publicznego numer jeden ten facet stał się dla ciebie kimś, z kim bardzo chętnie spędzałaś czas.

– Zapewniam cię, że moje relacje z Jamesem nie wyszły poza zwykłą znajomość.

– Co on robił w twoim mieszkaniu?

Anna zamachała rękoma.

– Oglądaliśmy film dokumentalny o Teodorze. To nie była...

Dobry Boże, nie zaprosiłam go do siebie, żeby z nim pójść do łóżka! To dlatego tak mocno zareagowałeś? Myślałeś, że mnie wykorzystał i zostawił?

– Nie, wcale nie dlatego tak mocno zareagowałem.

Patrick przełknął ślinę i znów zaczął porządkować papiery na biurku. Zapadła długa cisza.

– Zakochałem się w tobie.

Z wrażenia Anna mało co nie krzyknęła.

– Nieprawda – wypaliła niezbyt inteligentnie, nie mogąc się otrząsnąć z szoku.

– Chyba ja wiem najlepiej, co czuję – odparł Patrick ze smutnym uśmiechem, przepełnionym żalem i znużeniem.

Anna zastanawiała się, czy rzeczywiście aż tak bardzo ją zaskoczyło to wyznanie. Na jakimś poziomie świadomości musiała się domyślać, że mu się podoba, to oczywiste. Te nieco zbyt długie spojrzenia. To nieco zbyt duże zainteresowanie jej życiem uczuciowym. Obwiniła samą siebie o to, że zawczasu nie dostrzegła, co się dzieje. Ale co miałaby mu powiedzieć? „Wolałabym, żebyś mnie nie lubił w ten sposób? Proszę, nie okazuj mi tyle sympatii?”.

Wytarła w sukienkę wilgotne dłonie.

– Yhm, nie wiem, co powiedzieć.

– Nie spodziewam się, że odwzajemnisz moje uczucia, i nie dlatego ci to wyznałem. – Patrick poprawił okulary na nosie. – Wiem, że to nieszczęśliwa miłość.

Anna siedziała jak sparaliżowana. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

– Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Bo jesteśmy – odparł Patrick. – Boże, ty naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, jak dzia-

łasz na mężczyzn. Pamiętam, co o tobie mówił Roger na tym spotkaniu przy serze i winie, kiedy się poznaliśmy. Myślałem, że żartuje, że po prostu jesteś wyjątkowo sympatyczna. Ale nie.

Wiesz, że studenci wymyślają preteksty, żeby tylko móc z tobą porozmawiać w cztery oczy? Nie mówię, że twoje zajęcia o Teodorze same w sobie nie są bardzo atrakcyjne, ale wiem, co się dzieje. Dlatego nie mogłem stać i patrzeć, jak ten facet tobą manipuluje i cię podle traktuje. Zawsze wiedziałem, że prędzej czy później pojawi się jakiś drań, który wykorzysta twoją dobroć i niewinność. Nie pozwolę na to.

– Bardzo mi to schlebia, ale w wypadku Jamesa źle to wszystko zinterpretowałeś. Nigdy mi nie groziło, że mógłby próbować mnie uwieść. Albo żeby mu się to udało. To nie tak.

– Cóż, jeśli chce się dowiedzieć, dlaczego wysłałem ten plik, może się ze mną spotkać.

Przeznacz mu, że jestem u siebie, gotowy na rozmowę.

– Patrick, nie!

– Dlaczego go bronisz?

– Nie bronię go. Usiłuję ci wyjaśnić, że nikt nie musi za mnie staczać tej bitwy.

Annie przypomniał się nagle Laurence. Patrick zachowywał się jak jego łagodna wersja.

Widział w niej zdobycz, postawił ją na piedestale. A ona nie chciała stać wyżej od niego. Tyle że w przeciwieństwie do Laurence'a Patrickowi współczuła.

– Nie chcę, żeby to cokolwiek zmieniło między nami – powiedziała ostrożnie.

– Niestety, jestem pewien, że nie zmieni. – Patrick uśmiechnął się. Anna poruszyła się niespokojnie i pomyślała, że najlepiej będzie, jeśli przez jakiś czas będą się mijać z daleka. Na tyle, by ich relacje na powrót się unormowały, ale żeby jednocześnie Patrick nie poczuł się ode-pchnięty.

– Obiecuj mi coś – odezwał się, kiedy zbierała się już do wyjścia. – Jedną rzecz. Nie on.

Każdy, byle nie on. Nie jest ciebie wart.

Anna westchnęła.

– Nie mogę ci obiecywać, z kim będę się umawiać, a z kim nie. Mogę cię tylko zapewnić, że prawdopodobieństwo tego jest znikome.

– Nie wykluczasz go?

– Tylko dla zasady.

Patrick pokręcił głową.

– Powiedziałaś mi wszystko, co muszę wiedzieć.

Najpierw koledzy Jamesa, teraz jej koledzy... Wszyscy przekonani, że ją i Jamesa coś łą-

czy. Zabawne, jak bardzo się mylili. Wolałaby się już przespać z trupem Hitlera i była pewna, że James widział to podobnie.

Anna wyszła z gabinetu Patricka i wpadła prosto na kolejkę studentów pierwszego roku czekających na konsultacje, którzy słyszeli każde słowo.

Kiedy dotarła z powrotem do swojego pokoju, na telefonie zobaczyła nieodebrane połą-

czenie od mamy. Oddzwoni do niej dopiero wieczorem. Absolutnie nie miała teraz ochoty na

dyskusje o kokosowym lukrze i paterach na stoły. Wrzuciła komórkę do szuflady i zajęła się pocztą elektroniczną.

Niewiele mogła zrobić, by naprawić szkody, ale to nie znaczyło, że zupełnie nic.

Rozdział 54

Fi wkroczyła do Parlez koło południa. James dochodził już do wniosku, że kwasu w jego żołądku wystarczyłoby do rozpuszczenia zwłok. Szefowa porozmawiała przez chwilę po cichu z kilkoma pracownikami, przejrzała pocztę, a potem zapytała: – James, mógłbyś

ze mną wyjść na kawę?

Obrócił się na krześle, spięty i zakłopotany. Wolałby, żeby go zwolniono przez Sky-pe'a i żeby nigdy więcej nie musiał oglądać nikogo z agencji. W tym wariantcie czekały go katu-sze – ale przecież o to właśnie chodziło.

– Pasuje ci Carluccios? – spytała Fi. – O pierwszej muszę być po drugiej stronie miasta. –

James skinął głową i przytrzymał jej drzwi.

Żałował, że usiadł przy ścianie, ponieważ w tej pozycji widział w ukośnym lustrze nad głową odbicie swej udręczonej twarzy. Ostatnio nie przepadał za oglądaniem samego siebie.

– No to widzimy się dziesiątego, Tigs. Cześć... – Fi zakończyła rozmowę scenicznym szeptem, niczym postać z *Absolutnie fantastyczne*. Często zdarzało jej się używać sformułowań, jakich w prawdziwym życiu nikt nie używał.

– ...Uściski, moja najlepsza z dziewczyn.

Na przykład takich.

Fi wcisnęła sobie w tlenione włosy inkrustowane kryształkami okulary przeciwsłoneczne w charakterze prowizorycznej opaski.

– No dobrze. Chciałabym usłyszeć, co mi masz do powiedzenia.

– Yhm... Wiem, że to, co mówiłem, było... bardzo niestosowne. Ale chodzi o kontekst...

– Znam kontekst.

– Naprawdę?

– Tak. Odbyłam długą i owocną rozmowę z twoją... – była? – dziewczyną, która wszystko mi wyjaśniła. I muszę ci powiedzieć, że kiedy zakończyłyśmy pogawędkę, jeszcze bardziej wstrząsnęło mną to, jak idiotycznie się zachowujesz.

No to pięknie. Gem, set i mecz dla ciebie, Anno. Chciała zadzwonić do Fi, żeby mnie jeszcze bardziej pogrążyć?

– Moje zasadnicze pytanie brzmi: co ty, do cholery, wyrabiasz, pozwalając odejść od siebie tej cudownej śniadej kobiecie?

Fi klepnęła go żartobliwie w policzek, a James patrzył tępym wzrokiem, nic nie rozumiejąc.

Zaraz... Co takiego?! Jeśli to była jakaś nowa, zaawansowana

metoda zwalniania ludzi z pracy, polegająca na tym, by przed zainkasowaniem śmiertelnego ciosu poczuli się odprężeni, to nigdy jeszcze się z nią nie zetknął.

– Aha, załatwmy od razu nudne sprawy związane z już zrealizowanymi projektami. Chodzi mi o wystawę w Muzeum Brytyjskim. Otrzymaliśmy oficjalne podziękowania z muzeum za naszą aplikację i osobne z UCL, od Victorii jakiejś tam. Nie będę ukrywać, że Jez i ja jesteśmy bardzo zadowoleni z tego, jak sobie poradziłeś z tym zadaniem.

– Cieszę się. – James musiał gwałtownie zmienić bieg, by nie wyszło na jaw, że spodziewał się czegoś radykalnie innego: lądowania na zielonej trawce.

– Nie muszę ci tłumaczyć, że „cyfrowe duperele” nie są najfortunniejszym określeniem tego, czym się zajmujesz w pracy, i jak chcielibyśmy, żebyś to nazywał. Ale komu nigdy nie zdarzyło się powiedzieć czegoś nieprzemysłanego, żeby zrobić wrażenie na nowym partnerze? Kiedy poznałam Jeza, oznajmiłam mu, że najbardziej lubię się kochać w pozycji na kafar! Cha, cha, cha! Próbowaleś tego?

James przełknął ślinę i pokręcił głową. „Boże wszechmogący, bogatym rzuciło się na mózg”.

– Powiem ci tylko, że trzeba bardzo długo ćwiczyć jogę, żeby się choćby do tego przy-mierzyć. A ja miałam już wtedy trzydzieści dziewięć lat i od dawna nie bawiłam się z wyciągaczem próżniowym. Działa jak przepychacz do kibla, tyle że jest do sisi. Takie ekstremalne wygi-nanie nóg w średnim wieku to czyste szaleństwo i odjazd, ale byłam zakochana.

James zdobył się tylko na ciche „aha” i pociągnął łyk kawy.

– I jeszcze ci powiem dwie rzeczy o Annie. – Fi pstryknęła palcami na kelnera. – Gorąca woda? Super. Cudownie. Po pierwsze, nikt z nas jeszcze nigdy cię nie widział tak odprężonego jak na pięcioleciu firmy.

– Naprawdę? – Jamesa autentycznie to zaskoczyło.

– Świetny z ciebie chłopak, James, ale czasem wydajesz się trochę... spięty. Przy niej wyraźnie ci się poprawił humor. Wszyscy to zauważyli. Miałeś w oczach coś takiego, jakbyś nie mógł się

doczekać, co za chwilę od niej usłyszysz. Na Jamesa Deana zawsze można pozować, ale ważny jest śmiech. Możesz mi wierzyć, to tego potrzeba w związku, bardziej niż wygibasów w łóżku. Po drugie, ona jest w tobie zadurzona jak nastolatka. Jeszcze jej nie straciłeś, ale się pospiesz, bo takie kobiety jak ona długo nie pozostają wolne.

Fi myliła się niemal we wszystkim, mimo to zaintrygowała Jamesa.

– Serio myślisz, że tak na mnie leci? – spytał, nie wiedząc, czy udaje, czy pyta naprawdę.

Uznał, że jedno i drugie.

– Skarbie – położyła mu na ramieniu dłoń z paznokciami pomalowanymi lakierem Chanel – ona za tobą szaleje. Szkoda, że jej nie słyszałeś, jak mi tłumaczyła przez telefon, że wysłała ten plik w afekcie, bo normalnie jest kobietą nadzwyczaj zrównoważoną. Budzisz w niej szczególny rodzaj szaleństwa... i dlatego nie wolno mi cię karać za jej błąd. Powiedziałam jej, „ser-duszeko, to było zabawne”. Gdybyśmy wszyscy nagrywali, co wygadujemy w łóżku, nikt by dobrze wyglądał.

Nieoczekiwane ułaskawienie sprawiło, że James poczuł nagły przypływ głębokiej

wdzięczności i życzliwości wobec Anny. Może i jakoś się przyczyniła do tego dramatu, ale bez wątpienia potrafiła odłożyć na bok godność osobistą, by mu pomóc w wykaraskaniu się z kłopotów. Wygłaszanie przez telefon tych wszystkich superlatyw na jego temat na pewno nie przyszło jej łatwo. Anna nie miała skłonności do wciskania kitu.

– I powiem ci coś jeszcze, jako ktoś, kto przeżył dwadzieścia lat więcej od ciebie...

Ha! Bliższe prawdy byłoby raczej trzydzieści, pomyślał James. Ale w tym momencie był

gotów przyznać nawet, że Fi jest wciąż na tyle młoda, by móc zostać cheerleaderką.

– Takich kobiet jak Anna nie spotyka się wiele. Ile ty masz lat? Trzydzieści dwa, prawda?

Spójrz na to tak: jeśli znalezienie jej zajęło ci trzydzieści dwa lata, to znalezienie kogoś porównywalnego z nią może ci zająć kolejne trzydzieści dwa. Chcesz czekać, aż zamieszkas na emeryturze w willi w Cap d'Antibes, po tylu liftingach, że będziesz wyglądał jak wystrzelony z armaty, czy może wolałbyś zaznać szczęścia już teraz?

Gwoli prawdy znalezienie Anny zabrało mu jedenaście lat, ale James postanowił nie zagłębiać się w kwestie formalne. Przyszło mu do głowy, że może wskazane byłoby teraz napomknąć o ewentualnym powrocie Evy. Uświadomił sobie, że ostatnio rzadko myśli o byłej żonie.

Jedyny plus kłopotów w pracy.

– Rzecz w tym – powiedział – że... z moją żoną... nie do końca się rozeszliśmy.

Fi zamieszała kawę i pokiwała głową.

– Tak też sobie pomyślałam. Czemu się rozstaliście?

– Eva przeżyła duchowe rozczarowanie i utratę sensu życia, którą mogło uśmierzyć tylko wdanie się w romans z pewnym modelem. No i zdaje się, że kiedyś przy kolacji za dużo rozmawiałem o polityce z żoną kolegi.

– Jestem jak najdalsza od mówienia ci, co masz robić, skarbie, ale jeśli w pierwszym roku małżeństwa zostawiła cię, żeby się przespać z innym mężczyzną, to raczej zanoszą się na to, że w dziesiątym roku będziesz niezłym rogaczem, prawda? W pierwszym roku po ślubie żona powinna się zajmować wybieraniem tapet i bzykać się tak często, aż jej się wygną nogi jak na

beczce, cha, cha, cha!

„Odbiło jej. Totalnie”. James zaśmiał się zakłopotany.

– Bzykała się często, tyle że nie ze mną.

Zamilkł.

– Obiecywaliśmy sobie „na dobre i na złe”.

– A to ciekawe. – Fi przyjrzała mu się znad pianki na kawie. – Zamierzałam ci zrobić wykład o tym, że jesteś za bardzo przystojny,

masz za duży wybór i na tym polega twój problem.

Ale żeby zachowywać się tak lojalnie wobec niewiernej byłej żony? Jamesie Fraserze, czyżbyś był romantykiem?

– Nie wiem. – James uśmiechnął się. – Może już jestem za stary i za leniwy na coś innego niż monogamia.

Biorąc pod uwagę, że ledwo co uniknął katastrofy, powinien się raczej powstrzymać od

wszelkich kontrowersyjnych wypowiedzi, poczuł jednak dziwną, nieodpartą potrzebę zwierzenia się ze swoich myśli. Westchnął i powiedział:

– Fi, dobrze mi się pracowało z UCL, bo robiłem coś, co naprawdę lubię. A tymczasem dziś rano siedziałem z facetem, który chce, żebyśmy mu pomogli przepuścić spadek na wypro-mowanie serowych robaków w różnych smakach. Ostatnio jakoś nie potrafię w sobie wykrzesać entuzjazmu dla takich niepoważnych rzeczy.

Pomyślał, że Fi zaraz go przyszpili swoimi stalowymi oczami i oświadczy mu, iż zajmo-wanie się niepoważnymi rzeczami to ich chleb powszedni – z masłem i serowymi robakami.

– Zamiast jęczeć, powinienem chyba poszukać sobie czegoś nowego. Przepraszam.

„Takich rzeczy nie mówi się szefowej” – pomyślał i zmierzwił sobie włosy dłonią.

Fi zamyśliła się.

– Rozmawialiśmy z Jezem o małej reorganizacji w firmie i powierzeniu ci bardziej odpo-wiedzialnych zadań. Wiemy, że jesteś dobry i ambitny i nie chcemy, żebyś odszedł do konkuren-cji...

Wyjaśniła mu pokrótce, na czym polegałby jego awans i czym by się odtąd zajmował.

Miałby nadzorować projekty realizowane dla prestiżowych klientów, takich jak UCL, a w dodatku mógłby pracować w domu. James musiał się powstrzymać, by nie pochylić się nad stołem i nie uściskać Fi. Kto by pomyślał, że szczerłość może tak bardzo popłacać?

– Nie będę wchodzić – zakomunikowała Fi, kiedy stanęli przed drzwiami do biura. Pochyliła się i posłała Jamesowi na pożegnanie dwa całusy. Ujęła w dłonie jego twarz, czym wprowadziła go w zakłopotanie.

– A ta broda?

– Tak?

– Pozbądź się jej, skarbie. Pasowała do Bena Afflecka w *Operacji Argo*, ale on tam nie sypiał po nocach, żeby uwolnić zakładników z ambasady w Iranie. Chcemy widzieć więcej twojej pięknej twarzy.

Jamesowi ulżyło na sercu, ale zdawał sobie sprawę, że zawdzięcza to Annie i powinien jej podziękować. Wiedział też, że żadne z nich nie ma ochoty na jeszcze jedną rozmowę. Wysłał więc mejla.

To, co powiedziałaś Fi, przekroczyło moje najśmielsze oczekiwania. Uratowałaś mi tyłek.

Szczerze dziękuję.

Jx

Czas mijał, odpowiedzi nie było. Jamesa to nie zaskoczyło. Ich ostatnie kontakty nie pozostawiały cienia wątpliwości co do tego, że ta znajomość dobiegła końca – jak filmowa epopeja Metro-Goldwyn-Mayer z wielkim THE END wypisanym trzymetrowymi literami, po którym ekran może już tylko zgasnąć. Kiedy ważył w dłoni telefon, zastanawiając się, czy jednak nie powinien po prostu zadzwonić i podziękować Annie jak należy, Laurence przysłał mu esemesa, którego się obawiał.

Wspaniałe wieści! Inwazja aliantów udała się, Włochy w końcu przystąpiły do wojny! J

Poczuł w gardle nieprzyjemny smak. Przełknął ślinę.

Więc plan Laurence'a, by zadzwonić do Anny, przeprosić ją za „Twoje przeboje”, zbaje-rować i tym sposobem zdobyć jej – eufemistycznie to ujmując – życzliwość, powiódł się? Tego rodzaju języka Laurence używał tylko wtedy, gdy zaciągnął jakąś kobietę do łóżka.

W jednej chwili Jamesa opuściła cała radość i zastąpiło ją uczucie

zamętu, niepewności, żalu i czegoś, co mógł nazwać tylko bólem.

Rozdział 55

– Aureliano, dlaczego nie odbierasz komórki? – jęknęła mama.

– No bo... jest w szufladzie – wyjaśniła Anna, zaniepokojona, że mama dzwoni do niej na

telefon stacjonarny w gabinecie, co było dla niej bardzo nietypowe.

– Twoja siostra już z tobą rozmawiała? – zachrypiała Judy.

– Nie, a co się...?

– Ślubu nie będzie! Aggy i Chris się rozstali!

– Co?! Zwolnij, mamoo... – powiedziała Anna, bo ze słuchawki dobiegł potok niezrozu—

miałych słów. W końcu jednak udało jej się dowiedzieć wszystkiego. Słuchała z irytującym prze-

świadczeniem, że musiało do tego dojść, od dawna to czuła, a jednocześnie nie zrobiła właściwie nic, by temu zapobiec.

Aggy okłamywała Chrisa co do kosztów ślubu i potwornie się zadłużyła na karcie kredytowej. Chris przez pomyłkę otworzył zaadresowany do niej list z Visy, zobaczył zestawienie wydatków i natychmiast zadzwonił do Hiltona, by anulować rezerwację sali. Aggy wróciła do domu, odkryła, co zrobił, bynajmniej nie okazała skruchy i urządziła mu straszliwą awanturę. Potem wybiegła z domu, w rezultacie czego to Chris poczuł się w obowiązku przekazania rodzicom smutnej wiadomości.

– A teraz ona nie chce ze mną rozmawiać! Nie odbiera telefonu! Aureliano, ty zadzwoń i przemów jej do rozsądku!

Anna powstrzymała się od komentarza, że już wcześniej próbowała ostrzec mamę, jak to

wszystko się skończy.

– A co z Chrisem?

– Bardzo się zdenerwował. Aggy wydała czternaście tysięcy i słowem mu o tym nie wspomniała.

Annie zrobiło się słabo.

– Czternaście tysięcy? Jak ona to zamierza spłacić?

– Chris uważa, że mogła się zadłużyć na jeszcze więcej. I stracili kaucję w Hiltonie. Twój ojciec musiał się położyć.

Tata był kochanym człowiekiem, ale w sytuacjach kryzysowych zawsze reagował śpiączką.

– Nie możemy jej znaleźć. Nie odbiera telefonów od nas.

– Może jest u tej swojej przyjaciółki Marianne? Zwykle to do niej idzie, jeśli ma kłopoty.

Albo do najbliższego All Bar One.

– Nie! Nikt nie wie, gdzie jest. O Boże, co my powiemy rodzinie o ślubie...

– Mamo! – Anna w końcu nie wytrzymała. – Chyba związek Aggy i Chrisa jest trochę ważniejszy niż to, czy stracisz twarz przed ciocią Bev? A w ogóle, to kocham moją siostrę, ale bardzo się cieszę, że Chris przerwał ten obłęd.

– Ale co za wstyd! Twoja siostra będzie załamana. Od miesiący o niczym innym nie myślała.

Tak. A mama od samego początku tylko ją podkręcała. Anna miałaby sporo do wygarnięcia jej w tej kwestii. Ale to nie była odpowiednia pora.

Wyjęła komórkę i zadzwoniła do Aggy, spodziewając się, że nie odbierze. O dziwo jednak usłyszała w słuchawce jej głos.

– Pewnie mi zaraz powiesz: „A nie mówiłam!” – warknęła.

– Chcę sprawdzić, czy nic ci się nie stało.

– To koniec, Anno. Ze mną i Chrisem. Po wszystkim.

– Nie mów tak. Pokłóciliście się, a to można jakoś rozwiązać.

– Jak? Masz dwadzieścia kawalków? Załatwisz mi z powrotem salę w Hiltonie, po tym jak Chris anulował rezerwację? – rozpaczła Aggy.

Anna, choć stała po stronie Chrisa, nie mogła całkowicie bezkrytycznie zaaprobować jego decyzji. Owszem, powstrzymał Aggy przed dalszym rujnowaniem się, najpierw jednak powinien był przeanalizować dokładniej wszystkie konsekwencje. Jakkolwiek to jego narzeczona wpakowała ich w tarapaty finansowe, należało wspólnie się zastanowić, jak z nich wybrnąć. Trudno bę-

dzie apelować do rozsądku Aggy, gdy odebrano jej najwspanialszy dzień w życiu.

– Przyjadę do ciebie. Gdzie jesteś?

W tle Anna słyszała przejeżdżające samochody i uliczny zgiełk.

– Idę się urząnąć i cieszyć tym, że znów jestem wolna.

– Przestań się wygłupiać, Chris cię wcale nie zostawił. Wyjdziecie z tego...

W tym momencie Anna usłyszała stłumiony męski głos.

– Kto jest z tobą? – spytała. Aggy miała wyłącznie przyjaciółki.

– Laurence. Zabiera mnie na koktajle. Później pogadamy. Cześć!

– Laurence? – krzyknęła Anna, ale było już za późno, bo Aggy się rozłączyła.

Wściekła, ponownie wybrała jej numer. Laurence. Co się dzieje, do cholery? Dlaczego akurat on miałby z nią iść do jakiejś knajpy? Doskonale wiedziała, że jeśli się interesuje jej siostrą, to przede wszystkim w aspekcie łóżkowym. Jak on w ogóle zdobył telefon do Aggy? Przypomniała sobie, co James mówił jej o przebiegłości Laurence'a w sprawach męsko-damskich.

„Wybrany numer jest wyłączony”.

Myśl, powtarzała sobie. Uspokój się i pomyśl. Przychodziło jej tylko do głowy, że Laurence tym razem postanowił spróbować szczęścia z Aggy, a ona spóźniła się o kilka chwil i nie zdążyła jej ostrzec, iż to nie jest ktoś, przy kim można zapijać smutki.

Do diabła. Wzburzenie i irytacja zaczęły ustępować miejsca zdenerwowaniu i bezsensownej panice. Z rodzicami też nie mogła się podzielić swoimi obawami. I na pewno nie z Chrisem.

Anna krążyła po gabinecie. Odczekała piętnaście minut i znów spróbowała się dodzwonić do Aggy. Nic z tego, wyłączyła telefon i pewnie szybko go nie włączy. Szybko za to się upije.

Trzykrotnie zadzwoniła do Laurence'a. Jego komórka była włączona, ale jej nie odbierał i uruchamiała się tylko poczta głosowa. Anna miała nieodparte wrażenie, że tego wieczoru zignoruje każdy telefon od niej.

Pozostawało tylko jedno wyjście. Był ostatnią osobą, z którą chciałaby rozmawiać, ale nie miała wyboru.

Rozdział 56

– Cześć, James – powiedziała, starając się, by zabrzmiało to pojednawczo, neutralnie i z godnością. – Przepraszam, że ci zawracam

głowę. Dwa razy w ciągu jednego dnia. Masz szczęście.

Wydawał się lekko zaskoczony i w nie mniejszym stopniu nieufny, ale uprzejmy. Anna przedstawiła mu pokrótce małżeńskie i finansowe perypetie Aggy, a potem dodała, w którym towarzystwie aktualnie przebywa jej siostra.

– Znasz go najlepiej. Byłby w stanie ją wykorzystać w tej sytuacji? Posunąłby się do tego? Proszę, powiedz mi, że tylko popadam w paranoję... – urwała bezradnie.

Pauza.

– Hm. Chyba wiesz, co ci powiem. Próbowałem cię przed nim ostrzec.

– Skąd wziął numer Aggy?

Miała nadzieję, że to nie James mu go przekazał.

– Laurence zbiera numery atrakcyjnych kobiet, tak jak większość z nas zbiera punkty w hipermarketach. Pewnie go wydębził od niej w teatrze. Albo znalazł w internecie.

– Nie...

Cisza. Anna pomyślała, że wciąż jeszcze musi być wściekły o to nagranie. Zacisnęła zęby, w duchu przeklinając Aggy.

– Nie wiesz, dokąd mogli pójść? – spytała. – Nic mi nie przychodzi do głowy, a bardzo się martwię, co z tego może wyniknąć przy ich charakterach.

– Dokąd Laurence zabiera kobiety? Powinnaś to chyba wiedzieć równie dobrze jak ja?

Anna nie bardzo zrozumiała sens tej uwagi, zwłaszcza że została wypowiedziana nieco zaczepnym tonem.

– Próbowałam się do niego dodzwonić, ale nie odpowiada. Jest z moją siostrą, ma złe zamiary, więc pewnie dalej nie będzie odbierał. Mógłbyś spróbować z nim porozmawiać?

– I powiedzieć mu co?

– Cokolwiek, byle zdradził, gdzie się znajdują.

W końcu, po długiej przerwie, James odparł zduszonym głosem:

– Dobrze, oddzwonię do ciebie.

Jej telefon zadzwieczał kilkadziesiąt sekund później.

– Przykro mi, Anno, ale wyłączył komórkę.

– Nie... To jakiś koszmar... – Przez chwilę Anna nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa, usiłując opanować gotującą się w niej frustrację.

– Czy Aggy wie, że... też się umawiałaś z Laurence'em?

– Nie wspominałam jej o tym. I dlatego to moja wina. Gdybym była normalną, spokojną siostrą, która się dzieli takimi sprawami, powiedziałabym jej, że Laurence to kawał drania.

Anna czuła, że James wolałby już zakończyć tę rozmowę, ale górę wzięła w niej potrzeba zwierzenia się komuś.

– Wiem, co będzie dalej. Aggy się urznie w trupa, wpadnie w łapy Laurence'a i zniszczy wszelkie szanse pogodzenia się z Chrisem. W najgorszym wypadku może nawet uznać Laurence'a za fajnego faceta i spotykać się z nim dłużej, dopóki jej nie spławi za nie wiadomo ile tygodni.

– Naprawdę myślisz, że ona to zrobi? Przecież wciąż jest zaręczona, prawda?

– Formalnie rzecz biorąc, rzuciła Chrisowi pierścionkiem i zerwała zaręczyny.

– Słuchaj, spróbuję jeszcze raz złapać Loza, pewnie jadą metrem.

– James. – Anna ścisnęła grzbiet nosa. – Oni nie są w metrze.

Oboje wyłączyli komórki, żeby nikt z nas ich nie znalazł i nie przeszkodził im we wspólnym spędzaniu wieczoru.

Pauza.

– Tak. To pasuje do Laurence'a.

– Boże, pluję sobie w brodę.

– Ale to jest decyzja Aggy, nie twoja. Jeśli twoja siostra nie chce wyjść za mąż, nie możesz jej zmusić.

– Sęk w tym, że ona chce. Od miesięcy o niczym innym nie gada.

– Ale boisz się, że w pierwszy wolny wieczór spontanicznie pójdzie do łóżka z Lozem?

Mocne stwierdzenie.

– W tej chwili jest wściekła i nie przemyślała tego. Na te wszystkie

emocje nałoży się jeszcze słodki alkohol i już w ogóle przestanie myśleć. Wtedy zajmie się nią Laurence.

Pauza.

– Dobra, przepraszam za to, co teraz powiem, ale zawsze pozostaje plan B. Jeśli nawet dojdzie do czegoś z Lozem, to czy ktoś inny musi o tym wiedzieć?

– Moja siostra nie umie kłamać. Zresztą pomyśl: czemu nie kazała sobie przysłać wycią-

gów z karty kredytowej do pracy? Wcześniej czy później to też wyjdzie na jaw, zwłaszcza jak Chris się zorientuje, że nikt z jej znajomych ani rodziny nie ma pojęcia, gdzie ona się dzisiaj podziewa.

Anna wpatrywała się w zapleśniałą butelkę po mleku, która służyła jej do podlewania monstery zwanej Borysem.

– To jak leżący na stole odbezpieczony pistolet.

– Nie da się kontrolować wszystkich zachowań drugiego człowieka. Ludzi, którzy się zaręczyli ze sobą, na ogół nie trzeba ostrzegać przed węzami czającymi się w trawie. A jeśli nawet to zrobisz, to oni sami dokonują wyborów. Wiesz przecież.

– Niestety nie potrafię się uwolnić od poczucia odpowiedzialności za to, że ich ze sobą poznałam. Cóż, zapowiada mi się miły wieczór spędzony na bezowocnym krążeniu po ulubionych knajpach Aggy.

Zakończyli rozmowę, uprzejmie, ale sztywno. James wydał się Annie roztargniony, jakby

pogrążony w myślach. Pewnie się zastanawiał, jak to możliwe, że te niepozbane, wulgarne Włoszki w ogóle wkroczyły w jego wspinały świat.

Jakież to irytujące, że nawet duże życiowe zmartwienia nie są w stanie unieważnić tych mniejszych. Aggy straciła fantastycznego narzeczonego i narobiła potwornych długów – to były poważne sprawy. A sama myśl o tym, że Laurence miałby uczynić z jej młodszej siostry swą kolejną łózkową zdobycz, budziła w Annie odrazę. Czemuż więc w tych okolicznościach obchodzi-

ło ją, co o niej myśli James Fraser? I dlaczego tak bardzo ją gryzło, że straciła twarz, zmuszona zwrócić się do niego o pomoc? Wydawało się przecież, że niczego tym nie zmieniła.

Rozdział 57

James na tyle dobrze znał łowieckie zwyczaje Laurence'a, że lista miejsc, w których nale-

żało go szukać, ograniczała się do kilku. Ale znalezienie go razem z Aggy było tylko pierwszym etapem. James nie bardzo wiedział, co robić potem. Tubylcy mogą być wrogo nastawieni.

W większym czy mniejszym stopniu na pewno będzie to dotyczyło Laurence'a. Jak się zachowa Aggy, nie potrafił przewidzieć.

Dlaczego to robił? Nie umiałby podać prostej odpowiedzi. Po sprawdzeniu trzech barów z listy zaczął odczuwać pewną absurdalność tych poszukiwań. Laurence przypominał cieniutką igłę w londyńskim stogu siana. Kiedy James dotarł do mrocznego Zetter i rozglądał się wśród go-

ści usadowionych na obitych rdzawym aksamitem sofach, był już niemal przekonany, że to nie ma sensu.

Gdzieś w tym olbrzymim mieście, za stylowymi oknami jakiegoś innego anonimowego baru siedział Laurence. Rękę położył na oparciu za plecami Aggy i opowiadał jej anegdotę o bliź-

niaczkach z Courcheval, zdaniem Jamesa od początku do końca zmyśloną. Nie istniało nic takiego jak telepatia między bliźniętami.

Był już tak pewien fiaska swojej misji, że nie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy nagle

dostrzegł radośnie zalaną Aggy. Siedziała rozwalona na fotelu zdobionym brokatem, z sukienką tak mocno podciągniętą, że widać jej było klin w rajstopach. Była sama, ale drink stojący po drugiej stronie stołu sugerował, że to tylko chwilowy stan.

James ściągnął ramiona i ruszył do boju. Na jego widok Aggy wyprostowała się.

– James! Co ty tu robisz? Niesamowite...

Bogu dzięki, że przynajmniej do niego nie żywi żadnej urazy. James uśmiechnął się do

niej. Szkliste, błyszczące oczy i entuzjizm, z jakim wymachiwała ręką w powietrzu, powiedziały mu, że jest kompletnie pijana.

– Masz ze mną na pieńku – wybełkotała. – Nazwałeś moją siostrę poczwara.

James skrzywił się. Właśnie dlatego tu przyszedł. Miał wobec Anny dług do spłacenia.

– Nigdy nie powinienem był tak mówić – rzekł. Ciemne loki i oczy Aggy przypominały mu Annę. Coś go ukłuło. – Przepraszam.

– To ją powinieneś przeprosić – mruknęła Aggy. Odgarnęła włosy i, podnosząc szklankę do ust, czknęła. – I za tamto w szkole też.

– Chyba już nie chce mnie nigdy więcej widzieć.

– Nie chce. Mówiła, że żałuje, że się spotkaliście.

James potaknął w milczeniu i przełknął ślinę.

– Było gorzej, wiesz – powiedziała Aggy, nagle jakby przytomniejąc.

James gwałtownie szarpnął głową.

– Z czym?

– Bardziej to przeżyła, niż sądzisz.

Aggy wbiła w niego wzrok, a Jamesa ogarnęło upiorne wrażenie, jakby patrzył na coś nieokreślonego, przemykającego w mroku. Coś nieznanego, czego istnienie wyczuwał, ale nie potrafił tego nazwać.

W głębi baru pojawił się Laurence. Na widok Jamesa, który mógł zwiastować najrozmaitsze rzeczy, pociemniała mu twarz.

– James tu jest! Co co zbieg oko... okoli... czności – wydukała Aggy.

– Jakie miałem szanse? – James obrócił się do Laurence’a. – Mniej więcej... jeden do ośmiu?

Oczy Laurence’a wyglądały jak dwie szparki.

– Loz przyniósł mi najlepszy koktajl, spróbuj, spróbuj! – Aggy wciskała Jamesowi do ręki ciężką szklankę o bardzo grubym dnie. – Nazywa się Wojownik. W środku jest Feret Bankier.

– Fernet Branca – mruknął Laurence.

– Wojownik? Bardziej by pasował Kłusownik – zauważył James, pociągnąwszy łyk, a na twarzy Laurence’a odmalowała się jeszcze większa irytacja. – Mmm. Niezły ten Feret Bankier.

Spojrzał na Loza, po czym odstawił szklankę i zwrócił się do Aggy.

– Anna mówi, że pokłóciłaś się z Chrisem.

– No. – Dziewczyna zmarszczyła czoło i obciągnęła sukienkę na udach. – Nie będzie ślu-bu. To on zachował się jak dupek.

– Nie odbierasz telefonu.

– Laurence mi powiedział, żeby go wyłączyć.

– Przypuszczałem, że może zostać twoim doradcą i rzecznikiem prasowym. – James

uśmiechnął się do wyraźnie już wściekłego Laurence'a. – Anna usiłuje się z tobą skontaktować.

– Rozmawiałeś z nią? Jest z Chrisem? – Aggy próbowała się skupić.

– Nie, a w każdym razie nie była. Może po prostu włącz telefon i powiedz jej, że z tobą wszystko w porządku?

– Opieprzy mnie tylko, że wydałam tyle pieniędzy. Jest na mnie zła, jak oni wszyscy.

– Nie jest. Wiem to na pewno. Chce tylko wiedzieć, że nic ci się nie stało. Mogę jej przekazać, że tu siedzisz?

– Niiieeee! – Pijane oczy rozszerzyły się gwałtownie i Aggy wycelowała w Jamesa palec.

– Ani się waż.

James uniósł obie dłonie w pojednawczym geście.

– W porządku, w porządku.

– Muszę iść do kibla – oznajmiła. – Nigdzie nie odchodź – rozkazała Jamesowi z pijacką stanowczością. – Obiecuj mi, że zostaniesz.

– Przysięgam na życie Laurence'a. Nigdzie się nie wybieram – zapewnił ją James, kreśląc palcem znak krzyża na piersi.

Aggy ruszyła do toalety, potykając się o niski podnózek. Kiedy znalazła się poza zasię-

giem słuchu, James odwrócił się do Laurence'a.

– Ona jest zaręczona, Loz.

– I co? Nie ściągnąłem jej tu siłą.

– Pokłócili się, a ona się upiła. Co nie zmienia faktu, że nadal jest zaręczona.

– To nie moja sprawa. Nie mój cyrk, nie moje małpy.

– I nie twoja narzeczona. Dlatego zamierzam odwiedzić Aggy

do domu.

– To dorosła kobieta. Kim ty jesteś, żeby jej mówić, co ma robić?

– Nie zamierzam jej mówić, co ma robić. Zwrócę jej uwagę, że dobrze by było pojechać do domu, i zaproponuję, że ją odwiozę. Jeśli jest zdecydowana przespać się z tobą i uprze się, żeby zostać, w porządku. Ale coś mi mówi, że wcale nie ma tak jasno określonych planów na ten wieczór jak ty.

– Cóż za szlachetność. I oczywiście robisz to absolutnie bezinteresownie? Nie liczysz na

złotą gwiazdkę od jej siostry?

– Nie liczę. – James pociągnął łyk koktajlu Aggy i skrzywił się, gdy zapiekło go w gardle.

– Jasne. Z egoizmu i kurtuazji wobec dam przeszkodzisz mi w dmuchanku. Prawdziwy z ciebie przyjaciel.

– Więc zagrywamy kartą przyjaźni, tak? Dobra, w takim razie proszę cię o przysługę dla kumpla: zostaw Aggy w spokoju. A może to... – przesunął ręką między Laurence'em a sobą – nic nie znaczy, kiedy w grę wchodzi kobieta? Każdy sobie rzepkę skrobie?

– Ty mi to powiedz.

– Co?

– Czemu Anna tak bardzo mnie nie znosiła?

– Yhm... Pewnie z powodu tego wszystkiego, co mówiłeś i robiłeś.

– Nie znosiła mnie, ponieważ to ty kreowałeś się na najsympatyczniejszego faceta w pokoju, a mnie przedstawiałeś jako Pana Wrednego.

– Próbujesz zaciągnąć do łóżka jej pijaną siostrę, ale uważasz, że to ktoś inny obsadził cię w roli czarnego charakteru?

– A ty przekonałeś sam siebie, że masz jak najuczciwsze zamiary, i w tym cały kłopot.

Klasyczny przypadek uwierzenia we własną propagandę. Jesteśmy tacy sami.

James zaśmiał się z niedowierzaniem. Samousprawiedliwianie się Laurence'a przypominało labirynt. Zaprojektował go i szczelnie zamknął wszystkie wyjścia; kto znalazł się w środku, we władzy tej logiki, nie był w stanie wydostać się stamtąd.

Przyglądając się Lozowi, ponuremu i gniewnemu, James zdał sobie sprawę, że rozczarował się nie tyle nim, ile przede wszystkim sobą samym. W Laurensie porażało nie to, kim był, ale kim nie był. A poza tanimi grepsami i nikczemną przebiegłością dostrzegął w nim niewiele.

I ktoś taki został jego najlepszym kumplem? Co to mówiło o samym Jamesie? Wydawało mu się, że Laurence odpowiada jego pragmatycznemu cynizmowi i trzeźwemu poczuciu humoru.

Teraz uświadomił sobie, że w rzeczywistości zbliżyło ich do siebie wszystko to, co najgorsze.

Upodobanie do osądzania innych ludzi, szydzenia z nich, pogardzania nimi. Ale nie troska o nich.

Przez całe życie James uważał się za kogoś lepszego od innych. I co osiągnął? Miał żonę, która go nie kocha, przyjaciela, który go nie lubi, i kota, który nie potrafi nawet zrobić kupy poza domem. Być może za późno już było, by naprawić wszystko, ale mógł przynajmniej spróbować naprawić to jedno.

– Chcesz, żebym zadzwonił po Annę i zrobił tu scenę? Czy może załatwimy to dyskretnie i zabiorę Aggy do domu?

Laurence posłał mu krzywy, wilczy uśmiech.

– Ja się nigdzie nie ruszam. Powodzenia w sztuce perswazji, panie hipnotyzerze.

James rozważał, co robić. Czuł, że powinien to rozegrać subtelnie. Mógłby zadzwonić po

Annę i przetrzymać Aggy w barze aż do jej przyjazdu. Ale dziewczyna była w wojowniczym nastroju i gdyby nagle zjawiła się tu jej spięta siostra i kazała jej ze sobą wracać do domu, skutek mógłby być dokładnie odwrotny do pożądanego. Chyba bezpieczniej będzie osiągnąć cel małymi krokami.

Aggy wróciła i padła na sofę.

– Rany, cały dzień nic nie jadłam. Chyba tu podają jakieś przekąski?

– Świetny pomysł, zjesz coś ze mną? – spytał James.

– A może chciałabyś się jeszcze czegoś napić? – dodał Laurence.

– Bo ja wiem... – Aggy spojrzała na centymetr płynu, jaki pozostał na dnie jej szklanki, potem na Jamesa, Laurence'a i z powrotem

na drinka. – Miałabym ochotę na martini z płatkami róży.

– Znakomicie – ucieszył się Laurence i pstryknął palcami na barmana.

James obrócił się do Aggy. Miał przeczucie, że ona niezupełnie zdaje sobie sprawę, na co się zanosi, i postanowił zaryzykować.

– Laurence zarezerwował tu apartament. Kiedy już nie będziesz w stanie chodzić, zabierze cię na górę, zaprosi do korzystania z barku w pokoju, a potem pomoże ci się rozebrać. Jeśli tego chcesz, twoja sprawa. O ile tylko podejmiesz świadomą decyzję.

– Przypomnij nam, jesteś jej opiekunem w AA czy ojcem? – zadrwił Laurence.

– Serio? – Aggy spojrzała na niego. – Masz tu pokój?

Laurence'owi ledwo drgnęła powieka.

– Nie – oświadczył po sekundzie milczenia. – A co, chciałybyś?

Aggy zachichotała. James poczuł, że argument wyslizguje mu się z rąk.

Zjawił się barman. Laurence zamówił dwa koktajle i nic dla Jamesa. Tego nagle olśniło.

– Mógłby pan to zapisać na pokój Laurence'a O'Grady'ego? – spytał.

– Oczywiście, proszę pana. – Barman uklonił się i odszedł.

– No i co? – triumfował James.

– On nie wie, czy mam tu pokój. Przecież ci nie powie, że nie robi tego, o co go prosisz.

– Dowiemy się wszystkiego, jak wróci. Nie przyniesie rachunku za drinki, to będziemy mieć dowód, że Laurence łże jak pies.

– Odwal się! – warknął Loz. – Nie jesteś tutaj mile widziany.

– Jest! – zaproponowała Aggy. – Czemu mielibyśmy go tu nie chcieć?

Laurence spojrzał na nią spode łba. Nie krył rozdrażnienia tym, że James go przechytrzył.

Aggy przyglądała mu się skonsternowana. James miał nadzieję, że ten wybuch Laurence'a prze-bije się przez mgłę Fereta Bankiera.

– A jeśli nawet mam pokój, to co z tego? – rzucił Laurence.

– Naprawdę zarezerwowałaś? – spytała Aggy, obciągając sukienkę

na udach i spoglądając z nieco mniej pewną miną.

– Nie. Ale gdybym to zrobił, jakie by to miało znaczenie? Wszyscy jesteśmy dorośli.

– Myślałeś, że się z tobą prześpię, tak po prostu? – zdziwiła się Aggy.

– Nie! – Laurence zagrzechotał lodem w szklance. – Nie słuchaj Jamesa. Udaje samaryta-nina, żeby samemu przelecieć twoją siostrę.

Aggy zmarszczyła brwi.

– Anna nie chce go więcej widzieć.

– Jaka szkoda – zadrwił Laurence. – Ciekawe, jakież to akt bezinteresowności mógłby sprawić, że zmieni zdanie?

Usiłował przedstawić Jamesa w jak najgorszym świetle, ale się przeliczył. Tego, że James robi coś wyłącznie po to, by się przypodobać Annie, Aggy nie uważała za równie niestosowne.

Wyglądała, jakby się zastanawiała, dlaczego odebranie jej przez Jamesa Laurence'owi miałyby wprawić siostrę w euforię.

– Hmm. Ani śladu rachunku za drinki, które prosiłem zapisać na twój nieistniejący po-kój – zauważył James. Loz rzucał wściekle spojrzenia, a Aggy sprawiała wrażenie lekko zagubio-nej.

James wstał. Musiał wykorzystać tę chwilę przewagi.

– Aggy. Może byś pojechała ze mną? Jeśli teraz zjesz coś konkretnego, to jest szansa, że unikniesz kaca.

– Dobra. – Po chwili wahania Aggy podjęła decyzję. – Przepraszam.

– Chuj z tobą, księżniczko – syknął Laurence.

Na twarzy dziewczyny odmalowała się konsternacja.

– Schowaj dobrze ten język, żeby ci go nie ukradli – powiedział James i cmoknął z dezaprobatą.

– Więcej do mnie nie dzwoń – rzucił mu Laurence.

– Twoje słynne hasło! I nie musiałem nawet rozkładać nóg, żeby je usłyszeć. – James pociągnął łyk jednego z dopiero co przyniesionych koktajli. – Laurence, masz na to moje słowo.

Więcej do ciebie nie zadzwonię.

Rozdział 58

James rozważał przez chwilę skorzystanie z publicznego

transportu, potem ocenił stopień nietrzeźwości Aggy i znów się zastanowił. Nie uśmiechało mu się wleczenie do metra kobiety, która ledwo trzymała się na nogach.

Aggy stała, trzęsąc się z zimna, gdy bezskutecznie próbował złapać którąś z przemykają-

cych obok taksówek. Zdjął płaszcz i podał jej.

– Jedziemy do Burger Kinga? – spytała. – Trochę mi niedobrze. –
Odrobinę szczykała zębami.

– Chyba najlepsze będzie łóżko – odparł James. – Żebyś nie zarzygała taksówki.

Zadzwoił do Anny i zaproponował, że dostarczy zgubę. „Jedna siostra, trochę sponiewierana, ale nieuszkodzona”. Anna, która dopiero co wróciła do domu po własnych beznadziejnych poszukiwaniach, nie kryła zaskoczenia i ulgi. To sprawiło, że James ucieszył się, iż zdecydował się zaangażować w tę sprawę.

Wreszcie podjechała jakaś taksówka i wsiedli. Aggy oparła głowę na jego ramieniu, a on starał się nie poruszać, kiedy mknęli przez miasto.

– Co się właściwie stało? Naprawdę zerwałaś ze swoim facetem?

– Chris odwołał mój ślub! Nigdy mu nie wybaczę.

– Tylko dlatego, że cię nie było na to stać. Nie zrobił tego, żeby cię wkurzyć. O ile wiem, zawsze się troszczył, żebyś była szczęśliwa, ale ty też musisz myśleć o nim. Na wydawanie forsy, której nie masz, nie mógł machnąć ręką.

– Ale to było moje marzenie. Zaplanowałam wszystkie szczegóły.

– Aggy, na ślubie świat się nie kończy. Ważne jest małżeństwo. Mam za sobą taki ślub na

pokaz, z długą listą najróżniejszych wspaniałości. I co z tego? Nie żyje się na Instagramie.

– Tylko tak mówisz. Założę się, że twój ślub był superfajowy.

– Naprawdę tak uważam. Aggy, tak bardzo skupiasz się na detalach, że zapominasz, co

naprawdę się liczy. Następnego dnia absolutnie nikt, nie wyłączając ciebie, nie będzie pamiętał, czy na weselne śniadanie podano kiełbaski z czosnkiem i jałowcem, czy nie. No chyba, żeby się ktoś nimi

zatrzał.

– Myślisz, że ożenisz się jeszcze raz? – spytała Aggy.

– Ha! Mało prawdopodobne, bez względu na to, kogo mi przyniesie przyszłość. – James zamilkł. Takimi wyznaniem nie przysłuży się sprawie. – Kochasz Chrisa, prawda? To jest właściwy facet dla ciebie?

Aggy pociągnęła nosem na jego ramieniu i przytaknęła.

– Nie zdajesz sobie sprawy, że masz lepszą pozycję startową niż większość ludzi. Jedno małżeństwo na trzy okazuje się nieudane. Z moim włącznie.

– Ale jestem taka rozczarowana. Wiem, że gadam jak rozkapryszony bachor, ale kiedy bardzo czegoś pragniesz, wszystko inne schodzi na dalszy plan. Oglądałam sale w całym Londynie i ta w Hiltonie jest idealna.

– A czy to musi być w Londynie?

– Przecież tutaj mieszkamy.

– No tak, ale jesteś pół-Włoszką, prawda? Świetny powód do wyniesienia się za granicę.

– Tyle że mój tata nie pochodzi z Mediolanu ani z Rzymu, ani z żadnego wielkiego miasta. Urodził się w górach.

– No właśnie. Ślub w takim miejscu nie będzie banalny i cię nie zrujnuje. Wynajmij jakąś ładną, dużą stodołę, załatw trochę tanich biletów lotniczych i po krzyku. Takie wesele ludzie zapamiętają. Ilu twoich znajomych żeni się w...?

– To miasteczko nazywa się Barga – powiedziała Aggy.

– W Bardze. Rozumiesz? Będzie absolutnie wyjątkowo.

– Ale kto tam przyjedzie?

– Każdy, kogo zaprosiłaś do Londynu. Jeśli ktoś ma ochotę być na twoim ślubie, zrobi wszystko, żeby tam dotrzeć. A jeśli nie ma, to czym się przejmować?

– Mmmm. Chyba masz rację.

Silnik taksówki szumiał cicho, a Aggy pogłężyła się w myślach. James niemal widział te

obracające się kółeczka zębate w jej głowie.

– Przypuszczam, że lokal dużo by nie kosztował... Pensjonatów

też tam nie brakuje...

A co z wieczorem panieńskim? Planowałam weekend na Ibizie. Trzeba by go zrobić tutaj.

– Może u Michelle? Ma restaurację. Bardzo bym chciał mieć kumpelę z własną knajpą.

– Tak...? – Aggy usiadła bardziej wyprostowana. – A suknia? – Znów opadła. – Za co ja

ją kupię? W styczniu dostanę premię, ale to za późno.

James zastanawiał się, jak daleko zamierza się posunąć w tym dziele odkupienia grzechów. Pieprzyć to. Skoro się powiedziało A, trzeba powiedzieć i B.

– Ile potrzebujesz?

– Dwa tysiące.

– Mogę ci pożyczyć.

– Poważnie?! – Aggy zagryzła wargę. – Chyba powinnam odmówić, co nie? Anna by mi kazała.

– Wiem, że zdarzają ci się napady rozrzutności, ale zasadniczo wydajesz się osobą zrównoważoną i masz stałą pracę. Dasz radę oddać mi to w ciągu kilku miesięcy?

– Oddam ci do końca stycznia! Jak bum cyk cyk!

– Tyle czasu to nie problem, mogę poczekać. Ale proponuję, żeby to zostało między nami.

– Jesteś niesamowity, Jamesie Fraserze.

Taksówka w końcu zatrzymała się pod domem Anny.

Aggy odpięła pasy i oddała Jamesowi płaszcz. Machnął ręką, gdy zaczęła grzebać w to-rebce. Nie był pewien, czy chce się widzieć z Anną, czy nie, ale nie dane mu było uniknąć tego spotkania, bo już otworzyły się frontowe drzwi i na zapuszczoną ścieżkę wylało się światło.

Po chwili cmokania i ściskania się Aggy podreptała do środka, mrużąc coś o bajglach z nutellą.

– Dziękuję – powiedziała Anna. Stała z założonymi rękoma, w bluzie z długimi rękawami, bo zrobiło się bardzo zimno. – Obeszłam wszystkie All Bar One w promieniu pięciu mil i miałam już ochotę wycić do księżycy. Dała ci coś za taksówkę czy ja mam to zrobić?

– Dała, nie martw się – odparł James. Uśmiechnęli się zakłopotani.

– Przepraszam. Ostrzegałeś mnie przed Laurence’em. Nie wyobrażałam sobie, że mógłby się dobierać do Aggy.

– Taaa... Ty i on, to się nie mogło dobrze skończyć.

Anna zmarszczyła brwi.

– Chodzi ci o tę randkę na lodowisku? Myślisz, że się na mnie wkurzył, bo nie chciałam się z nim więcej widywać?

– Sądziłem, że niedawno znów się spotkaliście.

Anna zrobiła zdziwioną minę.

– Nie?

James poczuł ukłucie nadziei, które sprawiło, że wypalił bez zastanowienia.

– Nie bzykałaś się z nim?

„Lepiej już tego nie mogłeś ująć”.

– Jasne, że nie. Mój ostatni kontakt z Laurence’em to był jakiś mętny mejl, w którym zważył całą winę za „Twoje przeboje” na ciebie. Napisał mi, że rozumie, jak ja się czuję, ponieważ też się kiedyś ośmieszył przy jakiejś sknoconej prezentacji handlowej. Odpisałam mu, żeby spadał na drzewo. Przy okazji: dzięki za ujawnienie mu, kim jestem.

– Boże... przepraszam cię... – wyjąkał James. – Loz przysłał mi esemesa... Coś o Włoszech... że przystąpiły do wojny...

Anna przestąpiła z nogi na nogę.

– Z jednego esemesa wyciągnąłeś aż takie wnioski?

– Yhm... Mea culpa.

– Licznik ci bije – zauważyła Anna, drżąc. Odwróciła się i ruszyła za Aggy do mieszkania.

Wsiadając z powrotem do taksówki, swego czarnego rydwanu rycerza, James zrozumiał, co się stało. Esemes dotyczył Aggy, nie Anny. Kiedy Laurence w końcu dał sobie spokój z Anną, najwyraźniej przystąpił do realizacji planu rezerwowego. Całe to zamieszanie wywołał celowo – by sprawdzić, czy Jamesa to ruszy i potwierdzi w ten sposób, że jednak Anna go interesuje.

Tak czy siak, zabawa w harcerzyka właśnie się skończyła. Zdobył się na szlachetny gest, który powinien był mu poprawić reputację

w oczach Anny, ale ten sukces od razu przekuł w po-rażkę, obrażając ją swoimi domniemaniami. Powinien sam siebie przeklinać. Pozytywne było natomiast to, że bynajmniej nie kręciła z Laurence'em. Nie przypuszczał, że ta wiadomość tak bardzo mu poprawi humor.

Kiedy taksówka zatrzymała się przed jego domem i James usłyszał od kierowcy potworną kwotę do zapłacenia, zauważył w lusterku, że nie zdając sobie z tego sprawy, uśmiecha się.

Rozdział 59

– Więc decyzja zapadła? Będzie we Włoszech? – spytała Michelle.

– Tak. I oboje jesteście zaproszeni. Moja siostra trochę się ograniczyła, ale was to nie dotyczy.

Wcześniej rozgorączkowana Aggy zaprosiła na swój ślub dosłownie każdego, kto tylko jej przyszedł do głowy, ale na obecności Michelle i Daniela naprawdę jej zależało. Uwielbiała najbliższą przyjaciółkę siostry, a Daniela i jego dziewczynę traktowała jako osoby towarzyszące Annie.

– Super. Urlop dobrze mi zrobi – ucieszyła się Michelle, układając w dłoni karty, z e-papierosem w kąciku ust i wprawą zawodowego karciarza.

– Królowa kier! Proszę państwa, królowa kier! – Melodyjnym głosem obwieścił przez mikrofon prowadzący grę.

Michelle odwróciła kartę. Sprawdzała właśnie nowego szefa kuchni, dzięki czemu wyjątkowo trafił jej się wolny wieczór w tygodniu. Wyciągnęła więc Annę i Daniela do dawnego mę-

skiego pubu w Islington na grę w trzynaście kart.

– No – przytaknęła Anna, wyrównując karty, które poukładała sobie według kolorów. –

Moja siostra udowodniła, że na planowaniu imprez naprawdę się zna. Poszło jej to jak dyploma-cie z ONZ-etu. Zabrałam Chrisa na drinka, podczas gdy ona przeglądała włoskie strony w internecie, a tata siedział przy telefonie i tłumaczył. Zgodziliśmy się z Chrisem, że dla dobra ich związku powinniśmy bardziej intensywnie komunikować się za plecami Aggy. Okazało się, że miał poważne wątpliwości co do jej wydatków, a ona, żeby go uspokoić, powiedziała mu, że to ja pilnuję jej

finansów! Na szczęście Chris ma dość oszczędności, żeby zorganizować znacznie skromniejszy ślub, natomiast Aggy próbuje teraz rozwiązać kwestię spłaty zadłużenia na karcie kredytowej. A miesiąc miodowy zamiast na Malediwach spędzą w Toskanii.

Anna upiła łyk drinka.

– Rodzice są zachwyceni nowym miejscem ślubu, bo to oznacza, że zjawia się wszyscy starsi krewni mojego taty. A każdy, kto poznał ciocię Bev, też się ucieszył, bo ona nie znosi kuchni innych krajów ani tanich linii lotniczych i zapowiedziała bojkot imprezy. Gdyby nie te długi Aggy, powiedziałabym, że wszystko świetnie się ułożyło. I dzięki, że zgodziłaś się zrobić u siebie wieczór panieński!

– Sama przyjemność – odparła Michelle. – Sądząc po tym, co Aggy mówi o swoich przyjaciółkach, i tak więcej zarobię na serwowaniu im drinków niż na pełnej sali w sobotni wieczór. – Pochyliła się w stronę Daniela. – Co to za system?

Daniel wszystkie swoje karty rozłożył byle jak na stole przed sobą, nie zwracając uwagi na kolory ani wartości.

– Ja się w tym orientuję – powiedział.

– Trójka pik! Proszę państwa, trójka pik! – zawołał prowadzący.

Daniel odwrócił kartę.

– Widzisz? Niczego nie przeoczę.

– O Boże, szkoda, że musiałam prosić o pomoc Jamesa Frasera.

– Mówiłaś, że nieźle się spisał.

– Taaaaak – przyznała Anna. – Ale przez Patricka i Aggy dwa razy musiałam się przed nim ukorzyć. Naprawdę wolałabym tego nie robić.

A on na koniec, ni z tego, ni z owego, zarzucił

mi jeszcze, że się przespałam z Laurence'em!

– Laurence wygląda niczego sobie, prawda? I pewnie się przechwalał.

– Owszem. Ale żeby mnie podejrzewać o coś takiego.

– Ludziom czasem się zdarza, że idą z kimś do łóżka, kochana.

Aczkolwiek mnie już nie – stwierdziła Michelle.

– Walet trefl! Proszę państwa, walet trefl! – zawołał konferansjer.

Michelle odwróciła kartę:

– Wreszcie!

Spierali się dalej przy grze, a myśli Anny poszybowały ku Jamesowi. Nie bardzo wiedzia-

ła, dlaczego jego przypuszczenie, że mogłaby się przespać z Laurence'em, wytrąciło ją z równowagi. Ostatecznie na randkę z nim poszła. I nigdy wyraźnie nie wykluczyła dalszego ciągu. Ale że James uwierzył w coś takiego? Naprawdę ją to poruszyło. Czyżby się przejął jej hipotetycznym romanssem...? Wypad na lodowisko nie spodobał mu się. W każdym razie tak jej się wydawało. A mimo to wyświadczył jej przysługę, odbijając Aggy z rąk Laurence'a, więc raczej aż tak bardzo się nie przejął. Chyba że po prostu chciał jej się zrewanżować za telefon do Fi. To była dziwna rozmowa, szefowa Jamesa rozczuliła się i zaczęła opowiadać, jaki to jej zdaniem Anna ma cudowny wpływ na niego. „Tamtego wieczoru na kręglach wszyscy zauważyliśmy, że oczu od ciebie nie może oderwać”. Czy to była prawda? Pewnie pilnował, żeby mu nie przyniosła wstydu, jak ochroniarz w sklepie przyglądający się podejrzanemu klientowi.

– Dan, zapomniałam dodać, że oczywiście jesteś zaproszony na ślub Aggy razem z osobą towarzyszącą, to znaczy z Penny – rzuciła w roztargnieniu Anna.

– Dziękuję. Ale raczej nie dam rady – odparł Daniel, przekładając karty.

Michelle i Anna spojrzały po sobie.

– Nie mogę zostawić Pantry.

– Nie wygłupiaj się. Kelnerów nie brakuje.

– Nie stać mnie – stwierdził Daniel.

– Koszty oczywiście będą wyższe niż przy zwykłym weselu, bo dojdzie przelot, ale to też fajny pretekst, żeby wyskoczyć na urlop – zauważyła Anna.

– Penny chce zrobić magistra z ochrony środowiska. Musimy zacisnąć pasa.

– To chyba ona powinna zacisnąć – wyraziła swoją opinię Michelle.

– Wspieramy się nawzajem – wyjaśnił Daniel.

– Więc kiedy ty się zdecydujesz studiować filozofię, ona pójdzie do pracy na pełny etat?

– Ochrona środowiska, brzmi ciekawie! – wtrąciła pośpiesznie Anna.

– To nie jest powód, żeby się nie pojawić na tym ślubie – oświadczyła Michelle. – Mnie nie przekonuje. I wiesz co? Daję ci podwyżkę.

– Co? – zdumiał się Daniel.

– Michelle, nie musisz... – zaczęła Anna.

– Postanowione. Dostałeś podwyżkę, możesz lecieć.

Daniel zrobił wielkie oczy i zamrugał.

– Nigdy jeszcze tak łatwo nie poszło mi z podwyżką.

– Dwójka trefl! – zawołał prowadzący.

– Mam trzynastkę! – ucieszył się Daniel i potrząsnął uniesionymi w górę rękami. – Wygrałem!

– Zwycięzca stawia kolejkę – zawyrokowała Michelle.

Daniel ruszył wolnym krokiem do baru.

– Jesteś taka hojna – rzekła Anna do Michelle.

– E tam. I tak za mało płaciłam temu głupiemu brodatemu dziwakowi. Mnóstwo ludzi chętnie by go podkupiło. Wiesz, co powiedział w zeszłym tygodniu klientce, która wybrzydzała na małże w białym winie? Baba mu mówi: „Proszę się ze mną nie spierać, bo miałam raka i wy-zdrowiałam!”. A on jej na to: „Mniemam zatem, że szanowna pani potrafi z właściwej perspektywy ocenić rozczarowanie tych biednych muli”. Mówię ci, powinien występować w kabarecie.

Przy sąsiednich stolikach bili mu brawo. Babsztyl mnie oczywiście obsmarował na forach w internecie, ale było warto.

– Fajna historyjka. Ale może nie powinnam się śmiać? – Anna zasłoniła usta dłonią.

– A najzabawniejsze jest to, że baba miała zastrzeżenia do jakiejś dupiny w moim sosie, a cały czas na małże mówiła „ostrygi”.

Michelle odłożyła e-papierosa i pociągnęła łyk wódki z tonikiem.

– Danowi chętnie zapłacę, ale chodzi mi o nią. „Pani magister ochrony środowiska”. Penny jest mistrzem w chronieniu własnych interesów. Może się mylę?

Rozdział 60

James pędził naziemną kolejką w stronę Highbury & Islington, gdy

w pewnym momencie doznał objawienia. Gapił się właśnie na porzucony na podłodze egzemplarz „Metro”, a do jego uszu dobiegały grzechoczące dźwięki z iPoda pasażera siedzącego obok. Co za psychopata słucha *Gangnam Style* przed dziewiątą rano? Nagle zrobienie czegoś z tym ciężkim całunem, który uciskał mu brzuch, przestało się wydawać niemożliwe. Więcej: stało się jedyną rzeczą, którą zrobić należało.

Wyskoczył z pociągu i pobiegł po schodach, rozpychając się w tłumie jadących do pracy.

Jeszcze tylko bramki przy wyjściu ze stacji i wreszcie mógł zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wybrał w telefonie „Pracę”. „Żeby tylko odebrała Lexie, proszę, Lexie, żeby tylko odebrała Lexie, proszę...”. Harris.

– Cześć, stary, nie przyjdę dzisiaj. – James uznał, że skoro symuluje chorobę, wskazany będzie nieco przymilny ton. – Rzygałem rano i zanoszę się na ciąg dalszy. Albo dwa, jak w *Matrik-sie*. Może nawet dobieję do *Piratów z Karaibów*.

Na drugim końcu linii zapadła sceptyczna cisza.

– Gdzie jesteś? Słyszę jakiś hałas.

– Na Highbury. Musiałem szybko znaleźć jakiś kubek.

– Na stacjach nie ma kubków.

– Brawo, inspektorze Wexford. Wybiegłem na ulicę. Mam zrobić zdjęcie i przysłać ci jako dowód?

– Nieee. Już i tak przez ciebie odeszła mi ochota na *chorizo* z cebulką. To coś zaraźliwego?

– Przypuszczam, że raczej skutki wczorajszego ryżu od chińczyka niż SARS, ale dzięki za troskę.

James wyłączył telefon i wytyczył w myślach trasę. Pójdzie na piechotę. Musi oczyścić umysł. Na ile to możliwe w londyńskich spalinach o poranku.

Anna szła przez trawnik przed reprezentacyjną kolumnadą głównego gmachu uczelni,

a jej oddech zdawał się zamarzać w lodowatym powietrzu.

Po drugiej stronie dziedzińca dostrzegła niewyraźną postać zmierzającą

prosto w jej kierunku. Nagle rozpoznała te czarne włosy, granatowy płaszcz i resztę szczegółów.

Serce podskoczyło jej do gardła, zdołała jednak zepchnąć je z powrotem na jego miejsce, a potem zacisnęła zęby. Była rozgniewana, ale nie zdenerwowana. Czemu więc teraz się denerwowała?

James stanął przed nią. Wyglądał, jakby coś go niepokoiło. Dziwna pora dnia na spotkanie. Ho, ho. Zaraz pewnie powie, że „to było dawno temu, wszyscy jesteśmy dorośli, puśćmy stare sprawy w niepamięć”...

Anna zatrzymała się z pewną niechęcią.

– Cześć. Mogę z tobą porozmawiać?

– O czym?

– O szkole. O tym, co się stało.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– To może ja będę mówił, a ty słuchaj.

Wzruszyła ramionami.

– Chcę ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro. To było straszne i okrutne i nie potrafię sobie wyobrazić, jak bardzo cię zraniło. Kiedy miałem szesnaście lat, byłem kompletnym krety-nem, i mam nadzieję, że od tamtej pory zmądrzałem, choć zajęło mi to kupę czasu. I przepraszam, że się zachowałem jak idiota, kiedy mi to przypomniałaś, i że cię nazwałem tak koszar-nym słowem. Pogubiłem się, byłem w szoku i wyrwało mi się, bo wściekłaś się na mnie, a mnie było wstyd. Nie mogę uwierzyć, że coś takiego powiedziałem. Należały ci się przeprosiny na kolanach, a ja nie umiałem się zdobyć nawet na to.

Pauza.

– Od tamtego wieczoru u ciebie nie wiem, ile razy zadawałem sobie pytanie, jak mogłem zrobić coś takiego w szkole. Nawet mi nie przyszło do głowy, że jesteś człowiekiem i też coś czujesz. Uważałem, że sama się o to prosisz, bo odstajesz od nas. Woląłem się trzymać z grupą, być lubiany. Nie popisałem się silnym charakterem, ale taki wtedy byłem.

– Już? – spytała.

– Z grubsza. – James sprawiał wrażenie, jakby się jej bał. „I dobrze” – pomyślała.

– Chciałem, żebyś wiedziała, jak bardzo tego żałuję. –

Odchrząknął. – Z całego serca.

– Masz coś takiego? – spytała, bynajmniej nie w żartach.

James zdobył się na blady uśmiech.

– No to fajnie. Dzięki – odparła i ruszyła przed siebie.

James obrócił się, kiedy go mijała.

– To wszystko? – spytał.

– A co jeszcze mam ci powiedzieć? Chcesz, żebym ci przebaczyła i udzieliła rozgrzeszenia, żebyś mógł sobie odfajkować tę sprawę?

W takim razie przebaczam ci. Amen.

– Nie proszę o przebaczenie. Rozumiem cię, jeśli nie możesz mi wybaczyć, a przynajmniej nie teraz.

– Więc czego chcesz?

– Rozmawiać z tobą. Znów się przyjaźnić.

Anna pokręciła głową.

– Nie mam ochoty się z tobą przyjaźnić.

– Zanim zobaczyłem to zdjęcie, dobrze nam się rozmawiało. I nie tylko. Śmiałyśmy się, naprawdę było nam fajnie. Co się zmieniło?

Na samo określenie „to zdjęcie” Anna skuliła się w sobie. Nie czułaby się bardziej obna-

żona przed nim, nawet gdyby ją widział rozłożoną na fotelu u ginekologa.

– Nigdy nie chciałam się z tobą zadawać. To była znajomość na płaszczyźnie zawodowej.

Na tym zebraniu przeżyłam szok, przeraziłam się na twój widok. Potem z uprzejmości poszłam z tobą na imprezę firmową. Wiedziałam, że nie powinnam robić nawet tego. Otrzeźwiła mnie dopiero ta awantura z powodu zdjęcia. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

– Z powodu szkoły? Myślisz, że nie mogę się zmienić?

– Nie obchodzi mnie, czy się zmieniłeś, czy nie. Bo to ja się zmieniłam. Bo nie chcę się więcej zadawać z płytkimi chamami.

James skrzywił się.

– Jesteś dla mnie okrutna, Anno.

To ją ostatecznie rozwścieczyło. Poczula przenikliwy ból, który zakłuł ją gdzieś w piersi, popłynął do gardła i wyrwał się potokiem jadowitych słów.

– Ja jestem okrutna, James?! Spróbuj przeżyć pięć lat piekła, a na sam koniec jeszcze pokaz nienawiści do ciebie w wykonaniu całej szkoły. Jak śmieją się z twojej głupoty, że w ogóle mogło ci przyjść do głowy wziąć udział... Co ty możesz wiedzieć o okrucieństwie? Nigdy nie doświadczyłeś czegoś takiego.

– „Twoje przeboje” to był tylko wygłup. Nikt nie pomyślał, zadziałał instynkt stadny.

– No jasne, na pewno mi ulży, jak się dowiem od ciebie, że w sumie to nie było nic takiego, prawda? Wydaje ci się, że mnie pogłaskasz po głowie i będzie po sprawie?

– Nie. Chcę być z tobą absolutnie szczerzy. – James przełożył torbę przez głowę i położył

ją na ziemi. – Ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, powiedziałaś mi, że wiedziałem w szkole, że ci się podobam. No więc nie miałem pojęcia. To wyglądało inaczej... – Przygryzł wargę. – Ja-kiś miesiąc wcześniej Laurence namówił mnie na niezwykle dojrzałe zwierzenia w stylu „Co byś wolał?”. Kiedy wspomniał ciebie, powiedziałem mu, że wyglądałabyś w porządku, gdybyś... – urwał.

– Gdybym co? – Anna założyła ręce.

– Gdybyś schudła. I potem Laurence ciągle się ze mnie naśmiewał, że mi się podobasz.

To on wymyślił ten numer na „Twoje przeboje”. Zgodziłem się, żeby się odwalił. Rozumowałem jak każdy nastolatek – że trzeba trzymać z rówieśnikami, więc niech się rzucą na kogoś innego, zamiast na mnie. Byłem tchórzliwym dupkiem, bo też nie chciałem, żeby mnie dręczyli, tak przypuszczam. Jeśli to jest właściwe słowo.

– To nie jest właściwe słowo.

– Wiem.

– Nie, nie wiesz. To tak, jakbyś powiedział komuś, komu urwało rękę w młockarni, że kiedyś się zaciąłeś w palec i też cię bardzo bolało. Gdybyś odmówił, nikt by się nad tobą nie znęcał tak, jak znęcali się nade mną. Tacy ludzie jak ty nigdy nie zrozumieją kogoś takiego jak ja.

– Tacy ludzie jak ja?

– Tacy, którzy płyną przez życie, którym wszystko przychodzi łatwo, których inni z powodu ładnej buzi traktują wyjątkowo.

– Daj spokój. Nie mówię, że w szkole nic złego ci się nie działo, ale twierdzenie, że tylko ty wiesz, co znaczy cierpieć, to lekka przesada.

– Czy ciebie kiedykolwiek bili, kradli ci torbę i wrzucali ją do kosza na śmieci za tę jedyną zbrodnię, że byłeś gruby i brzydki? Czy siedziałeś po lekcjach za nieodrobione zadanie, bo

ktoś ci je wyrwał z zeszytu, a gdybyś się poskarżył, to by cię jeszcze bardziej dręczyli? Czy kiedykolwiek musiałeś kłamać rodzicom, że te siniaki masz po WF-ie, a twoja młodsza siostra stała obok z udręczoną miną, ponieważ dobrze wiedziała, skąd naprawdę się wzięły? Czy budziłeś się co rano, zanim jeszcze zadzwonił budzik, i mdliło cię na samą myśl o tym, co cię czeka? Czy uważałeś za udany taki dzień, w którym zrobili ci jakiś wredny dowcip tylko raz na każdej lekcji?

James wyciągnął rękę, chcąc dotknąć jej ramienia, ale cofnęła się, by nie mógł jej sięgnąć.

– Co jeszcze? Tyle rzeczy do wyboru. Zobaczmy... Wystroiłeś się kiedyś w sukienkę dla grubej dziewczynki i pozwoliłeś tacie odwieźć się na bal absolwentów, czekałeś, aż zniknie, a potem poszedłeś do parku i przesiedziałeś samotnie kilka godzin, bo nie mogłeś się zdobyć na to, żeby wyznać rodzicom, że nikt cię tam nie chciał widzieć?

James spojrzał na nią, a potem wbił wzrok w ziemię.

– I numer jeden na tej liście: czy najpopularniejszy chłopak w szkole pozwolił ci przez jedną krótką chwilkę pomyśleć, że być może nie jest taki sam jak te wszystkie inne gnoje? A póź-

niej postawił cię pod pręgierzem, żeby wszyscy cię obrzucili jedzeniem, i nazwał cię słoniną?

Wiesz, James, byłeś dla mnie maleńkim okruchem szczęścia w szkole. Mogłam sobie przynajmniej na ciebie patrzeć, myśleć o tobie, wypisywać głupoty w pamiętniku. Byłeś dla mnie miły tylko w mojej wyobraźni, ale to mi wystarczało. Nie musiałeś nic robić. Chciałam tylko, żebyś mnie zostawił w spokoju. A ty nie dałeś mi nawet tego.

James stał jak sparaliżowany, a Anna mówiła dalej. Teraz już nie była w stanie powstrzymać słów, które płynęły jak rzeka przez rozerwaną tamę.

– Co wieczór przelewałam to wszystko do pamiętnika, opisywałam bez końca, jaka jestem nieszczęśliwa. Obiecywałam sobie, że pewnego dnia ucieknę. Że już nigdy więcej nie będę musiała oglądać żadnego z was, pieprzonych sukinsynów. Przyjażniąc się z tobą, zdradzam tamtą dziewczynkę. Dlatego nie chcę tej znajomości. Wtedy nie miałeś ochoty zostać moim przyjacielem. A teraz owszem, bo teraz już nie wyglądam obciachowo. No cóż, ja nie mam ochoty cię znać. Jak to powiedziałaś? Że jestem „okrutna”? Spróbuj poskładać swoje rozbite życie i jakoś z tym żyć.

To była prawdziwa tyrada, a kiedy James się odezwał, by na nią odpowiedzieć, jego głos zabrzmiał cicho, jakby przyduszony tym atakiem.

– Daj mi szansę, żeby ci to wynagrodzić, Anno.

– To niemożliwe. Tego właśnie nie potrafisz zrozumieć.

Anna wiedziała, że w końcu zmusiła Jamesa, by ją zostawił. Jej wola stoczyła walkę z jego wolą; on wpychał się przez drzwi do jej pokoju, a ona desperacko usiłowała go tam nie wpuścić. W głębi ducha być może pragnęła, by postarał się jeszcze bardziej. Ale była pewna, że tego nie zrobi. Wykluczone, by to on zwyciężył w tym starciu. Emocje dały jej siłę dwudziestu ludzi.

– Muszę wracać do pracy – powiedziała. – Żegnaj.

Rozdział 61

Przeszła kilka kroków po trawie, delektując się zatrującym ją poczuciem triumfu, gdy znów poczuła dłoń Jamesa na ramieniu.

– Myślisz, że jestem ostatnim człowiekiem, którego chciałabyś oglądać. A jeśli to właśnie mnie potrzebujesz?

Anna przewróciła oczami.

– Z którego plakatu filmowego zwędziłeś ten tekst?

– Mówię poważnie. Musisz z siebie wypędzić Rise Park. A ci, którzy za wszystko odpowiadają, czy choćby jeden z nich, muszą zrozumieć, co zrobili. Żebyś się od tego uwolniła.

– Nie sądzę. Zanim się pojawiłeś, jakoś sobie poukładałam życie.

– Jesteś znacznie lepszym człowiekiem ode mnie, ale nie zgadzam się, że różnimy się aż tak bardzo, jak twierdzisz. Gdyby tak było, nie śmialibyśmy się tak często, rozmawiając ze sobą.

Nie uważasz, że mamy ze sobą coś wspólnego?

– Nie.

– Mówiłaś, że ci się podobałem w szkole? To znaczy, że się we mnie podkochiwałaś?

Anna uniosła podbródek i zdawkowo skinęła głową.

– Dlaczego? Aż do „Twoich przebojów” nigdy nie zamieniliśmy ze sobą choćby słowa.

– Dużo o tobie wiedziałam. Wiesz, jak to jest w szkole z lubianymi dziećmi i tymi zwy-czajnymi. Jedne są w centrum uwagi, a te drugie przyglądają się im z boku.

– Ale osobiście nigdy mnie nie poznałaś. Podobałem ci się tylko z urody.

– No to co? – Anna przestąpiła z nogi na nogę i zrobiła minę, jakby nie chciała już dłużej ciągnąć tej rozmowy.

– Oceniałaś mnie wyłącznie po wyglądzie.

– Ha. Niezły strzał. Ale analogia jest fałszywa. Tobie się przeze mnie gorzej nie żyło. Nawet nie wiedziałeś o moim istnieniu.

– Mój argument pozostaje trafny. Oboje ocenialiśmy po wyglądzie. Ja uważałem, że jesteś nic niewarta, a ty, że ja jestem coś wart. Oboje się myliliśmy.

Milczała. James potraktował to jako zachętę.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, jak się musisz czuć, kiedy wszyscy traktują cię teraz zupełnie inaczej niż kiedyś, bo... co tu ukrywać, jesteś piękna. Większość ludzi popadłaby w cynizm. A ty nie – i to robi wrażenie.

– Jesteś pięćęćkna... Proszę cię. „Na kolana nie rzuca i nie jest w moim typie”. Tak brzmiał prawdziwy werdykt, już nie pamiętasz?

James poczerwieniał.

– Daj spokój, przeprosiłem cię za to. Próbowałem zniechęcić Laurence’a. Oczywiście, że uważam cię za piękną kobietę, wszyscy tak o tobie myślą. Przyjmij komplement.

Anna wzruszyła ramionami z nonszalancją, której w gruncie rzeczy nie czuła.

– Więc chciałbyś się ze mną przyjaźnić, gdybym wciąż wyglądała jak Aureliana?

James podniósł wzrok ku niebu w udawanej rozpacz, po czym na powrót wbił go w ziemię.

– Tak. W naszej przyjaźni wygląd w ogóle nie miał znaczenia. Nie zgodzisz się? Pod tym względem była wyjątkowo czysta.

– Mmmm. Skończyłeś już? Naprawdę mam dużo pracy.

– Nie, tak tego nie zostawię – odparł James. – Uważam, że to duma nie pozwala ci przyjąć mojej propozycji. Więc powiedz mi, co muszę zrobić. Zrobię wszystko, o co poprosisz, żeby odpokutować. Ale nie odejdę tak po prostu. Musisz to z siebie wyrzucić. Walnij mnie czy co.

Czuła, jak krok po kroku zbliżają się do tego, o czym nie chciała mówić. Głos jej zadrżał.

– James. Nie masz pojęcia, przez co ja przeszłam. Tego nie załatwi żaden żart ani parę klapsów na niby. Nie wiesz, w co się mieszasz.

– Byłem tam. Mam jakieś wyobrażenie. Powiedz mi.

– Nie chcę.

– Spójrz na to w ten sposób: czym sobie zasłużyłem, żeby mi tego oszczędzić?

Anna otworzyła usta. I zamknęła. Szach-mat. Na to nie miała żadnej odpowiedzi.

– Miesiąc po „Twoich przebojach” – odezwała się cicho, ostrożnie dobierając słowa – zostawiłam na łóżku list pożegnalny i łyknęłam z tonę aspiryny...

Jamesowi zaszklily się oczy, rozchylił usta i zaraz zasłonił je dłonią. Anna poczuła bolesne ukłucie w szczękę i przytknęło jej uszy, co zapowiadało, że lada moment rozplacze się na całe-go. Zmusiła się, by mówić dalej.

– Staralam się nie myśleć, kto mnie znajdzie. To była Aggy. Wyczuła, że coś się dzieje, i wróciła się ze szkoły do domu. Moja młodsza siostra, James. Uratowała mi życie. Żaden czter-nastolatek nie powinien przechodzić przez to, przez co ona przeszła...

Pojawiły się łzy. Anna otarła twarz lodowatą dłonią.

– Czułam się tak strasznie winna. Ale w moim życiu nie było nic, co by mnie zachęcało, żeby żyć dalej. Absolutnie nic. „Twoje przeboje” uzmysłowiły mi, że jestem pośmiewiskiem.

Grubym, tłustym, obcym, odpychającym. Szkoła wreszcie się

skończyła, ale mnie złamała.

Uświadomiłam sobie, że jeśli dorosłość będzie wyglądać podobnie, już tego nie wytrzymam.

Więc powiedz mi, dlaczego miałabym tu stać i zaprzyjaźniać się z jedną z tych osób, przez które o mało co nie umarłam?

Patrzyli sobie w oczy. Anna oddychała ciężko. Czuła, że za chwilę twarz wykrzywi jej grymas płaczu.

– Zrobiłaś to? Po tym... co my zrobiliśmy? Jezu, Anno...

James zbliżył się do niej, wyciągając rękę.

– Jasne, uściskaj mnie, żebyś nie musiał patrzeć, jak ryczę – wydusiła z siebie na poły w żartach, zmuszając krtań do jeszcze tego jednego wysiłku.

– To po to, żebyś ty nie widziała, jak ja płaczę, idiotko – wymamrotał niewyraźnie James i chwycił ją tak mocno, że niemal zaparło jej dech.

Poczuła obejmujące ją ramiona i dłoń z tyłu głowy. Łzy płynęły jej strumieniami, a im bardziej szlochała, tym mocniej James ją tulił, by wiedziała, że może się wypłakać do woli. Słyszała własne łkanie, jakby dochodziło z cudzych piersi. Tak zwykle płaczą tylko dzieci, brzydko, bez żadnych zahamowań.

Stali tak przez chwilę; Anna nie wiedziała, czy minęło pięć minut, czy może piętnaście.

Stopniowo jej oddech stał się bardziej regularny, a chlipanie przeszło w lekką czkawkę.

James uciskał ją, mrużąc coś w jej włosy, jakieś niewyraźne dźwięki, w których nie potrafiła rozpoznać słów. Pociągając nosem, wypłakiwała mu się i smarkała w płaszcz, za który bez wątpienia zapłacił majątek.

Kiedy w końcu odsunęli się od siebie, Anna zdała sobie sprawę, że musi wyglądać jak Brian May cierpiący na chorobę morską, ale było jej to całkowicie obojętne. Coś się stało. Coś się zmieniło.

– Nie obwiniaj się. Nie masz powodu czuć się winna – zapewniał ją James. Pomógł jej

odgarnąć mokre kosmyki z twarzy. On też miał wilgotne oczy. – Byłaś ofiarą i zrobiłaś to, co zrobiłaś, bo uznałaś, że to konieczne. To my

wszyscy powinniśmy się czuć winni.

– Postanowiłam wziąć te tabletki i Aggy przeze mnie cierpiała – powiedziała Anna, wycierając rękawem kąciki oczu.

– Zostałaś do tego zmuszona.

W pobliżu pojawiła się grupka studentów, toteż oboje pociągnęli nosami i spojrzeli w przeciwnych kierunkach, dopóki intruzi nie zniknęli. Gdzieś niedaleko hałasowały samochody, toczył się zwykły londyński dzień. James westchnął ciężko.

– Miałaś rację. Za to, co ci zrobiłem, nie wystarczą żadne przeprosiny. Nie wiem, czy mogę się uważać za przyjaciela, jakiego potrzebujesz. Mogę tylko powiedzieć, że będę to nosił

w sobie aż do śmierci. Wiedz, że nie jesteś już sama z tym ciężarem.

– Prawdę mówiąc, byłeś tylko kroplą, która przelała czarę – stwierdziła Anna. – Nie nale-

żałeś do tych, którzy się nade mną znęcali całymi latami. Nie możesz wpaść na sam koniec i przypisywać sobie rezultatów ich ciężkiej pracy... – Uśmiechnęła się lekko. James pokręcił głową z przerażeniem.

I nagle, ku swemu zaskoczeniu, Anna poczuła, że gniew ją opuścił. Wyplakała z siebie wszystko. James wciąż stał obok i musiała zaakceptować, że chce być przy niej. Nie dla oczyszczenia sumienia, nie na pokaz, nie z kaprysu. Naprawdę pragnął zadośćuczynienia. Każdy powinien mieć prawo zostawić za sobą przeszłość. Czy sama nie wiedziała tego lepiej niż ktokolwiek inny?

James podniósł swoją torbę i z powrotem przełożył ją przez głowę. Spojrzał na Annę, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć na pożegnanie.

– Musisz wracać do pracy... – zaczął. – Jeśli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebowała...

Na jego twarzy malował się potworny smutek, autentyczny żal. Wyglądał wręcz, jakby ktoś go pobił.

– Myślę, że moglibyśmy spróbować się zaprzyjaźnić – powiedziała powoli. – Zobaczyc,

dokąd nas to zaprowadzi. Jeśli będziesz się ciągle czuł winny, to może mi przejdzie.

James uśmiechnął się delikatnie.

– Mogę cię o coś zapytać? Co to jest młotkarnia?

– Co? – zdziwiła się.

– Mówiłaś coś o ręce urwanej w młotkarni.

– Młockarni. To maszyna do młócenia zboża. Boże, co za nieuk! –

Posłała Jamesowi uśmiech.

– O rany, to też będę w sobie nosił aż do śmierci.

Wyszczерzyli się do siebie jak para przygłupów.

– Nie mogę wrócić do pracy w takim stanie – stwierdziła Anna.

– To nie wracaj – odparł James. – Ja dzisiaj wagaruję. Chodź ze mną. Postawię ci lunch, gdzie tylko zechcesz.

– Czemu wagarujesz?

– Jak to czemu? Bo chciałem dziś odwiedzić w pracy kogoś innego i usłyszeć, jaki ze

mnie beznadziejny kutafon. Zmiana rutyny jest równie dobra jak wypoczynek. – Znów pogładził

jej włosy nad uchem i Anna wbrew sobie poczuła przeszywający ją dreszcz.

– No to jak?

– Skoro ty stawiasz, jak mogę odmówić?

W przyjemnym milczeniu ruszyli do wyjścia na ulicę. Anna mocno pochylała głowę, na

wypadek gdyby mijał ich któryś z jej studentów czy kolegów z pracy. Na szczęście skandynawskie mrozy sprawiły, że uczelniany dziedziniec był niemal zupełnie wyludniony.

– Wybierz coś specjalnego – zachęcił ją James, gdy szli przez trawnik. – To zbyt ważny dzień na byle klopsiki w jakimś barze.

Co tylko zechcesz. Ja płacę.

– Hm, w takim razie może Bob Bob Ricard? – zaproponowała. James zbladł.

– Ja pierdolę. Naprawdę w szkole było aż tak źle?

Roześmiali się. Anna cieszyła się, że tak szybko powrócili do dawnego przekomarzania się. To oznaczało normalność. Nie chciała być traktowana jak inwalida.

Dopiero gdy wyciągnął rękę, by przywołać taksówkę, słowa, które

wcześniej wymruczał, tuląc ją zapłakaną, ułożyły się w jej głowie w zdanie.

„Anno, nie mogę znieść myśli o tym”.

Ona po raz pierwszy już mogła.

Rozdział 62

Jeśli Anna doznała katharsis, to na opisanie odczuć Jamesa chyba zabrakłoby słów. Tak długo coś skrobało uparcie po drugiej stronie drzwi do piwnicy, aż je otwarł i odkrył tę prostą myśl: „Możesz być kimś lepszym, niż jesteś”. To Anna pomogła mu ją w końcu zrozumieć.

Tak długo cenił rzeczy, które na to nie zasługiwały, i zastanawiał się, dlaczego życie wydaje mu się jedną wielką fikcją. Zupełnie jakby słyszał swoją siostrę. Nie wiedział, jak powiedzieć Annie, że uratowała go przed życiem pozornym, bez treści – nie miał pojęcia, czy kiedykolwiek się na to zdobędzie. Nie chciał, by uznała, że jest dla niego kimś jak ten książkowy kot Bob, który swemu panu pomógł się odbić od dna. Zwłaszcza że zapłaciła tak wysoką cenę – na samą myśl o tym, że omal nie odebrała sobie życia, w dużej mierze dzięki niemu, ogarniała go groza.

– Anno – odezwał się, kiedy szli do restauracji – wiem, że teraz się wygłupiamy, ale jeśli kiedykolwiek chciałabyś jeszcze porozmawiać o tym... co mi powiedziałaś...

Uśmiechnęła się do niego.

– Przez cały rok potem rozmawiałam godzinami z psychologiem, nie martw się. Przega-dałam już wszystko. Ale dzięki.

Był autentycznie przerażony tym, że można tak bardzo skrzywdzić innego człowieka,

a potem wyrzucić to z pamięci jak stare graty na strychu. Pomyśleć tylko, że mogli się już nigdy więcej nie spotkać. Gdyby kiedykolwiek dorobił się dzieci, palnie im kazanie z prezentacją w Po-werPoincie na temat tego, że nie wolno być wrednym.

Teraz dostał drugą szansę, by zostać przyjacielem, którego tak bardzo potrzebowała pół

życia temu. Oczyma wyobraźni widział ją taką, jak kiedyś, na tamtej scenie w sali gimnastycznej.

Otyłą nastolatkę w pomarańczowej sukni, z szaloną fryzurą

przypominającą hełm i zapłakanymi oczami. Marzył o wehikule czasu, w którym mógłby tam wrócić i wszystko odkręcić.

Bob Bob Ricard to był doskonały wybór – idealne miejsce na tak niezwykły dzień. Wchodząc do restauracji, usytuowanej w samym sercu Soho, jakby wkraczało się do alternatywnej rzeczywistości z *Alicji w Krainie Czarów*. Zdawało się, że lada moment przebiegnie spóźniony biały królik, sprawdzający godzinę na kieszonkowym zegarku. Wnętrze lokalu przypominało wagon Orient Expressu skrzyżowany z łazienką z Hollywood Hills około roku tysiąc dziewięćset sześć-

dziesiątego pierwszego. Dosłownie kapało i oszałamiało bogactwem: złocenia, mosiądze, mar-mury, lustra, inkrustowane wzorzyste posadzki.

James pozwolił sobie na uwagę, że skórzane siedzenia w boksach, przywodzących na

myśl przedziały kolejowe z epoki edwardiańskiej, są koloru „modrego”, zapominając, iż Anna zna się na tym znacznie lepiej niż on.

– Odcień jest trochę głębszy i intensywniejszy. To raczej lapis-lazuli.

James uśmiechnął się.

– Nazwijmy to błękitem kibla w samolocie.

– Bardzo poetyckie.

W boksie był nawet specjalny przycisk do zamawiania szampana. James wcisnął go z ciekawości. Nie minęła minuta, jak pojawił się kelner w różowej kamizelce i białych rękawiczkach z dwoma smukłymi kieliszkami na tacy.

– Czuję się jak u Agathy Christie! – szepnęła Anna.

Zamówili kilka wykwinnych potraw sytuujących się gdzieś pomiędzy arystokratyczną

kuchnią rosyjską a amerykańskimi jadłodajniami: bliny, suflety, makaron z homarem i serem, tru-flowe purée. Potem uznali, że nie będą się przejmować, kto co wybrał, podzielili się wszystkim i niczego nie dojedli do końca.

James bał się, że trzydaniowa ucza w środku dnia z kobietą, z którą nie łączy go romans, może się okazać mocno krępująca. Ale o dziwo, biorąc pod uwagę wszystkie zaszłości, był to jeden

z najprzyjemniejszych posiłków w jego życiu. Rozmowa toczyła się swobodnie i toczyłaby się tak samo, nawet gdyby zrezygnowali z szampana.

Nie unikali żadnych tematów, żaden nie był dla nich tabu. James ani się nie cenzurował, ani nie próbował przechwalać. Kiedy zeszli na szkolne wspomnienia, opowiedział Annie, jak stracił cnotę po serii niezdarnych i żenujących prób z Lindsay Bright, gwiazdą Park Rise, w szo-pie jej ojca.

– Przypominała bardziej letni domek – upierał się. – Ale robiliśmy to na worku kompostu, a określenie „stosunek przerywany” już zawsze będzie mi się kojarzyło z widłami w tyłku. – Anna zaśmiewała się radośnie.

– Wszystkie dziewczyny chciały być takie jak ona! – westchnęła, bawiąc się łańcuszkiem na szyi.

– O rany. Żartujesz? Była okropna i nieznośna.

– Przecież z nią chodziłeś!

– Bo na siłę zrobili z nas parę. Nie oczekuj od szesnastolatka gustu i trzeźwej oceny.

Prawdę mówiąc, nie oczekuj tego od żadnego faceta, póki nie skończy co najmniej dwudziestu sześciu lat.

Kiedy opróżnili stertę talerzy, Anna zaczęła się domagać, by złożyli się na rachunek po

połowie, James jednak kategorycznie odmówił i w końcu ustąpiła. Nie chciał jej tego mówić, ale jej zachwyty otoczeniem był dla niego wart każdych pieniędzy.

Rozglądając się dookoła, Anna westchnęła.

– Zawsze chciałam tu przyjść, tyle że nigdy nie miałam pretekstu.

– Nie mogłaś się tu umówić na którąś z tego miliona randek?

– Nie chciałam marnować takiej knajpy na byle co. To musiało być coś wyjątkowego –

odparła. Pochłonięta nabieraniem na widelec kawałka tataru z dziczyzny, nie zdała sobie sprawy, co mówi.

James rozpromienił się nad jej głową. Niezbyt dopasowany sweter zsunął jej się z ramion, odsłaniając obojczyki. Ta część ciała u kobiet Jamesowi zawsze wydawała się szczególnie zmysłowa.

Tylko w jednym momencie nastrój się popsuł, a Annie zebralo się na płacz – kiedy wspominała swego nieżyjącego już powiernika, korpulentnego chomika Trybulę. Dzieci kochał Pan Bóg, ale kto troszczył się o takie drobne stworzonka? Przypominało bardziej piszczącą zabawkę na baterie o wyjątkowo długiej żywotności niż zwierzę. Nie zastanawiając się, co robi, James wyciągnął rękę i delikatnie pogładził Annę zewnętrzną częścią dłoni po policzku.

Nie był typem mężczyzny skłonnego do takich paternalistycznych odruchów, poklepywania czy głaskania kobiet, z którymi nie wiązały go bliskie relacje uczuciowe. Podobnie jak i tych, z którymi go wiązały. Ale Anna budziła w nim... jest takie staromodne słowo... Czułość. Przy niej odczuwał potrzebę okazywania czułości.

James nie miał już sił na deser, Anna nalegała jednak, by skosztować jeszcze „Czekolady w glorii”, polecanej jako specjalność szefa kuchni. Podano ją w formie złotej kuli, która wyglądała, jakby za chwilę miała zacząć wibrować i z trzaskiem rozpęknąć się na dwoje.

– To najlepszy pomysł, jaki ci kiedykolwiek przyszedł do głowy, Jamesie Fraserze – wymamrotała Anna z ustami pełnymi budyniu i nagle ciężkie serce Jamesa zrobiło się lekkie jak piórko.

Rozdział 63

– Czy tym można zgrzeszyć? – Dziewczyna wskazała placek leżący powyżej piaskowego

krażka tortu oblanego solonym karmelem. Miała na głowie niesamowicie szykowny kok z blond włosów, przypominający fantazyjną plecionkę z francuskiego ciasta. Anna wielokrotnie usiłowała sobie zrobić taką fryzurę, ale za każdym razem jej włosy okazywały się zbyt skręcone i niesforne, by zachować kształt.

– To wyroby cukiernicze, kochanie. Nie ocenia się ich w kategoriach moralnych – zauważyła Michelle.

– Hi, hi! Chodzi mi o to, ile to ma kalorii. Kawalek tej wielkości. – Złożyła dłonie w literę „V”.

Michelle z namysłem zaciągnęła się e-papierosem. Minę miała jak

Gandalf z drewnianą fajką szykujący się do zwymyślenia Peregrina Tuka.

– Dwieście dwanaście. I pół.

Blondynka z kokiem wyjęła iPhone'a i palcem wskazującym z francuskim manicure postukała w klawiaturę.

– Moja apka od diety mówi, że mogę zjeść!

Delikatnie ujęła w białą papierową serwetkę jedną ósmą placka o wartości energetycznej dwieście dwanaście i pół kalorii i odeszła, kołysząc się na bardzo wysokich obcasach lakierowa-nych pantofelków w kolorze łososiowym.

– To prawda? – Anna spytała Michelle.

Ta posłała jej sarkastyczne spojrzenie mocno podkreślonych kredką oczu.

– Jasne. Kiedy gotowałam żarcie, chłodziłam alkohol, wybierałam muzykę i stroiłam salę, ściągnęłam jeszcze zespół dietetyków, żeby na użytek neurotyczek określili przybliżoną wartość energetyczną każdej porcji każdego mojego deseru. Tak czy inaczej, żadna krzywda jej się nie stanie. Nigdy jeszcze nie widziałam tak chudej dziewczyny, żeby nawet spódniczka z baskinką jej nie zaokrągliła.

– Wspaniale się spisałaś, Michelle – powiedziała Anna. – Dziękuję ci.

Na ten wieczór Pantry otrzymała stylowy wystrój. Wielka dyskotekowa kula rzucała na

wszystkie strony kolorowe refleksy, świec paliło się więcej niż w scenie z wanną w *Słonecznym patrolu*, a funkcję didżeja pełniła stacja dokująca do iPod'a z długą listą piosenek napompowa-nych estrogenami. Stoły zsunięto w głąb sali, by uzyskać miejsce do tańca, a na jednym z nich, przykrytym białym obrusem, stały talerze pełne jedzenia. Michelle starannie przygotowała anglo-włoskie przekąski, którymi łatwo żonglować, trzymając jednocześnie drinka i tańcząc.

Koło kasy znajdował się teraz bar, przy którym jeden z kelnerów Michelle serwował

wchodzącym po darmowym drinku na dobry początek: kompozycję Aggy z syropu imbirowego i prosecco, którą nazwała „Imbirową pasierbicą”. Choć Anna powątpiewała w barmańskie

umiejętności siostry, koktajl okazał się przepyszny.

Sama bohaterka wieczoru miała na sobie oszałamiająco obcisłą i krótką rubinową sukienkę z tiulową spódniczką, szarfę i diadem. Przyglądając się gościom, Anna doszła do wniosku, że przyjaciółki Aggy wyglądają jak widziane z bliska flamingi: nieprawdopodobne nogi w połą-

czeniu z szaloną kolorystyką. W Pantry królowały dziś włosy z nabłyszczaczem, kuse sukienki, ciała opalone jak w Saint-Tropez i koturny z dziesięciocentymetrowymi obcasami – wszystko spowite w chmurze perfum Viktor & Rolf Flowerbomb.

– Aggy! AGGY! Zobacz! Ale super! – zapiszczała kudłata, nadpobudliwa Marianne, najlepsza kumpela Aggy, wydobywając z kieszeni garść konfetti w kształcie penisa i rozsypując je po stole.

Anna chciała coś powiedzieć Michelle, ale ta tylko machnęła ręką.

– W porządku. Jak przyjdą inspektorzy Michelina, żeby nas ocenić, na pewno znajdą je w cukiernicy.

– Cha, cha, cha, cha! – Marianne znów się zaniósła perlistym śmiechem, rzuciła na stół

garść różowych słomek w kształcie męskich członków i wyjęła nadmuchiwanego penisa, który w pełnej krasie osiągnął rozmiary mniej więcej jamnika. Potem dziewczyny zaczęły siadać na

nim okrakiem i robić sobie zdjęcia telefonami, wykrzykując: „Wio, koniku!”.

Anna cieszyła się, że ma do towarzystwa Michelle.

– Rozumiesz, o co chodzi z tymi penisami? – spytała. – Przecież w dzisiejszych czasach mało która para idzie ze sobą do łóżka dopiero po ślubie. Więc czym tu się tak ekscytować, jakbyśmy znowu miały po osiem lat?

– Zwłaszcza że najbardziej ekscytuje to, czego w ogóle nie znamy.

– Strasznie ci dziękuję za to wszystko, Michelle. – Aggy podeszła chwiejnym krokiem i objęła ją.

– Nie ma sprawy. Cieszę się, że ci się podoba.

– James miał świetny pomysł – rzuciła Aggy z roztargnieniem, ssąc

falliczną słomkę w podłużnym kieliszku i machając do jakiejś znajomej po drugiej stronie sali. – Z Włochami też.

I jeszcze mi kupił suknię. Nawiasem mówiąc, zaprosiłam go tu, wpadnie później. O Boże – zawołała nagle. – Uwielbiam ten kawałek!

Już chciała ruszyć do tańca, ale Anna w ostatniej chwili złapała ją za ramię i przytrzymała.

– Co takiego? – zapytała. – James ci kupił...? I zaprosiłaś go tutaj?

– No. Powiedziałam mu, że mnie nie będzie stać na suknię, póki nie dostanę premii. Więc mi pożyczył resztę pieniędzy. – Przechyliła głowę na bok. – On jest przesłodki. Wiem, że uwa-

żasz go za złamasa do potęgi, ale to już przeszłość.

– Aggy – warknęła Anna. – Wzięłaś pieniądze od Jamesa Frasera?

– Aaaa tam, tylko na dwa miesiące! Na moją wymarzoną suknię! – oznajmiła z miną, któ-

ra świadczyła o tym, że doskonale wie, iż na własnym wieczorze panieńskim nie musi się obawiać żadnej ostrej awantury.

Aggy wyskoczyła na środek sali i zaczęła się ocierać plecami o którąś z przyjaciółek, wykonując przy tym obsceniczne ruchy biodrami. Kiedy Michelle wyszła do ubikacji, Anna wyjęła telefon i wystukała błyskawicznie pytanie.

Chwilę później nadeszła odpowiedź.

Aggy miała Ci o tym nie wspominać. Tak, pożyczyłem jej pieniądze, niezbyt dużo. Ale posłużyła się Tobą jako zabezpieczeniem kredytu. Gdyby się okazała niewypłacalna, pomożesz Parlez w kampanii promocyjnej parówek z indyka. Mniam, mniam. Jx

Dlaczego miałam o tym nie wiedzieć? Wieczór panieński się udał, z wyjątkiem atakują-

cych zewsząd motywów fallicznych. Ax

Z atakującymi zewsząd motywami fallicznymi nie mam szans. Dlatego że wolę dokonywać bohaterских czynów anonimowo, jak

*Batman. Znasz mnie tylko jako playboya. Ukrywam się za
tą fasadą jak Bruce Wayne. Jx*

Anna roześmiała się z niedowierzaniem. Tamtego wieczoru, gdy zniknęła Aggy, sam postanowił jej szukać. Znalazł ją i od-wiózł. Okazuje się, że sporo go to kosztowało, dosłownie i w przenośni. I jeszcze wpadł na pomysł z knajpą Michelle i Włochami? Annę zdumiewało, jak szybko jej siostra doszła do siebie po stracie sali w Hiltonie – co, jak się teraz dowiadywała, najwyraźniej było zasługą Jamesa.

Dlaczego to wszystko robił? Serce podpowiadało jej, że dla niej. Nie chciała przesadzać z wylewnością, ale wdzięczność w połączeniu z alkoholem i elementem zaskoczenia sprawiły, że gorąco mu podziękowała, również w imieniu swojej rodziny, która – jak podkreśliła – nie wie, iż uratowanie młodszej córki zawdzięcza Jamesowi.

*Pomaganie w planowaniu to sama przyjemność, Alessi. (Dalej nie
czytaj, bo zdradzam fa-bułę). Policjantami, którzy się pojawią z powodu
skargi na zakłócanie porządku, będą striptize-rzy. Chyba że naprawdę
ktoś się poskarży i przyjedzie prawdziwa policja. Nie chwytaj żadnej pał-
ki, póki nie będziesz pewna. X*

– On żartuje z tymi striptizerami, prawda? – spytała Anna, pokazując esemesa przechodzącej Aggy. – Marianne obiecywała, że niczego takiego nie będzie.

– Jasne. To jest impreza z klasą.

Anna powędrowała wzrokiem ku jakiejś dziewczynie udającej, że nadmuchiwany

członkiem gra na gitarze, i z powrotem na wyświetlacz telefonu.

Michelle przyglądała jej się.

– Halo, jesteś tu?

– Co?

– Patrzysz na te esemesy z taką miną jak matka oglądająca

noworodka w inkubatorze. Od

kogo to?

– Od Jamesa.

– A-HA.

– Co?

– Artysta znany dawniej jako zły James Fraser?

Anna czuła się w obowiązku naszkicować z grubsza Michelle i Danielowi przebieg rozmowy na dziedzińcu UCL. Wspomniała im, że wybaczyła Jamesowi, ale bez wchodzenia

w szczegóły. Było w tym dniu coś takiego, że wolała, by pozostało to tylko między nimi dwoj-giem. Przyjaciele szanowali jej opinię i chętnie zaakceptowali, że skoro jej zdaniem James bardzo się zmienił, to tak właśnie było.

– Jesteśmy teraz przyjaciółmi.

– Którzy chodzą razem na romantyczne obiady z szampanem i wibrującą czekoladą.

– Wcale nie był romantyczny! A czekolada nie wibrowała.

– I wybiera się tutaj? Jaki facet przychodzi na wieczór panieński poza tymi, którym się płaci od godziny? – spytała Michelle.

Anna uśmiechnęła się. Nie miała nic przeciwko temu, by jej przyjaciółka pociągnęła ten wątek.

– No dobra, pierdzielę bez sensu – stwierdziła Michelle, dolewając Annie prosecco z bu-telki. – On jest ładny. Ty jesteś ładna. Oboje jesteście wolni. Co się złego stanie, jeśli się trochę pooblapiacie? Wydaje mi się, że wysłał ci dość sygnałów, żeby przejść do Fazy Obcowania Cie-lesnego.

Anna wzruszyła ramionami, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Nie mówię, że nie może się pojawić jeszcze ktoś inny, idealny dla ciebie, z kim wszystko nabierze sensu. Ale czemu do tego czasu nie poużywać życia?

– Ja się chyba nie nadaję do przelotnych romansów – odparła Anna. – Zbyt poważnie podchodzę do związków.

– Zmarnujesz okazję z naprawdę przystojnym facetem, a potem będziesz żałować. Kiedy mi stuknęła trzydziestka, nagle do mnie dotarło, że za chwilę to wszystko się skończy. Wyobraź

sobie, jak kiedyś będziesz siedzieć w jednym z tych wózków dla babć w centrum handlowym, z sinymi nogami spuchniętymi jak trzepakczki do jajek, z piaskiem na kolanach, i rozmyślać, ileż to razy przepuściłaś fajne bzykanko.

Anna roześmiała się. Rehabilitacja Jamesa ledwo co się dokonała. I nie podobał jej się w ten sposób. Ale czy aby na pewno? Był zabójczo przystojny, to fakt. A czy ona jemu podobała się pod tym względem? Może to wszystko zmieniało.

– Chodzi mi o to, że nie ma sensu czekać nie wiadomo na co. Rozpakuj prezenty. Zrób drinki. Idź z nim do łóżka i się trochę zabaw, na litość boską. Chcesz arancini?

Anna uśmiechnęła się i wzięła pomarańczową kulę ze sterty na talerzu.

– Nawet gdybym się zdecydowała i miała ochotę, jak, do cholery, mam się do tego zabrać? – spytała z ustami pełnymi smażonego ryżu. – Nie umiem flirtować.

– Och, to proste. Musisz być trochę wyzywająca. Bezwstydna i zuchwała. Sekret uwodzenia w dziewięćdziesięciu siedmiu procentach sprowadza się do kontaktu wzrokowego. Resztę za-

łatwia męskie ego. Uwierz mi, dosłownie widać w ich oczach ten moment, w którym odkrywają, że coś dostaną. Bum!

Anna przypomniała sobie porady Jamesa, jak złowić Tima na otwarciu wystawy w Muzeum Brytyjskim, i dotarło do niej, że przecież on nie jest nowicjuszem. Ale jak z nim subtelnie flirtować? Choć według Michelle bynajmniej nie chodziło o subtelność.

Perspektywa zobaczenia się z Jamesem nappełniła Annę jakimś wewnętrznym światłem.

Jakby pod jego wpływem prostowały jej się plecy i wyostrzał dowcip. Miała nadzieję, że w czerwonej sukience, którą włożyła na ten wieczór, wygląda dobrze. A może nawet lepiej niż dobrze.

Postukała stopą w rytm muzyki, zastanawiając się, czy Michelle ma rację i czy może się zdarzyć tak, że wróci do domu razem z Jamesem. Myśl o tym ją przerażała, ale jednocześnie budziła w niej różne inne odczucia. Nie zamierzała odmawiać. Michelle ma rację. Czas zacząć żyć.

Rozdział 64

Dokładnie w chwili, gdy James pojawił się w drzwiach, zabrzmiały pierwsze takty *Get Lucky* Daft Punk, zupełnie jakby przyniósł własną muzykę. Uniósł dłoń, by pozdrowić Annę, na

co ta odpowiedziała identycznym gestem, Aggy zaś zapiszczała, rzuciła się na niego i zaczęła coś trajkotać, objąwszy go w pasie.

James słuchał, z grzeczności nie protestując przeciwko temu nieco nazbyt wylewnemu uściskowi. Miał na sobie czarny rozpinany sweterek i cienką, jasnoniebieską koszulę, trochę nie-starannie wyprasowaną, bo z podwijającym się kołnierzykiem. Jeszcze bardziej niż zwykle wyglądał jak Clark Kent, alter ego Supermana. Anna nie mogła się nadziwić, że znów widzi go

w innym sweterku. Ile on ich ma?

Obecne w sali drapieżne samice wyczuły męską krew i szybko go otoczyły pierścieniem, by nawiązać znajomość. James dyskretnie posłał Annie udawane spanikowane spojrzenie.

Doszła do wniosku, że chyba mogłaby się przekonać do rozpinanych sweterków. Teraz, kiedy jej zależało na tym, który je nosi. Korciło ją, by zająć miejsce Aggy, objąć go ramionami i mocno uścisnąć. Pomyślała o rozpinaniu tego sweterka, ale w tym obrazie coś jej nie pasowało.

Jakby w scenę uwodzenia wprowadzić zdejmowanie ogrodniczek albo zsuwanie przeciwzakrze-powych pończoch. A potem, kiedy dalej tam stał, rozmawiając i żartując z jej siostrą, podczas gdy dyskotekowa kula rzucała na nich świetlne refleksy, uświadomiła sobie, że pragnie czegoś więcej, niż tylko go rozebrać.

Chciała być jego. Chciała, by dał jej swoje serce.

– Idę się przywitać z twoją siostrą – usłyszała jego głos.

Kiedy szedł ku niej, miała wrażenie, jakby jej własne serce wywracało się na drugą stronę.

– Cześć – powiedział. Odchylił się w jedną stronę, potem w drugą i obejrzał jej strój. –

Nie widzę żadnych atakujących zewsząd motywów fallicznych. Ani koszulek z napisem „Lafi-ryndy Aggy”. Całkiem gustowna sukienka. Brawo, ty nieokrzęsana intelektualistko.

Ponad jego ramieniem Anna dostrzegła, że Michelle unosi oba kciuki do góry. Próbowwała sobie przypomnieć, jak wcześniej czuła się w obecności Jamesa.

Znów zaczęła mu dziękować za pomoc w rozwiązaniu kryzysu z Aggy. Kiedy James opowiadał o zerwaniu kontaktów z Laurence'em, doszła do wniosku, że po trzydziestu dwóch latach czekania na grom z jasnego nieba, wcale nie czuje tego, czego się spodziewała. Myślała, że spłynie na nią poczucie bezpieczeństwa, świadomość, że jest u siebie, tam gdzie być powinna. Tymczasem miała raczej wrażenie, jakby siedziała przywiązana do krzesła i przechylała się nad krawędzią urwiska. Nad przepaścią.

– Nigdy jakoś nie obejrzelśmy tego filmu dokumentalnego Tima – stwierdził James, podnosząc kieliszek. – Ty go widziałaś?

– Nie... – A tak jej na tym zależało. Ale film budził skojarzenia z tamtym gwałtownie przerwany wieczorem i nie zdobyła się na drugie podejście. – Moglibyśmy znów spróbować.

Tym razem bez harlequinów, ulotek od chirurgów kosmetycznych i kłótni.

„Zaraz”, pomyślała, „czy to nie jest okazja do poflirtowania?”.

– To wtedy proponowałaś mi bezstronną ocenę stanu mojego biustu, żeby mnie uspokoić, że nie wymaga poprawek – dodała.

– Poważnie? Dawny James to był kawał drania. Dawny James prawie wcale cię nie znał.

Roześmiała się. Podjął grę, podobało jej się. O to w tym chodzi, prawda? Żeby sobie wyobraził ciebie nagą.

– Postanowiłam skorzystać z oferty – oznajmiła z uśmiechem. – Może być złoty numerek na kijku, jak w teleturnieju.

– O Boże. – James potarł oko. – Niiieeee!

– Nie? Czyżby chłopcy nie marzyli o takich rzeczach?

– Tak, ale... Jesteś moją przyjaciółką. To tak, jakbym oglądał własną siostrę.

Auć. Auuu! Alkohol nieco osłabił cios, jakby została uderzona przez poduszkę. Ale kiedy go sobie przypomni rano, zaboli jak diabli. Wiedziała, że powinna coś powiedzieć, zmienić temat, nic jednak nie przychodziło jej do głowy. Jak siostra? Kompletnie nie potrafiła

odczytywać męskich zachowań w romantycznych sytuacjach. Zatkąło ją.

– Anno. Anno? – usłyszała Jamesa.

– Mmmm – mruknęła, udając, że dostrzegła w kieliszku coś, co na moment pochłonęło jej uwagę.

– Anno...

Ujął ją pod brodę i przechylił jej twarz w swoją stronę.

– Nie to miałem na myśli. Zabrzmiało może trochę lekceważąco, ale nie chciałem wyjść na rozpustnika. Czułbym się dziwnie i głupio, to by było niestosowne wobec ciebie.

– Miałam nadzieję, że tak zareagujesz – odparła. Słowa zrodziły się w głowie i wyleciały przez usta, zanim świadomość zdecydowała, czy powinny. Łup! Stało się. Powiedziała to. Powiedziała coś takiego.

James wpatrywał się w nią z lekko rozchylonymi ustami, dudniła muzyka, a Anna usiłowała wymyślić, jak naprawić bądź zmienić to, co jej się wyrwało. Bez powodzenia. Stanęli na

krawędzi, a odpowiedź Jamesa określiła, jak odtąd będą wyglądać relacje między nimi. Anna poczuła się jak hazardzista, który postawił wszystkie żetony na czerwone i czeka, aż koło ruletki się zatrzyma. Czy się pocałują? Czy tylko jej się wydaje, że James przysunął się bliżej, ich głowy pochylają się...?

– Eva do mnie wróciła – oznajmił z pewnym zdumieniem w głosie, jakby sam się tego dowiedział dopiero w tej chwili.

Znów poczuła to tępe uderzenie. Ale tym razem ktoś włożył w nie więcej siły. Mimo hała-su i zgiełku dokoła na kilka sekund zapadła między nimi cisza, gęsta i ciężka.

– O – powiedziała Anna. Nawet w tym jednym dźwięku słyszała w swym głosie pustkę i odrętwienie.

– Świeża sprawa. – James odchrząknął. – Z wczoraj. Pracujemy nad tym powoli. Jeszcze się z powrotem nie wprowadziła.

– Aha – rzuciła głucho Anna.

– Tak czy siak, będziesz do mnie wpadać? – spytał.

Bywały w życiu Anny chwile, w których czuła się mała i głupia. Ta plasowała się w ści-słej czołówce.

– Ha. Nie, nie sędzę – odparła, kręcąc głową, z bladym uśmiechem na ustach.

– Jasne, że tak – zabrzmiało to, jakby James sam siebie nie zdołał przekonać. Wydawał

się zakłopotany, sprawiał wrażenie, że chce o coś spytać i Annę, i siebie, ale nie potrafi znaleźć właściwych słów.

– Nie mogę.

– Może jak już wszystko się ułoży... – nie tracił nadziei.

Wiedziała, że sam nie słucha

tego, co mówi.

– Nie...

– Zawsze jesteś mile widziana...

Słowa te zabrzmiały, jakby zapraszał starą samotną ciotkę, na którą w ich domu zawsze czeka pudło herbatników.

Anna uśmiechnęła się i zebrała resztki odwagi, jakie jej pozostały.

– James, przestań, proszę, mówić, że mogę cię odwiedzać. Oboje wiemy, że to nieprawda.

Mam nadzieję, że wszystko ci się poukłada. Jeszcze raz dziękuję za to, co zrobiłeś dla Aggy. Nigdy ci się dość nie nadziękuję. Wezmę sobie jeszcze jednego drinka.

Wstała i zdecydowanym krokiem ruszyła do baru.

– James wychodzi! – zawołała kilka minut później Aggy. Anna zobaczyła go, jak wkłada

płaszcz i macha jej na pożegnanie.

Pomachała mu także, z uśmiechem od ucha do ucha i entuzjazmem, który miał usprawiedliwić to, że nie przeszła na drugą stronę sali. Nie miała pojęcia, co by mu mogła powiedzieć.

Najwyraźniej zrozumiał, że Anna woli właśnie takie pożegnanie, bo zaraz się wymknął – co było prawdziwym wyczynem, biorąc pod uwagę, że pijana Aggy uczepiła się go jak miś koala.

– Nie wyszło? – spytała Michelle, która stała w pobliżu i widziała, jak James wychodzi.

– Nie – mruknęła Anna, z nieudolnie udawaną beztroską.

– Hmm, ten facet to zagadka – stwierdziła Michelle.

Anna mogła rozwiązać tę łamigłówkę, ale nie była jeszcze gotowa. Najpierw musiała ją

przetrawić w samotności. Cieszyła się, że już się zbliża świt,

bo odeszła jej cała ochota na imprezowanie. Ha. Z jakiegoś szalonego powodu znów stanęły jej przed oczami bazgroły w pamiętniku: „JF NA ZAWSZE”. Może i na zawsze, ale nie dla niej. Dla Ewy.

Kiedy dotarła pod drzwi swojego mieszkania, zapiszczał telefon. Esemes od Jamesa.

Przykro mi. Jx

Pół godziny męczyła się nad odpowiedzią, która również zawierała tylko dwa słowa.

W porządku. Ax

Rozdział 65

Zastał ją na ganku, gdzie schroniła się przed ulewą, która zmieniała jej co dłuższe włosy w wilgotne sznurki, a makijaż oczu w błyszczące czarne smugi jak u punka. Na mokro jej blond fryzura zawsze wydawała się ciemniejsza.

– Czemu nie zadzwoniłaś? – spytał.

– To było spontaniczne. Nie chciałam się umawiać – odparła i James już wiedział, co za chwilę mu powie.

Ewa zniknęła na piętrze, a kiedy z powrotem zeszła na dół, zamiast bluzki miała na sobie tylko biustonosz i jeden z jego rozpinanych sweterków, którym niemal dwukrotnie owinęła swe szczupłe biodra.

Rozmawiali przez półtorej godziny, podczas gdy za oknami deszcz nieprzerwanie bębnił

o ziemię. Wyjaśniła Jamesowi, że zanim go poznała, zawsze była wolnym ptakiem. Jeździła, do-kaąd chciała, i robiła to, na co tylko naszła ją ochota, a kiedy się szaleńczo zakochała, zbyt szybko przyjęła na siebie zobowiązania. To ją dezorientowało jak przy zmianie strefy czasu – znacznie bardziej, niż kiedy polecieeli w podróż poślubną na Sri Lankę.

Nigdy mu tego nie mówiła, ale w nocy przed ślubem przeżyła coś w rodzaju ataku paniki, z dusznościami i kołataniem serca. James

mógłby pomyśleć, że miała wątpliwości co do niego, przyczyna jednak na pewno była inna. Wszystko stało się tak szybko, nagle musiała podjąć decyzje na całe dalsze życie. Z perspektywy czasu dostrzegła, że być może powinna była z nim szczerze porozmawiać. Na wspomnienie tego obtarła idealnie okrągłe łyżki jak z fotografii Man Raya.

– Więc co się zmieniło? – spytał James.

– Za bardzo mi ciebie brakowało. Brakowało mi nas obojga. – Podciągnęła jeszcze bardziej nogi pod siebie i wydawała się teraz maleńka i bezbronna na olbrzymiej różowej sofie.

Hmmm. Zgrabna, niejednoznaczna odpowiedź. Chyba nie w tym rzecz, że ostatnio zaczął

dostawać na Facebooku zalotne komentarze od koleżanek i znajomych kobiet, nie wyłączając nawet tych, z którymi kiedyś chodził? Ani w tym, że na stronie agencji nieruchomości pojawiły się zdjęcia ich domu i zaczęli się zgłaszać chętni do jego obejrzenia? Nie. Przekonywał sam siebie, że to nie może być przyczyną.

– A co na to Finn?

Eva wytarła nos mankietem jego swetra.

– Powiedziałam mu, że na dłuższą metę nigdy między nami nic nie będzie. On to rozumie.

James zastanawiał się, co oznajmiła Finnowi, kiedy się do niego wprowadziła. Przypomniawszy sobie, że gdy zaczął z nią chodzić, jej znajoma Victoria napomknęła niby w żartach: „Przy Evie szybko odkryjesz, że mówi jedno, a robi co innego. Jeżeli ci to nie przeszkadza, będzie fajnie”.

Opowiedział to Evie, na co prychnęła, że Victoria się w nim podkochuje, a poza tym

„przynudza” – po czym nigdy więcej już jej nie zaprosiła na żadną imprezę. Jamesa uderzyło, że kiedy się najbardziej potrzebuje opinii o kimś, kogo się poznało, wszyscy milkną albo grozi im ekskomunika.

Ale z powodu tego, co się stało, nie może popadać w cynizm. Ostatnie doświadczenia nauczyły go, że powinien zwalczać w sobie takie podejście. Eva była jego żoną i chciała spróbować jeszcze raz. On zaś nie był Laurence'em. W miłości trzeba się czasem zdobyć

na bezinteresowność i wyrozumiałość.

Eva postanowiła nie wracać natychmiast. Na razie pomieszka trochę u Sary, James wycofa ofertę sprzedaży domu i dopóki oboje nie będą gotowi na pełne pojednanie, poprzestaną na spotkaniach i rozmowach.

A gdyby kiedykolwiek znów go zawiodła, rozstaną się na zawsze. Zapewniła go, że doskonale to rozumie. James powtarzał sobie, że w pewnym sensie może się czuć bezpieczniej niż wielu innych mężów. Jego żona zdradę miała już za sobą. Nie ośmieli się zrobić tego jeszcze raz, licząc, że znów mógłby jej wybaczyć.

Dziś zaprosiła go na lunch w Roebuck w Hampstead. Przyjechała z dużą jasnozieloną torbą na ramię pełną kolorowych czasopism o urządzaniu domu i zamiast jeść, głównie wertowała lśniące strony. Ostatnio zagustowała w stylu androgynicznym: męskie sznurowane broggy plus obcisłe spodnie.

Kiedy James zapytał, skąd to nagłe zainteresowanie szafami i perskimi dywanami, wyja-

śniła, że rodzice dali jej pieniądze, żeby kupiła sobie jakiś mebel do domu.

– Prezent za to, że wróciłaś do męża? Trochę dziwne – zauważył, prostując na talerzu podłużny kawałek boczku.

– To nie tak. Wiedzą, że przeżyłam trudne chwile.

– Ty przeżyłaś trudne chwile? – skrzywił się.

– Oboje je przeżyliśmy. Ale to ja jestem ich ukochaną córeczką.

Po lunchu zaczęli krążyć po koszmarnie drogich butikach z wyposażeniem wewnątrz, gdzie wszystko było ze szkła, w kolorze kredowoszarym, ewentualnie écru. W tym upiornym świecie niepodzielnie panowały wszelkie odcienie bladości. Na szczęście i Luther wpisywał się w tę kolorystykę. No ale też właśnie dlatego znalazł się w ich domu.

Koło Jamesa pojawił się jakiś chłopczyk w kolorowym wdzianku i sznurowanych buci-kach prosto z pudełka. Poruszał się jak nakręcana zabawka, pilnowany przez mamę o hiszpań-

skiej urodzie. Odziedziczył po niej kruczoczarne włosy i oliwkową skórę. Dzieci Anny też tak będą wyglądać. Nie ma mowy, żeby włoskie

geny pozwoliły się przytłumić wyblakłej brytyjskiej palecie barw.

Anna.

Od kiedy widział ją w zeszłym miesiącu, miał jej tyle do opowiedzenia. Przecież byli przyjaciółmi. „Chyba mam prawo się z nią kontaktować” – pomyślał. Siostra akurat wróciła na

krótce do domu i bardzo chciał ją przedstawić Annie, by zobaczyła, że w jego życiu jest też paru przyzwoitych ludzi. Byłby szczęśliwy, widząc, jak Grace odnajduje z Anną wspólny język. Tak się ucieszył na samą myśl, że nawet zaczął pisać do niej mejla, który jednak ostatecznie trafił do

kosza.

Niemal udało mu się przekonać samego siebie, że kiedy na wieczorze panieńskim powiedziała mu, iż nie powinni się widywać, wcale tak nie myślała. Dużo wtedy wypła, była mu

wdzięczna za to, jak pomógł jej siostrze, i wyrwało jej się coś z wyraźnym podtekstem. Ale przecież on nigdy jej nie pociągał. A może jednak?

Nie tęsknił po prostu za nią. Tęsknił za Jamesem, jakim się przy niej stał.

– Jay – zawołała cicho Eva z drugiego końca hali. – Jay? – Dwóch mężczyzn, którzy dyskretnie obserwowali krążącą po sklepie Evę, zerknęło, by ocenić jej partnera. James przywykł do

tego, że w jej towarzystwie ludzie baczniej mu się przyglądają. Kiedyś mu się to podobało. Ba, uwielbiał to.

– Co powiesz na to? – Stała przed olbrzymim lustrem, zasłaniając sobie usta sklepową ulotką.

– Jest ogromne – stwierdził. Było wielkości stołu z piłkarzykami, w perłowej ramie z ozdobnym herbem u góry. Wzdłuż krawędzi szkło zostało sztucznie postarzone maleńkimi kropkami i rysami.

– Chciałabym mieć w sypialni lustro aż do podłogi.

– Hmm. Ja bym chyba nie miał ochoty oglądać się co rano od stóp do głów.

– E tam. Schudłeś. Dieta nieszczęśnika wyraźnie ci posłużyła.

James spojrział na nią oszołomiony.

– W dzisiejszych czasach w tych sklepach trzeba bardzo uważać. –

Eva zniżyła głos i, odsunawszy nieco ulotkę od ust, mówiła dalej: – Uwielbiam meble od Gustaviana, ale te wszystkie wytworne pseudostarocie okropnie spowszedniały. Wszyscy teraz kopiują na potęgę białe francuskie antyki. I można się naciąć na poduszki, które wyglądają jak z byle sieciówki, albo na kolorowe puchary na szampana, w sam raz do klonowej kuchni do samodzielnego montażu.

– Kogo to obchodzi, gdzie kupiłaś poduszki? – zdziwił się James. Aby znaleźć odpowiedź, rozejrzał się po sklepie, popatrzył na te wszystkie pary gustownie ubranych, urodziwych i zadbanych trzydziestokilkulatków, obkupujące się w luksusowe rekwizyty, by wieść jeszcze bardziej godne pozazdroszczenia życie. James świetnie do nich pasował.

– Cha, cha – roześmiała się Eva. – To może od razu sprawmy sobie w hipermarkecie ohydne lustro w ramie z nierdzewnej stali. Albo w Ikei, razem z jakimś tandetnym bibelotem z powyginanego bambusa.

Odwróciła się, by znów przyjrzeć się ich odbiciom. Oparła głowę na ramieniu Jamesa i pogłaskała go po podbródku.

– Ta broda zostaje? Już się do niej przekonałam.

Rozdział 66

Anna nie była przygotowana na to, że wszystkie aspekty jej istnienia przeniknie bezna-dziejna pseudomłodzieńcza tęsknota. Każda piosenka w radiu miała jej coś do powiedzenia, każ-

da myśl wcześniej czy później zaczynała krążyć wokół Jamesa, każda najbanalniejsza codzienna czynność przypominała jej, że odszedł. Jak to możliwe, żeby czyjaś nieobecność tak bardzo da-wała o sobie znać? Teraz, gdy go nigdzie nie było, zarazem był wszędzie. Ilekroć przychodził ja-kiś mejl czy esemes, pragnęła, by był od niego.

W ostatnich tygodniach Anna miała mnóstwo czasu na przemyślenie ironii i niezwykłości swojej sytuacji. Potwór z przeszłości powrócił, a to, co sprawił, miało wymiar magii. Annę przestała prześladować szkoła. Wspomnienia wciąż bolały – zawsze będą boleć – ale gotowość Jamesa do zmierzenia się z kiedyś popełnioną zbrodnią sprawiła, że w jakimś sensie Anna odniosła zwycięstwo.

Jakkolwiek dziwnie to brzmiało, wybacząc jemu, wybaczyła i sobie. Nie zdawała sobie sprawy, że o to, iż stała się ofiarą

prześladowań, zawsze obwiniała samą siebie – jej własna osoba budziła w niej wstręt i napęniała ją wstydem. Uświadomiła sobie teraz, że jej były chłopak ze

studiów, Mark, któremu ciągle coś się w niej nie podobało, również nienawidził sam siebie. Dlatego starał się rozbudzić nienawiść w Annie, by czuła się równie źle jak on. To miało sens – od-trutką dla Anny musiał być ktoś, kto kocha samego siebie.

Tak bardzo chciała się podzielić tym spostrzeżeniem z Jamesem, usłyszeć, jak wybucha śmiechem i rzuca jakąś sarkastyczną uwagę. Czy kiedykolwiek jeszcze spotka kogoś, przy kim śmiałyby się tak, jak przy nim?

Dopiero teraz, gdy nie było już szans na to, by go w sobie rozkochać, zaczęła rozmyślać, jak bardzo do siebie pasowali. Był inteligentny i stanowił wyzwanie. Łączyło ich wystarczająco dużo, by czuli się ze sobą swobodnie, i wystarczająco wiele różniło, żeby się sobą nie nudzili. James dogadywał się z jej przyjaciółmi i rodziną. Znał całą jej historię. Ta jedna rzecz natychmiast wyróżniała go na tle wszystkich innych ludzi.

I oczywiście pragnęła go także w czysto fizycznym sensie. Co do tego właściwie nigdy nie miała wątpliwości, choć dotąd jej mózg trzymał pożądanie na uwięzi.

Kiedy analizowała ich burzliwe pojednanie, rozumiała teraz motywy Jamesa na każdym etapie i ufała mu. W ważnych sprawach okazał się człowiekiem przyzwoitym, sympatycznym i uczciwym. Skrywał ten kościec moralny pod grubą warstwą wysokiego mniemania o sobie i okropnymi sweterkami. W przeciwieństwie do Laurence'a, czy nawet Patricka, chciał poznać i zaakceptować prawdziwą Annę, bez żadnych erotycznych propozycji czy zamiarów względem niej. Choć akurat w tym przypadku, inaczej niż w tamtych obu, żałowała, że do niczego nie do-szło.

Wyobrażanie go sobie z Evą było nie do zniesienia. Myśl o tym, że z nią sypia, paliła jak zgaga. James nie był odpowiednim partnerem dla Ewy. Wyglądał na takiego, ale w rzeczywistości bardziej pasował do Anny. A może wcale nie? Może była dla niego tylko ideologiczną chwilową ucieczką od bezdusznego hipsterskiego świata? Czy gdyby ten

samolot nagle runął dziobem w szary zimny ocean, James uroniłby łzę na wieść o jej śmierci?

– Anno? Anno. Jesteś tam? Wpadłaś w katatonię czy co?

Michelle przesunęła dłonią przed jej twarzą. Anna pograżyła się w tak głębokiej zadumie, że miała wrażenie, jakby ją nagle wyrwano z ciepłego matczynego łona.

– Wszystko w porządku? – spytała Michelle. – Ostatnio jesteś jakaś nieobecna. Od pół

godziny ciągle się gapisz na chmury.

– No bo... – Anna spróbowała nieco rozprostować kręgosłup w fotelu – poza chmurami nic więcej nie widać.

– Nawet mi nie mów.

Michelle położyła z powrotem rękę na podłokietniku, którego trzymała się kurczowo od

chwili startu. Latanie napełniało ją przerażeniem. Połknęła parę garści Kalms, wypila dwa podwójne giny z tonikiem, a Anna i Daniel musieli ją prowadzić z obu stron pod rękę, jak niedołążną staruszkę.

Niemal wszyscy goście weselni lecieli liniami easyJet z lotniska Stansted do Pizy. Daniel ostatecznie wybrał się bez Penny, która uznała, że jest zbyt splukana na takie eskapady. Michelle skomentowała to uwagą, że nie zdziwiłaby się, gdyby oznajmił, iż to ona poleci, a on zostanie w domu.

Samolot podskoczył, potem nieco opadł i z cichym „ding” zapaliły się światełka nakazujące zapięcie pasów bezpieczeństwa.

– Co się dzieje? Czemu nam każą zapiąć pasy? – zaniepokoiła się Michelle, która swoich przez cały lot w ogóle nie rozpięła.

– Chyba trafiliśmy na turbulencje – powiedziała Anna, zatrzasnąwszy metalową klamrę. Samolot znów ostro zanurkował i ponownie podskoczył.

– Co się, kurwa, dzieje?! – jęknęła Michelle. – Czemu kapitan nic nie mówi? Cały czas milczy! I zniknęły wszystkie stewardesy!

– One też muszą usiąść i się zapiąć, kiedy samolot przelatuje przez turbulencje – wyjaśnił

Daniel. W ręku trzymał okrągłą puszkę po cukrze pudrze. – Może

ciasteczko jęczmienne?

– Nie chcę żadnych ciasteczek, prędzej kapsułkę z cyjankiem. Wszyscy uciekli, bo nie chcą patrzeć w nasze twarze skazanych na śmierć.

– W takim razie ja umrę z czymś słodkim w ustach – oświadczyła Anna. Sięgnęła po ciasteczko Daniela i w tym momencie samolot opadł, szarpnął i zakołysał się. Kilku zdenerwowanych pasażerów jęknęło.

– Wszystko w porządku, Michelle. – Anna próbowała ją klepnąć uspokajająco w kolano, ale nagły przechył kabiny sprawił, że nie trafiła dłonią.

– Zaraz zginiemy, to koniec, wiedziałam. Zawsze wiedziałam i dlatego nie wsiadałam do

samolotów. – Michelle zacisnęła powieki. – Już nigdy nie zrobię tego wszystkiego, o czym marzę. Nigdy nie zobaczę opery w Sydney ani się nie prześpię z Guyem.

– Z kim? – zaciekawiała się Anna.

– Z Guyem. Tym facetem od „Pychaśnego Mięska”, co gada jak arystokrata. Nie pamię-

tasz? Ta nowa furgonetka z hamburgerami zaraz koło Pantry. Zaprosił mnie na randkę. – Michelle wciąż nie otwierała oczu.

– A ja dostałem opieprz, kiedy spróbowałem jego wołowiny! – Daniel zerknął na Annę ponad fotelem Michelle.

– Do Sydney strasznie długo się leci – zauważyła Anna.

– Zamknij się zamknij się. I nie rozumiem, czemu oboje jesteście tacy zblazowani. Sami ja-koś szczególnie nie korzystacie z życia.

– Oho, zaczyna się – powiedział Daniel.

– Anno, przestań w końcu rozpamiętywać wszystkie nieszczęścia z przeszłości i idź do

łóżka z każdym facetem, jaki ci się nawinie.

– Z każdym?

– A ty, Dan, na litość boską, pozbądź się Penny. Ona jest okropna.

– Myślałam, że przerażeni pasażerowie plotą o własnych sekretach – stwierdziła Anna, zażenowana za Daniela.

– Nie mogę się rozstać z Penny – odparł Daniel, opierając dłonie o drżące oparcie fotela przed nim.

- Owszem, możesz!
- Nie mogę!
- Możesz! Boisz się i dlatego tak mówisz!
- To kwestia logiki, a nie strachu. Z Penny już się rozstałem.
- Co?! – Michelle otworzyła oczy. – Kiedy?
- Zanim jeszcze wynikła kwestia wesela.

Turbulencje ustąpiły, a Anna powiedziała:

- Mam nadzieję, Dan, że wszystko w porządku. Tak mi przykro.
- Naprawdę? – Daniel uśmiechnął się lekko.
- Z powodu ciebie – dodała.
- Co się stało? – Michelle chciała poznać szczegóły.

Anna ścisnęła jej ukradkiem rękę, by przypadkiem czegoś nie palnęła.

– Pamiętacie ten koncert w Star & Garter w Putney? Napisała jeszcze jedną piosenkę o mnie. – Daniel westchnął. – I wiecie, co sobie pomyślałem? „Jesteś niesympatyczna. Możesz mieć różne mankamenty. Ale bez tego nie da się żyć”.

– Bardzo mądre podejście – orzekła Anna.

Znow rozległo się melodyjne „ding” i zgasły światelka nakazujące zapięcie pasów.

– Zobacz, Michelle! – zawołała Anna. – Już chyba wylecieliśmy z tego.

Sięgnęła do jej pasa, by go rozpiąć.

– Nie! – sprzeciwiła się Michelle. – Nie wierz im. Pewnie chodzi o to, żebyśmy mieli wolne ręce do modlitwy.

Z głośników dobiegł komunikat.

– Proszę państwa, mówi kapitan. Jak wszyscy zapewne zauważyli, przelecieliśmy właśnie przez strefę turbulencji...

– Wielkie dzięki! – krzyknęła Michelle. – Już ja ci dam strefę turbulencji!

Dla gości weselnych Aggy załatwiła na weekend szkolny autobus, który najpierw zawiózł

ich na zakrapianą kolację do otoczonej murami obronnymi Lukki u podnóża gór. Miasto stanowi-

to idealne wprowadzenie dla tych, którzy dotąd nie mieli okazji zobaczyć klasycznej, niezniszczonej nowoczesnością i pocztówkowo pięknej Toskanii: średniowiecznej architektury, czerwonych dachów, drzewek oliwnych.

Na posiłek Aggy zarezerwowała uroczą, niedrogą trattorię, a potem, w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, wszyscy przeszli przez plac i dalej brukowanymi uliczkami do baru-kawiarni. Anna zastanawiała się, jak to możliwe, że łuszcząca się farba, która w domu jest po

prostu starą farbą, tutaj wygląda tak niewiarygodnie romantycznie.

Co chwilę widziała coś lub myślała o czymś, czym chciałaby się podzielić z Jamesem, i raz po raz dotykała gładkiego telefonu w kieszeni. Uznała jednak, że nie powinna do niego piścić, gdy szumi jej w głowie.

Z sufitu knajpki zwisały plastikowe kiście winogron, a wejście zdobiły girlandy bajkowych światełek. Goście kręcili się po sali, popijali aperol spritz i podjadali *crostini* z talerzy. Wiekowa elegancja i kulturalne picie – tak, zdecydowanie znajdowali się za granicą. Tata Anny opierał się o kontuar, ciesząc się z okazji do pogadania z barmanem w ojczystym języku. Jak w przypadku każdego, kto wyjechał na stałe do innego kraju, gdy tylko wylądowali w Pizie, jego akcent stał się trzykrotnie silniejszy.

Anna rozejrzała się po barze i pomyślała, że nikomu by nie przyszło do głowy, iż ta wycieczka stanowi zaledwie skromniejszą wersję wesela, które miało wyglądać zupełnie inaczej.

Musiała przyznać, że Aggy naprawdę ma talent do organizowania imprez. Nic dziwnego, iż jej głupiutka siostra zarabia aż takie pieniądze. Choć i tak niewystarczające na jej potrzeby. Przypomniało jej się, że Aggy wisi Jamesowi parę tysięcy, i skrzywiła się. Rozumiała, dlaczego James jej o tym nie wspomniał. Z tą wiedzą czuła się nieswojo.

– Zabawiam gości – powiedziała Aggy, podchodząc do stolika Anny, Michelle i Daniela z ogromnym kieliszkiem czegoś czerwonego.
– Jestem na wakacjach z całą rodziną i wszystkimi znajomymi, to chyba jedyny taki raz w moim życiu. Nie chcę niczego przegapić. A poza tym chciałam was powiadomić, że Chris i ja szykujemy jutro dla was

wszystkich niespodziankę.

– O Boże, nie – jęknęła Anna. – Oby tylko nie z udziałem publiczności.

– Pożyjemy, zobaczymy – odparła lakonicznie jej siostra, a Anna zasłoniła sobie oczy.

– Nie znoszę niespodzianek – oświadczyła. – Lubię rzeczy przewidywalne.

– Ależ ja mam nudną starszą siostrę... O czym rozmawialiście? Słuchaj no... – Aggy pisnęła, nie czekając na odpowiedź, bo nagle coś jej się przypomniało. – Nic mi nie mówiłaś, że James Fraser znów jest z żoną!

Żołądek Anny skurczył się jak piłka, z której w jednej chwili uleciało powietrze.

– Skąd o tym wiesz? – spytała.

– To bardzo egoistyczne z jego strony, nie sądzisz? Akurat, kiedy uznałyśmy, że powinien się zakręcić wokół Anny – zauważyła Michelle.

– Mam go wśród znajomych na Facebooku – wyjaśniła Aggy. – Parę dni temu jego żona wrzuciła mu na ścianę jakiś miłosny wiersz. Pojawiło się pod nim mnóstwo komentarzy. Odkry-

łam to, kiedy sprawdzałam, czy działa tu mój telefon. Bałam się, że może nie być zasięgu.

– Wyobrażam sobie, że gdyby go nie było, wdrapałabyś się na szczyt góry i próbowała złapać piorun na drucziany wieszak – zażartował Daniel.

Annę poruszyło to nieoczekiwane potwierdzenie końca kryzysu w małżeństwie Jamesa.

„Wrzuciła mu na ścianę miłosny wiersz”. Anna miała świadomość, że nie jest obiektywna, ale Eva wydawała jej się straszną kobietą. Bawiąc się nóżką kieliszka, gotowała się z zazdrości i żalu jak woda w czajniku.

– Ma szałową żonę. Będą mieć niesamowite dzieci.

– Aggy, nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy! – nie wytrzymała Anna.

– A właśnie, że będę! – odgryzła się. – Wysłałam Jamesowi zaproszenie na ślub, ale wypadło mu coś w pracy.

- Aggy! – Anna krzyknęła ostro.
- No co? Był dla mnie bardzo miły.
- Wypadalo najpierw zapytać mnie.
- Nie zgodziłabyś się?
- Nie.
- Dlaczego?

Yhm...

- Ze względu na żonę.
- Jest aż tak okropna? – zapytała Aggy. – Nie sądziłam, że ją znasz.

Michelle przysłuchiwała się z zaciekawieniem.

Anna nagle poczuła się, jakby stała w wielkiej dziurze i wściekle wyrzucała łopatą ziemię przez ramię. Nikt przy stole nie umiał zinterpretować jej reakcji, wszyscy jednak wyczuli, że coś się stało. Z natury zawsze dusiła w sobie i skrywała wszelkie doznane krzywdy. Teraz miała już dość. Za bardzo ją to przygniotło.

– Przepraszam. To nie twoja wina, Aggy. Nie byłoby w tym nic złego, tyle że... – Anna wciągnęła powietrze – ...przypadkiem, mimowolnie, nic na to nie mogąc poradzić... – nigdy jeszcze nie wypowiedziała tego słowa na głos – ...zakochałam się w Jamesie Fraserze. A kiedy tylko podjęłam inicjatywę, dowiedziałam się, że znów jest z Evą.

Michelle i Aggy sapnęły z wrażenia.

– Wiesz co? – stwierdziła Aggy. – Właściwie nie jestem zaskoczona.

– Zatkano cię! – odparła Anna.

– Tak, ale to był bardziej entuzjazm, coś takiego – tu Aggy zrobiła oszołomioną minę i pokiwała głową – niż szok. – Teraz dla odmiany uniosła dłoń i pokręciła głową. – Wiedziałam, że do tego dojdzie. Jak tylko zostaliście przyjaciółmi i pogodziliście się, od razu wiedziałam.

– Skąd?

– Po pierwsze, czy istnieje kobieta, której on by się nie podobał? Wiem, że z nas dwóch to

ty jesteś głupia, ale nie aż tak. Po drugie, bez przerwy o nim gadałaś.

– To prawda – przytaknęła Michelle, chwytając w zęby słomkę w kieliszku. – Co chwilę słyszałam: „Nie uwierzysz, co powiedział James!”. Ten straszny, okropny, irytujący, skandalicz-nie seksowny James.

– Więc wiedziałyście to wcześniej ode mnie? Ciekawe, czy on też. Boże, co za ponura myśl.

– Powiedziałaś mu? – spytał Daniel.

– Że się w nim zakochałam? Nie użyłam aż tylu słów. Właściwie to ani jednego. Na wieczorze panieńskim powiedziałam mu coś z wyraźnym podtekstem. Był skrepowany i oznajmił

mi, że właśnie wróciła do niego Eva. Niezręczna sytuacja.

– Może mimo wszystko powinnaś mu powiedzieć – uznał Daniel.

– Czy w ten sposób nie upokorzyłabym się jeszcze bardziej, bez powodu?

– Tak, ale jeśli się nie dowie, nic z tym nie będzie mógł zrobić.

– Nie sądzę, że jeśli mu powiem, nagle przestanie kochać żonę – stwierdziła Anna.

Przypomniała jej się rozmowa o Evie, kiedy jechali na diabelskim młynie. Wypowiadał

się na jej temat dość powściągliwie. Wtedy przypuszczała, że z próżności, nie chcąc się przyznać do siły swoich uczuć, na wypadek gdyby nie udało mu się odzyskać żony. Teraz miała wszelkie powody do nadziei, że naprawdę się wahał co do niej.

Anna żałowała, że życie nie przypomina gier wideo Patricka, że nie można wybrać jednej z wielu opcji, dać się zastrzelić za głupotę, a potem wrócić do punktu wyjścia i dokonać innego wyboru.

– Tak czy owak, nic by z tego nie wyszło. – Anna powiedziała to takim tonem, jakim ludzie udają, że pogodzili się z czymś bardzo nieprzyjemnym. – Nie znosilibyście go.

– Nie podobało nam się to, co kiedyś zrobił. – Michelle grzebała słomką w kostkach lodu. – Ale do wieczoru panieńskiego zdążyłam go polubić. Naprawił zło, jakie ci wyrządził. Był

dowcipny. Na pewno mogłabym go sobie wyobrazić przy twoim boku.

Aggy skinęła głową.

– Byłam na niego wściekła za to, że cię nie przeprosił, ale kiedy go zobaczyłam w Zetter, widziałam, że jest mu naprawdę przykro. Liczy się to, jak by cię traktował teraz, a moim zdaniem dobrze.

Anna nie bardzo wiedziała, czy ma się cieszyć, czy nie.

– I zrobił fatalny błąd. Jesteście dla siebie stworzeni – ciągnęła Aggy. – Macie ten sam kolor włosów. A jego żona pokazuje na Facebooku tylko własne zdjęcia w łazienkowym lustrze.

Nikt jej nie obchodzi poza nią samą. Nie wiem, co James w niej widzi.

– Poza olśniewającą urodą – zaripostowała Anna.

– Jeśli wybrał Evę, a nie ciebie, to nie był dla ciebie wystarczająco dobry – stwierdziła Aggy kategorycznie. – Nikt wystarczająco dobry nie wolałby jej zamiast ciebie.

Anna uśmiechnęła się.

– Dzięki. Mimo wszystko rozumiem, że może być wystarczająco dobry, a jednak wybrać ją. Są małżeństwem, mają razem dom i humorzastego kota, spędzili ze sobą sporo czasu. To nigdy nie była uczciwa walka. Tamta strona ma nade mną ogromną przewagę.

Wszyscy uprzejmie pokiwali głowami, nie dopytując się, na czym polega humorzastość kota.

– Wiecie, co mi przyszło do głowy po tej uwadze Aggy o Facebooku? – zapytała Anna.

– Że Facebook jest tym dla idiotów, czym dżem dla os? – rzuciła Michelle.

– Że nikogo nie można się już pozbyć. Żyjemy w epoce cyfrowej wieczności. Jeśli tylko najdzie mnie chwila słabości, będę mogła sprawdzić, co słyhać u Jamesa. Zmieni sobie zdjęcie w profilu na USG, potem będzie fotka z dzieckiem, potem z drugim. Słowo daję, w dzisiejszych czasach ludzi można podglądać niemal na okrągło. „A tutaj James junior siedzi na nocniku”.

– To będzie bolesne. – Michelle pokiwała głową.

Aggy westchnęła.

– Gdyby to był film, James popędziłby na lotnisko, żeby ci powiedzieć, zanim samolot wystartował, że czuje do ciebie to samo.

– Nie pomagasz, Agato! – skarciła ją Michelle. – A te sceny

na lotnisku to największa bzdura ze wszystkich oklepanych pomysłów. Przecież większość ludzi od razu przechodzi przez kontrolę paszportową, żeby zajrzeć do sklepów w strefie wolnocłowej. Więc ci zakochani chłopcy kupują sobie bilet na samolot tylko po to, żeby móc wygłosić przemówienie? Nie sądzę.

Aggy skubała brodę.

– Fakt...

Anna zastanawiała się, czy Daniel ma rację. Powinna była wyznać Jamesowi, co do niego czuje? Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent była przekonana, że nie, że to by nic nie dało. Pozostały jeden procent niepewności wystarczył jednak, by postanowiła coś zrobić.

Nie zważając na toczące się wokół rozmowy, otworzyła pocztę elektroniczną. Czuła się tak, jakby czekało ją potwornie wyczerpujące zadanie. Zaczęła pisać.

Drogi Jamesie. Jestem we Włoszech, krainie wina i makaronów. Wino jest istotniejsze w kontekście tego, co zaraz powiem. Nie potrafię myśleć o niczym innym niż o tym, że ten ślub doszedł do skutku dzięki Tobie. Co pewnie można też ująć krócej: nie potrafię myśleć o niczym innym niż o Tobie. Przykro mi, że nie możemy dalej być przyjaciółmi, mimo to chciałabym Ci życzyć wszystkiego najlepszego. Nigdy nie będę żałowała, że powróciłeś do mojego życia i odmieni-

łeś je na zawsze, na lepsze. Nie mogę Cię winić za to, że nagle, niespodziewanie i najwyraźniej nieodwołalnie zakochałam się w Tobie. NAPRAWDĘ to nie Twoja wina – w końcu przez większość czasu wcale mnie do tego nie zachęcałeś. Tak czy siak, przypuszczam, że to wszystko musi wyglądać trochę nazbyt harlequinowo jak na Twój gust. Wciąż pamiętam, jak kpiliś z tych ro-mansidel. Dbaj o siebie. I o Luthera. I zachowaj mnie w pamięci, tak jak ja zachowam Ciebie.

Anna xxx

Czy pozwoliła sobie na zbyt wiele? Alkohol, odległość i emocje utrudniały ocenę. Pieprzyć to, wiedziała już, że i tak to wyszło. Kliknęła

przycisk i skuliła się. Sprawdziła, czy mejl pojawił się w folderze „Wysłane”. Westchnęła.

Wyszli z baru i zajęli miejsca w autobusie. Kiedy wspinali się powoli krętą drogą do Bar-gi, Anna kilkanaście razy sprawdziła telefon.

– Wszystko w porządku? – spytała Michelle, gdy podskakiwali na wybojach, a Aggy zaczęła śpiewać w duecie z Kelly Clarkson.

Anna przyznała jej się, co zrobiła.

– Wiem, że to nie utuli twojego żalu, ale jeśli wolał tę lodowatą blondynkę w typie Hitch-cocka, to widocznie nie był właściwym facetem dla ciebie.

Oparły się głowami o siebie i przesiedziały tak do końca podróży. Anna słyszała, jak na

siedzeniach z tyłu któraś z koleżanek Aggy wyjaśnia Danielowi, dlaczego w jednych mężczyznach kobiety się zakochują, a z innymi chcą się tylko przyjaźnić. Uśmiechnęła się. Było jej niby smutno, ale zarazem rozpierała ją radość. Zrobiła wszystko, co mogła. Co będzie, to będzie.

Gasząc światło w swoim pokoju w spartańsko urządzonej, ale ładnym pensjonacie, do-szła do wniosku, że prawdopodobieństwo, iż jej mejl został przeczytany, jest bardzo duże, natomiast szanse na odpowiedź – bardzo małe. Wyobraziła sobie tę scenę. James właśnie siedział, daleko stąd, na różowej sofie, z tulącą się do niego Evą i Lutherem obok.

– Kto to? – spytałaby Eva na dźwięk telefonu. „Nikt”.

Brak ulicznych latarni sprawiał, że pokój spowijała gęsta, aksamitna czerń, w której trudno było dostrzec własną rękę przed nosem. Ale twarz Jamesa widziała tak wyraźnie, jakby stał

tuż przy niej. Kiedy zasypiała, nagle zabrzęczała komórka na nocnym stoliku. Nadeszła wiadomość. Anna rozbudziła się i sięgnęła po telefon, jarzący się w ciemności niesamowitą, jakby księżycową poświatą. „Żeby to było coś miłego... Proszę... Coś, do czego mogłabym wracać, czekając, aż przestanę go pragnąć”.

Wcisnęła przycisk i otworzyła pocztę.

Anno! Dawno nie rozmawialiśmy! Zauważyłem, że na froncie

randkowym zrobiłaś się mało aktywna. Jesteś już gotowa po raz drugi spróbować odnaleźć tę nieuchwytną „iskrę”? J

Neil x

Rozdział 67

Anna obawiała się, że jej siostra w dniu ślubu może wpaść w amok i, co tu dużo mówić, zrobić się nie do wytrzymania. Ale gdy nastał ten dzień, Aggy powitała go z istic monarszym do-stojeństwem i spokojem. Wszystko, co sobie zaplanowała, udało jej się zrealizować; teraz mogła już po prostu dać się wieźć innym, jak królowa w lektyce. W porze późnego śniadania siedziała w największej sypialni pensjonatu, popijając brzoskwiniowy koktajl bellini, podczas gdy fryzjer-ka upinała jej włosy, wplatając w nie perełki na cieniutkich drucikach. Obok, na wielkiej szafie z drewna różanego, wisiała ślubna suknia, którą mama sprawdziła centymetr po centymetrze, by

mieć pewność, że nie została uszkodzona podczas lotu.

Zadowolona z wyników inspekcji, zajęła się „nieznośnymi obowiązkami”, co oznaczało, że przez cały ranek cmokała z dezaprobatą, wyszukiwała sobie powody do zmartwień, gderała i krzyczała.

Około południa Anna nie była w stanie dłużej tego wytrzymać i delikatnie zwróciła jej uwagę, że nie powinna tak podkrecać Aggy, bo to jej tylko zaszkodzi. Na co usłyszała w odpowiedzi: – Przecież to może być jedyny raz, kiedy wydaję córkę za mąż!

Anna odparła, że na szczęście ona nie zaprzęta sobie zbytnio głowy zamążpójściem, co

oznacza jeden kłopot mniej, ale Judy już pochłonęło paplanie o jakimś innym szczególe przygotowań do ślubu.

Druhnie na ubranie się, uczesanie i umalowanie wystarczyła niecała godzina. Do głowy przypięto jej z boku wielką białą różę z jedwabiu i mogła spokojnie oddać się lekturze książki o średniowiecznej Italii.

– Aureliano, jak możesz czytać książkę w dniu ślubu swojej siostry? – jęknęła mama.

– Robią jej teraz włosy. Podczas ceremonii nie będę czytać.

Mama tylko zacmokała z przerażenia. Anna podeszła do okna o szerokim parapecie i odsunęła zasuwkę. Krajobraz wyglądał

majestatycznie – znajdowali się tak wysoko, że chmury na niskim pułapie spowijały wzgórze puszystymi smużkami przypominającymi dym z komina. Powietrze pachniało ziemią, roślinnością i słabym, zimowym słońcem.

Towarzystwo rodziny i przyjaciół, najbliższych jej osób, poprawiło Annie humor. Kiedy Aggy w końcu zrobiono na bóstwo, wstała, z jedną ręką na spódnicy i obszytym koronką welo-nem spływającym po plecach.

– I jak? – spytała.

– Rewelacja! – odparła Anna, zaskakując samą siebie, bo na twarzy poczuła łzę. Jej młodsza siostra, z którą kiedyś w piżamach w misie biły się o pilota od telewizora, teraz, w śnieżno-białych tiulach kontrastujących z lśniąco-czarnymi włosami, wyglądała wprost zjawiskowo.

Ich mama, w luźnej jasnozielonej sukience z Phase Eight, klapnęła na łóżku i potrzebowa-

ła całej paczki pachnących chusteczek higienicznych, by osuszyć łzy. W końcu dała się przekonać Annie, że teraz bardziej jej potrzebują goście, i niechętnie wyszła z pokoju.

– No i co? Gotowa wyjść za mąż? – odezwała się Anna, gdy zostały same.

Oczy Aggy rozszerzyły się pod sztucznymi rzęsami.

– Cholera. Wychodzę za mąż!

– Owszem. Za Chrisa. Kocham go niemal tak samo jak ciebie.

Dobrze wybrałaś, Aggy.

– Och, Anno! – Aggy objęła ją. – Jesteś najlepszą siostrą. Ciebie też ktoś kiedyś pokocha, tak jak my wszyscy. Jestem tego pewna.

Uwierz mi. I pewnego dnia czeka cię to samo co mnie dzisiaj.

– Byłoby miło, ale szczerze mówiąc, nie potrzebuję nikogo. A twój ślub sprawi mi tyle samo radości, ile by mi sprawił mój. Pewnie nawet więcej. Są tu wszyscy, na których mi zależy.

Wiesz, że zawsze najbardziej zależało mi na tobie. Bardziej niż na kimkolwiek innym.

– To... takie cudowne... – Po twarzy Aggy przebiegł grymas. – Czasem myślę o tym, jak niewiele brakowało... że o mało cię nie

straciliśmy...

– Nie! Nie myśl tak! Aggy...

Obu zebrało się na pochlipywanie i dopiero po chwili zdały sobie sprawę, że ich mocno umalowanym oczom grozi to katastrofą.

– Tylko bez łez! – zawołała Anna głosem ochryłym z emocji. – Mama nas zabije, jeśli sobie zniszczymy makijaż!

Aby opanować płacz, musiały odtańczyć taniec zuluskich wojowników, pokrzykując i klepiąc się dłońmi po twarzach.

– Pomyśl o czymś nieemocjonalnym! – poradziła Anna. – Czekaj, napijesz się czegoś!

Tylko uważaj na szminkę. – Wręczyła siostrze resztki brzoskwiniowego koktajlu, a sama wychyliła duszkiem to, co zostało w kieliszku mamy.

– Lepiej? Wszystko pod kontrolą? – spytała.

Aggy skinęła głową.

– Chodźmy, zanim znów się rozkleimy.

Ściskając ciasno złożone bukiety białych róż, siostry przeszły z pensjonatu do budynku, w którym miał się odbyć ślub cywilny. Aggy unosiła suknię o parę centymetrów nad ziemią, a Anna szła tuż za nią. Kroczyły dostojnie i elegancko ze względu na wysokie obcasy i stromiznę wyłożonych kamiennymi płytami wąskich uliczek, wijących się między willami o wyblakłych fa-sadach w kolorze wanilii. Wszyscy, których mijaly po drodze, zatrzymywali się, bili brawo, a niekiedy gwizdali z uznaniem.

Sędziwi Włosi stojący w drzwiach domów wołali: *Bella! Bella!* Kiedy podziękowały po

angielsku, jakiś mężczyzna na rozklekotanym rowerze odkrzyknął w tym samym języku, z silnym akcentem: „Wyjdź za mnie! Wyjdź za mnie!”, wzbudzając jeszcze więcej śmiechu i oklasków.

Anna pomyślała, że tego w Londynie Aggy by nie doświadczyła. Spacer wiekowymi uliczkami miał w sobie coś znacznie bardziej wyjątkowego niż przejazd białym rolls-royce’em przez zatłoczoną metropolię. Mieszkańcy spontanicznie przystawali na ich widok, a uroczystość miała ów szczególny, osobliwy urok możliwy tylko

w przypadku czegoś niezaplanowanego.

Anna czuła się jak w filmie albo wysokobudżetowej reklamie karty MasterCard.

– To najlepszy ślub, jaki kiedykolwiek widziałam – rzuciła przez ramię. – A jeszcze się nawet nie rozpoczął.

Ledwo minęło południe. Anna zachwycała się świeżością powietrza pachnącego kaszta—

nowcami, które porastały pobliskie góry, rześkiego jak jesienią, ale nie zimnego. W miasteczku było cicho i spokojnie, jako że sezon turystyczny jeszcze się nie zaczął. Żaden drogi hotel nie zapewniłby tak malowniczej scenerii: bruk z terakoty, skrzynki na oknach wypełnione geranium, zakurzone drzewka cytrynowe, koralowo-szare elewacje, okiennice w kolorze bujnej zielonej trawy. W oddali rysowały się wzgórza upstrzone zagajnikami wrzecionowatych cyprysów.

– Na pewno znasz drogę? – spytała Anna idącą przed nią siostrę.

– O tak. Sprawdziłam ją ze sto razy – odparła Aggy, nie odwracając głowy.

– To dobrze. Wolałabym nie wyciągać telefonu i nie szukać w Google’u planu miasta. Denerwujesz się?

– Denerwowałam się, zanim włożyłam suknię. Ale teraz nie chcę tracić ani chwili na cokolwiek innego niż cieszenie się z niej.

W końcu dotarli na szczyt pochyłej uliczki, gdzie czekał już ich tata.

– *Mie bellissime figlie!*

Pocałował Annę w policzek i podsunął ramię Aggy.

Rozpromienieni patrzyli we troje na

siebie w milczeniu, napawając się tą małą chwilą przed wielkim wydarzeniem.

– Opuścić welon? – spytała Anna, wskazując na niego.

– O tak. Tato, możesz...? – Aggy odwróciła się.

Tata pospieszył z pomocą, a Annę nagle coś ścisnęło za gardło. Dziwne, jak człowiek może być przekonany, że tradycyjne śluby kompletnie go nie ruszają, a kiedy przychodzi ten dzień, górę i tak biorą emocje. Miała ochotę wpaść do środka i wykrzyczeć wszystkim, jak bardzo ich kocha, choć pewnie przypisałiby to działaniu belliniego.

Kiedy otwarły się żaluzjowe drzwi, Anna wzięła głęboki oddech i przestąpiła przez próg.

Ruszyła przejściem, z bukietem przed sobą. Gdzieś z tyłu zabrzmiały dźwięki marsza weselnego, po bokach słyszała szepty gości na widok Aggy.

Urzędnik w Palazzo Comunale miał na sobie trójkolorową szarfę w barwach włoskiej flagi. Przed nim stał już Chris, ujmująco podenerwowany i wyjątkowo starannie uczesany, we

fraku i fularze. Mrugnął do Anny, która cieszyła się niezmiernie, że jej siostra wychodzi za ko-goś, kto naprawdę ją kocha.

Uroczystość przebiegła gładko. Kiedy Aggy odczytywała swą ślubną przysięgę, wszyscy

uprzejmie chichotali, choć niekoniecznie w tych momentach, w których humor był zamierzony.

Chris mówił o tym, co przede wszystkim kochał w Aggy: o jej trosce o innych, wrodzonej słodyczy i że zawsze umie sobie poradzić z wszelkimi przeciwnościami losu. Wtajemniczeni uśmiechnęli się na te słowa. Potem był pocałunek, owacje i Aggy stała się żoną, a Chris jej mężem, szwa-grem Anny, uradowanej, że to właśnie jemu przypadła w udziale ta rola.

Mamy wycierały oczy, a malarze-dekoratorzy z Hornsey pohukiwali i gwizdali z uznaniem. Annę zawsze chwalono jako tę, która ma pozytywny wpływ na Aggy – należycie dojrzałą starszą siostrę, opiekującą się młodszą. W tej chwili jednak pomyślała, jak to Aggy dobrze sprawa-juje opiekę nad nią. Anna potrzebowała kogoś, kto miałby w sobie taką radość życia i przebojo-wość jak Aggy. Kogoś, kto by dosłownie porwał ją z powrotem do świata żywych.

Przed urzędem stanu cywilnego rozległy się głośnie wiwaty i na młodą parę posypały się rzucane garściami płatki róż. Oboje byli naprawdę szczęśliwi. Anna tyle razy widziała swą siostrę szaleńczo podekscytowaną, że nie byłaby w stanie ich zliczyć, ale teraz od Aggy bił blask auten-tycznej nieustającej radości.

Ruszyli z powrotem pochyłymi uliczkami i stłoczyli się w autobusie, który miał ich zabrać do oddalonej o pół godziny jazdy restauracji, gdzie zaplanowano przyjęcie weselne. Da Se-rena,

od pokoleń prowadzona przez miejscową rodzinę, była wielka jak stodoła. Na ustawionych w rzędach stołach, przykrytych papierowymi obrusami, ułożono naczynia z paluszkami chlebowymi i talerze z *bruschetta*. Pod suknię Anna założyła podłużną wąską halkę, sprawiającą wrażenie, jakby ją zaprojektowano na potrzeby przemysłu lotniczego, i miała nadzieję, że nie przeszkodzi jej to w zajadaniu się licznymi daniami przygotowanymi na wesele.

W jednym końcu sali znajdowało się podwyższenie dla muzyków. Miejsca do zabawy było mnóstwo. Po raz enty Anna pomyślała, że panuje tu o wiele przyjemniejsza atmosfera niż w jakiejś koszmarnie drogiej sali bankietowej z regulaminem, ograniczeniami i potrawami, któ-

rych spożywanie wymaga iście ekwilibrystycznych talentów.

Kiedy zajęli miejsca przy stołach, Anna zorientowała się, że naprzeciwko niej siedzi jakiś Włoch nader krzykliwej urody, o gęstej czuprynie kręconych włosów. Gdyby go posadzić na skuterze, jego zdjęcie mogłoby zdobić okładkę włoskiego wydania magazynu „GQ”.

– Aureliana? – zapytał z pięknym akcentem. – Primo.

O rany. No tak, Primo. Zapomniała o nim. „Dzięki, Aggy, nawet na twoim ślubie jestem na randce w ciemno”. Jej siostra uparła się, że znajdzie kogoś dla Anny, i postawiła na swoim.

Z drugiej strony spędzenie dzisiejszego wieczoru z nieziemsko przystojnym tokańskim architektem nie było najgorszym sposobem na przezwycięzenie egzystencjalnego bólu. W dodatku facet pożerał ją wzrokiem jak bezpański pies kotleta.

W innej sytuacji Anna być może by się wahała, ale w tym momencie odrzuciła wszelkie obiekcje. Trzepotała niezupełnie naturalnymi rzęsami i chętnie zgadzała się na kolejne dolewki vino rosso.

Primo znakomicie władał angielskim, mimo to rozmowa się nie kleiła.

– Ciężko pracujesz? – spytał znad *prosciutto* i salami.

– Chyba tak. Ale uwielbiam moją pracę.

– Jesteś taka piękna. – Primo nagle zmienił temat i zabrzmiało to jak uwaga o pogodzie.

– O rany, dzięki. Nie wiem, co powiedzieć. – W obliczu komplementów Anna czuła się zdecydowanie bardziej Brytyjką niż Włoszką. Wbił w nią wzrok i wtedy przypomniała sobie komentarz Michelle: „Widać w ich oczach ten moment, w którym odkrywają, że coś dostaną”.

Anna właśnie to zauważyła i zaczęła się zastanawiać, czy powinna. Z jednej strony oznaczałoby to tylko niezobowiązującą rozrywkę, nie miłość. Z drugiej... Rrrrrr, Primo.

Kiedy zjedli więcej, niż Anna sądziła, że można zjeść za jednym posiedzeniem, i wysłuchali toastów, wszyscy przeszli ku podwyższeniu. Anna myślała, że nadeszła pora na pierwszy taniec. Zespół przywitał gości, po czym pojawiła się Aggy z mikrofonem w dłoni. Z pełną powagą zaczęła śpiewać a cappella piosenkę, której Anna nie umiała rozpoznać.

– Shakira, *Underneath Your Clothes* – odpowiedziała usłużnie Michelle.

– No nie, piosenka o facecie bez ubrania? – szepnęła Anna. – Tylko moja siostra...

– Śmiały wybór – przyznała Michelle. – Ale staruszkowie chyba nie bardzo wiedzą, co o tym myśleć.

Anna spojrzała w stronę rodziców i gości z Barking. Wszyscy wydawali się lekko skonsternowani, z wyjątkiem mamy, która kołysała się do rytmu, a z jej twarzy biła duma. Włoska rodzina wyglądała na równie zakłopotaną, ale ogólnie zadowoloną.

Z drugiej strony sceny wyszedł Chris z mikrofonem i dołączył do śpiewającej Aggy. Tem-po przyspieszyło i piosenka przeszła płynnie w *Forget You* Cee Lo Greena. Tekst o pieniądzach i o tym, że kobiety sporo kosztują, bawił adekwatnością, choć mógł się wydawać cokolwiek nie-cenzuralny.

Oboje śpiewali całkiem nieźle, w zasadzie nie fałszując. Mimo to Anna miała nadzieję, że popisy wokalne zaraz się skończą.

No nie. Na scenie za Aggy pojawiła się Marianne z całą bandą dziewczyn od reklamy, które zaintonowały *You Know I'm No Good* Amy Winehouse.

Anna obróciła się do Michelle.

– Teraz mamy na tapecie zdradę. Co będzie dalej? *The Drugs Don't Work* czy coś innego o ćpaniu?

Michelle, która podrygiwała lekko do rytmu, zaproponowała:

– Melodia jest całkiem fajna.

Anna spojrzała na drugi koniec sali, gdzie mama i ciocia Carol kołysały się do fragmentu o wypalonym dywanie.

Teraz dla odmiany zrobiło się tłoczno za plecami Chrisa, gdzie pojawił się jego brat i kilka innych osób, za sprawą których *You Know I'm No Good* przeszła w *Do Ya Think I'm Sexy* Roda Stewarta, wykonywaną na modłę młodocianych przestępców z *West Side Story*.

– Ze mną jest coś nie tak czy to im kompletnie odwaliło? – Anna spytała Michelle, pokładając się ze śmiechu.

Parkiet wypełnił się tańczącymi, a Aggy zeszła ze sceny i mijając Annę, ze spódnicą pod-trzymywaną w jednej ręce, pisnęła:

– Jak ci się podobało? Zupełnie jak w *Pitch Perfect*! Mam nadzieję, że wujek Riccardo to

nakręcił. Jak tylko wrócimy do domu, wrzucę to do internetu. Czegoś takiego jeszcze nikt nie pokazał!

– Ale właściwie... po co? – chciała wiedzieć Anna, jednak Aggy już nie słuchała.

Michelle została porwana na parkiet przez jakiegoś starszego włoskiego wujka, którego wzrok bezustannie wędrował między jej twarzą a biustem. Tymczasem Daniel pogрузił się w rozmowie ze znajomymi Aggy z branży reklamowej. Kto by pomyślał, że znajdzie takie bratnie dusze wśród tych dziewczyn, które wyglądały jak wyjęte ze zdjęć w kolorowym czasopi-

śmie? Udzielały mu porad, jak odzyskać ukochaną kobietę. Anna wątpiła jednak, czy Danowi przyda się do czegokolwiek taki zwielokrotniony seans *Pamiętnika*.

Primo odnalazł ją w tłumie.

– Wyjdziemy na dymka? – spytał, wykonując gest, jakby wkładał i wyjmował papierosa z ust.

Mimo braku doświadczenia w sztuce podrywania Anna domyśliła się, że zapewne nie

chodzi mu wyłącznie o wypalenie papierosa.

– Dobra. Czemu nie? – odparła.

Rozdział 68

Przeszli przez ogród i wyszli na szeroki żwirowy parking. Jego skraj ginął gdzieś w górach, pogrążony w ciemnościach. Jedyne źródło światła stanowiła restauracja, którą zostawili za sobą, i reflektory samochodów na krętej górskiej drodze, raz po raz pojawiające się i znikające im z oczu.

– Jak tu świeżo – powiedziała Anna, spoglądając na nisko wiszący księżyc. Było zimno, ale rozgrzewał ich alkohol. – Nawet sobie nie zdajemy sprawy, jak bardzo się dusimy w tych wielkich miastach. Przez te wszystkie... zanieczyszczenia.

Nie bardzo wiedziała, o czym rozmawiać z kimś, kto w każdej chwili może spróbować wsadzić jej język do gardła.

Primo włożył rękę do kieszeni marynarki, skąd wyjął papierosy i srebrną zapalniczkę.

Jednym płynnym ruchem poczęstował Annę i zapalił ogień.

Wciągnęła dym do płuc wraz z zimnym powietrzem i zaniósła się gwałtownym kaszlem.

– Nie palę – wyjaśniła, pokaszując.

– Nie? – Oczy i białe zęby Primo zalśniły w ciemności.

Anna pokręciła głową, wymachując dłonią przed ustami.

– Rozumiem – śmiejąc się, Primo delikatnie położył jej rękę na plecach. Anna ledwo zdo-

łała odzyskać oddech, gdy poczuła obejmujące ją ramię i dłoń na pośladkach. O Boże, Włosi nie tracą czasu.

– Aureliano – powiedział i w jego ustach, z odpowiednim akcentem, to imię zabrzmiało uroczo. Wahala się, czy ulec. Wcale nie miała na to ochoty. Pragnęła kogoś innego. Nagle, po całym dniu spędzonym wśród tylu ludzi, poczuła, że bardzo potrzebuje pobyć sama. Cofnęła się.

– Primo – poprosiła – zostawisz mnie na chwilę?

Nie była pewna, czy ją rozumie.

– Tylko ja – dodała. – I mój pierwszy papieros. – Pomachała nim. – I księżyc. *La luna!*

– Zobaczymy się w środku? – spytał zakłopotany. Bez wątplenia pomyślał, że Brytyjki rzeczywiście piją tak dużo, jak słyszał.

– Jasne.

Primo odwrócił się i odszedł. Anna stała z tłącym się papierosem, drżąc i wpatrując się w góry. Pomyślała, że przez tych kilka miesięcy od zjazdu absolwentów stała się zupełnie kimś innym.

Wątpiła, czy jeszcze wróci do internetowych randek. Była sama, ale była sobą, prawdziwą Anną. To, że nikogo nie znalazła, nie oznaczało niepowodzenia, po prostu tak się potoczyło jej życie. Jeśli inni chcieli wyciągać z tego wnioski, niech je sobie wyciągają. W jej życiu było wiele innych rzeczy. Kochała swoją pracę, przyjaciół i rodzinę. Miała też syfiaste wspomnienia ze szkoły, którymi była gotowa podzielić się z każdym, kto by ją o to zapytał – ale to nie one decydowały o tym, kim jest. Już nie.

A może by tak zakończyć tę niezręczną sytuację między nią a Patrickiem, odnajdując go

w *Warcraftcie*, gdzie on był pandą, a ona czarnoksiężnikiem nieumarłych? To był świetny pomysł.

Taką przynajmniej miała nadzieję. Ostatnio znów zaczęli ze sobą rozmawiać. Patrick próbował ją namówić do udziału w jakichś misjach, ale nie bardzo wiedziała, na czym to polega.

Znów włożyła papierosa do ust i próbowała się zaciągnąć, trzymając go pod różnym ką-

tem. Pomyślała, że nigdy jej z tym nie będzie do twarzy. I nie musi być.

Usłyszała ciche skrzypienie żwiru pod stopami i gdzieś za nią odezwał się męski głos.

– Nie wiedziałem, że palisz.

Odwróciła się i zobaczyła Jamesa. Stał przed nią gładko ogolony, w ciemnym garniturze i białej koszuli.

Patrzyła w niego i patrzyła, chłonęła go wzrokiem.

– Nie palę – odparła.

Choć wyglądał, jak ujęłaby to Aggy, „zarąbczaście”, uderzyło ją –

prosto w splot słoneczny – nie to, że jest przystojnym mężczyzną, ale że stał się jej przyjacielem. Jednym z najlepszych. I był tu przy niej.

Upuściła papierosa, przydeptała go obcasem, rzuciła się na Jamesa i oburącz objęła go

mocno w pasie.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedziała, czując zgniataną tkaninę, zapach nowej koszuli i realność jego obecności, gdy i on ją przytulił.

James Fraser nagle zmaterializował się na górskim parkingu we Włoszech. To cud? Cokolwiek zamierzał jej powiedzieć, wiedziała, że jej modlitwa została wysłuchana.

– Dziękuję za wiadomość – rzekł, kiedy odsunęli się nieco od siebie.

– Dostałeś ją! Nie wiedziałam... czy jest tu zasięg.

– Dostałem – potwierdził, nie odrywając od niej wzroku, aż Annie zrobiło się miękko w środku.

– Może nie powinnam była tego wysyłać żonatemu facetowi.

– W separacji. Rozwodzącemu się.

– O!

James odchrząknął.

– Napisałaś, że pamiętasz moje głupie dowcipy. No więc ja też pamiętam, co mówiłaś.

Że podoba ci się, kiedy mężczyzna wyznaje kobiecie, co do niej czuje. Trochę to dla mnie krępujące, ale może spróbuję?

Uśmiechnął się, a Anna skinęła głową.

– Dobra. No więc... Kiedy cię znów spotkałem, byłem trochę zagubiony, z czego zdałem sobie sprawę dopiero teraz. Zawsze miałem trudności z wybraniem właściwej drogi. I wtedy pojawiłaś się ty, i wszystko zmieniłaś. Przy innych ludziach wydurniałem się i było mi z tym dobrze, ale ty... Niemal od razu wiedziałem, że jesteś inna. Żeby móc z tobą być, musiałem to

wszystko odrzucić i stać się kimś lepszym. I zanim się zorientowałem, zakochałem się w tobie.

Nagle Annie przestało być zimno.

– Wstydzisz się tego, co było w szkole, ale nie powinnaś. Nie ty. Przetrwałaś to i udowodniłaś, że jesteś niezwykłą osobą. To właśnie chcę

ci powiedzieć, Anno, i to jest ważniejsze niż wyznawanie ci miłości, bo kochać cię nietrudno. Trudno natomiast zrobić to, co ty zrobiłaś. Jesteś niezwykła.

Urwał, by wziąć oddech i Anna eksplodowała:

– James, to bardzo miło, że uważasz mnie za kogoś godnego podziwu, ale chodzi o to, żebym ci się podobała. Mówiłeś, że jestem dla ciebie jak siostra... i że nie jestem w twoim typie...

– Na miłość boską, kłamałem, żeby wyjść na równego gościa.

Gdybyś mi się nie podoba-

ła, czy całowałbym cię w taki sposób?

Zrobił krok w jej stronę, pochylił się i ujął dłonią jej twarz.

Anna co prawda spaliła swoje pamiętniki nastolatki, ale gdyby zostawiła sobie jeden z nich, otwarłaby go teraz i napisała na marginesie, dla samej siebie z przeszłości, że przecucia jej nie zawiodły. Pewnego dnia James Fraser pocałuje ją tak namiętnie, że wszystko inne przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Rozdział 69

Dzięki resztkom samoopanowania James oderwał się od niej po raz drugi, po czym poprawił jej przekrzywioną różę z boku głowy. Anna była piękna, ale tego wieczoru wyglądała wprost nieziemsko.

– Powinniśmy wejść do środka – powiedział cicho.

– Nie moglibyśmy gdzieś uciec, tylko my dwoje? – spytała, znów obejmując go w pasie.

Bliskość jej ciała sprawiła, że poczuł lekki skurcz w żołądku.

– Hmm, moglibyśmy. Ale z wesela twojej siostry chyba nie wypada.

Ujął ją za rękę i poszli ścieżką.

– Jak nas znalazłeś?! – zdziwiła się Anna.

– Miałem zaproszenie na ślub od Aggy, a taksówkarz był bardzo uparty. Wysłałem jej esemesa, żeby wiedziała, że przylecę, i zachowała to w tajemnicy. Wiesz, że twoja siostra odpisuje na esemesy w dniu własnego ślubu?

– To mnie akurat nie dziwi.

– Przedstawisz mnie rodzicom?

– Tak. Jako kogo?

– Laszlo Biro, wynalazcę długopisu? A może po prostu jako Jamesa?

– Chodzi mi o to, czy jako mojego chłopaka?

– Wiem.

Wpadli na Alessich niemal od razu w drzwiach restauracji.

– Mamo, tato, to jest James. Mój... chłopak – powiedziała Anna, ściskając go mocniej za rękę.

Oboje rodzice mieli cokolwiek oszołomione miny, czemu trudno się było dziwić, zwa-

żywszy że chłopaka swojej córki poznawali w tym samym momencie, w którym dowiedzieli się o jego istnieniu, ale przyjęli to dobrze.

– Anna nie pisnęła ani słowa! – zawołała mama.

– Pewnie chciała państwu sprawić niespodziankę – podsunął James.

– I sprawiła – przyznała Judy, a Anna przewróciła oczami.

– Coś cię zatrzymało? – spytał tata.

– Tak. Parę spraw – odparł James. – Ale bardzo się cieszę, że w końcu tu dotarłem.

– Zastanów się nad tym lokalem, gdybyście się chcieli kiedyś pobrać.

– Tato! – krzyknęła Anna.

– Bardzo rozsądne ceny, świetne jedzenie i mnóstwo miejsca pod gołym niebem, gdyby przyjechać tutaj wiosną albo latem. Można postawić namiot, zrobić grilla. Co tylko zechcesz.

I do tego Włosi nie piją tak jak Brytyjczycy. Żadnego wymiotowania.

– Przyjemniej niż tutaj już być nie może, panie Alessi. Zero wymiocin. Musi być pan bardzo dumny.

Tata Anny wyciągnął rękę i poklepał go po ramieniu.

– Opiekuj się moją córką. To moja ulubiona.

James roześmiał się, a Judy cmoknęła z dezaprobatą.

Pomachali znajomym Anny po drugiej stronie sali, którzy wyglądali na zaskoczonych.

Michelle kilka razy uniosła ramię w triumfalnym geście.

– Zatańczymy? – zaproponował James.

Wyprowadził Annę na parkiet i ujął ją w tali. Pod szorstkimi koronkami sukni czuł ciasno opinającą ją tkaninę. Ależ z niego niewiarygodny szczęściarz. To jest jego kobieta, a on jest z nią.

– Więc jednak nie Eva? – spytała Anna.

– W końcu przejrzałem na oczy. Przepraszam, że tyle to trwało.

Wolno się uczę. Nie wprowadziła się z powrotem. Ale muszę cię ostrzec, że zgodnie z warunkami separacji tracę dom, natomiast Luther zostaje. Jeśli go nie chcesz, to i mnie nie bierz, bo to jest transakcja wiązana.

Anna uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Kiedy znowu zobaczyłem Evę, uświadomiłem sobie, że to ciebie chcę. O nikim innym nie potrafiłem myśleć.

James powrócił myślami do poprzedniego wieczoru, który wszystko wywrócił do góry nogami. Eva wyszła z kuchni do salonu, boso, z butelką chablis, w której tkwił korkociąg Alessi, a on spojrzał i zrozumiał, że będzie z nim chciała zostać na noc. Nagle wszystko się wyostrzyło, jakby ktoś wyregulował obiektyw.

Nie miał ochoty na spędzanie tej nocy z Evą. Pragnął innej kobiety. Tej, bez której absolutnie nie potrafił już żyć, choć dotarło to do niego dopiero wtedy, gdy do życia bez niej został

zmuszony. Nie zastanawiając się ani chwili, po prostu wypalił, że poznał kogoś innego. Eva stanęła jak wryta, potem zaczęła krzyczeć i wymyślać mu, że ją zdradził. To, że się zakochał w Annie, uznała za nieporównywalnie gorszy akt niewierności niż własny, sprowadzający się do czystego pożądania romans z Finnem, czego James nie pojmował. A już zupełnie zbaraniał, kiedy usłyszał, że skoro się nie przespał z Anną, to jego zbrodnia jest tym większa.

Miał wrażenie, jakby od Evy oddzielała go gruba szyba z hartowanego szkła i rozmawiali ze sobą przez słuchawki telefoniczne. „Przepraszam” – powtarzał. „Zrozumiałem to dopiero teraz. I sam się tego nie spodziewałem”.

Eva wyszła, a on przez dwie godziny rozmyślał, jak powinien zinterpretować ostatnią rozmowę z Anną. Czy chciała, by zakochany rozwodnik ofiarował jej swoje serce, czy tylko pod wpływem chwili

proponowała mu pójście do łóżka? I wtedy odebrał wiadomość.

Omiał nie zadzwonił do niej, nie bacząc na ceny połączeń międzynarodowych, by zasypać ją kwiecistymi, gorącymi, nieprzytomnymi zapewnieniami, że nie musi się martwić, bo już nikt nigdy jej nie zawiedzie. A potem pomyślał o wielkoduszności, jaką mu okazała tym gestem. Nie miała powodu odsłaniać się przed nim ani zapewniać go, że jej nie skrzywdził. Ani tak serdecznie się z nim żegnać. Napisała do niego wyłącznie dlatego, że jej zależało na nim. Taki gest zasługiwał na coś więcej.

– Czemu tak długo nie umieliśmy tego dostrzec? – zapytał. –
Wszyscy już pewnie dawno

wiedzieli, tylko nie my. Choćby u mnie w pracy. Nabraliśmy ich, w ogóle się nie starając. To chyba powinno było nam dać do myślenia?

– Ja naprawdę zrozumiałam, co czuję, dopiero na wieczorze panieńskim – powiedziała Anna. – Ty wtedy jeszcze nie wiedziałeś?

– Coś do mnie zaczynało docierać. Jakbym był opóźniony w rozwoju, układał puzzle z Big Benem i nie chciał wsadzić na swoje miejsce ostatniego kawałka, upierając się, że wciąż nie widzę całości. Więc to się stało wtedy u Aggy? – spytał, ściskając ją lekko i uśmiechając się. – Ciekawe. To stąd te zbereżne teksty?

– Co za bezczelny typek! To miała być kusząca propozycja.

– „Wpadnij kiedyś i oceń moje walory”. Może nie zabrzmiało to zbyt tajemniczo, ale na pewno zbereżnie i atrakcyjnie.

Roześmiali się, a James wyznał:

– Tęskniłem za tym śmiechem. Szczerze mówiąc, może należało wcześniej spróbować

szczęścia, ale nigdy nie sądziłem, że podobam ci się w ten sposób.

– E tam. Wcale mi się nie podobasz. Po prostu zamykam oczy i skupiam się na twojej za-bawnej osobowości.

George Michael zaczął śpiewać *A Different Corner*. Anna położyła głowę na piersi Jamesa. Aggy, tańcząca nieopodal ze swoim mężem, pomachała Jamesowi, a on uniósł dłoń w pozdro-wieniu.

Był na weselu w obcym kraju, otoczony ludźmi, których nie znał, a mimo to jeszcze nigdy nie czuł się tak bardzo u siebie. Przyszło mu do

głowy słowo, które oddawało jego uczucia do

Anny. Słowo, którego nigdy nie używał, ale teraz zdawało się najwłaściwsze: ubóstwiać.

Ubóstwiał ją.

Rozdział 70

Jego ciemny wzrok przesunął się po krągłościach jej piersi w jedwabnym szlafroku. Pocierał dłonią nieogoloną brodę, sycąc spojrzenie tym widokiem.

– *Mi carina!* – *zawołał z aprobatą. Nie brzmiało to już pieszczotliwie, lecz jak natarczywe żądanie. Domagał się od niej absolutnej uległości. Miała mu oddać we władanie swą nieskalaną kobiecość.*

Pod tym pełnym determinacji, intensywnym spojrzeniem zdawało jej się, jakby wiedła, a policzki zabarwiła jej różowa niewinność.

– *Już dość się ze mną bawiłaś, innamorata* – *powiedział, oddychając chrapliwie i ujmując między kciuk a palec wskazujący kosmyk jej jasnych jak len włosów.*

– *N-n-nie!* – *krzyknęła. – Pomyśl o swoich obowiązkach, Luca! Jeśli poślubisz kobietę, której nie wybrała ci rodzina, nie zostaniesz dziedzicem rodu De Vici. A nie mogę być twoją... – głos jej zadrżał i zatrzepotała rzęsami, jakby zgorszona – zachcianką na jedną noc.*

Z ust wyrwało mu się przekleństwo w ojczystym języku, a jego kobaltowe oczy zaślniły.

– *Do diabła z obowiązkami! Muszę cię pojąć!* – *Był gotów ją pożyć, rzucić się na nią niczym głodny lew na swą ofiarę, ona zaś...*

– *Przepraszam, przyniosłem menu.*

– *Dziękuję.* – *Anna oderwała wzrok od swojego Kindle’i i spojrzała na kelnera z cętkowa-ną apaszką, który podsuwał jej dwie karty czerpanego papieru.*

*W ciągu czternastu minut, jakie spędziła przy stoliku w Morito w Clerkenwell, włoski hrabia już niemal doszedł do etapu ostrego bzykania, przez co kompletnie zapomniała, że trzeba wybrać *tapas*.*

– *Życzy pani sobie coś do picia?*

Zerknęła w menu.

– Poproszę dwa tinto de verano.

– Chyba się nie spóźniłem? – spytał James, stając obok niej.

Pochylił się, by ją szybko cmoknąć, po czym rzucił torbę na ziemię.

Anna poczuła na twarzy zimny dotyk jego ust.

– Trochę, ale puszcze ci to płazem – odparła rozpromieniona.

Z powodu mrozu jego blada skóra sprawiała wrażenie, jakby go wykuł z marmuru jakiś artysta, który naprawdę znał się na rzeźbieniu kości policzkowych. Czy ktokolwiek inny mógłby wyglądać tak pięknie, zdejmując płaszcz i mruczając pod nosem: „Harris przebił dziś sam siebie w dziedzinie kretyńskich nakryć głowy. Przyszedł w kanarkowo żółtym cylindrze. Czuję się w pracy jak Charlie w fabryce czekolady”?

Anna wątpiła.

– Towarzystwa dotrzymanywał mi włoski hrabia – dodała, unosząc Kindle’a.

Na stole pojawiły się drinki.

– Co to jest? – James przechylił kieliszek.

– Tinto de verano. Z czerwonym winem. Dobre.

James stuknął się z nią kieliszkiem i upił łyk.

– Pycha.

Anna ucieszyła się.

– Dobra, zobaczmy, co porabia włoski hrabia – wyciągnął rękę po Kindle’a. – Jeśli podzi-wiasz jurność jakiegoś innego faceta, chcę porównać notatki.

Uśmiechnięta od ucha do ucha Anna podała mu czytnik. Wraz z drinkami kelner przyniósł

też talerzyk poczekajek. Wzięła migdała i wsadziła sobie w usta.

– *Był gotów ją pożreć, rzucić się na nią niczym głodny lew na swą ofiarę, ona zaś drżała w ekstazie ...* – czytał na głos James.

– Ale wodolejstwo. Co ma znaczyć ta ofiara lwa? Chodzi o hienę? Guźca? Więc on chce się z nią kochać jak drapieżnik rozdzierający tchawicę jakiemuś biednemu guźcowi?

Anna zabalgotowała ze śmiechu.

– Odbierasz mi radość czytania!

– To nie ja, tylko tandetna metafora.

Powrócił do lektury, a Anna spojrzała na niego i pomyślała, jak bardzo się cieszy, że dzieli z nim teraz łóżko i całe życie – nawet jeśli kuweta Luthera niespecjalnie upiększyła jej kuchnię.

Nie powiedziałaaby tego Jamesowi, ale dziarski hrabia nie umywał się do niego. Zwłaszcza że James i słowem, i czynem udowodnił jej, jak bardzo go pociąga. Na samą myśl o tym rozszerzyły jej się źrenice.

James kliknął, by przerzucić stronę.

– Coś tam, coś tam *doprowadziło ją niemal do szaleństwa*, krzyczała z podniecenia, ledwo słysząc samą siebie, aż rozprysła się na milion kawałków? Że co? – Spojrzał na Annę.

– To znaczy, że hrabia ją tak skutecznie wychędożył. One zawsze się tam albo rozpryskują, albo eksplodują.

– Ahaaaa... – mruknął James. – Teraz rozumiem.

– Ona sądzi, że on być może się w niej zadurzył, ale mu przejdzie i nie poślubi jej. Tymczasem, wyobraź sobie, ożeni się z nią.

Anna pociągnęła łyk, a James oddał jej Kindle'a.

– No to co się dzieje, kiedy ją już przeleci? Przechodzą na wyższy poziom egzaltacji? Ściskają się jak w Tesco przed świętami? Hrabia stoi przy samoobsługowej kasie, skanuje sałatę i krzyczy: „Moja! Moja! Nie oddam!”?

– Nie. Zaraz potem następuje koniec. Biorą ślub i ewentualnie zanoszą się na to, że będą mieli dzieci, ale nic więcej.

– Ślub jest konieczny?

– Bohaterki harlequinów z reguły nie uznają seksu bez zobowiązań. Zawsze na końcu wychodzą za mąż.

– Zalatuje seksizmem.

– Owszem. Taka staromodna fantazja.

– Kluby robotników też są seksistowskie, ale o nich byś nie fantazjowała.

– Naprawdę cię to zdumiewa, że niektórym nowoczesnym, niezależnym kobietom wciąż

podobają się śluby? Byłeś na ślubie mojej siostry, więc nie powinieneś się dziwić.

James roześmiał się.

– Próbuję zrozumieć, na czym polega atrakcyjność tego

archaicznego podejścia. Przecież w dzisiejszych czasach to nie ma najmniejszego znaczenia. Czy jak tylko zaczynasz się z kimś spotykać, naprawdę od razu myślisz o małżeństwie?

– Hm... – Anna schrupała kolejnego migdała, by zyskać na czasie.

– Bo ja wiem? To chyba nie taki zły pomysł. Zapytaj mnie znowu, kiedy znajdę faceta, za którego chciałabym wyjść – uśmiechnęła się.

– Uff.

– Robiłam coś takiego, kiedy się umawiałam przez internet.

Wyobrażałam sobie, jak druž-

ba na weselu opowiadałby wszystkim o tym, co się wydarzyło na tej randce.

– Szłaś na pierwszą randkę i wyobrażałaś sobie przemówienia na weselu?! No, no.

– Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale sam pomyśl. Pary, które się poznają zwyczajnie, nie wiedzą, że oto właśnie zaczyna się ich związek, prawda? Natomiast na randce to wiesz. A družba na weselu zawsze opowiada, jak młoda para się poznała.

– Mów dalej. Właśnie oceniam, czy sobie poradzę z tym kelnerem, który pilnuje drzwi.

– Bez obaw, w twoim przypadku tego nie robię. Zresztą przypuszczam, że nie miałbyś ochoty. To znaczy, jeszcze raz się zdecydować. – Anna starała się, by te słowa zabrzmiały maksymalnie obojętnie, ale nie do końca jej się to udało.

– O rany... – James sięgnął po następną oliwkę. – „Jakie ja mam zamiary”.

– Nie! Zostawmy to.

– Ale to nasza pierwsza prawdziwa randka. O niej zawsze się coś mówi na weselu, no

nie?

– Zazwyczaj. Albo o tym, jak młoda para się poznała.

– Hmm. Możesz mi podać serwetkę?

Anna podsunęła mu papierową serwetkę, a James wyjął długopis z wewnętrznej kieszeni płaszcza i pstryknął nim.

Kiedy zaczął coś pisać, Anna wpatrywała się w jego gęste granatowoczarne włosy. Skoń-

czył i podał jej serwetkę. Rozłożyła ją.

MAM CHOLERNĄ OCHOTĘ OŻENIĆ SIĘ Z TOBĄ

Pośród gwaru rozmów i brzęku talerzy Anna siedziała nieruchomo i uśmiechała się.

– No to już się zabezpieczyliśmy na przyszłość – oznajmił James, ponownie pstrykając długopisem. – Drużba nie będzie musiał opowiadać, jakim byłem idiotą w wieku szesnastu lat, ani o tym, jak „James nabijał się z niewyżytego włoskiego hrabiego na Kindle’u Anny”.

Anna poczuła się, jakby nagle urosło jej serce.

Zajęli się studiowaniem menu, każde swojego. James sięgnął przez stół i ujął Annę za

rękę. Po minucie zapytał:

– Próbujesz teraz wpleść w to przemówienie słowa z serwetki?

– Nie! – podniosła wzrok, nie zrozumiawszy ni w ząb, co szef kuchni poleca na dzisiejszy wieczór. – Myślałam o... kulkach z sera.

– Tu nie mają żadnych kulek z sera.

– Tak mi się właśnie wydawało.

Roześmiali się głośno, zwracając na siebie uwagę pary przy sąsiednim stoliku.

Pojawił się kelner z długopisem w pogotowiu.

– Już? – spytał.

Spojrzeni na siebie i skinęli głowami.

„Więc jeśli ktoś z was jeszcze tego nie wie, James i Anna poznali się po prostu w szkole...”.

KONIEC

Podziękowania

Serdecznie dziękuję Ali Gunn i Dougowi Keanowi z Gunn Media – twórcy drużyny marzeń wśród agentów i jesteście świetnymi towarzyszami na nocne wypadki.

Ogromne dzięki dla Helen Bolton za jej ciężką pracę i cierpliwość oraz dla całego zespołu w Avon i HarperCollins za entuzjazm i profesjonalizm. Keshini Naidoo, jesteś prawdziwym cudem dla tej książki.

Moim lojalnym pierwszym czytelnikiem – bratu Ewanowi i przyjaciołom Seanowi Hewit—

towi, Tarze i Katie de Cozar (które wcale nie przypominają sióstr Alessi) oraz Timowi Lee –

dzięki, że zachęcaliście mnie do dalszej pracy. Bez Was nie dałabym rady.

Szczególne podziękowania kieruję do genialnego historyka Lucy Inglis – wybaczyć, że nazywam Cię „historykiem” – za wskazówki dotyczące Teodory oraz dla Jeremego Fazala za Barking i mojego ojca Craiga za włoskie słówka. Przepraszam za przekleństwa w książce, Tato!

Wyrazy wdzięczności należą się również mojemu agentowi filmowemu Markowi Casa—

rotto, bo inaczej będzie się dąsał.

A także osobom, którym ukradłam powiedzonka lub je zaadaptowałam. Należą do nich: Jenny Howe, Alex Wright, Martyn Wells, Natalie Jones, Matt Southall, Rob Hyde, Sam Metcalf.

Bardzo Was przepraszam – zatrudnijcie prawników albo się z tego śmiećcie.

Miałam szczęście poznać niesamowitych ludzi w ostatnich latach, wśród nich są: Bim Adewumni, Tom Bennett, Sarah Ditung, James Donaghy, David Carrol, Dan Gilson, James Trim-bee, Andy Welch i Jennifer Whitehead. Za inspirację i wspaniałe towarzystwo, ogromnie Wam dziękuję.

Mam licznych krewnych, znajomych i przyjaciół, którzy zawsze mnie wspierali. Proszę, wiedźcie, że jestem Wam za to szczerze wdzięczna.

Alex i Mr Miffy – największe podziękowania dla Was.

I dziękuję Tobie, Czytelniku, jeśli wybrałeś tę książkę. To dla mnie jak cud, coś, co wcale nie jest takie oczywiste.

O autorce

Mhairi McFarlane studiowała anglistykę na Uniwersytecie w Manchesterze, a po ukończeniu studiów krótko pracowała jako dziennikarka. Obecnie mieszka w Nottingham. To jej druga książka.

Document Outline

Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6
Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12
Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16 Rozdział 17 Rozdział
18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział 22 Rozdział 23
Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27 Rozdział 28 Rozdział
29 Rozdział 30 Rozdział 31 Rozdział 32 Rozdział 33 Rozdział 34
Rozdział 35 Rozdział 36 Rozdział 37 Rozdział 38 Rozdział 39 Rozdział
40 Rozdział 41 Rozdział 42 Rozdział 43 Rozdział 44 Rozdział 45
Rozdział 46 Rozdział 47 Rozdział 48 Rozdział 49 Rozdział 50 Rozdział
51 Rozdział 52 Rozdział 53 Rozdział 54 Rozdział 55 Rozdział 56
Rozdział 57 Rozdział 58 Rozdział 59 Rozdział 60 Rozdział 61 Rozdział
62 Rozdział 63 Rozdział 64 Rozdział 65 Rozdział 66 Rozdział 67
Rozdział 68 Rozdział 69 Rozdział 70 Podziękowania O autorce

